Nomadland
W drodze za pracą

JESSICA BRUDER

Ciężarówka, którą często nazywał vanem, stała się jego domem na następnych sześć lat. Okazało się jednak, że to wcale nie takie straszne. Sytuacja zaczęła się zmieniać, gdy tylko się trochę zadomowił. Zbudował piętrowe łóżko ze sklejki i desek. Spał na dole, na górze trzymał rzeczy. Przytaszczył skądś wygodny rozkładany fotel. Do ścian przykręcił plastikowe półki. Przenośna lodówka i dwupalnikowa kuchenka turystyczna firmy Coleman tworzyły prowizoryczną kuchnię. Wodę brał z łazienek przydrożnych supermarketów, gdzie napełniał trzyipółlitrowy baniak. Kiedy miał wolne, zapraszał do siebie synów. Jeden spał na piętrowym łóżku, drugi na fotelu.

Po pewnym czasie Bob, wspominając dawne życie, odkrył, że już niespecjalnie za nim tęskni. Wręcz przeciwnie: na myśl o tym, czego nie ma – a konkretnie o opłatach za czynsz i media – nie posiadał się z radości.



SERIA AMERYKAŃSKA

Alysia Abbott *Tęczowe San Francisco. Wspomnienia o moim ojcu*

Jon Krakauer *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija*

Kim Gordon *Dziewczyna z zespołu*

Dennis Covington *Zbawienie na Sand Mountain. Nabożeństwa z wężami w południowych Appalachach*

Scott Carney *Śmierć na Diamentowej Górze. Amerykańska droga do oświecenia*

Hampton Sides *Krew i burza. Historia z Dzikiego Zachodu*

James Grissom *Szaleństwa Boga. Tennessee Williams i kobiety z mgły*

Patti Smith *Pociąg linii M*

Billie Holiday William Dufty *Lady Day śpiewa bluesa*

Dan Baum *Dziewięć twarzy Nowego Orleanu*

Jill Leovy *Wszyscy wiedzą. O zabójstwach czarnych w Ameryce*

Brendan I. Koerner *Niebo jest nasze. Miłość i terror w złotym wieku piractwa powietrznego*

Hampton Sides *Ogar piekielny ściga mnie. Zamach na Martina Luthera Kinga i wielka obława na jego zabójcę*

Paul Theroux *Głębokie Południe. Cztery pory roku na głuchej prowincji*

S. C. Gwynne *Wrzask rebeliantów. Historia geniusza wojny secesyjnej*

Jon Krakauer *Missoula. Gwałty w amerykańskim miasteczku uniwersyteckim*

James McBride *Załatw publikę i spadaj. W poszukiwaniu Jamesa Browna, amerykańskiej duszy i muzyki soul*

Dan Baum *Wolność i spluwa. Podróż przez uzbrojoną Amerykę*

Legs McNeil Gillian McCain *Please kill me. Punkowa historia punka*

David McCullough *Bracia Wright*

Lawrence Wright *Wyniosłe wieże. Al-Kaida i atak na Amerykę*

Linda Polman *Laleczki skazańców. Życie z karą śmierci*

Jan Błaszczak *The Dom. Nowojorska bohema na polskim Lower East Side*

Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki* (wyd. 3)

Charlie LeDuff *Shitshow! Ameryka się sypie, a oglądalność szybuje*

Tom Clavin Bob Drury *Serce wszystkiego, co istnieje. Nieznana historia Czerwonej Chmury, wodza Siuksów* (wyd. 2)

Andrew Smith *Księżycowy pył. W poszukiwaniu ludzi, którzy spadli na Ziemię*

Nikki Meredith *Ludzkie potwory. Kobiety Mansona i banalność zła*

Nick Bilton *Król darknetu. Polowanie na genialnego cyberprzestępcę*

Patti Smith *Rok Małpy*

Magda Działoszyńska-Kossow *San Francisco. Dziki brzeg wolności*

David Treuer *Witajcie w rezerwacie. Indianin w podróży przez ziemie amerykańskich plemion*

Sam Quinones *Dreamland. Opiatowa epidemia w USA* (wyd. 2)

Ronan Farrow *Złap i ukręć łeb. Szpiedzy, kłamstwa i zmowa milczenia wokół gwałcicieli*

S. C. Gwynne *Imperium księżyca w pełni. Wzlot i upadek Komanczów* (wyd. 2)
Matt Taibbi *Nienawiść Sp. z o.o. Jak dzisiejsze media każą nam gardzić sobą nawzajem*
Holly George-Warren *Janis. Życie i muzyka*

JESSICA BRUDER

NOMADLAND

W drodze za pracą

Przełożyła Martyna Tomczak



Wołowiec 2020



Tytuł oryginału angielskiego *Nomadland. Surviving America in the Twenty-first Century*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Jeffrey Greenberg / Universal Images Group via Getty Images
Fotografie wewnątrz tomu © by Jessica Bruder
Fotografia na stronie 45 dzięki uprzejmości Lindy May

Opieka redakcyjna Tomasz Zając
Redakcja Ewa Charitonow
Korekta Anna Mirkowska, Gabriela Niemiec
Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8191-127-6

Spis treści

Dla Dale'a

There’s a crack in everything. That is how the light gets in
[Wszędzie się znajdzie szczelina, przez którą wpada światło]

Leonard Cohen

Kapitaliści nie chcą, żeby ktokolwiek żył poza ich sztancą

Anonimowy komentujący na azdailysun.com

Wstęp

W chwili gdy to piszę, są rozrzuceni po całym kraju.

W Drayton w Dakocie Północnej były taksówkarz z San Francisco, lat sześćdziesiąt siedem, pracuje przy corocznych zbiorach buraka cukrowego. Od świtu do nocy, czasem w minusowych temperaturach, pomaga zrzucać tony buraków z ciężarówek, które zjeżdżają z pola. Śpi i mieszka w busie, odkąd Uber wygryzł go z rynku i zarobienie na czynsz stało się niemożliwością.

W Campbellsville w Kentucky sześćdziesięcioszescioletnia była właścicielka firmy budowlanej układa towar na nocnej zmianie w magazynie Amazona, tocząc wózek przez kilometry betonowych alejek. To żmudne i ogłupiające zajęcie, ale ona pilnuje, żeby prawidłowo zeskanować każdy produkt, z nadzieją, że nie wyrzucą jej z pracy. Rano wraca do ciasnej przyczepy zaparkowanej na jednym z kilku postojów, na których Amazon kwateruje wędrownych pracowników, takich jak ona.

W New Bern w Karolinie Północnej kobieta mieszkająca w przyczepce w kształcie łzy – tak małej, że można ją ciągnąć motocyklem – zatrzymała się u znajomej i szuka pracy. Nawet z dyplomem magistra pochodząca z Nebraski trzydziestoośmiolatka nie jest w stanie nic znaleźć, choć tylko przez ostatni miesiąc wypełniła setki formularzy aplikacyjnych. Wie, że mogłaby się zatrudnić przy zbiorach buraka cukrowego, ale nie stać jej na podróż przez pół kraju. Kilka lat temu straciła pracę w organizacji non profit i to dlatego zamieszkała w przyczepie. Kiedy przestano dofinansowywać jej stanowisko, nie mogła już pozwolić sobie na to, żeby opłacać czynsz jednocześnie ze spłatą pożyczki studenckiej.

W San Marcos w Kalifornii para po trzydziestce, mieszkająca w kamperze GMC rocznik 1975, prowadzi stragan z dyniami połączony z kilkoma atrakcjami dla dzieci i minizoo, które stworzyli od zera w pięć dni na pustym nieasfaltowanym placu przy drodze. Za kilka tygodni przerzucą się na handel choinkami.

W Colorado Springs w stanie Kolorado mieszkający w busie siedemdziesięciodwulatek, który nadłamał trzy żebra, pracując jako konserwator na polu kempingowym, dochodzi do siebie w trakcie wizyty u rodziny.

Istnieli zawsze: wagabundzi, włóczykije, wędrowni pracownicy, niespokojne duchy. Jednak teraz, w trzecim milenium, pojawiło się nowe koczownicze plemię. Ludzie, którzy nigdy nie przypuszczali, że zostaną nomadami, wyruszają w drogę. Rezygnują z tradycyjnych domów i mieszkań i przeprowadzają się do tego, co nazywa się czasem „nieruchomościami na kółkach" – do busów, kamperów z odzysku, szkolnych autobusów, pikapów z zabudowaną paką, przyczep kempingowych i najzwyklejszych sedanów. Zostawiają za sobą dylematy nie do rozwikłania, przed którymi staje dziś dawna klasa średnia. Wolisz mieć na jedzenie czy pójść do dentysty? Spłacić ratę kredytu czy rachunek za prąd? Uregulować ratę za samochód czy kupić leki? Wydać na czynsz czy na spłatę pożyczki studenckiej? Szarpnąć się na zimowe ubranie czy na paliwo, żeby móc dojechać do pracy?

Z początku wielu osobom rozwiązanie wydawało się radykalne.

Nie możesz dać sobie podwyżki, ale gdyby tak zredukować największy koszt? Zamienić cztery ściany na cztery koła?

Niektórzy mówią o nich: bezdomni. Ale koczownicy nowej ery odrzucają tę łatkę. Mają przecież dach nad głową i środek transportu, przyjęli więc inne określenie: bezmiejscowi.

Z daleka wielu z nich można by wziąć za beztroskich emerytów na wakacjach. Gdy od czasu do czasu pozwalają sobie na wypad do kina albo restauracji, wtapiają się w tłum. Sposobem myślenia i wyglądem wpisują się w ramy klasy średniej. Używają pralni samoobsługowych i wykupują karnety na siłownię, żeby móc korzystać z łazienki. Wielu wyruszyło w drogę po tym, jak recesja pochłonęła oszczędności ich życia. Aby napełnić baki samochodów i żołądki, od rana do wieczora ciężko pracują fizycznie. W czasach zamrożonych płac i rosnących kosztów mieszkaniowych wyrwanie się z niewoli czynszów i kredytów to ich sposób na życie. Starają się przetrwać w Ameryce.

Ale tak jak każdemu, im również samo przetrwanie nie wystarcza. Zatem akt desperacji przerodził się w dążenie do wyższych celów. Być człowiekiem to pragnąć czegoś więcej niż po prostu utrzymania się przy życiu. Równie mocno jak pożywienia i dachu nad głową potrzebujemy nadziei.

A w drodze jest nadzieja. To produkt uboczny pędu przed siebie. Poczucie, że możliwości rozciągają się tak szeroko jak sam kraj. Głęboko zakorzenione przekonanie, że czeka nas coś lepszego. Już zaraz, w kolejnym miasteczku, kolejnej robocie, przy kolejnym przypadkowym spotkaniu z nieznajomym.

Tak się składa, że ci nieznajomi też bywają nomadami. Gdy się poznają – w internecie, w pracy albo na dzikim kempingu – zaczynają tworzyć plemiona. Jest między nimi porozumienie, rodzaj pokrewieństwa. Gdy komuś psuje się bus, robią szybką zrzutkę. Łączy ich zaraźliwe przeczucie, że wokół dzieje się historia. Kraj się gwałtownie zmienia, kruszeją stare mury, a oni znaleźli się w epicentrum czegoś nowego. Kiedy siedzą razem przy ognisku w środku nocy, przez głowy przemykają im utopijne wizje.

Piszę te słowa jesienią. Wkrótce nadejdzie zima. Praca sezonowa się skończy. Nomadowie zwiną manatki i wrócą tam, gdzie ich dom, czyli w drogę, popłyną jak krwinki w żyłach kraju. Ruszą na poszukiwanie nowych przyjaciół, rodziny albo po prostu miejsca, gdzie jest ciepło. Niektórzy przemierzą cały kontynent. Wszyscy będą liczyć kilometry drogi, przewijające się niczym slajdy z Ameryki. Bary szybkiej obsługi i centra handlowe. Pola uśpione pod warstwą szronu. Komisy samochodowe, megakościoły i całodobowe jadłodajnie. Monotonne równiny. Pastwiska i martwe fabryki, osiedla i hipermarkety. Śnieżne szczyty. Przydrożne krajobrazy przemykają obok, wreszcie pochłania je ciemność, a wraz z nią nadchodzi zmęczenie. Znużeni wędrowcy znajdują miejsce na odpoczynek. Na parkingu przed Walmartem. Na spokojnej podmiejskiej ulicy. Na postoju dla ciężarówek, gdzie do snu kołysze ich cichy warkot silników. A potem, wcześnie rano – zanim ktoś ich zauważy – wyjeżdżają z powrotem na autostradę. Jadąc przed siebie, jednego są pewni.

Ostatnim miejscem wolności w Ameryce jest miejsce parkingowe.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Dziupla

Na Foothill Freeway, mniej więcej godzinę jazdy w głąb lądu od Los Angeles, niespodziewaną granicę przedmieść wyznacza łańcuch górski, który majaczy nad ciągnącymi na północ sznurami samochodów. Ta dzika kraina to południowa ściana gór San Bernardino, „ciągu wysokich, stromych zboczy” – zgodnie z opisem agencji United States Geological Survey[1]. Stanowi część formacji, która zaczęła się wypiętrzać jedenaście milionów lat temu wzdłuż uskoku San Andreas i wypiętrza do dziś, po kilka milimetrów rocznie, w wyniku ścierania się płyty pacyficznej z północnoamerykańską[2]. Góry zdają się jednak rosnąć znacznie szybciej, kiedy jedziesz w ich kierunku. Na ten widok lekko prostujesz plecy i czujesz, że coś w tobie wzbiera, jakby klatkę piersiową wypełniał ci hel, i kto wie, czy zaraz nie ulecisz w powietrze.

Linda May ściska kierownicę i spogląda na zbliżające się góry przez dwuogniskowe okulary w różowych oprawkach. Siwe włosy, spięte przy twarzy plastikową wsuwką, opadają jej poniżej ramion. Zjeżdża z Foothill Freeway na drogę stanową numer 330, zwaną także City Creek Road. Przez kilkanaście kilometrów droga jest szeroka i płaska. Później zwęża się w jednopasmową serpentynę i pnie w stronę San Bernardino National Forest.

Sześćdziesięcioczteroletnia Linda prowadzi jeepa grand cherokee laredo. Odkupiła go z parkingu depozytowego, gdzie trafił po poważnej stłuczce. Kontrolka silnika płata czasem figle – mruga, chociaż nic złego się nie dzieje – a przy bliższych oględzinach widać, że maska, odmalowana w miejscu, gdzie odpadł lakier, delikatnie różni się odcieniem bieli od reszty karoserii. Ale grunt, że po miesiącach napraw pojazd wreszcie jest zdatny do użytku. Mechanik zainstalował w nim nowy wałek rozrządu i popychacze. Linda domowymi metodami odnowiła, co się dało; wypucowała na przykład zmatowiałe reflektory koszulką spryskaną płynem na owady. Teraz po raz pierwszy jeep ciągnie dom Lindy: bladożółtą przyczepkę, którą właścicielka nazywa Dziuplą (jeśli goście nie załapią od razu, skąd ta nazwa, gospodyni

woła: „Ciasno tu jak w dziupli, ale się zmieścimy!”, i śmieje się, ukazując głębokie zmarszczki mimiczne). Wykonana z włókna szklanego przyczepa to zabytkowy model hunter compact II z 1974 roku, reklamowany wówczas jako „triumf technologii w dziedzinie turystyki”, który „po otwartej drodze śmiga za tobą jak kocię, w trudnych warunkach trzyma trop jak tygrys”[3]. Czterdzieści lat później Dziupla przywodzi na myśl uroczo staroświecką kapsułę ratunkową – zaokrąglone krawędzie i pochyłe boki kształtem przypominają styropianowy pojemnik z baru z hamburgerami. Wewnątrz ma trzy metry długości, czyli mniej więcej tyle, ile kryty wóz, którym ponad sto lat temu przemierzała kraj prapraprababcia Lindy. W oczy rzucają się elementy wystroju typowe dla lat siedemdziesiątych: kremowe obicia ścian i sufitu z pikowanego skaju i wzorzyste musztardowo-zielone linoleum. Dach jest na tyle wysoko, żeby Linda mogła się wyprostować. Kiedy kupiła przyczepę na licytacji za tysiąc czterysta dolarów, napisała na Facebooku: „Przyczepka ma metr sześćdziesiąt wysokości. Ja – metr pięćdziesiąt siedem. Pasuje idealnie”.

Linda holuje Dziuplę w stronę Hanna Flat, dużego kempingu w sosnowym lesie na północny zachód od jeziora Big Bear. Jest maj, a ona zamierza zostać tam do września. Ale w przeciwieństwie do tysięcy urlopowiczów, którzy co roku ciągną do San Bernardino National Forest – dzikiego obszaru o powierzchni większej niż cały stan Rhode Island – Linda jedzie tam do pracy. Już po raz trzeci zatrudniła się na lato do obsługi kempingu, co znaczy, że jest równocześnie dozorczynią, kasjerką, konserwatorką terenu, stróżem i komitetem powitalnym. Cieszy się na to zajęcie i na coroczną podwyżkę dla powracających pracowników, dzięki której jej stawka godzinowa, wynosząca dziewięć dolarów i trzydzieści pięć centów, podskoczy o dwadzieścia centów (minimalna stawka w Kalifornii w tamtym momencie to dziewięć dolarów). I choć wszyscy członkowie personelu pracują według umowy bez gwarancji zatrudnienia, co oznacza, że można ich zwolnić „w dowolnym momencie bez podania przyczyny”, to Lindzie obiecano pracę tydzień w tydzień, w pełnym, czterdziestogodzinnym wymiarze.

Część nowych pracowników spodziewa się płatnych wakacji w raju. Trudno ich winić. W anonsach pełno jest zdjęć błyszczących potoków i tonących w kwiatach dzikich łąk. W broszurce California Land Management, prywatnego pośrednika, który zatrudnia Lindę, siwowłose kobiety uśmiechają się radośnie nad słonecznym brzegiem jeziora, pozując

pod ręce niczym para przyjaciółek na koloniach. „Ciesz się pięknem przyrody i zarabiaj!” – kusi baner American Land & Leisure, innej firmy zatrudniającej obsługę kempingów. Pod spodem widnieją opinie personelu: „Emerytura nigdy wcześniej nie sprawiała mi tyle frajdy”, „Znaleźliśmy tu przyjaciół na całe życie”, „Czujemy się najlepiej od lat”[4].

Nowicjusze często stają okoniem – a czasem nawet rezygnują – w obliczu mniej sielankowych aspektów tej pracy: gdy przychodzi im niańczyć pijanych, hałaśliwych letników, wygarniać łopatą z palenisk góry popiołu i odłamków szła (rozochoceni obozowicze lubią wrzucać butelki do ognia, żeby eksplodowały) albo trzy razy dziennie czyścić wychodki. Choć mycie toalet to najbardziej uprzykrzone zajęcie większości pracowników, Linda nie ma z nim problemu, a wręcz szczyci się swoją dokładnością. „Chcę, żeby były czyste, bo używają ich moi letnicy – mówi. – Nie boję się zarazków. Zakładam gumowe rękawice i do roboty”.

W miarę jak Linda zbliża się do łańcucha San Bernardino, zachwycający krajobraz nabiera lekko niepokojącego charakteru. Ścieżka wzdłuż szosy jest tak wąska, że trudno nawet nazwać ją poboczem. Zdarzają się odcinki, na których za przytuloną do zbocza wstążką asfaltu jest już tylko pusta przestrzeń. Pojawiają się tablice ostrzegawcze: „Zagrożenie osuwiskowe” i „Groźba przegrzania silnika – przez następne 20 km nie włączaj klimatyzacji”. Linda jednak pozostaje niewzruszona. Prawie dwadzieścia lat temu przez pewien czas prowadziła tiry i dziś żadna trasa jej niestraszna.

Jadę kamperem kawałek przed nią. Od półtora roku widuję się z Lindą w ramach mojej pracy dziennikarskiej. Pomiędzy wizytami rozmawiamy przez telefon – tak często, że ilekroć dzwonię, jeszcze zanim odbierze, w uszach dźwięczy mi jej znajome powitanie. Melodyjne „halooo”, wymawiane tonem, jakim odzywamy się do dziecka, bawiąc się z nim w „A kuku”.



Linda May i jej suczka Coco

Poznałyśmy się, kiedy przygotowywałam artykuł o coraz liczniejszej subkulturze amerykańskich nomadów, ludzi będących w ciągłej podróży[1]. Wielu spośród tych wędrowców, podobnie jak Linda, ucieka przed paradoksem ekonomicznym polegającym na wzroście cen przy wciąż tak samo niskich płacach, na zderzeniu niepowstrzymanej siły z nienaruszalną przeszkodą. Ludzie mają wrażenie, że tkwią w jakimś imadle, poświęcając cały swój czas na wyczerpującą, żmudną pracę, która z trudem pozwala im pokryć koszt czynszu lub kredytu, bez jakichkolwiek widoków na lepszą przyszłość ani szans na emeryturę.

To poczucie wyrasta z surowej rzeczywistości. Wysokość zarobków i koszty mieszkaniowe rozeszły się tak dalece, że dla coraz większej grupy Amerykanów marzenie o spokojnym, w miarę dostatnim życiu jest już nie tyle trudne do zrealizowania, ile całkowicie nieosiągalne. W chwili gdy piszę te słowa, tylko w kilkunastu hrabstwach i jednym obszarze metropolitalnym pełnoetatowy pracownik otrzymujący minimalną pensję może sobie pozwolić na wynajem mieszkania z jedną sypialnią. Trzeba zarabiać co najmniej szesnaście dolarów i trzydzieści pięć centów na godzinę – czyli ponad

dwukrotność najniższej stawki krajowej – żeby móc wydawać na mieszkanie mniej niż trzydzieści procent wypłaty[5]. Konsekwencje bywają tragiczne, zwłaszcza dla co szóstego gospodarstwa domowego, w którym koszty te pożerają przeszło połowę zarobków[6]. Dla wielu uboższych rodzin oznacza to brak pieniędzy na jedzenie, leki i inne niezbędne rzeczy.

Wielu moich rozmówców zbyt długo brało udział w tej nierównej grze. Aż w końcu znaleźli sposób, aby oszukać system. Zrezygnowali z idei tradycyjnych czterech ścian, wyrywając się z pęt czynszów i kredytów. Zamieszkali w busach, kamperach i przyczepach i podróżują z miejsca na miejsce, zawsze tam, gdzie jest dobra pogoda, chwytając się dorywczych prac, żeby zarobić na paliwo. Linda także należy do tego plemienia. Od pewnego czasu towarzyszę jej w wędrówce po zachodnich stanach.

Gdy zaczyna się stroma droga w górę zbocza, mój zachwyt nad widokiem odległych szczytów blednie. Nagle zaczynam się bać. Wizja manewrowania topornym kamperem na wąskich serpentynach odrobinę mnie przeraża. Widok rozklekotanego jeepa ciągnącego za sobą Dziuplę przeraża mnie bardzo. Kiedy ruszałyśmy, Linda puściła mnie przodem. Dlaczego? Czyżby uznała, że mocowanie przyczepy może nie wytrzymać i Dziupla stoczy się po zboczu? Nigdy się tego nie dowiedziałam.

Tuż po wjeździe do San Bernardino National Forest za Dziuplą wyrasta lśniąca cysterna z olejem. Kierowca wygląda na zniecierpliwionego i podjeżdża trochę zbyt blisko akurat w chwili, kiedy seria ostrych zakrętów sprawia, że Linda znika mi z oczu. Usilnie wypatruję jej w lusterku wstecznym. Wreszcie wyjeżdżam na prostą, ale jeep się nie pojawia. Cysterna mija mnie i dalej pnie się w górę zbocza, tymczasem Lindy wciąż nie widać.

Zjeżdżam na pobocze, wybieram jej numer i czekam na znajome „halooo”. Rozbrzmiewa sygnał, a po chwili włącza się poczta głosowa. Gaszę silnik, wyskakuję i zaczynam drobić nerwowo tam i z powrotem obok drzwi kierowcy. Próbuję zadzwonić jeszcze raz. Bez skutku. Kilka innych samochodów zdążyło już wyjechać zza zakrętu i minąć moje pobocze. Staram się powstrzymać zawroty głowy, czując, jak z każdą minutą strumień adrenaliny przeradza się w falę paniki. Dziupla zniknęła.

Lindę od miesięcy korciło, żeby ruszyć w drogę i zacząć pracę na kempingu. Ugrzęzła w Mission Viejo, miasteczku osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Los Angeles, w wynajętym domu, z córką Audrą,

zięciem Collinem i trójką ich nastoletnich dzieci. Mieli za mało pokoi, więc wnuk Lindy Julian spał w otwartym kąciku jadalnym obok kuchni (i tak było im wygodniej niż w poprzednim mieszkaniu, gdzie mała garderoba służyła także za pokój jednej z dziewczynek).

Lindzie przypadło ostatnie wolne miejsce: kanapa obok frontowych drzwi. To była samotna wyspa. Mimo że Linda uwielbiała swoją rodzinę, czuła się tam jak wyrzucona na mieliznę, zwłaszcza odkąd jeep utknął w warsztacie. Ilekroć pozostali wychodzili gdzieś bez niej, musieli minąć jej kanapę. Zaczęło się robić niezręcznie. „Może mają wyrzuty sumienia, że spędzają czas beze mnie?" – martwiła się Linda. Poza tym tęskniła za niezależnością.

– Wolę być królową w swoim domu, niż żyć pod czyimiś rządami, nawet własnej córki – powiedziała mi.

Do tego dochodziły kłopoty zdrowotne członków rodziny, które mocno dawały im w kość – emocjonalnie i finansowo – przez co Lindzie było jeszcze trudniej korzystać ze wsparcia bliskich. Przez jakieś tajemnicze zaburzenia układu nerwowego jej wnuczka Gabbi od ponad trzech lat to była osłabiona, to leżała w łóżku. Dopiero po dłuższym czasie zdiagnozowano u niej chorobę autoimmunologiczną pod nazwą zespół Sjögrena. Julian zmagał się z cukrzycą typu pierwszego. Audra cierpiała na artretyzm. Jakby tego było mało, nawracające migreny i zawroty głowy zmusiły Collina, głównego żywiciela rodziny, do rezygnacji z posady w biurze.

W pewnym momencie Linda rozważała zgłoszenie się do magazynu Amazona przez program CamperForce, w ramach którego koncern zatrudnia wędrownych pracowników. Tyle że rok wcześniej nabawiła się tam urazu od używania ręcznego czytnika kodów kreskowych. Został jej po tym widoczny ślad, guzek wielkości winogrona na prawym nadgarstku. Jeszcze gorsze było to, co niewidoczne: ból, który promieniował od kciuka przez nadgarstek, łokieć i bark aż do szyi. Wystarczyło, że sięgnęła po kubek z kawą albo garnek, żeby ramię przeszyła piekąca iskra. Linda była pewna, że cierpi na ostre zapalenie ścięgien, ale ta świadomość nie pomagała jej pozbyć się schorzenia. A póki go nie wyleczy, nie będzie mogła wrócić do pracy w magazynie.

Spłukana i uwięziona na kanapowej wysepce, starała się skoncentrować na swojej przyszłości – właścicielki i jedynej lokatorki Dziupli. Przed zatrzymaniem się u rodziny jeździła od zlecenia do zlecenia ośmioipółmetrowym kamperem marki El Dorado z 1994 roku, który żarł paliwo jak szalony i powoli zaczynał się rozpadać. W związku z tym

przenosiny do małej przyczepki wydawały się dobrym rozwiązaniem, nawet jeśli Dziupla wymagała remontu. Poprzedni właściciele trzymali ją na słonym powietrzu oregońskiego wybrzeża i niektóre metalowe części zardzewiały – przez kadłub z włókna szklanego ciągnęły się pomarańczowe smugi. Linda zaczęła poświęcać wolny czas na drobne naprawy w swoim nowym mobilnym domu. Pierwsze zadanie polegało na sporządzeniu środka do usuwania plam rdzy; tajnym składnikiem były zblendowane skorupki jajek. Następnie urządziła sobie przytulne legowisko. Pod tylną ścianą przyczepy był mały kącik jadalny z dwiema ławkami i stolikiem. Linda wymontowała stolik i wycięła z kartonu szablon pasujący do zewnętrznych krawędzi ławek. Ze śmietnika sąsiadów wyłowiła duży i miękki materac, na oko całkiem nowy. Rozcięła go i wyciągnęła sprężyny niczym rybak filetujący pokaźną zdobycz. Wyjęła piankowe wypełnienie, obrysowała je pisakiem według szablonu i przycięła nożykiem do dywanów. Dopasowała pokrowiec, po czym całość zszyła, wypełniła pianką i elegancko wykończyła. Powstał idealny materacyk o wymiarach sto osiemdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów.

– Uznałam, że na węższym nie będzie mi wygodnie z tą tu koleżanką – wyjaśniła, wskazując na Coco, suczkę rasy cavalier king charles spaniel. – Wymierzyłam dziewięćdziesiąt centymetrów, żebyśmy się obie zmieściły.

Dzień przed tym, jak Linda wyruszyła do Hanna Flat, zapytałam ją, czy się cieszy. Spojrzała na mnie, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

– No jasne! – odparła. – Wcześniej byłam bez samochodu. Bez pieniędzy. Tkwiłam na kanapie.

Zamierzała przeżyć do pierwszej wypłaty dzięki emeryturze z federalnego funduszu ubezpieczeń społecznych Social Security wynoszącej pięćset dwadzieścia cztery dolary miesięcznie[2]. Chciała poczuć, że świat znów staje przed nią otworem, po tym jak skurczył się do rozmiarów kanapy. Zbyt długo brakowało jej wolności, nadziei na przyszłość i pędu ku nowej przygodzie. Przyszedł czas, żeby ruszyć w drogę.

Ranek 6 maja był ciepły i pochmurny. Linda uściskała bliskich.

– Zadzwonię, jak dojadę – obiecała.

Wsadziła Coco do jeepa i ruszyła do warsztatu, gdzie dopompowała opony – były popękane, łysiejące i każda z innej parafii. Zapasowej nie miała. Później zatrzymała się na stacji Shella. Napełniła bak i weszła do środka, zapłacić i kupić kilka paczek czerwonych marlboro setek. Młody ekspedient potakiwał, kiedy opowiadała mu, że jako nastolatka za litr

benzyny płaciła sześć centów, czyli nic w porównaniu z obecną ceną wynoszącą około dolara.

– Za dolara to można było jeździć cały dzień – dodała, kręcąc głową z uśmiechem.

Nic nie było w stanie zepsuć jej humoru, nawet to, że kiedy wróciłyśmy na parking, jeep był zamknięty, a kluczyki leżały w środku. Coco merdała ogonem, stojąc na tylnych łapach, oparta o drzwi po stronie kierowcy. „Pewnie nastąpiła na blokadę" – domyśliła się Linda. Na szczęście szyba nie była do końca zasunięta. Wcisnęłam rękę w szparę i odblokowałam zamek znalezioną w kamperze długą zapalarką do grilla.

Dziupla czekała w przechowalni na obrzeżach miasta Perris, po drugiej stronie gór Santa Ana, jednego z pasm oddzielających wybrzeże Kalifornii od jej surowszej, pustynnej części. Aby się tam dostać, musiałyśmy pojechać Ortega Highway. To jedna z najniebezpieczniejszych tras w całym stanie, na której, jak pisał dziennikarz „Los Angeles Timesa", „czołowo zderzają się ze sobą trzy problemy: rozrastające się miasta, złe nawyki kierowców i przestarzałe metody budowania dróg"[7]. Kręta jezdnia często jest zapchana autami kursującymi między Orange County a Inland Empire, jednak w południe ruch na szczęście był niewielki. Linda dość szybko przejechała na drugą stronę i zaczęła mijać postoje przyczep, uczepione zachodniego brzegu jeziora Elsinore niczym kolonie pąkli. Trzy lata temu mieszkała tu, na Shore Acres, popękanym pasie asfaltu między szosą a nabrzeżem, gdzie parkowanie przyczepy kosztowało sześćset dolarów miesięcznie.

W Targecie Linda zaopatrzyła się w zapasy, które miały jej wystarczyć na tydzień, do kolejnego czeku z Social Security. Kupiła duże pudło płatków owsianych, półtora tuzina jajek, mieloną wołowinę, mortadelę, bułki do hamburgerów, serowe krakersy w kształcie rybek, ciasteczka z masłem orzechowym, pomidory, musztardę i dwa litry mleka. Choć pracę zaczynała dopiero za kilka dni, zadzwoniła z parkingu do przyszłego szefa. Chciała pokazać, że jest odpowiedzialna i traktuje sprawę poważnie. Poinformowała go, że jest już w drodze i powinna dotrzeć do Hanna Flat przed zmrokiem.

Dziupla czekała po północnej stronie drogi stanowej numer 74, na parkingu ogrodzonym siatką z drutem kolczastym i wyblakłymi od słońca amerykańskimi flagami. Lindę powitał mechanik Rudy, chudzielec z siwą bródką. Dowcipkowali sobie, kiedy Linda szykowała przyczepę do drogi, starając się pamiętać o wszystkim, co ma do zrobienia.

– Ja to mam umysł jak twierdza: nic nie wchodzi do środka i nic się nie wydostaje – żartował Rudy.

Wciąż gawędzili, kiedy Linda zbyt energicznie wyszła z przyczepy. Pojazd zachybotał się na pojedynczej osi, przechylił do tyłu i z hukiem uderzył o ziemię.

– Było nie jeść rano tej drożdżówki, co nie? – zaśmiał się mechanik.

Linda złapała równowagę.

– Ale się zlękłam! – zawołała.

Na szczęście nie połamała się ani ona, ani nic w Dziupli. Poprawiła mocowanie dziewięciokilogramowych butli z gazem do zasilania lodówki, kuchenki i małego piecyka. Na koniec z pomocą Rudy'ego przymocowała Dziuplę do jeepa. Uruchomiła silnik i niepewnie ruszyła przed siebie. Machając mechanikowi na pożegnanie, minęła bramę. Tak jak zapewniała ulotka reklamowa, przyczepa „śmigała jak kocię".

Linda wciąż nie wyłaniała się zza pierwszej serii zakrętów w górach San Bernardino, tymczasem w mojej głowie przewijały się czarne scenariusze. Może zgasł jej silnik. Może złapała kapcia albo, co gorsza, wybuchła jej opona – fatalna sprawa dla kogoś, kto jeździ bez koła zapasowego. Miałam coraz mroczniejsze myśli. A jeśli Dziupla odczepiła się i potoczyła w dół? Albo jeep nie wyrobił się na zakręcie i runął do kanionu niczym w remake'u kulminacyjnej sceny *Thelmy i Louise*?

Właśnie uruchamiałam silnik, żeby zawrócić, kiedy zadzwonił telefon.

– Zaraz będę – odezwał się głos Lindy.

Na jej widok poczułam ulgę, niestety krótkotrwałą. Linda zatrzymała się na poboczu i pokazała mi coś dziwnego: uchwyty z przodu przyczepy były puste. Obie butle z gazem wypadły z zacisków. Jedna ciągnęła się za Dziuplą na gumowym wężu, podskakując na asfalcie, przez co w powłoce z włókna szklanego powstała dziesięciocentymetrowa szczerba. Druga odczepiła się i poturlała po szosie niczym łatwopalny biegacz pustynny. Kierowca cysterny skręcił gwałtownie, żeby ominąć przeszkodę, po czym przyśpieszył – na szczęście Linda w porę dostrzegła kawałek pobocza. Uciekająca butla zatrzymała się po przeciwnej stronie drogi. Linda oceniła sytuację – przycupnięta na zewnętrznej krawędzi ślepego zakrętu była niewidoczna dla nadjeżdżających samochodów – i oparła się chęci przebiegnięcia przez jezdnię, żeby odzyskać zgubę. „Butla kosztuje dwadzieścia dolarów, a ja

jestem bezcenna!” – pomyślała. Odkręciła wąż od tej, która została, i załadowała ją do przyczepy.

Nieszczęście zostało zażegnane i Linda ruszyła dalej pod górę. Przejechała przez Arrowbear Lake i Running Springs, gdzie zimą strome stoki przyciągają narciarzy i snowboardzistów, teraz zaś rowerzystów górskich i piechurów. Minęła stuletnią tamę na jeziorze Big Bear, sztucznym zbiorniku zasilanym wodą z topniejącego śniegu, i jechała dalej, wzdłuż północnego brzegu, przez rezerwat bielika. Wkrótce znalazła się nad zatoką Grout, w maleńkim miasteczku Fawnskin, nazwanym tak na początku XX wieku przez budowniczych, którzy uznali, że miejsce o nazwie Grout (czyli „cement”) nie przyciągnie turystów[8]. W tamtejszym sklepie wielobranżowym sprzedawano wszystko, co może być potrzebne amatorowi wypraw na łono natury: sprzęt wędkarski, schładzacze do puszek, tobogany, łańcuchy na koła, śpiwory, parasole przeciwsłoneczne oraz pamiątkowe alkohole w butelkach w kształcie strzelb („Tequila na lufki” – żartował sprzedawca). W pobliskim parku figury z włókna szklanego przedstawiały mężczyzn w charakterystycznych strojach, między innymi baseballisty, wodza indiańskiego, kowboja, strażaka, pilota myśliwców, pirata i policjanta drogówki. Postacie wyglądały, jakby zaraz miały zaśpiewać *Y.M.C.A.*

– Spójrz na nich! Czemu tu w ogóle nie ma kobiet? – zawołała Linda podczas jednej z późniejszych wizyt w Fawnskin. Po chwili zauważyła inną rzeźbę, parę wołów zaprzęgniętych do krytego wozu. Stwierdziła, że to pewnie samice, ponieważ nie miały widocznych genitaliów i jako jedyne wykonywały jakąś pracę. Od tamtego czasu, ilekroć mijała park, krzyczała do nich: „Heeej, dziewczyny!”.

Na Rim of the World Drive Linda minęła prywatną posiadłość z niepasującym do otoczenia zadbanym trawnikiem, ledwie widocznym zza ciężkiej bramy i znaków zakazu wstępu. Zwolniła i skręciła w Coxey Truck Trail. Asfalt ustąpił lekko pofałdowanej nieutwardzonej drodze. Po obu stronach spomiędzy kamieni wyrastały żółte wiechcie pszonaków i krzaczki mącznicy pokryte różowymi kwiatami o kieliszkowatym kształcie. Widać było też skutki pożaru Butler II z 2007 roku: zwęglone pnie drzew sterczały z zarośli niczym wielkie kolce jeżozwierza. Płomienie pochłonęły prawie pięć tysięcy sześćset hektarów lasu, włącznie z Hanna Flat, który zamknięto na dwa lata z powodu remontu[9]. Bliżej kempingu Linda znów zwolniła, starannie omijając koleiny w twardej ziemi. Dziupla z łoskotem podskakiwała na wybojach.

Biały jeep wjechał na kemping o szóstej po południu. Wciąż jeszcze było jasno. Hanna Flat leżał dwa tysiące sto metrów nad poziomem morza, czyli mniej więcej dwa tysiące metrów wyżej niż Mission Viejo, z którego wyruszyła tego ranka. Powietrze było tu rzadsze i bardziej rześkie. Linda dostrzegła tablicę z ogłoszeniami i wysiadła z jeepa. Komunikaty upominały gości, żeby uważali na węże, dogaszali ogniska („DO OSTATNIEJ ISKRY") i nie znosili na kemping drewna z pasażerami na gapę: owadami, takimi jak opiętek złotoplamkowy, lub agresywnymi mikroorganizmami powodującymi raka sosny czy nagłe obumieranie dębów. Duża mapa wskazywała drogę wijącą się przez osiemdziesiąt osiem ponumerowanych parceli, gdzie rozbicie obozowiska kosztowało dwadzieścia sześć dolarów za noc. Druga ścieżka, bez numerów, znajdowała się tak blisko wjazdu, że Linda widziała ją z punktu, w którym stała. Było tam kilka udogodnień: brukowany parking, podłączenia do wody i prądu, a także plac piknikowy z paleniskiem pośrodku. Z przodu, nieopodal próchniejącego pniaka skolonizowanego przez mrówki ogniste, widniała tablica z napisem „PERSONEL KEMPINGU".

Miejsce to miało stać się domem Lindy na najbliższe cztery miesiące.

Oprócz perspektywy rozpoczęcia pracy było jeszcze coś, co sprawiało, że Linda odliczała dni: spotkanie z przyjaciółką. Sześćdziesięcioletnia Silvianne Delmars nigdy wcześniej nie pracowała na kempingu, ale cieszyła się, że będzie miała okazję spróbować.

– Z Lindą May mogę stawić czoła całej armii – oznajmiła kilka miesięcy wcześniej.

Silvianne mieszkała w fordzie e350 econoline super club wagon rocznik 1990, którym przewożono kiedyś seniorów, a potem transportowano więźniów do pracy. Gdy kupiła go na portalu Craigslist, miał uszkodzoną uszczelkę pod głowicą i zepsute hamulce, popękane przewody hydrauliczne i zużyte opony, a z rozrusznika dochodziło złowieszcze zgrzytanie. Czasem promienie słońca padające ukośnie na drzwi po stronie pasażera wydobywały zamalowany dawno temu napis „Stowarzyszenie Seniorów w Holbrook".

Dwie koleżanki podrzuciły jej pomysły na imię: Królowa Maria i Esmeralda. Silvianne nie potrafiła się zdecydować, więc ostatecznie nazwała pojazd Królowa Maria Esmeralda. Wewnątrz rozwiesiła bajecznie kolorowe apaszki i lampki choinkowe, ułożyła haftowane poduszki i postawiła ołtarzyk ze świecą ozdobioną wizerunkiem Matki Bożej z Guadalupe i figurką egipskiej bogini Sechmet z głową lwicy. Przed

wyjazdem Silvianne spotkała cała seria niepowodzeń: ukradziono jej samochód, złamała nadgarstek (nie miała ubezpieczenia zdrowotnego), a do tego nie mogła sprzedać domu w Nowym Meksyku.

– Kiedy pierwszy raz śpisz w samochodzie w środku miasta, czujesz się jak straszna nieudacznica albo jak bezdomna – powiedziała. – Ale to właśnie jest wspaniałe w ludziach, że do wszystkiego umieją się przystosować.

Silvianne poznała Lindę półtora roku temu, na nocnej zmianie w magazynie Amazona, tam gdzie Linda uszkodziła sobie nadgarstek. Silvianne – która wcześniej pracowała w prywatnej przychodni, cateringu, a także jako kelnerka, sprzedawczyni i akupunkturzystka – była tarocistką i z czasem uznała ciąg zdarzeń, który spowodował jej przeprowadzkę do busa, za rezultat wpływu bogini, która skierowała ją na wędrowniczą ścieżkę. (Na swoim blogu Silvianne przedstawiała się tak: „Prawie emerytka z pokolenia *baby boomers*. Porzuciła dawną górniczą chatę, a wraz z nią trzy niepełne etaty i przywiązanie do iluzji bezpieczeństwa, jaką strzępy amerykańskiego snu dawały jej umęczonej duszy. Cel: ruszyć w nieznane, ku pełnemu przygód nomadycznemu przeznaczeniu tarocistki, szamanki, astrolożki i rzeczniczki kosmicznej zmiany”[10]).



Silvianne napisała piosenkę, którą nazwała hymnem nomadów. Pierwszy raz zaśpiewała mi ją, kiedy siedziałyśmy w zaparkowanej przed Burger Kingiem Królowej Marii Esmeraldzie, obierając z panierki nuggetsy z kurczaka i karmiąc nimi zielonooką kotkę Laylę, która inaczej by ich nie tknęła. Ułożona na melodię przeboju country *King of the Road* piosenka była kilkukrotnie poprawiana, odkąd Silvianne zaczęła ją pisać, podróżując samotnie drogą międzystanową numer 95 przez Arizonę. A ostatnia wersja brzmi tak:

Stary obity grat,
Z puszki konserw oglądam świat.
Bez mężczyzn, reguł, czynszu spłat,
Wolna jak ptak.

Latem mam chłodny las,
Zimą pustyni brzask.
Przed sobą marzeń głos,
Królowa szos!

Znajomi śmieją się,
Ale ich szare życie nudzi mnie.
Choć czasem śpiewam bluesa
Za nic nie oddam mojego busa.

Święta jest ziemia wokół nas,
Rozejrzyj się i sprawdź,
Kiedyś znajdę nowy dom.
Królowa szos!

W zachodnich stanach znam już każdy kąt.
Błękitne niebo i powietrza prąd.
Każdą mieścinę tutaj znam.
I co z tego, że żółwie tempo ma

Moja żarłoczna wierna buda.
Strach przychodzi czasem, ale nigdy nuda.
Bo wreszcie uwolniłam się
Wybrałam „być”, oni wybrali „mieć”.

Moja kotka Layla, kiedy jest mi źle,
Przy zmysłach trzyma mnie.
Może to nie lwica, ale nie głaszcz jej pod włos.
Królowe szos![11]

Kiedy Linda dojechała do Hanna Flat, Silvianne była wciąż dwie godziny drogi na południe, w Escondido. Parkowała przed apartamentowcem, w którym mieszkał jej znajomy, dzięki czemu miała dostęp do pralni i wanny z gorącą wodą (w slangu nomadów nazywa się to surfowaniem po podjazdach). Na koncie zostało jej czterdzieści dolarów i czekała, aż przyjdzie do niej pocztą karta kredytowa, której nie miała od dziesięciu lat.

Pierwsze dni Lindy na kempingu przebiegały spokojnie. W okolicy widywano kojoty, pojawiły się też plotki o pumie. Spadło kilka centymetrów śniegu, Linda włączyła więc sobie w Dziupli grzejnik. Kupiła nową butlę z gazem. Do drzwi lodówki przyczepiła magnes z napisem: „Żyj tak, jakby patrzyła na ciebie ciotka Bee”, opatrzonym fotografią gosposi z *The Andy Griffith Show*, a obok przykleiła odę do życia nomady zatytułowaną *A Full Set of Stuff* [Mam tyle, ile trzeba] autorstwa Randy’ego Vininga, znanego jako Mobile Kodger. Wiersz zaczynał się słowami: „Moje życie stało się wieczną podróżą. / Mam tyle, ile trzeba, nie za mało, nie za dużo”[12]. Poza tym czytała. Znajoma nomadka poleciła jej *Woodswoman. Living Alone in the Adirondack Wilderness* [Kobieta z lasu. Samotne życie w głuszy Adirondack], a Linda pochłonęła rzecz na jednym wdechu, zachwycona niezależnością i ascetyzmem autorki, ekolożki Anne LaBastille, która zainspirowana *Waldenem* Thoreau, wybudowała sobie chatkę z bali za sześćset dolarów[13]. W poradniku *Realizacja genialnych pomysłów. Jak sprawić, by nie skończyło się na gadaniu* Linda szukała wskazówek, jak zbudować sobie udaną przyszłość[14]. Poza tym obejmowała Coco, która wtulała się w swoją panią na wspólnym materacu i od czasu do czasu podrywała łebek, żeby z zapałem wylizać jej twarz.

– Całuski, całuski! – przemawiała Linda do psa. – Bo sobie język zetrzesz. Trzeba go będzie reperować, a kto za to zapłaci?

Przed przyjazdem Silvianne, w niedzielę wybrała się do najbliższych pryszniców w chłodnych boksach z pustaków na kempingu Serrano, osiem kilometrów dalej, nad brzegiem jeziora Big Bear. W ramach oszczędności woda leciała tylko przez kilka chwil, więc żeby się wykąpać, trzeba było

ciągle wciskać chromowany guzik. Wróciwszy na parking, Linda rozczesała w słońcu swoje długie włosy i zarzuciła nimi jak w reklamie szamponu.

– Błyszczą już? – spytała.

Silvianne zjawiła się po południu, ubrana w musztardowożółtą koszulkę z Fridą Kahlo, powiewną patchworkową spódnicę, różowe legginsy i zamszowe mokasyny. Uściskała Lindę, po czym zajrzała do Dziupli.

– Na zdjęciach wyglądała na większą! – orzekła.

Wysoka i smukła Silvianne nosiła grzywkę, a resztę siwiejących brązowych włosów niedbale spięła klamrą. Żeby wejść do przyczepy, musiała się schylić. Linda opowiedziała jej, jak bardzo lubi mieszkać w Dziupli. Jedyne wygody, za którymi tęskniła po wyprowadzce z kampera, to prysznic i toaleta. Tę ostatnią zastąpiła wiadrem i na razie nie narzekała.



Pokryta śniegiem Dziupla na kempingu Hanna Flat

Dwudniowe szkolenie personelu kempingu zaczęło się w poniedziałek o ósmej trzydzieści w Big Bear Discovery Center, ośrodku edukacyjnym prowadzonym przez Służbę Leśną Stanów Zjednoczonych. W nagrodę za udział przełożeni z California Land Management rzucili każdemu

z kursantów po ciasteczku w folii. Ludzie cieszyli się głównie na darmowy lunch: pierwszego dnia podano hot dogi, drugiego kurczaka z El Pollo Loco. Oprócz posiłku każdy dostał bordową teczkę z trzystupięćdziesięciostronicowym regulaminem, po czym prowadzący wygłosili szczegółową pogadankę o obowiązkach pracowników kempingu. Zachęcano ich do przeczesywania terenu w poszukiwaniu mikrośmieci – kawałków celofanowych owijek, skrawków folii, niedopałków i innej drobnicy – oraz do usuwania z parceli „przedmiotów grożących potknięciem się", takich jak szyszki wielkości grejpfruta, które spadały z górujących nad lasem sosen Jeffreya. Przytaczano też opowieści ku przestrodze. Raz jakiś pechowiec zapomniał sprawdzić, czy w palenisku, z którego wygarniał popiół, nic się już nie żarzy, i niechcący podpalił meleks. „Nie bierzcie z niego przykładu" – pouczono kursantów. Innym razem jedna z pracownic złamała żebro, kiedy wspinała się na śmietnik, żeby naprawić zerwany łańcuch chroniący przed niedźwiedziami.

– To byłam ja! – zawołała Linda, ku irytacji przełożonych, którzy opowiedzieli tę historię bez świadomości, że ofiara jest w sali. (Wypadek zdarzył się zeszłego lata, kiedy Linda pracowała w Mammoth Lakes. Przez jakiś czas wszystko sprawiało jej ból: oddychanie, zamiatanie, jazda meleksem po wybojach, schylanie się, a nawet śmiech, gdy żartowała z letnikami. Znajomi i rodzina zmusili ją do wizyty u lekarza. Ten potwierdził złamanie żebra i nalegał, by w trakcie zrastania nie dźwigała niczego, co waży więcej niż cztery i pół kilo).

O ósmej rano w środę Linda i Silvianne ruszyły do pracy w identycznych uniformach: brązowych spodniach i wiatrówkach khaki z maleńkim górskim szczytem wyhaftowanym na lewej piersi. W tych kolorach przypominały odrobinę pracownice Służby Leśnej; trik przydawał się podobno w kontaktach z krnąbrnymi letnikami. Silvianne wstała kilka godzin wcześniej, żeby wykonać swój poranny obrządek: wypić oczyszczające ziółka, pomedytować i zjeść śniadanie, które jak cała reszta jej posiłków nie zawierało cukru, mięsa, nabiału ani białej mąki. Miała nadzieję, że ten uzdrawiający rytuał pomoże jej wyleczyć podstawnokomórkowego raka skóry pod prawym okiem. W meleksie czekało mnóstwo sprzętu: dwie pary grabi, dwie miotły, łopata, blaszany kubeł na popiół oraz środki czystości w plastikowych wiadrach. Do tego ulotki reklamujące kosztowne wycieczki w głuszę: spadochronem ciągniętym przez łódkę, helikopterem, segwayem, tyrolką, terenówką i Miss Liberty, statkiem z kołem łopatkowym. Silvianne,

która niedawno nauczyła się prowadzić meleks, cieszyła się, że usiądzie za kierownicą. Linda zajęła miejsce obok. Poranek był zimny, ale jasny, słońce sączyło się przez gałęzie sosen. W koronach krakały kruki, a sikory górskie ćwierkały trzynutową melodię podobną do *Trzech ślepych myszek*. Pod drzewami czerwone *sarcodes sanguinea*, roślinki podobne do szparagów, kwitnące późną wiosną i czerpiące pokarm z korzeni iglaków przez mikoryzę, zaczynały przebijać się spod warstwy opadłych igieł. Wśród drobnych kamyków przemykały jaszczurki. Na widok zbliżającego się meleksa świstaki nurkowały do nor.

Po trikach, które stosowała Linda, dawało się poznać, że praca na kempingu to dla niej nie pierwszyzna. Dezynfekując toalety, owijała papier toaletowy ręcznikiem papierowym, żeby nie rozpylać na niego chemii. Głośno zastanawiała się nad zakupem oleju do smażenia w spreju – albo WD-40, tyle że olej był tańszy – bo kiedy się nim spryskało muszlę, nieczystości mniej przywierały. Przy opróżnianiu kosza na śmieci zademonstrowała szybki sposób na założenie nowego worka, tak żeby nie ześlizgiwał się z krawędzi. Śmieci wokół stołów piknikowych grabiła okrężnymi ruchami.

– Dzięki temu nie widać, w którym miejscu skończyłaś – wyjaśniła. – Ziemia wygląda bardziej naturalnie.

Na jednej z parceli, strasznie niechlujnej – na zewnątrz leżał rozwłóczony śpiwór, obok rolka papieru toaletowego, a dookoła walały się opakowania po zupkach chińskich – turyści zostawili rozpalony ogień. Linda i Silvianne na zmianę polewały palenisko wodą, kaszląc w chmurach dymu i pary, które buchały z syczących węgli. Zamieszały gęsty, gorący popiół łopatą, żeby mieć pewność, że zdusiły ogień co do iskry. Po kilku godzinach grupa obozowiczów, dwudziestoparoletnich chłopaków, wróciła z wycieczki. Byli zmarznięci. Mimo że prognozowano śnieg, jeden z nich wyszedł na szlak w koszulce z krótkim rękawem i zapomniał spakować kurtkę, inny zaś ruszył w góry w jedynym obuwiu, jakie ze sobą przywiózł, czyli w domowych kapciach. Kiedy Linda wkroczyła na parcelę, bezskutecznie usiłowali rozpalić ogień na nowo.

– Kiedy wychodzicie, powinniście móc włożyć rękę do paleniska – pouczyła ich cierpliwie. – Całe szczęście, że to my je znalazłyśmy, a nie strażnicy leśni.

Od strażników mężczyźni dostaliby mandat. Wyrazili gorliwą skruchę.

– Przepraszamy, bardzo przepraszamy – powtarzali.

Dwa razy w tygodniu Linda i Silvianne były odpowiedzialne za cały Hanna Flat. Przez pozostałe trzy dni dzieliły się obowiązkami z inną pracownicą, która dobrze znała teren (lubiła opowiadać, jak rok wcześniej po kempingu biegał ekshibicjonista owinięty tylko w amerykańską flagę i obnażał się, póki nie zabrała go policja). Większość czasu upływała im na sprzątaniu osiemnastu toalet i osiemdziesięciu ośmiu parceli. Oprócz prac porządkowych i pilnowania terenu meldowały gości, pobierały opłaty, rozwieszały tabliczki rezerwacyjne, udzielały wskazówek wycieczkowiczom, rozsądzały kłótnie, wygarniały popiół z palenisk i zajmowały się papierkową robotą. Goście przychodzili do nich kupować wiązki drewna po osiem dolarów, zamknięte za kratą na parceli personelu. Często odchodzili z pustymi rękami, by za radą Lindy i Silvianne samodzielnie nazbierać gałęzi w lesie według zasady „trzech O": miały być obumarłe, odłamane od drzewa i opadnięte. Czasami Linda wracała z obchodu tak zmachana, że musiała uciąć sobie drzemkę.

Niełatwo mieszkać pod szyldem „PERSONEL KEMPINGU". Człowiek przez całą dobę jest zakładnikiem cudzych potrzeb. Kiedy więc zaczynał się czas „po pracy"? Jeśli pracownik kempingu był na miejscu i było coś do zrobienia, to oczekiwano, że zostanie to zrobione. Pewnego razu o wpół do dwunastej w nocy do Hanna Flat zjechały dwa samochody turystów, którzy natychmiast pomaszerowali obudzić Silvianne, żeby ich zameldowała. Personel miał także pilnować ciszy nocnej i reagować na skargi dotyczące hałasów. Linda starała się zachowywać przyjaźnie i uprzedzać kłopoty. Kiedy na kempingu zjawiali się goście wyglądający na imprezowiczów, mówiła: „Chcemy, żebyście się państwo dobrze bawili, prosimy tylko, żebyście po dwudziestej drugiej bawili się po cichu". Zamiast żądać od gości, żeby sprzątnęli rozrzucone butelki po piwie, wyciągała do nich pomocną dłoń: „Mogę wam przynieść trochę dużych worków na śmieci".

Lindzie i Silvianne obiecano czterdzieści godzin pracy tygodniowo, nie dostały jednak żadnych gwarancji. W połowie miesiąca przełożeni ni stąd, ni zowąd oznajmili im, że zmalała liczba rezerwacji i firma musi ciąć koszty. W związku z tym przez następne dwa tygodnie obie mają pracować na trzy czwarte etatu. Tygodniowy zarobek Lindy spadł przez to do dwustu dziewięćdziesięciu dolarów (Silvianne miała jeszcze gorzej, bo jako nowa nie dostała podwyżki dla powracających pracowników).

Choć robota była niskopłatna i nieregularna, a obowiązków mnóstwo, Linda i Silvianne nie narzekały. Za to inni owszem. Wiele osób głośno

wyrażało frustrację, że oczekuje się od nich pracy ponad ustalony czas. Jeden z pracowników, mężczyzna po sześćdziesiątce, po raz pierwszy zatrudniony przez California Land Management w 2016 roku, napisał do mnie w tej sprawie mejla. „Praca na kempingu to jazda bez trzymanki. Masa sprzecznych komunikatów od kierownictwa. Oficjalnie mam trzydzieści godzin tygodniowo, ale bywa, że zbiera się przeszło czterdzieści pięć. Zaprotestowałem i obniżyli wymagania”. Kierownictwo nie zapłaciło mu jednak za nadgodziny przepracowane dotychczas.

Coś podobnego w 2014 roku opowiedzieli na łamach portalu prawniczego sześćdziesięcioparoletni Greg i Cathy Villalobosowie. Oświadczyli, że zatrudnieni przez California Land Management, a także przez innego pośrednika, firmę Thousand Trails, musieli wyrabiać więcej godzin, niż wolno im było wpisać do karty ewidencji czasu pracy. „Chcę o tym opowiedzieć przede wszystkim po to, żeby pomóc innym seniorom i powstrzymać podobne praktyki. Są one skandaliczne, zwłaszcza że firmy kontraktuje rząd federalny”[15] – oświadczył dziennikarce Greg Villalobos.

Inna wędrowna pracownica, zatrudniona przez California Land Management w 2015 roku, dała firmie jedną gwiazdkę w serwisie Yelp[16], twierdząc, że jej mąż często spędzał w pracy dwanaście lub więcej godzin, ale do ewidencji mógł wpisać tylko osiem. „To, co robią starszym parom, które potrzebują dochodu, jest złe i trzeba się temu przyjrzeć!” – napisała.

Także Służba Leśna Stanów Zjednoczonych, która korzysta z usług prywatnych pośredników, dostała skargi.

Żeby je przeczytać, złożyłam prośbę o dostęp do informacji publicznej w regionalnym biurze Służby Leśnej na Wybrzeżu Południowo-Zachodnim. Kiedy dokumenty wreszcie do mnie dotarły, okazało się, że cenzorzy zaczernili nazwiska, wiek i dane kontaktowe zatrudnionych. W jednym z listów pracownik California Land Management z czternastoletnim stażem skarżył się, że ludziom pracującym w upale nie zapewnia się wody. „Nawet robotnicy w polu mają dostęp do cienia i chłodnej wody. Dlaczego nie dajecie tego swoim pracownikom?” – pytał. Dalej następował opis przejść człowieka, który w pojedynkę był odpowiedzialny za dwa kempingi – Upper i Lower Coffee Camp u podnóża gór Sierra Nevada – w czasie czterdziestostopniowych upałów i po którego „już dwukrotnie przyjeżdżało pogotowie, ponieważ doznał wyczerpania cieplnego”. Ponadto, czytamy w liście, „przepracował wiele nadgodzin, [ale] kierownictwo zażądało, aby

nie wpisywał ich do karty ewidencji czasu pracy. Inni są zapewne traktowani w ten sam sposób".

W innej skardze były pracownik, zatrudniany przez California Land Management w Sequoia National Forest, napisał:

> Traktowano mnie bezwzględnie, podobnie jak traktuje się imigrantów… Zatrudniono mnie na 40 godzin tygodniowo, za 8,50 na godzinę, ale zazwyczaj pracowałem 50–60 godzin albo więcej, bez wynagrodzenia za nadgodziny ani nawet za normalny czas pracy. To oznacza, że CLM nie płaci nawet stawki minimalnej. Pisząc „praca", nie mam na myśli przerw ani czekania, tylko pełne osiem godzin intensywnego grabienia, oczyszczania terenu i zbierania śmieci na kempingach Hume, Princess i Stony Creek, jak również Ten-Mile i Landslide, czyszczenie toalet kilka razy dziennie, sprzątanie palenisk i dróg itp. A potem meldowanie gości prawie do godz. 21. Przez pierwszy tydzień musiałem pracować sześć dni bez przerwy po 11–12 godzin… Kiedy wreszcie zaprotestowałem, po dłuższej dyskusji kierownik nazwał mnie zadymiarzem i kazał „zamknąć gębę i zabierać się z powrotem do Oregonu".

Na moje pismo do California Land Management przyszła odpowiedź od Erica Marta, prezesa firmy. „Zapewniam, że przytoczone przez Panią stwierdzenia stoją w sprzeczności z naszym regulaminem (dostępnym dla wszystkich pracowników), jak również zasadami przekazywanymi podczas szkoleń i standardami postępowania"[17]. Mart dodał, że firma przeanalizowała co najmniej trzy z otrzymanych skarg i uznała je za bezzasadne (choć jeden z pracowników otrzymał wyrównanie za niezapłacone nadgodziny). Ostatni z przypadków – ten, w którym kierownik nazwał pracownika zadymiarzem – zakończył się osobnym dochodzeniem prowadzonym przez Służbę Leśną Stanów Zjednoczonych.

Urzędnicy federalni twierdzili co innego. Gdy zwróciłam się w sprawie tamtych listów do Służby Leśnej, usłyszałam, że nie zajmuje się tego rodzaju skargami. Przekierowuje listy do pośrednika, którego dotyczą – czyli w tym przypadku do California Land Management. Takie są oficjalne zasady instytucji, choć to ona odpowiada za wydawanie i przedłużanie firmom zezwoleń na prowadzenie działalności, a także ostatecznie za to, jak zarządzane są grunty publiczne.

„Służba Leśna nie ma kompetencji, aby reagować na skargi dotyczące naruszeń prawa pracy, dyskryminacji ani na żadne inne zażalenia wobec prywatnych pracodawców, w tym nie ma prawa do prowadzenia

jakichkolwiek dochodzeń” – wyjaśnił w mejlu rzecznik prasowy John C. Heil III.

Zadzwoniłam do niego i spytałam, czy naprawdę chce, aby właśnie tak brzmiała pełna odpowiedź Służby Leśnej.

– To dziwne, w końcu te firmy są waszymi kontrahentami, teoretycznie wam podlegają, tymczasem najwyraźniej nie macie nad nimi żadnej kontroli – dodałam.

Heil odparł na to, że przestudiował regulamin, według którego ma przekazywać wszystkie listy dalej. Poza tym nie miał nic do dodania.

Linda przywykła już do Hanna Flat, a ja obserwowałam ją przez pierwsze dwa i pół tygodnia pobytu. Swoją historię opowiadała mi na raty. Była najstarsza z trójki rodzeństwa i uwielbiała rodziców mimo ich wad. Ojciec, mechanik w stoczni w San Diego, dużo pił, a matka walczyła z chroniczną depresją. Błąkali się od mieszkania do mieszkania; kiedyś w ciągu roku przeprowadzali się siedem razy. W pewnym momencie opuścili Kalifornię, by na jakiś czas zamieszkać u krewnych w górach Black Hills w Dakocie Południowej. Linda jechała na wschód ściśnięta w pikapie z rodzicami i dwoma braćmi, całym rodzinnym dobytkiem oraz jamnikiem, który wabił się Peter Jones Perry. Jakiś czas wcześniej matce trzeba było wyrwać kilka zębów.

– Ojciec nie miał pieniędzy, żeby sprawić jej sztuczne – wspominała. – No więc jechaliśmy tym pikapem załadowanym meblami: matka bez zębów, trójka dzieci i jeszcze cholerny pies.

Z czasem ojciec Lindy stawał się coraz bardziej agresywny. Zdarzało mu się przy stole uderzyć jej najmłodszego brata łyżką po głowie. Bił żonę, spychał ją ze schodów i „rzucał nią jak szmacianą lalką”. W trakcie jednej z awantur Linda, mniej więcej siedmioletnia, schowała się w kącie na górze piętrowego łóżka w sypialni. Obiecała sobie wtedy po cichu: „Ze mną tak nie będzie”.

Jako dziewczynka zmagała się z dysleksją, ale nikt o tym nie wiedział. Nauczyciele pisali zawsze coś w stylu: „Mogłaby iść na studia, ale się nie przykłada”. Linda czuła się jak kaczka, która oglądana z brzegu wydaje się dryfować po wodzie bez wysiłku, choć pod powierzchnią zapamiętale młóci nogami.

Rzuciła szkołę, ostatecznie jednak zdała końcowy egzamin i zdobyła dyplom z budownictwa. Prowadziła tiry, pracowała jako kelnerka

i kierowniczka budowy, miała sklep z podłogami, była dyrektorką działu ubezpieczeń, inspektorką budowlaną, telefoniczną konsultantką urzędu skarbowego, opiekowała się ofiarami urazów wewnątrzczaszkowych, karmiła psy i sprzątała ich budy w ramach rządowego programu pomocy seniorom (do dziś ma bliznę po ugryzieniu przez shih tzu), a także skubała kaczki i perliczki w punkcie myśliwskim. Jednocześnie wychowywała dwie córki, przez większość czasu samodzielnie.

Słuchałam uważnie, chłonąc, ile się dało. Miałam nadzieję, że znajdę odpowiedzi na pytania, które nie dawały mi spokoju: jakim cudem ciężko pracująca sześćdziesięcioczteroletnia kobieta kończy bez stałego miejsca zamieszkania i aby przeżyć, musi zdać się na niepewną i kiepsko płatną robotę? Dlaczego jest skazana na życie w górskiej dziczy, gdzie pada śnieg i być może grasują pumy, na mieszkanie w maleńkiej przyczepie, szorowanie toalet, na łaskę i niełaskę pracodawców, którzy mogą bez zapowiedzi obciąć jej godziny albo wręcz ją zwolnić? Jak dla kogoś takiego wygląda przyszłość?

Olśnienie nie przyszło, za to przyszła pora, by wracać do domu. Zostawiłam niezjedzone zapasy: trochę wędliny, pomidory, jajka, bekon, ser, jarmuż, zupę, marchew i tortille. Ponieważ Silvianne przestrzegała restrykcyjnej diety, większość prowiantu trafiła do Lindy.

– Przyda się – stwierdziła rzeczowym tonem. – Do wypłaty zostało mi dziesięć dolarów.

Kiedy się pakowałam, Linda i Silvianne przygotowywały ognisko. Do jego rozpalenia użyły sterty starych papierów, dziennych raportów przyjazdów, pokazujących, które parcele są zarezerwowane. Stare raporty należało spalić albo pociąć w niszczarce. Gdyby dym mógł zanieść wiadomość do nieba, jak by brzmiała? Zapytałam o to.

– Spędziliśmy wakacje na kempingu. Było super! I toalety czyściutkie! – odpowiedziała Linda.

Słońce schodziło coraz niżej, a do lasu zakradał się chłód. Opatulone w bluzy z kapturem i robocze kurtki na polarze przyjaciółki zadrżały, po czym zabrały się do szykowania kolacji. Tego wieczoru nikt nowy nie miał już się zjawić. Dziewczyny ustawiły przed wjazdem tablicę z napisem: „BRAK WOLNYCH MIEJSC”.

Pożegnałam się i uruchomiłam silnik. Obie mi pomachały.

– Pilnujcie gości, żeby nie podpalili lasu! – zawołałam.

Linda pokręciła głową i odkrzyknęła:

– Straciłabym robotę!

2

Koniec

W Święto Dziękczynienia 2010 roku – zanim zaczęło się jej życie nomady – Linda May siedziała samotnie w przyczepie zaparkowanej w New River w stanie Arizona. Siwowłosa sześćdziesięciolatka, babcia wnukom, nie miała prądu ani bieżącej wody, bo nie stać jej było na rachunki. Nie mogła znaleźć pracy. Skończył się jej zasiłek dla bezrobotnych. Rodzina starszej córki, z którą mieszkała przez wiele lat, chwytając się różnych niskopłatnych zajęć, przeprowadziła się niedawno do mniejszego mieszkania. Miało trzy sypialnie i nie było w nim miejsca dla sześciu osób. Linda utknęła w nieoświetlonej przyczepie. Nie miała dokąd pójść.

„Wypiję cały alkohol, a potem odkręcę gaz. Zemdleję i będzie po wszystkim – powiedziała sobie w duchu. – A jeśli się ocknę, to zapalę papierosa i wysadzę nas w powietrze”.

Dwa małe pieski, Coco i Doodle, wpatrywały się w swoją panią (Doodle, pudelek toy, umarł, zanim Linda przeniosła się do Dziupli). Zawahała się – czy naprawdę byłaby w stanie wysadzić się w powietrze wraz z nimi? Nie ma mowy. Zamiast tego przyjęła zaproszenie koleżanki na wieczerzę z okazji Święta Dziękczynienia.

Ale tamten moment – tę krótką chwilę zawahania – niełatwo było zapomnieć. Linda uważa się za radosną, pogodną osobę. Nigdy wcześniej nie myślała poważnie o tym, żeby całkiem się poddać.

– Po prostu byłam już w takim dole, że nie widziałam wyjścia – wspominała później. Coś musiało się zmienić.

Minęło kilka lat i znów stanęła nad krawędzią. Pracowała jako kasjerka w Home Depot w Lake Elsinore, zarabiając dziesięć pięćdziesiąt na godzinę. Zdarzały się tygodnie, kiedy miała w grafiku od dwudziestu do dwudziestu pięciu godzin, przez co ledwie wystarczało jej pieniędzy na wynajem przyczepy na postoju Shore Acres, kosztujący sześćset dolarów miesięcznie. Szukała pracy przez kilka miesięcy, choć w CV miała dwa dyplomy z budownictwa plus półtora roku doświadczenia w Home Depot w Las

Vegas, gdzie zarabiała około piętnastu dolarów na godzinę w dziale obsługi klienta. Lubiła to, bo mogła rozwiązywać indywidualne problemy. Czuła się zdegradowana, kiedy posadzili ją za kasą. Mimo to starała się wykonywać swoją pracę jak najlepiej.

– Mam tyle doświadczenia, a zrobili ze mnie kasjerkę, więc stwierdziłam: „Okej, w takim razie będę najlepszą kasjerką w całym sklepie!” – opowiadała mi po latach.

Linda zagadywała klientów, wypytując o ich plany, i pomagała, w czym mogła. Kiedy mężczyzna zamierzający zbudować dach przyniósł do kasy niewłaściwe deski, doradziła mu zakup płyt OSB, które lepiej nadają się do tego celu (i były o pięćset dolarów tańsze). Dlaczego w Home Depot ktoś o takiej wiedzy marnował się za kasą?

– Zdaje się, że są trochę uprzedzeni do seniorów – podejrzewała Linda.

Nie po raz pierwszy zaczęła się wtedy zastanawiać, jakim cudem kogokolwiek w tym kraju stać na to, żeby się zestarzeć. Przez całe życie żadne z licznych zajęć nie zapewniło jej choćby odrobiny stabilizacji.

– Nigdy nie zdołałam zarobić na porządną emeryturę – stwierdziła.

Linda wiedziała, że wkrótce będzie mogła się załapać na zasiłek z funduszu Social Security. Nigdy jednak nie zwracała szczególnej uwagi na swoje roczne wyliczenia, więc przestudiowawszy jedno z nich, z zaskoczeniem zauważyła, że jej miesięczna emerytura wyniesie około pięciuset dolarów, co nie starczy nawet na wynajem przyczepy.

Samodzielnie wychowała dwie córki. Wiedziała, co znaczy ledwo wiązać koniec z końcem. Nauczyła ją tego matka, która z pół kilograma mielonej wołowiny potrafiła przez tydzień szykować posiłki dla Lindy i jej braci. Kiedy robiła spaghetti bolognese – ale w miskach nie było śladu mięsa – dzieci żartowały, że włożyła wołowinę do skarpetki i pomachała nią nad rondlem, żeby danie przynajmniej pachniało. Od czasu do czasu, gdy do ich domu trafiał dzieciak, którego rodzice wpadli w kłopoty, Linda śmiała się, że matka „po prostu machnie skarpetką nad garnkiem jeden raz więcej”.

Może dlatego była wrażliwa na krzywdę ludzi dotkniętych przez los. Na początku lat dziewięćdziesiątych prowadziła Cherokee Interiors, sklep z wykładzinami i kafelkami w Bullhead City w stanie Arizona. Gdy zamykała, wokół kranu za sklepem gromadzili się bezdomni, żeby się umyć i napełnić bidony.

– Możecie sobie przychodzić – mówiła im. – Tylko zakręćcie wodę, jak skończycie. Pamiętajcie!

Stylizowany na chatę z bali budynek miał zadaszony ganek. Kiedy mężczyźni zaczęli tam nocować, Linda wyznaczyła im zadanie.

– W porządku, kto chce tu spać, będzie nocnym stróżem – zarządziła, sugerując, że mają to powtórzyć policji, gdyby próbowała ich nękać.

Jeden z bezdomnych, który dawniej zajmował się przycinaniem drzew, zwierzył się Lindzie, że nie chce dłużej żyć na ulicy. Wymyślił, że zarobi, pracując dla miasta przy odchwaszczaniu zarośniętych posesji. Linda pomogła mu zebrać pieniądze na grabie, kosiarkę i benzynę na start. Jeździli razem, wyszukując zaniedbane działki wystawione na sprzedaż. Linda, dzięki temu, że prowadziła działalność gospodarczą, mogła mu załatwić parę zleceń.

Potem wydarzyły się dwie złe rzeczy. Sklep splajtował, gdyż partner Lindy prowadził podwójną księgowość i zatrzymywał część zysków dla siebie. A mężczyzna, który dawniej przycinał drzewa, zawalił narajone przez nią zlecenia. Gdy tylko dostał propozycję malowania domu w Las Vegas, czmychnął z miasta, nie odchwaściwszy ani jednej działki.

Mimo to Linda uważała się za szczęściarę.

– Wiesz, przynajmniej nie zostałam z niczym – wspominała. – Straciłam zarobek, ale miałam te zlecenia.

Już wkrótce popychała kosiarkę w suche letnie dni, gdy temperatura sięgała czasem niemal pięćdziesięciu stopni. Dobrze poznała objawy udaru słonecznego.

– Jeśli będziesz kiedyś na słońcu i zacznie tobą telepać, spadaj stamtąd natychmiast!

Dostawała sto pięćdziesiąt dolarów od działki. Często zaczynała o świcie i pracowała do południa, a przed wieczorem wracała dokończyć grabienie i zapakować skoszone zielsko do worków na śmieci.

– Pierwszym razem, zanim mi zapłacili, nie miałam pieniędzy, żeby wywieźć je na wysypisko, więc pojechaliśmy nad wodę i rozpaliliśmy ogień. A strasznie wtedy wiało – opowiadała, wspominając wyprawę nad jezioro Mead. – Wiatr roznosił te wyschnięte chwasty wzdłuż brzegu. Pojawił się leśnik i mówi: „Nie wolno tego robić”. A ja mu na to: „Ale już po sprawie. Właśnie zasypuję ognisko. Już gaśnie”. Potem zaczęłam myśleć, że nie mogę dalej grabić chwastów w pięćdziesięciostopniowym upale. Nie po to szłam na studia! – ciągnęła Linda.

Tymczasem jej starsza córka i zięć znaleźli zatrudnienie w tętniącej życiem branży kasynowej: ona pracowała w restauracji, on jako boy parkingowy. Linda wkrótce zdobyła posadę hostessy w Riverside Casino,

w przeżywającym hazardowy boom nevadzkim miasteczku Laughlin (właściciel, Don Laughlin, chciał nazwać miejscowość Casino, ale pomysł odrzuciła U. S. Postal Service[18]). Linda była Laughlinowi tak wdzięczna, że przesłała mu dwa tuziny róż. Wkrótce dostała wezwanie do jego gabinetu.

– Co to ma być? – zapytał zdumiony szef.

– Podziękowanie z głębi serca, Don – odparła. – Tylko tyle. Chciałam ci podziękować za pracę. O nic innego mi nie chodzi.

W kasynie sprzedawała słodycze, kwiaty i papierosy z tacy przewieszonej na pasku przez ramię. Taca była tak ciężka, że na początku Linda musiała nosić usztywniacz na plecy. Lecz nawet z nim solidnie się męczyła.

– Nosiłam rozmiar czterdzieści dwa, a sprzedając papierosy, zeszłam do trzydziestu ośmiu – wspominała.

Kupowała róże hurtem, po dziewięćdziesiąt sześć centów za sztukę, sprzedawała po cztery dolary, do czego zwykle dochodził dolar napiwku. Papierosy kupowała na kartony i sprzedawała z zyskiem pięćdziesięciu centów na paczce. Z czasem dobrze poznała stałych bywalców, na przykład faceta, który cierpiał na chroniczny ból głowy i zawsze można było liczyć, że wybuli pięć dolarów na opakowanie aspiryny warte dwadzieścia pięć centów. Przy dużym ruchu Linda potrafiła zarobić od dwustu do trzystu dolarów jednej nocy. Poza tym dorabiała, zatrudniając i nadzorując ludzi, którzy odkurzali sztuczne rośliny zdobiące kasyno.

Niestety dla hostess z Riverside złote lata skończyły się gwałtownie wraz z wprowadzeniem automatów z papierosami. Don wezwał Lindę do gabinetu, żeby ją poinformować, że jej usługi przestały być potrzebne. Mimo to nie chciał jej zwalniać. Zasugerował, by pogadała z Dale'em, głównym kierownikiem kasyna. Linda odszukała Dale'a i natychmiast przeszła do rzeczy.

– Kto tu najwięcej zarabia?

– Albo krupierzy, albo kelnerki – brzmiała odpowiedź.

– Zdecydowanie wolę być kelnerką – oznajmiła Linda.

W nowej pracy obowiązywał ją specjalny strój: obcisły frak, a pod nim czerwona jedwabna szarfa, wycięte majtki z wysokim stanem, nylonowe pończochy i szpilki. Strój nie pozostawiał dużego pola wyobraźni, co zaniepokoiło Lindę. „Nie wiem, czy dam radę nosić coś takiego!" – myślała, postanowiła jednak spróbować. Gdy po raz pierwszy założyła uniform, kierowniczka powiedziała jej, że wygląda pięknie. Ku własnemu zdziwieniu

Linda przyznała jej rację. Na sali czuła wsparcie ochroniarzy, którzy nie tolerowali braku szacunku wobec kelnerek.

– Czasem chwytali gościa za kark i otwierali drzwi jego twarzą.

Linda miło wspomina lata spędzone w Riverside Casino. Do dziś ma zdjęcie, na którym uśmiechnięta, z krótkimi ciemnymi włosami, stoi w uniformie na tle rzeki Kolorado. Ale miała wtedy czterdzieści kilka lat. Wiedziała, że szanse na pracę będą topnieć, zamiast mnożyć się wraz z latami doświadczeń. Wyglądało na to, że z błędnego koła niskopłatnych zajęć nie ma ucieczki.

Kiedy dobiła sześćdziesiątki, na horyzoncie zawisło pytanie: czy kiedykolwiek będzie mogła przestać pracować? Niemal zawsze żyła od wypłaty do wypłaty, bez żadnych oszczędności. Jej jedyne koło ratunkowe, fundusz Social Security, okazało się niebezpiecznie wiotkie. Jak może wyglądać starość za pięćset dolarów miesięcznie?

Ale jednocześnie Linda miała długoterminowy cel. Nie żaden banał typu grodzone osiedle na Florydzie czy nawet gra w golfa. Jej marzenie było przyziemne – dosłownie – i składało się z ziemi oraz śmieci innych ludzi.



Linda w uniformie w Riverside Casino

Pragnęła zbudować earthship, czyli ziemski statek kosmiczny – ogrzewany energią słoneczną dom ze starych puszek i butelek, ze ścianami nośnymi z wypełnionych ziemią i piaskiem używanych opon. Wynalezione przez architekta z Nowego Meksyku Michaela Reynoldsa, który eksperymentował z nimi od lat siedemdziesiątych, earthshipy są tak pomyślane, żeby ich mieszkańcy mogli być całkowicie samowystarczalni. Ściany z opon pełnią funkcję baterii: w ciągu dnia wchłaniają ciepło przez szereg wychodzących na południe okien, a nocą regulują temperaturę wewnątrz. Deszcz i stopiony śnieg spływają z dachu do cysterny z filtrem, dzięki któremu można wykorzystać wodę do picia, mycia i prania, podlewania domowego ogródka i spłukiwania toalety. Prąd czerpie się z paneli słonecznych lub w niektórych przypadkach z wiatraków.

Przy całej swojej pragmatyczności wiele earthshipów ma fantazyjne akcenty: iglice i wieżyczki, kolumny i łuki, elewację z suszonej na słońcu cegły w żywych kolorach albo inkrustacje z butelek ułożonych tak, by przypominały witraże. Ich budowa nie wymaga żadnej wyrafinowanej techniki, dzięki czemu są dostępne nawet dla amatorów i pozwalają wykazać się kreatywnością. Dziesiątki takich domków są rozsiane po pustyni niedaleko Taos w Nowym Meksyku, gdzie tworzą tak zwaną Greater World Earthship Community. Wygląda to jak ludzka kolonia na Księżycu, zaprojektowana wspólnymi siłami przez Dra Seussa, Gaudíego i scenografów *Gwiezdnych wojen*.

Idea stworzenia unikalnego, samowystarczalnego i ekologicznego lokum mocno przemawiała do Lindy.

– To nie jest masowa produkcja – stwierdziła. – To jak mieszkać w dziele sztuki, w dodatku zbudowanym własnymi rękami.

Jej fascynacja earthshipami zaczęła się po tym, jak w 1989 roku aktor znany z serialu *Gunsmoke*, Dennis Weaver, przeprowadził się do Kolorado, aby wybudować sobie właśnie taki dom. Nakręcił o tym dokument, pokazywany później przez lata w telewizji publicznej, dzięki czemu koncept trafił do licznego grona odbiorców[19]. Na początku filmu siwowłosy aktor stoi na niskim murku i dwuręcznym młotem ubija ziemię w oponie. Podnosi wzrok, po czym energicznym krokiem zbliża się do kamery. „Chcielibyście mieszkać w domu bez rachunków za prąd, klimatyzacji i kanałów grzewczych, który jednak utrzymuje idealną temperaturę podczas najmroźniejszej zimy i najgorętszego lata? Myślicie, że zwariowałem?” – pyta. Potem radośnie przyłącza się do ekipy budowlanej. Usuwa korę

z kawałka drewna, żeby zrobić z niego belkę dachową, a następnie pokrywa konstrukcję z opon i puszek, przyszłą ścianę sypialni, mieszaniną błota, piasku i słomy.

Nie wszyscy rozumieli marzenie aktora o zamieszkaniu w czymś, co mimo imponującego wyglądu było w zasadzie stertą opon. Miejscowi nazywali domek „pałacem Michelina”. W swoim programie *The Tonight Show* Jay Leno zapytał Weavera, czy kiedy ten wynosi śmieci, sąsiedzi myślą, że robi nową dobudówkę. „Skąd odbiorcy odpadów wiedzą, gdzie kończy się dom, a zaczyna wysypisko?” – zażartował komik[20].

Mimo że zbudowana z tanich materiałów, siedziba Dennisa Weavera o powierzchni ponad dziewięciuset metrów kwadratowych kosztowała milion dolarów[21] i stanowiła skrajny przypadek czegoś, co można by nazwać „earthshipami sławnych i bogatych”. Budowa większości z nich kosztuje mniej więcej tyle, ile budowa zwykłego domu, choć pewna rodzina z Nowej Zelandii zdołała zamknąć się w niecałych dwudziestu tysiącach dolarów. „Wierzę w pracę nieletnich” – napisał w internecie Brian Gubb, dumny ojciec piątki dzieci, dodając, że żona początkowo uznała go za wariata[22]. W Seattle grupka entuzjastów earthshipów postanowiła zbudować małą i prostą ziemiankę z wykorzystaniem materiałów z odzysku oraz pracy ochotników, a także wielkodusznej propozycji znajomego, który udostępnił im swój podjazd. Ich dziełko – lokalna gazeta nazwała je *earthdinghy*, czyli ziemską łódeczką[23] – wciąż powstaje.

Earthshipy istnieją na wszystkich kontynentach z wyjątkiem Antarktydy. Wędrowni wolontariusze budowali je w miejscach dotkniętych katastrofami, takimi jak tsunami na Oceanie Indyjskim w 2004 roku, trzęsienie ziemi na Haiti w 2010 czy tajfun Haiyan w 2013. Ze wszystkich budowniczych earthshipów najgorszą sławą owiani są do dziś członkowie sekty Wrota Niebios, którzy wznieśli dom z opon na swojej działce w Nowym Meksyku. Kiedy w 1997 roku popełnili tam zbiorowe samobójstwo, w mediach rozpętała się burza, a Michael Reynolds zapewniał Amerykanów, że earthshipy nie miały z tym nic wspólnego. „Szaleni okultyści też muszą gdzieś mieszkać – powiedział w rozmowie z Associated Press. – My uczymy ludzi, żeby żyli w harmonii z planetą, nie żeby ją opuszczali”[24].

Linda należy do grona najzagorzalszych wielbicieli Reynoldsa. Docenia jego walkę o własną wizję, stawanie przeciwko biurokratom i ich hermetycznym przepisom, co ukazuje film *Garbage Warrior*[25].

– Jaki ten Michael Reynolds ma łeb! Facet wojuje od lat siedemdziesiątych – mówiła z zapałem. – Raz nawet stracił licencję architekta, bo pierwsze domy mu się nie udały.

Od kilku lat Reynolds dowodzi, że jego wynalazek może pomóc w zaspokajaniu podstawowych ludzkich potrzeb w sposób niezależny od kaprysów rynku. „Musimy znaleźć dla ludzkości stabilne podstawy egzystencji, niepodlegające monstrum zwanemu ekonomią[26] – czytamy na jego stronie internetowej. – Ekonomia to gra. Gra powinna się toczyć o rzeczy, bez których można się obejść (motocykle, komputery, telewizory). Wykarmienie rodziny, utrzymanie się przy życiu, dach nad głową… To nie powinno podlegać jej zasadom”[27].

Mniej więcej dziesięć lat temu Linda zaczęła szukać w sieci planów pomieszczeń i instalacji, a także fotografii wnętrz earthshipów. Wydrukowała sobie te, które się jej najbardziej spodobały, i zebrała je w winylowej teczce w drewnopodobny deseń. Jej zdjęcie profilowe na Facebooku przedstawia earthship wśród pustynnego chaparralu, pod niebem Nowego Meksyku rozświetlonym różowymi promieniami zachodzącego słońca. „Mój wymarzony dom” – napisała w komentarzu. Pod spodem dodała kilka zdań wyjaśnienia: „Earthshipy buduje się ze starych opon, butelek i puszek. Są samowystarczalne, nie trzeba ich podłączać do mediów, energię czerpią ze słońca lub wiatru, woda leci z nieba. Tę wodę można wykorzystać 4 razy. Jedzenie rośnie w ogródku wewnątrz domu. To znaczy, że można żyć za darmo, bez rachunków. Ile razy mam powtarzać, że nie mam innego wyjścia?”.

Linda miała nadzieję znaleźć tani kawałek ziemi gdzieś, gdzie prawo budowlane jest mało restrykcyjne. Reynolds nazywa takie miejsca „enklawami wolności”. Miała już mglisty pomysł na to, skąd wziąć darmowy budulec i chętnych, którzy za darmo pomogą jej w robocie. Tylko jak się zabrać do realizacji tak ambitnej wizji, kiedy człowiek utknął w pułapce niskich wynagrodzeń i wszystkie zarobki pompuje w opłaty za wynajem, wiedząc, że emerytury ma w zasadzie tyle co nic? Lindzie potrzebny był nowy pomysł, strategia, która pozwoliłaby jej zarabiać, ograniczając jednocześnie i tak już skromne koszty życia. Innymi słowy: potrzebowała trapu na swój ziemski statek kosmiczny.

Wiedziała, że nie ma na co czekać. Nie młodniała, a budowa nowego domu wymaga sprawności fizycznej. Zebranie materiałów także musi trochę potrwać. Ale gdyby się udało, projekt ten stałby się czymś więcej niż tylko

oryginalnym sposobem na spędzenie starości. Earthship był jej szansą na dobrobyt, pomnikiem zdolnym przetrwać sto lat albo i dłużej.

– Musiałabym w to włożyć całą wiedzę i serce, ale zostawiłabym po sobie coś trwałego – mówiła. – Chciałabym przekazać coś takiego swoim dzieciom i wnukom.

Pragnęła samowystarczalności. Uznała, że earthship, który pozwala samodzielnie wytwarzać jedzenie i prąd, regulować temperaturę i zapewniać wodę, mógłby spełniać funkcje symbiontu. Jeśli uda się jej stworzyć i utrzymać takie miejsce, ono w zamian też będzie ją utrzymywać. Myśl o stabilizacji była krzepiąca. W końcu jej pokolenie stanowi grupę szczególnego ryzyka. Zgodnie z wynikami spisu powszechnego z 2015 roku więcej niż jedna szósta samotnych Amerykanek w starszym wieku przekroczyła granicę ubóstwa. W biedzie żyje ponad dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn (tych pierwszych 2,71 miliona, tych drugich 1,49 miliona[28]). A jeśli chodzi o zasiłek Social Security, kobiety dostawały miesięcznie średnio o trzysta czterdzieści jeden dolarów mniej od mężczyzn, ponieważ miały niższe dochody i płaciły niższe podatki, a na konsekwencje tych różnic nie zwracano należytej uwagi[29]. W 2015 roku kobiety zarabiały osiemdziesiąt procent tego, co mężczyźni[30], w dodatku to na nie częściej spadała niepłatna opieka nad dziećmi i starszymi rodzicami (kiedy już Linda odchowała dwie córki, zamieszkała z matką, która w połowie lat dziewięćdziesiątych zachorowała na złośliwy i agresywny nowotwór mózgu). Kobiety w ciągu całego życia zarabiają mniej i mniej są w stanie odłożyć. A ponieważ średnio przeżywają mężczyzn o pięć lat[31], to, co udało się im zgromadzić, musi wystarczyć na dłużej.

1 czerwca 2012 roku Linda May skończyła sześćdziesiąt dwa lata. Miesiąc później otrzymała pocztą pierwszy czek z Social Security.

– Powinnam była poczekać, aż skończę sześćdziesiąt pięć – opowiadała później. – Ale przyznali mi tak małą kwotę, że pomyślałam: „Jakkolwiek by się to rozłożyło, nie będzie specjalnej różnicy”.

Tak czy inaczej, miała problem.

– Jak mam przeżyć, nie pracując do śmierci, ale też nie obciążając dzieci? – zastanawiała się.

Wiedziała, że chce wybudować earthship. Ale czy jej się uda?

3

Przetrwać w Ameryce

Dokładnie tydzień po Święcie Dziękczynienia 2010 roku, gdy Linda postanowiła jednak nie wysadzać przyczepy w powietrze, czarne chmury zebrały się nad Empire, przemysłową osadą liczącą trzystu mieszkańców, uczepioną niczym rzep południowego krańca pustyni Black Rock w północno-wschodniej Nevadzie. Jedna z ostatnich kolonii fabrycznych w Ameryce w całości należała do firmy United States Gypsum, wytwarzającej produkty marki Sheetrock. Miejsce to było reliktem mocno idealizowanej złotej ery amerykańskiego przemysłu – czasów, gdy posada w fabryce gwarantowała solidne zakotwiczenie w klasie średniej i możliwość wychowania dzieci bez strachu przed koniecznością migracji.

Empire leżało niecałe dziesięć kilometrów na północ od tak zwanego gipsiaka, czyli kopalni odkrywkowej u podnóża górskiego łańcucha Selenite. W pięciu tarasowych otworach w ziemi, z których największy miał średnicę ośmiuset metrów, górnicy detonowali ANFO – materiał wybuchowy, mieszankę azotanu amonu i paliw płynnych – odłupując białe, kredowate kawały gipsu. Ciężarówki przewoziły sześćdziesięciotonowe bryły do fabryki płyt gipsowo-kartonowych na skraju miasteczka. Tam robotnicy je kruszyli, podgrzewali w wielkich kotłach do dwustu sześćdziesięciu stopni i formowali płyty, które znaleźć można w gospodarstwach domowych w całych zachodnich Stanach.

Za terenem fabryki, wzdłuż czterech ulic obsadzonych topolami i wiązami, rozciągało się osiedle parterowych domków. U. S. Gypsum dopłacała do i tak już niskich czynszów, które wynosiły niekiedy jedynie sto dziesięć dolarów za mieszkanie albo dwieście pięćdziesiąt za dom (mechanik w fabryce zarabiał do dwudziestu dwóch dolarów na godzinę, operator maszyn nieco mniej, co oznaczało, że na miesięczną opłatę byli w stanie zarobić w dzień albo dwa). Firma płaciła również za telewizję, wywóz ścieków i śmieci oraz internet. Ponieważ koszty utrzymania były niskie, a zarobki stałe, życie od wypłaty do wypłaty – ta wykańczająca nerwowo,

niestabilna forma egzystencji, tak powszechna poza osadą – tutejszym mieszkańcom było właściwie obce. Całkiem jakby Empire zatrzymało się w latach pięćdziesiątych. Jakby powojenny wzrost gospodarczy nigdy tam nie ustał.

– To naprawdę dobre miejsce, żeby zaoszczędzić – powiedziała mi Anne Marie Mark, przez piętnaście lat pracująca w fabrycznym laboratorium.

Według informacji podanej w firmowej gazetce „Gypsum News" z lipca 1961 roku w czasach świetności miasteczko liczyło ponad siedemset pięćdziesiąt osób. „Mieszkańcy Empire są jak jedna wielka szczęśliwa rodzina" – pisano w artykule. Choć wraz z modernizacją ich liczba malała i w 2010 roku wynosiła zaledwie połowę tego, co kiedyś, owo poczucie się nie zmieniło. Ponieważ wszyscy się znali, drzwi wejściowych nie zamykano na klucz, a samochody często stały zaparkowane z kluczykami w środku.

– Tu nie ma gangów, nie słychać syren, nie ma żadnej przemocy – zachwycała się Tonja Lynch, mieszkająca w Empire z mężem, kierownikiem produkcji w fabryce. A ponieważ miasteczko było odizolowane od świata (przez wiele lat przy drodze stanowej numer 447 stała wysoka tablica z napisem „Witamy nigdzie"), mieszkańcy nie mieli wyboru i rozrywek dostarczali sobie sami. Organizowano zabawy uliczne, sąsiedzkie pikniki i turnieje gry w kości zwanej *bunco*, a także polowania w górach na jelenie, antylopy i góropatwy azjatyckie, szarobrązowe kurowate ptaki o pasiastych skrzydłach i czerwonych dziobach. Przed wieloma domami zadbane, nieprawdopodobnie gęste trawniki odcinały się od jałowego krajobrazu, stanowiąc wyraz swoistej obywatelskiej dumy. Od miejsca, gdzie kończyła się trawa wyznaczająca granicę ludzkiego terytorium, nieprzerwanie po sam horyzont ciągnęła się pustynia Black Rock. Na zdjęciach satelitarnych Empire nie można było przeoczyć: plama zieleni wyróżniała się na tle rudego pustkowia.

Izolacja miała jednak swoje wady.

– Mamy tu straż sąsiedzką – żartował główny konserwator Aaron Constable. – Sąsiedzi cię pilnują, czy tego chcesz, czy nie.

Od dziesiątków lat tutejsi ludzie mieszkali tuż obok siebie. Miasteczko powstało w miejscu, gdzie w 1923 roku robotnicy założyli osadę namiotową. Według niektórych źródeł Empire szczyciło się najdłużej działającą kopalnią w kraju – firma Pacific Portland Cement rozpoczęła wydobycie w 1910 roku.

Historia ta niespodziewanie dobiegła końca 2 grudnia 2010 roku. O siódmej trzydzieści robotnicy w butach ze stalowymi podnoskami

i kaskach zgromadzili się w świetlicy na obowiązkowym apelu. Mike Spihlman, łagodny w obejściu kierownik fabryki, powiódł wzrokiem po tłumie zdumionych twarzy i ogłosił wyrok: Empire się zamyka. Do 20 czerwca wszyscy mają się wynieść. W pierwszej chwili zapadła cisza, później popłynęły łzy.

– Musiałem stanąć przed dziewięćdziesięcioma dwiema osobami i powiedzieć im: „Nie tylko straciliście pracę, ale też nie macie już domu” – wspominał później Mike, wzdychając ciężko.

Pracownicy dostali wolne na resztę dnia. W tamten zimny, pochmurny poranek wrócili do domów, które wkrótce miały już do nich nie należeć, aby przetrawić złe wieści i przekazać je rodzinom.

Firma U. S. Gypsum, wyceniana na cztery miliardy dolarów, w 2010 roku mocno ucierpiała finansowo i do końca trzeciego kwartału straciła dwieście osiemdziesiąt cztery miliony. Ówczesny dyrektor generalny William C. Foote przypisywał fatalną passę „długotrwałym złym warunkom rynkowym i niespotykanie niskiej liczbie zamówień”. Za tym żargonem kryła się prostsza historia: zbyt niski popyt. Los wytwórców płyt gipsowo-kartonowych jest związany z krajowym przemysłem budowlanym, a zastój spowodowany kryzysem na rynku mieszkaniowym trwał zbyt długo. Tak więc podczas gdy recesja wiele miast ledwie pokiereszowała, Empire czekał koniec.

W styczniu 2011 roku odwiedziłam miasteczko, pisząc artykuł do pewnego czasopisma. Calvin Ryle, inspektor do spraw kontroli jakości, a wcześniej główny brygadzista, powiedział mi, że zaczął pracować w fabryce 1 lipca 1971 roku.

– Jestem tu od trzydziestu dziewięciu lat i siedmiu miesięcy – oznajmił rzeczowo. – Nie opuściłem ani jednego dnia, nigdy nie miałem wypadku.

Ponieważ był rekordzistą pod względem stażu pracy w U. S. Gypsum, to jemu przypadł honor zatrzymania linii produkcyjnej. Stojąc przy taśmie w fabryce, w której jako mechanik urządzeń pracował także jego syn, sześćdziesięciodwuletni Calvin podniósł prawą rękę. Nacisnął guzik „stop” i się rozpłakał.

– Najgorsze, co można usłyszeć w fabryce, to cisza – wyjaśnił mi później. – Nie chodziło tylko o wytwarzanie płyt gipsowych. My budowaliśmy Amerykę.

Dodał, że Empire było wspaniałym miejscem, w którym wychowywało się dzieci blisko natury, a jednocześnie zarabiało sensowne pieniądze.

Zamierzał wykopać krzaki róż z ogrodu i zabrać je ze sobą, podejrzewał bowiem, że miasteczko szybko porośnie chwastami.

– Czuję, że będzie tutaj jak w tym filmie *Wzgórza mają oczy*[32] – stwierdził tonem pozbawionym złudzeń (porzucona wioska, w miejscu gdzie dawniej testowano wybuchy jądrowe, pełna niszczejących domów i przyczajonych kanibali, odegrała istotną rolę w nakręconym w 2006 roku remake'u kultowego horroru). – W 2011 roku Empire znajdzie się na szczycie rankingu nevadzkich miast widm – dodał.

Rzut beretem od fabryki, w katolickiej misji pod wezwaniem Świętego Józefa Robotnika, odprawiano jedną z ostatnich mszy. Przed kościołem stał nowy drewniany szyld, dzieło jednego z parafian, Toma Andersona, sześćdziesięciojednolatka, który przez trzydzieści jeden lat pracował w fabryce jako elektryk. Podobnie jak Calvin w kwestii róż, zapowiedział, że wyjeżdżając, zabierze szyld ze sobą. A później wraz z ponad dwadzieściorgiem sąsiadów wziął udział w nabożeństwie. Pod koniec ksiądz zapytał, czy ktoś chciałby pomodlić się w jakiejś szczególnej intencji. Zgłosiła się sześcioletnia dziewczynka w liliowej sukience księżniczki.

– Chcę się pomodlić za ludzi, którzy potrzebują pomocy, żeby znaleźć dom – powiedziała niepewnie. – I za tych, którzy muszą znaleźć środki do życia.

W kościele zapadła cisza.

Tymczasem na terenie kopalni, na południe od miasteczka, usypano już wielkie hałdy żwiru, żeby zablokować przejazd. Wkrótce pojawiły się inne symptomy upadku przemysłowego imperium. Wokół miasteczka stanął dwuipółmetrowy płot z siatki zwieńczony drutem kolczastym. Miejscowi opowiadali, że wyglądało to jak obóz koncentracyjny. Ludzie, którzy właśnie stali się bezrobotni, stworzyli prowizoryczne miejsce pamięci, rzucając kaski w koronę drzewa naprzeciwko poczty (kaski ochronne U. S. Gypsum stanowiły niegdyś powód do dumy tych, którzy je nosili, trochę jak koszulki drużyny piłkarskiej. Wiele osób ozdabiało je po swojemu naklejkami, niektórzy używali farbek albo niezmywalnych markerów. Natomiast specjalne kaski w kolorze złotym nosili ci, którzy jak Calvin służyli firmie ponad dwadzieścia pięć lat).

Społeczność powoli zaczęła się rozpraszać. Na tym samym rynku, który dostał łupnia przez kryzys mieszkaniowy, ceny złota poszybowały w górę, a kopalnie w Nevadzie zaczęły zatrudniać dodatkowych pracowników.

Kilkanaście osób z Empire wyjechało pracować dla Barrick Gold Corporation, właściciela kilku pobliskich kopalni. Inni mieli trudniej.

– Powysyłałem CV, ale nikt nie połknął haczyka – opowiadał mi były kierownik zarządzania dostawami Dan Moran. – Może ostatecznie będę musiał żyć z rąbania drewna na opał.

Wychowana w Empire dwudziestodwuletnia Monica Baker wróciła właśnie z Oahu z dwójką małych dzieci, ponieważ obiecano jej posadę w fabryce, ale odbiła się od drzwi.

– Naprawdę się wkurzyłam, bo w kółko mi powtarzali, że pracę mam załatwioną – powiedziała.

Słyszała, że w kopalniach złota potrzebne są ręce do pracy, bała się jednak sąsiedztwa trującego stawu, wiedząc, że przez tamtejszą rtęć nie można już jeść ryb złowionych w północnej Nevadzie. Monica postanowiła spróbować szczęścia sto kilometrów dalej na wschód, w miasteczku Fernley, gdzie były duże sieciowe sklepy. Tym samym popłynęła z prądem ogólnokrajowej gospodarki, porzucając produkcję przemysłową na rzecz sektora handlu i usług.

– Znajdę jakąś pracę w Walmarcie albo Lowe’s – stwierdziła.

Exodus pracowników i ich rodzin trwał do końca czerwca. Po wyjeździe ostatnich mieszkańców bramy do miasteczka zamknięto na łańcuch, zainstalowano monitoring i tablice z napisem „Wstęp wzbroniony”. Domy, a także miejski basen, dwa kościoły, pocztę i pole golfowe pozostawiono na pastwę żywiołów. Unieważniono nawet lokalny kod pocztowy, 89405. Aby okolica nie utonęła w chwastach, firma przywiozła ponad dwadzieścia kóz, które przemierzały nowo powstałe miasto widmo niczym żywe kosiarki. Po latach turyści porównywali to miejsce do Czarnobyla, nazywając je „kartoteką przerwanych żyć”[33]. W fabrycznych biurach wciąż stały kubki z niedopitą kawą, a kalendarze pokazywały datę zamknięcia[34].

Co niesamowite i lekko upiorne, istnieje jedno miejsce, gdzie życie miasteczka toczy się dalej. Gdy piszę te słowa, jest rok 2017 i wciąż można otworzyć Google Street View, ustawić maleńkiego awatara na Circle Drive i przespacerować się wśród zaparkowanych samochodów, mebli ogrodowych i mieszkańców spokojnie podlewających trawniki, unieruchomionych w fotograficznym pejzażu, którego nie zaktualizowano od 2009 roku[35].

Kiedy Empire umierało, sto dwanaście kilometrów na południe inne fabryczne osiedle tętniło życiem. Pod wieloma względami było jego

przeciwieństwem. Podczas gdy to pierwsze dawało mieszkańcom tradycyjną stabilizację, to drugie zaludniali prekariusze – sezonowi robotnicy wykonujący krótkie zlecenia za małe pieniądze. Byli to wędrowni pracownicy mieszkający w kamperach, przyczepach i busach, a czasem nawet w namiotach. Co roku wczesną jesienią zapełniali oni postoje dla przyczep wokół Fernley. Linda jeszcze o tym nie wiedziała, ale wkrótce miała do nich dołączyć. Wielu z nich przekroczyło sześćdziesiątkę lub siedemdziesiątkę, a więc albo się zbliżali do wieku emerytalnego, albo osiągnęli go już jakiś czas temu. Większość przejechała setki kilometrów i poddała się rutynowym upokorzeniom, takim jak sprawdzenie niekaralności i testy na obecność narkotyków wymagające siusiania do kubka, po to aby przepracować sezon w magazynie za jedenaście pięćdziesiąt na godzinę plus dodatek za nadgodziny. Zamierzali zostać do połowy zimy, mimo że domy na kółkach nie chroniły ich przed mrozem. Pracodawcą tych ludzi był Amazon.com.

Rekrutacja odbyła się w ramach programu nazwanego CamperForce; chodziło o stworzenie zespołu wędrownych robotników zatrudnianych sezonowo w kilku magazynach, które firma określa jako centra logistyczne, w skrócie CL. To oni, wraz z tysiącami pozostałych pracowników tymczasowych, mierzą się z nawałem zamówień w szczycie sezonu, czyli w czasie konsumenckiej bonanzy trwającej przez trzy–cztery miesiące przed Gwiazdką.

Amazon nie zdradza dziennikarzom dokładnych liczb, ale kiedy luźno zapytałam o skalę programu jedną z jego kierowniczek z centrum rekrutacyjnego w Arizonie, oszacowała, że w CamperForce bierze udział około dwóch tysięcy osób (w 2014 roku; w 2016 firma zakończyła rekrutację wcześniej niż zwykle, ponieważ był to „rekordowy rok pod względem liczby zgłoszeń” według facebookowego wpisu opublikowanego przez byłego administratora programu).

Zmiany trwały po dziesięć godzin albo i dłużej, a niektórzy pracownicy musieli dziennie przejść około dwudziestu pięciu kilometrów po betonowych podłogach[36], a przy tym raz po raz schylać się, kucać, wyciągać ręce do góry i wspinać się po schodach, skanując, sortując i pakując zamówienia. Ale gdy przedświąteczny ruch dobiega końca, Amazon nie potrzebuje już pracowników z CamperForce i kończy z nimi współpracę. Ludzie odjeżdżają, tworząc coś, co kierownictwo nazywa beztrosko „kawalkadą tylnych świateł”.

Pierwszym członkiem CamperForce, z którym korespondowałam dłużej, był mężczyzna, którego nazwę Donem Wheelerem (nie zdradzam jego prawdziwego nazwiska z powodów, które wyjaśnię później). Don spędził ostatnie dwa lata przed emeryturą jako kierownik działu rozwoju oprogramowania, latając do Hongkongu, Paryża, Sydney i Tel Awiwu. Przejście na emeryturę oznaczało, że wreszcie mógł osiąść w jednym miejscu, dzielonym z żoną domu w stylu hiszpańskim z lat trzydziestych w Berkeley. Poza tym miał wreszcie czas, aby oddać się życiowej pasji – szybkim samochodom. Kupił czerwono-białego mini coopera s i podrasował silnik do dwustu dziesięciu koni mechanicznych. Po czym zaczął trenować, aż zdobył trzecie miejsce w U. S. Touring Car Championship pro series.

Szybka jazda nie trwała długo. Kiedy zaczęłam wymieniać z nim mejle, Don miał sześćdziesiąt dziewięć lat, był rozwiedziony i mieszkał na postoju dla przyczep Desert Rose niedaleko magazynu w Fernley. Sąd przyznał dom jego byłej żonie. Oszczędności wyparowały w krachu finansowym w 2008 roku. Don musiał sprzedać mini coopera.

Mieszkał z Rizzem, siedmiokilogramowym Jack Russell terierem, w airstreamie z 1990 roku nazwanym Ellie (od numeru modelu, 300LE), z plastikową figurką tancerki hula na tablicy rozdzielczej i plakatami wyścigowymi zasłaniającymi szyby. W dawnym życiu Don wydawał sto tysięcy dolarów rocznie. W nowym nauczył się żyć za siedemdziesiąt pięć miesięcznie.

Do końca sezonu świątecznego 2013 roku miał pracować w magazynie pięć nocy w tygodniu po dwanaście godzin, aż do świtu, z półgodzinną przerwą na posiłek i dwiema dodatkowymi po piętnaście minut. Większość tego czasu miał spędzić na nogach, przyjmując i skanując towar.

– To ciężka robota, ale dobrze płacą – wyjaśnił.

Don był łysy, nosił okulary w drucianych oprawkach i miał śnieżnobiałą kozią bródkę. Po tym, jak pracując na kempingu w Oregonie, wypadł z pikapa, wstawiono mu endoprotezę prawego biodra. Nie znosił narzekactwa. Mimo to, jak większość, odliczał dni do 23 grudnia, czyli do końca sezonu dla członków CamperForce.

Powiedział mi, że jest częścią narastającego zjawiska. On i większość członków CamperForce – wraz z całą rzeszą wędrownych robotników – nazywali sami siebie *workampers*. Choć natknęłam się już wcześniej na to określenie, nigdy nie słyszałam, by ktoś definiował je z taką ikrą. W prywatnej wiadomości na Facebooku Don napisał:

> Workamperzy to współcześni wędrowcy chwytający się sezonowych prac w zamian za miejsce kempingowe – zazwyczaj z dostępem do prądu, wody i kanalizacji – a czasem także wynagrodzenie. Można by to wziąć za wynalazek naszych czasów, ale prawda jest taka, że mamy za sobą długą tradycję. Towarzyszyliśmy rzymskim legionom, ostrząc im miecze i naprawiając zbroje. Przemierzaliśmy nowo założone miasta Ameryki, reperując zegary, maszyny i sprzęty kuchenne, budując kamienne mury za centa od stopy i tyle cydru, ile zdołaliśmy wypić. W krytych wozach podążaliśmy emigranckim szlakiem na zachód, uzbrojeni we własne narzędzia i talenty. Za posiłek i drobną sumkę ostrzyliśmy noże, naprawialiśmy wszystko, co zepsute, karczowaliśmy pola, kładliśmy dachy, pomagaliśmy przy orce i zbiorach, by w końcu ruszyć w dalszą drogę. Naszymi przodkami byli wędrowni rzemieślnicy.
>
> Dziś zamiast krytych wozów mamy wygodne kampery i przyczepy kempingowe. Większość z nas to emeryci wykorzystujący umiejętności nabywane przez całe zawodowe życie. Pomożemy ci prowadzić sklep, za ladą albo na zapleczu, pojedziemy ciężarówką i wózkiem widłowym, odbierzemy i wyślemy zamówienia, naprawimy sprzęt, zatroszczymy się o komputer i sieć, będziemy pracować przy zbiorach buraków, pielęgnować ogrody albo sprzątać łazienki. Jesteśmy rzemieślnikami ery technologii.

Inni workamperzy, z którymi rozmawiałam, mieli własne sposoby na opisywanie siebie. Wielu nazywało się emerytami, choć wiedzieli, że będą pracować jeszcze długo po siedemdziesiątce albo i osiemdziesiątce. Inni mówili o sobie: podróżnicy, nomadowie, włóczykije, lub z przekąsem – cyganie. Osoby z zewnątrz nadawały im inne przydomki: „tułacze czasów recesji”[37], „amerykańscy uchodźcy”[38], „bogaci bezdomni”[39], albo porównywały ich do włóczęgów dorabiających u sadowników w czasach wielkiego kryzysu[40].

Jakkolwiek nazywani, ludzie ci wędrują od wybrzeża do wybrzeża i na północ, aż do Kanady, uczestnicząc w sezonowym cyklu robót, zasilając szarą strefę tworzoną przez pracodawców, którzy publikują ogłoszenia w serwisach internetowych typu Workers on Wheels czy Workamper News[41]. W zależności od pory roku nomadowie zbierają truskawki w Vermoncie, jabłka w Waszyngtonie albo jagody w Kentucky. Oprowadzają turystów po hodowlach ryb, sprawdzają bilety na wyścigach NASCAR i pilnują bram pól naftowych w Teksasie[3] („To było coś okropnego – tak pewna workamperka opowiadała mi o pracy w ochronie w teksańskim mieście Gonzales, gdzie razem z mężem zarabiali średnio sto dwadzieścia

pięć dolarów za całodobowy dyżur, czyli mniej więcej pięć dolarów na godzinę, padając z nóg, gdyż mogli ucinać sobie tylko krótkie drzemki. – Przez całą noc zapisujesz każdego: nazwiska, numery rejestracyjne. Wyjeżdżaliśmy stamtąd jak dwa zombie”). Inni przewracają hamburgery na ruszcie podczas wiosennych przedsezonowych rozgrywek Cactus League w Phoenix w Arizonie. Albo obsługują stragany z przekąskami na imprezach rodeo i turnieju Super Bowl na NRG Stadium w Houston („Wymagana gotowość do stosowania upsellingu” – pisano w ogłoszeniu).

Nomadowie pracują też na setkach kempingów i postojów dla przyczep, od Wielkiego Kanionu po Niagarę, rekrutowani przez prywatnych pośredników, ale też przez Służbę Leśną i Korpus Inżynieryjny Armii Stanów Zjednoczonych. Zatrudniani są w największych pułapkach na turystów, takich jak centrum handlowe Wall Drug, wabiące gości dwudziestometrowymi brontozaurami z betonu i śpiewającymi kowbojami, albo The Thing?, muzeum osobliwości przy niezbyt uczęszczanym odcinku arizońskiej szosy, gdzie kuszą wyzierające z żółtych billboardów hasła: „Zobacz, a uwierzysz” i „Tajemnica pustyni”.

Migranci prowadzą przydrożne świąteczne stragany z dyniami na Halloween i fajerwerkami na Dzień Niepodległości („Tydzień obozowania tuż przy namiocie pełnym materiałów wybuchowych… Chyba zwariowałam” – pisała pewna wdowa szykująca się do podjęcia takiej pracy[42]). Niektórzy handlują choinkami („Podaruj podróżnym piękne święta” – namawia ogłoszenie skierowane do nomadów. „Żadnych gburów” – upomina kolejne). Inni obsługują stoiska w centrach handlowych, sprzedając zestawy prezentowe See’s Candies lub Hickory Farms. Jeszcze inni najmują się do lokalizowania wycieków z rurociągów gazu ziemnego i z czujnikami monitorującymi poziom węglowodorów przemierzają kilometry wzdłuż zakopanych przewodów, pilnując, by nie doszło do eksplozji.

Departament Rybołówstwa i Środowiska na Florydzie wynajmuje nomadów do obsługi punktów dla myśliwych, gdzie ważone są tusze dzików i jeleni oraz pobierane próbki biologiczne – konkretnie żuchwy jeleni – do badań służących monitorowaniu wieku i stanu zdrowia miejscowych stad. W Dakocie Południowej punkt specjalizujący się w bażantach reklamuje wakaty w dziale preparowania ptactwa.

Workamperzy obsługują atrakcje w parkach rozrywki Dollywood w Tennessee, Adventureland w Iowa, Darien Lake w stanie Nowy Jork

i Story Land w New Hampshire („Naszych pracowników czekają nie tylko spotkania z ludźmi z całego świata, ale także czysta radość z bycia świadkiem, jak codziennie spełniają się dziecięce marzenia” – kusi anons Story Landu[43]).

Część pracodawców płaci za godzinę. Pewna farma w Georgii szuka ludzi do „codziennej tresury lam”, oferując miejsce parkingowe z dostępem do mediów w zamian za dwadzieścia–dwadzieścia cztery godziny darmowej pracy w tygodniu oraz siedem i pół dolara za każdą godzinę dodatkową[44]. Inni proponują jedynie „nocleg i wyżywienie”, czyli miejsce parkingowe, czasem na nieutwardzonej powierzchni, ale zwykle równe i płaskie, z podłączeniem do wody, prądu i kanalizacji (w anonsie dotyczącym jednej z takich niepłatnych prac pytano: „Umiesz prowadzić motorówkę? Lubisz to?”, i szukano „wolontariuszy” na stanowisko kierowcy wodnej taksówki w kalifornijskim Port San Luis. W zamian za czterdzieści godzin pracy tygodniowo oferowano tylko miejsce parkingowe, bez żadnego wynagrodzenia[45]). Do tego dochodzą jeszcze coroczne zbiory buraka cukrowego. Ostatniego tygodnia września firma American Crystal Sugar ściąga setki nomadów do Montany, Dakoty Północnej i Minnesoty. Przy dobrej pogodzie ludzie pracują dniami i nocami na dwunastogodzinnych zmianach. W zamian dostają dwanaście dolarów na godzinę plus dodatek za nadgodziny i miejsce do parkowania.

Nikt jasno nie wyliczył, ilu Amerykanów prowadzi koczowniczy tryb życia. Wieczni wędrowcy to koszmar demografów. W statystykach mieszają się z resztą populacji, ponieważ prawo wymaga od nich posiadania stałego – czyli fałszywego – adresu. Nieważne, gdzie się tułają, oficjalnie nomadowie muszą mieć stałe miejsce zamieszkania. Jesteś obywatelem stanu, w którym załatwiasz rejestrację i przegląd auta, odnawiasz prawo jazdy, płacisz podatki, głosujesz, zasiadasz w ławie przysięgłych, wykupujesz ubezpieczenie zdrowotne (z wyjątkiem korzystających z Medicare) oraz spełniasz szereg innych obowiązków. A brak adresu, jak się okazuje, oznacza, że możesz mieć adres gdziekolwiek, przynajmniej na papierze. Ludzie wybierają więc meldunek tam, gdzie jest z tym najmniej zawracania głowy, i korzystają z usługi przekierowania przesyłek (najpopularniejsze są Floryda, Dakota Południowa i Teksas, gdzie nie płaci się stanowego podatku od dochodów). W Dakocie Południowej przepisy są wyjątkowo mało restrykcyjne. Wystarczy spędzić jedną noc w motelu i zarejestrować się

w lokalnej firmie przekierowującej pocztę, a potem pokazać paragony z obu miejsc stanowemu departamentowi bezpieczeństwa publicznego[46].

Mimo braku oficjalnych wyliczeń szacuje się, że szeregi wędrowników znacznie się powiększyły po kryzysie mieszkaniowym i od tamtego czasu wciąż rosną. „Od 2008 roku interesuje się nami coraz więcej osób. Listę tych, których powiadamiamy o nowych ofertach pracy, musiałem ograniczyć do dwudziestu pięciu tysięcy nazwisk – powiedział w rozmowie z Al Dżazirą Warren Meyer, prezes firmy Recreation Resource Management, która obsługuje sto dziesięć kempingów i zatrudnia na nich trzystu workamperów. – Większość z nich to pary, zatem w rzeczywistości około pięćdziesięciu tysięcy osób stara się o pięćdziesiąt miejsc – dodał. – W 2008 roku musiałem jeździć na spotkania emerytów i błagać ludzi, żeby zechcieli dla mnie pracować”[47].

Jak dowiedziało się AARP (American Association of Retired Persons, Amerykańskie Stowarzyszenie Emerytów) od przedstawiciela Kampgrounds of America, jednego z głównych pracodawców workamperów, w swoich ośrodkach wakacyjnych i franczyzach firma zatrudnia rocznie około tysiąca pięciuset par[48]. „Workamper News”, dwumiesięcznik, który prowadzi na swojej stronie popularny serwis z ofertami pracy, twierdzi, że ma już czternaście tysięcy subskrybentów i wciąż pojawiają się nowi.

Tymczasem pod koniec 2011 roku „New York Times Magazine” ogłosił, że życie w drodze stało się modne. Autor artykułu dodał, że tego roku doszło w kraju do około 1,2 miliona egzekucji komorniczych oraz że sprzedaż kamperów podskoczyła o dwadzieścia cztery procent[49].

Ze wszystkich programów werbujących nomadów CamperForce działa jak dotąd najintensywniej. „Jeff Bezos przewidział, że do 2020 roku jedna czwarta workamperów będzie miała za sobą pracę dla Amazona” – slajd o takiej treści wyświetlano nowo zatrudnionym pracownikom. W poszukiwaniu świeżej krwi firma prowadzi stoiska rekrutacyjne na imprezach, gdzie łatwo znaleźć nomadów – głównie targach i zlotach kamperowców – w co najmniej kilkunastu stanach. Werbujący noszą firmowe koszulki CamperForce i rozdają ulotki, naklejki, notesy, papierowe wachlarze, pomadki do ust, kalendarze z widoczkami i neoprenowe ochładzacze do puszek z piwem. Wszystkie gadżety opatrzone są logo przedstawiającym czarną sylwetkę kampera w ruchu oraz charakterystyczną dla Amazona strzałkę w kształcie uśmiechu.

Niedawno logo oraz link do strony rekrutacyjnej pojawiły się na magnetycznych osłonach przeciwsłonecznych nakładanych na przednie szyby. W 2015 roku te osłony przekazano w prezencie grupie pracowników CamperForce, namawiając, by używali ich, gdziekolwiek się znajdą. Dodatkowo obiecano im po sto dwadzieścia pięć dolarów premii (w 2012 roku dostawali pięćdziesiąt) za każdą zwerbowaną osobę[50].

CamperForce wydaje też biuletyn internetowy dla potencjalnych pracowników, zawierający rady weteranów programu.



Rekruterzy CamperForce rozdają promocyjne gadżety podczas targów turystycznych w całym kraju

Donna Bonnett: „Nigdy nie pracuj w nowych butach. Pamiętaj, żeby je wcześniej rozchodzić”.

Joyce Cooley: „Najważniejsze jest pozytywne nastawienie. Nie oczekuj, że dostaniesz wszystko na tacy. Musisz na to zapracować”.

Carol Petty: „Od początku warto mieć właściwe podejście. To praca, nie kariera”.

George Nelson: „Wyluzuj się, rób swoje i nie narzekaj, w końcu to nie nasz zawód, ale zwykła sezonowa robota".

Brian Nelson: „Pomyślałem sobie, że praca na picku to trening, za który jeszcze mi płacą. Kiedy musisz pokonać dużą odległość, zrób sobie energiczny marsz. Spalisz więcej kalorii, a jednocześnie skoczy ci produktywność".

Sharon Scofield: „Przekładanie pudeł może spowodować lekkie skaleczenia albo otarcia. Amazon zapewnia rękawice ochronne. Kup sobie dobry balsam i starannie masuj dłonie"[51].

Biuletyn poleca także okoliczne atrakcje do zwiedzania po godzinach. „W październiku w Fernley odbywają się tak zwane potańcówki na ciężkie czasy. Uczestnicy przebierają się w stroje z epoki wielkiego kryzysu"[52] – brzmi jedna z rekomendacji. W innej, dla pracowników z Coffeyville w Kansas, czytamy: „W parkach można za darmo nazbierać orzechów czarnych, pekanów i orzechów hikory. W zeszłym roku pewna para zebrała i sprzedała ponad czterdzieści pięć kilo pekanów!"[53].

W swoich ulotkach Amazon ostrzega, że każdy kandydat do CamperForce musi być gotowy na dźwiganie dwudziestokilogramowych paczek w temperaturze, która czasem przekracza trzydzieści stopni[54]. W biuletynach często powtarza się motywacyjne hasło firmy: „Pracuj ciężko. Baw się. Twórz historię". Ponadto podkreślane są niematerialne korzyści z udziału w programie: „Będą cię otaczać współpracownicy, którzy zbierają się, by zawierać nowe przyjaźnie, wskrzeszać stare, cieszyć się dobrym jedzeniem, dobrymi historiami i miło spędzać czas przy ognisku lub wspólnym stole. Pod pewnymi względami to cenniejsze niż pieniądze!"[4]. W zamkniętej pracowniczej grupie na Facebooku, Amazon CamperForce Community, pewna kobieta wyznała, że przez trzy miesiące pracy schudła ponad dziesięć kilo. „Łatwo stracić na wadze, kiedy człowiek codziennie przechodzi półmaraton. Bonus: nie masz siły jeść!" – odpisała inna. Pewien mężczyzna chwalił się, że przez dziesięć tygodni przeszedł osiemset osiemdziesiąt kilometrów. Później przebił go ktoś, kto opublikował dane ze swojego krokomierza: tysiąc trzysta dwadzieścia kilometrów w dwanaście i pół tygodnia.

Chciałam na własne oczy zobaczyć ten nowy rodzaj fabrycznej osady. Kiedy wspomniałam o tym byłemu rekruterowi CamperForce, doradził mi wizytę pod koniec października, gdy „ludziska nie są jeszcze całkiem wykończeni".

Posłuchałam go i zjawiłam się w Fernley tydzień przed Halloween 2013 roku. Pracownicy pozajmowali już gęsto nawet miejsca oddalone o ponad pięćdziesiąt kilometrów od magazynu, w tym postój Grand Sierra Resort & Casino w Reno (była wśród nich i Linda, która zatrzymała się w pobliskim Fallon, wtedy jednak o tym nie wiedziałam – miałam ją poznać dopiero trzy miesiące później w Arizonie). Wiele postojów dla przyczep wypełniło się kilka miesięcy wcześniej i obowiązywały do nich długie kolejki. Najpopularniejszy był położony najbliżej magazynu Desert Rose, graniczący z drogą międzystanową numer 50 pas żwiru poprzecinany od góry bzyczącymi drutami wysokiego napięcia. Pracownicy CamperForce rozłożyli przed drzwiami wycieraczki i poustawiali meble ogrodowe. Z topoli i masztów zwieńczonych flagami z napisami „America the Beautiful" i „Gdzieś tam jest już po fajrancie" zwisały dzwonki wietrzne i karmniki dla ptaków. Przed kilkoma kamperami widać było amatorskie dzieła sztuki, na przykład zamocowaną na odwróconej kolumnie kierownicy latającą gałkę oczną wielkości sporego melona, ze skrzydłami z powbijanych z dwóch stron widelców. Gdzie indziej ludzie ustawili dekoracje na Halloween: bele siana, suszone łodygi kukurydzy i dynię pokrytą różowym brokatem. Oprócz upiększania własnych obejść mieszkańcy wykonywali drobne sąsiedzkie gesty, dzięki którym powoli tworzyła się wspólnota: odwozili się wzajemnie do pracy, żeby oszczędzać na paliwie, i polecali sobie niedrogie restauracje, do których można się wybrać w wolny dzień (ulubiony zestaw? „Złota patelnia" w Pioneer Crossing Casino w Fernley: dwa jajka plus dwa grube naleśniki na maślance, z bekonem, kiełbaskami albo szynką, do tego placki ziemniaczane lub domowe frytki – a wszystko z dziesięcioprocentową zniżką dla seniorów za jedyne dwa siedemdziesiąt).

Wcześniej długo zakładałam, że kamperowcy to w większości emeryci, którzy beztrosko szwendają się po kraju, zwiedzając i ciesząc się odpoczynkiem po kilkudziesięciu latach pracy. Słowo „kamper" kojarzy się w końcu z kempingiem. Tacy radośni emeryci oczywiście istnieją, ale dołączyli do nich nomadowie. Większości stałych mieszkańców Desert Rose nie w głowie był odpoczynek. Nowi przybysze aklimatyzowali się, pracując na pół zmiany. Ci, którzy przyjechali wcześniej, z trudem nadążali za regularnym tempem pracy w magazynie.

– Pierwszy raz w życiu pracuję fizycznie. Nabrałam szacunku do takiej roboty – powiedziała mi Linda Chesser, była doradczyni do spraw studenckich z Uniwersytetu Stanu Waszyngton. Rozwieszała właśnie mokre

koszulki w pralni, gdzie na półkach stał skromny zbiór książek do wypożyczenia, a z niedokończonej tysiącelementowej układanki wyłaniała się łąka pełna dzikich kwiatów. Linda miała sześćdziesiąt osiem lat i dziękowała losowi za ibuprofen. – Biorę cztery rano przed pracą i cztery wieczorem, po powrocie.

Niektórym ibuprofen nie wystarczył. Karren Chamberlen, sześćdziesięciolatka z dwiema protezami bioder, która w przeszłości pracowała jako kierowca autobusu, powiedziała mi, że odeszła z CamperForce po pięciu tygodniach, bo od wielogodzinnego chodzenia po betonie wysiadły jej kolana. Podczas wizyty na postoju Big Chief w Coffeyville poznałam Kenny’ego Harpera, który zrezygnował z pracy niedługo po naszym spotkaniu. „Mój lewy rotator barkowy nie wytrzymał tej roboty” – napisał później w mejlu. Inni wspominali o tak zwanym palcu trzaskającym, schorzeniu ścięgna wywołanym wielokrotnie powtarzanymi czynnościami, takimi jak skanowanie kodów kreskowych. Wiele kamperów, do których wchodziłam, było wyposażonych niczym mobilne apteki w żel przeciwbólowy, miski do moczenia obolałych stóp, sól gorzką i buteleczki leków przeciwzapalnych. To, że komuś skończyły się tabletki, nie stanowiło problemu – w ścianach magazynu zamontowane były dystrybutory darmowych środków przeciwbólowych.

„Przecież tu jest cały tłum uchodźców z własnych domów!” – Bob pamięta swoje słowa wypowiedziane do żony Anity, kiedy przyjechali do Fernley, by dołączyć do CamperForce. Apperleyowie myśleli kiedyś, że na emeryturze przeprowadzą się na żaglówkę kupioną za pieniądze ze sprzedaży domu z trzema sypialniami w Beaverton w Oregonie. Dom ten kupili za trzysta czterdzieści tysięcy dolarów w szczycie koniunktury na rynku nieruchomości, po czym włożyli w niego kolejne dwadzieścia tysięcy. Później bańka pękła i wartość domu spikowała do dwustu sześćdziesięciu tysięcy. Przed zapaścią radzili sobie całkiem nieźle. Bob pracował jako księgowy w firmie sprzedającej wyroby drewniane – nie znosił tego, ale robota pozwalała im żyć na normalnym poziomie – zaś Anita była projektantką wnętrz i dorabiała jako opiekunka. Nie wyobrażali sobie harowania przez resztę życia na spłatę kredytu, który przekraczał wartość ich domu. Kupili zatem przyczepę kempingową cardinal rocznik 2003 i ruszyli w drogę.

– Po prostu odeszliśmy – wspominała Anita. – Powiedzieliśmy sobie, że nie będziemy dłużej grać w tę grę.

Bob winił ciemnych typów z Wall Street. Mówiąc o decyzji porzucenia domu, wpadał w niemal defensywne tony. Od razu pośpiesznie zapewniał, że zawsze płacił rachunki w terminie i pilnował zdolności kredytowej. Jego nieszczęściem okazała się wiara w dogmat nieustannie rosnących cen nieruchomości.

– Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby jakiś dom stracił na wartości – mówił, kręcąc głową.

Nowa rzeczywistość docierała do niego powoli. Porównał ten proces do przebudzenia w *Matriksie*, kiedy uświadamiasz sobie, że sympatyczny, przewidywalny świat, w którym żyłeś, to miraż, kłamstwo stworzone, by zamaskować brutalną dystopię.

– Ludzie czerpią spokój ze stabilizacji, a ja nie wiem, czy to przypadkiem nie iluzja. Kiedy odkrywasz, że to, w co wierzyłaś, wcale nie jest prawdziwe, tracisz orientację. Ta prawda, w którą wierzyłaś, zbyt mocno w tobie siedzi. Żeby zmienić myślenie, trzeba porządnie dostać w łeb.

Kiedy poznałam Apperleyów, oboje dzieliło jeszcze kilka lat od pobrania pierwszego czeku z Social Security. Bob zamierzał pracować w CamperForce do sześćdziesiątego piątego roku życia. Anita nie kwalifikowała się do pracy w magazynie, bo nie miała świadectwa ukończenia szkoły średniej, wykonywała więc drobne zlecenia dla sąsiadów. Tu i na innych koczowiskach CamperForce wykształciły się mikrosieci usługowe tworzone przez niepracujących partnerów i partnerki robotników z magazynu. Reklamowali się oni na tablicach ogłoszeniowych w pralni: wyprowadzanie psów, gotowanie, szycie, naprawa tapicerki albo lekcje malarstwa dla początkujących.



Angela i Kenny Harperowie, pracownicy CamperForce, na postoju Big Chief w Coffeyville w stanie Kansas

Apperleyowie nie byli jedynymi, którzy stracili dom. Rozmawiałam z dziesiątkami pracowników CamperForce w Nevadzie, Kansas i Kentucky. Historie o problemach z pieniędzmi rozbrzmiewały wszędzie. Czasem czułam się jak w postrecesyjnych obozach dla uchodźców, miejscach ostatniej szansy, do których trafiają ofiary *jobless recovery*, czyli wzrostu gospodarczego, który nie wiąże się z powstawaniem nowych miejsc pracy. Kiedy indziej miałam wrażenie, jakbym rozmawiała z więźniami. Kusiło mnie, by zapytać wprost: „A ty za co siedzisz?”.

Wśród osób, które poznałam, część straciła oszczędności przez nietrafione inwestycje, u innych zawartość kont emerytalnych 401(k) wyparowała w krachu z 2008 roku. Niektórzy nie zdołali zapewnić sobie zabezpieczenia w razie rozwodu, choroby albo wypadku. Inni stracili pracę lub ich firma rozpadła się pod ciężarem recesji. Choć robotnicy przed pięćdziesiątką stanowili mniejszość, spotykałam i takich. Opowiadali o posadach, które stracili lub których nigdy nie znaleźli, a także o tym, jak pogrążyły ich długi

zaciągnięte na studiowanie mało praktycznych kierunków. Wielu miało nadzieję, że życie w drodze pozwoli im uciec od braku perspektyw.

Program CamperForce zaczął się jako eksperyment i przypadkiem zbiegł się w czasie z kryzysem na rynku mieszkaniowym. Rozrzucone po całym kraju magazyny Amazona od lat zmagały się z przedświątecznym niedoborem pracowników. Firma próbowała różnych sposobów i czasem zwoziła ludzi z miejsc oddalonych o trzy, a nawet pięć godzin jazdy[55]. Aż w 2008 roku agencja pracy tymczasowej Express Employment Professionals sprowadziła do magazynu w Coffeyville grupę kamperowców. Zadowolony z rezultatów Amazon obrandował projekt nazwą CamperForce oraz specjalnym logo, rozszerzył go na magazyny w Fernley i Campbellsville, po czym zaczął zatrudniać ludzi bezpośrednio, z pominięciem agencji. Później stworzono mniejsze ekipy zaufanych weteranów programu, tak zwane zespoły wyjazdowe, które szkoliły pracowników nowo otwartych obiektów w Tracy w Kalifornii, Murfreesboro w Tennessee i Robbinsville w New Jersey. Na początku 2017 roku firma ogłosiła nabór do pracy w magazynach w Campbellsville i Murfreesboro oraz Haslet i San Marcos w Teksasie (ten w Fernley został zamknięty i zastąpiony nowym, w Reno, nieobjętym programem CamperForce).

Zatrudnianie workamperów to dla firm szukających sezonowych pracowników szczyt wygody. Pojawiają się tam, gdzie są potrzebni, i w momencie, kiedy są potrzebni. Przywożą ze sobą swoje domy i dobytek, zmieniając postoje dla przyczep w efemeryczne miasteczka robotnicze, które pustoszeją, gdy kończy się praca. Nigdzie nie zostają wystarczająco długo, żeby stworzyć związek zawodowy. Gdy jest szczególnie trudno, nie mają nawet siły na spotkania towarzyskie między zmianami.

Na dodatek niewiele wymagają w kwestii dodatkowych świadczeń i ochrony zatrudnienia. Z ponad pięćdziesięciu osób, z którymi rozmawiałam przez pierwszy rok pracy, większość wyrażała wdzięczność za najmniejszą choćby namiastkę stabilizacji. Była wśród nich pięćdziesięciosiedmioletnia Joanne Johnson, która biegnąc po schodach w Campbellsville, potknęła się, upadła i uderzyła głową o podporę przenośnika taśmowego. W AmCare[56], wewnętrznej placówce medycznej Amazona, założono jej opatrunek, po czym przewieziono ją na ostry dyżur. Ze szpitala wyszła z podbitymi oczami i dziewięcioma szwami wzdłuż linii włosów.

– Pozwolili mi pracować dalej. Nie zwolnili mnie – wspominała ciepło.

Dzień po wypadku przedstawiciel działu HR odwiedził ją w kamperze, w którym mieszkała ze swoim sześćdziesięciosiedmioletnim mężem, byłym workamperem. Johnson, która obiecała szefostwu, że nigdy więcej nie będzie biegać po schodach, była w szoku:

– To było po prostu niesamowite, że facet poświęcił czas na to, żeby zapukać i spytać, jak się mamy.

Zastanawiałam się, dlaczego Amazon tak chętnie zatrudnia seniorów do pracy, w której lepiej by się sprawdził ktoś młody i silny.

– To dlatego, że można na nas polegać – podsunęła Johnson. – My wiemy, że jeśli się do czegoś zobowiążesz, to musisz zrobić wszystko, żeby to wykonać. Nie bierzemy wolnego, chyba że naprawdę nie mamy wyjścia.

Kiedy rany na głowie się goiły, opuściła tylko jeden dzień pracy. Nie dostała za niego pieniędzy.

Ludzie odpowiedzialni za działanie CamperForce powtarzają, że starsi pracownicy szanują zasady etyki zawodowej.

– Mieliśmy tu osiemdziesięciolatków, którzy fantastycznie się sprawiali – powiedziała Kelly James, administratorka programu w Campbellsville, podczas webinarium zorganizowanego przez „Workamper News". – Zaletą tego, że nasi pracownicy to w większości osoby nieco starsze, jest to, że przepracowaliście państwo całe życie. Rozumiecie, jak to działa. Przykładacie się, a my wiemy, że to maraton, a nie sprint. Trochę jak w bajce o żółwiu i zającu. Młodsi często za bardzo się śpieszą. A wy jesteście metodyczni: idziecie do przodu, robiąc swoje, aż w końcu, możecie mi wierzyć, dochodzicie do mety mniej więcej w tym samym momencie co oni[57].

Poza tym zatrudniając pracowników mniej uprzywilejowanych z kilku różnych kategorii, w tym seniorów otrzymujących zasiłek uzupełniający i każdego, kto dostaje bony żywnościowe, Amazon korzysta z ulg podatkowych. Wynoszą one od dwudziestu pięciu do nawet czterdziestu procent wynagrodzeń. Co lepiej zorientowani członkowie CamperForce świetnie zdają sobie z tego sprawę. „Powodem, dla którego Amazon przyjmuje tak powolnych i mało produktywnych pracowników, jest dofinansowanie miejsc pracy dla osób z grup szczególnie narażonych na bezrobocie – pisze autorka bloga *Tales from the Rampage*, należąca w przeszłości do grona workamperów. – Ponieważ na prawie trzy miesiące wyłączają nas z systemu zasiłków, mogą to sobie odliczyć od podatku"[58].

Pozytywny stosunek do pracy seniorów nie jest cechą wyłącznie koncernu Amazon. Na webinarium rekrutującym chętnych do zbiorów buraka cukrowego Scott Lindgren z agencji pracy tymczasowej Express Employment Professionals chwalił niezłomność starszych kamperowców:

– Macie wspaniałą etykę pracy i za to należą wam się brawa. Wiemy, że całe życie ciężko pracowaliście, wiemy, że można na was liczyć, a do tego należycie do naszych najlepszych pracowników[59].

Siedemdziesięciosiedmioletni David Roderick przyznał mu rację:

– Oni kochają emerytów, bo wiedzą, że mogą na nas polegać. Że codziennie będziemy przychodzić od pracy i ciężko harować, w zasadzie jak niewolnicy – mówił, wspominając zimę 2012 roku, kiedy razem z żoną sprzedawał choinki w San Mateo County Event Center w Kalifornii. Mieszkali wtedy w piętnastoletnim kamperze marki Lazy Daze. David nosił dwuipółmetrowe iglaki, albo wyższe, i ładował je na osobówki i pikapy klientów sześć razy w tygodniu, od ośmiu do dziesięciu godzin dziennie.

– Sprzedaż uwielbiałem, ale praca na zapleczu, ścinanie i taszczenie drzewek to coś dla naprawdę młodej osoby. A tam było sporo emerytów – opowiadał.

Gdyby przy naszym pierwszym spotkaniu na postoju Desert Rose ten białowłosy starszy pan z bródką nie miał na sobie turkusowej koszulki CamperForce, w ogóle nie wyglądałby na wędrownego robotnika. Na początku swojego życia zawodowego wykładał chemię i oceanografię w szkołach policealnych w Kalifornii, następnie założył nowatorską firmę zajmującą się ekoturystyką, później zaś uczył angielskiego w Jordanii w ramach stanowego programu English Language Fellow (dostał kolejne propozycje z Arabii Saudyjskiej i Kuwejtu. Obie odwołano, gdy administratorzy zorientowali się, że skończył siedemdziesiąt lat i tym samym przekroczył przyjętą w każdym z tych krajów górną granicę wieku).

Tymczasem widoki na spokojną jesień życia zniknęły. Przed laty, w trakcie rozwodu, David musiał przedwcześnie wystąpić o emeryturę, na którą zbierał przez szesnaście lat pracy w kalifornijskich szkołach policealnych. Gdyby zostawił fundusz w spokoju, razem z tym, co dokładało państwo, urósłby on do co najmniej pięciuset tysięcy dolarów. Wtedy wynosił dwadzieścia dwa tysiące, do podziału między Davida a jego byłą żonę. Później David ożenił się ponownie, z kobietą, która straciła sześćset pięćdziesiąt tysięcy oszczędności z czasów pierwszego małżeństwa w wyniku

upadku towarzystwa Executive Life w 1991 roku, okrzykniętego wówczas największą finansową porażką w historii branży ubezpieczeniowej.

David zademonstrował mi przysiady i wyprosty, które wykonywał setki razy dziennie, gdy pracował w magazynie. Stwierdził, że ma szczęście, bo w przeciwieństwie do żony nic go nie boli ani nigdzie nie strzyka. Oszacował, że zarabia teraz jedną piątą tego, co w szczytowym momencie swojej kariery.

– To znaczy wiesz, generalnie jakaś praca zawsze się znajdzie, tyle że zarobki wszędzie są głodowe – dodał. – Tak właśnie wygląda nowa era emerytów.

Słuchając opowieści Davida i innych, zaczęłam, niczym w soczewce, dostrzegać w amazonowych koczowiskach katastrofę dziejącą się w całym kraju. Postoje dla przyczep pełne były ludzi wypchniętych daleko poza wygodny świat klasy średniej, który przez całe życie wydawał im się oczywistością. Dało się tam znaleźć przykłady wszelkich finansowych niepowodzeń, jakie dotykały Amerykanów przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Każdy miał jakąś historię.

Na przykład siedemdziesięcioletni Chuck Stout, który szacował, że jako *picker*, zbieracz, robi w magazynie dwadzieścia kilometrów dziennie, ściągając z półek produkty, żeby zrealizować zamówienia.

– Ludzie mówią, że to jak więzienie. Bo wchodzicie gęsiego, podbijacie karty i robicie, co wam każą.

W poprzednim życiu Chuck przez czterdzieści pięć lat pracował za biurkiem dla McDonald’s Corporation, gdzie pod koniec lat siedemdziesiątych był dyrektorem do spraw rozwoju produktu w międzynarodowej centrali firmy. Jednak w 2011 roku ogłosił bankructwo, po tym jak wraz z żoną Barbarą, pięćdziesięciosiedmioletnią nauczycielką muzyki, stracili na giełdzie czterysta dziesięć tysięcy dolarów. Stracili też dom obok pola golfowego na ogrodzonym osiedlu Heron Pointe w Myrtle Beach w Karolinie Południowej i przenieśli się do kampera national seabreeze z 1996 roku, który nazywali BP (gdy mieli dobry humor, tłumaczyli, że to dlatego, że jest „bardzo przytulny”. W gorsze dni nazywali go „blaszaną puszką”). W środku wisiała makatka z hasłem: „Dom jest tam, gdzie możesz się do kogoś przytulić”. Po Amazonie ich kolejną pracą było sprzedawanie piwa i hamburgerów podczas rozgrywek przedsezonowych na stadionie Oakland Athletics.

Spotkałam też Phila DePeala, czterdziestoośmioletniego weterana operacji „Pustynna burza”.

– Powtarzam sobie, że to tylko dwa miesiące – powiedział. – Skoro dałem radę w armii, dam i w Amazonie.

Phil i jego o dwa lata młodsza żona Robin zostali workamperami po zapaści na rynku w 2008 roku, kiedy bank odebrał im dom. Mocna konkurencja wywołana wzrostem cen towarów zrujnowała firmę skupującą złom pod nazwą We-R-Junk, którą Phil prowadził w Michigan.

– Ceny szły w górę jak szalone – wspominał. – Gdy tylko ktoś mógł coś wrzucić na bagażnik, zaraz to opylał.

Phil i Robin mieszkali w przyczepie ciągniętej przez złoto-bordowego dodge’a p350 z 1993 roku. Na boku pikapa widniała kalkomania z napisem „Łatwy pieniądz”.

– Takiego go już kupiliśmy – oznajmił Phil.

Wielu moich rozmówców należało do grupy społecznej, która w ostatnich latach gwałtownie się rozrosła: zubożałych seniorów. W latach świetności miejsc pokroju Empire – czasach silnej klasy średniej mogącej liczyć na stabilizację zawodową oraz emeryturę – ich obecna sytuacja była w zasadzie nie do wyobrażenia.

Monique Morrissey, ekonomistka z Instytutu Polityki Gospodarczej, opowiedziała mi o bezprecedensowej naturze tych przemian.

– Po raz pierwszy we współczesnej historii Stanów Zjednoczonych doszło do odwrócenia perspektywy emerytalnej – wyjaśniła. – Zaczynając od najmłodszych *baby boomers*, każde kolejne pokolenie ma mniejszą szansę przejść na emeryturę bez pogorszenia jakości życia.

To znaczy, że starsi nie odpoczną. W 2016 roku pracowało prawie dziewięć milionów Amerykanów powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia, a więc o sześćdziesiąt procent więcej niż w roku 2006[60]. Ekonomiści przewidują, że ta liczba, wraz z odsetkiem seniorów pracujących fizycznie, będzie rosła. Niedawne badania wskazują, że Amerykanie bardziej niż śmierci boją się dziś żyć na tyle długo, by skończyły im się fundusze[61]. Z innych badań wynika, że choć większość starszych obywateli wciąż postrzega emeryturę jako czas odpoczynku, to zaledwie siedemnaście procent nie przewiduje, że będzie pracować aż do podeszłego wieku[62].

Sama idea emerytury jest stosunkowo świeżym wynalazkiem. Przez większą część dziejów ludzie pracowali do śmierci albo do momentu, gdy byli zbyt słabi, żeby ruszyć palcem, po czym i tak dość szybko umierali. W 1795 roku oświecony ojciec założyciel Stanów Zjednoczonych Thomas Paine napisał broszurę zatytułowaną *Agrarian Justice*, w której proponował roczną emeryturę wynoszącą dziesięć funtów szterlingów, wypłacaną po pięćdziesiątce, który to wiek przyjął jako ówczesną średnią długość życia. Amerykanie zlekceważyli tę propozycję i musiało minąć jeszcze ponad sto lat, zanim Otto von Bimarck wprowadził pierwsze na świecie świadczenia emerytalne. Przyjęty w 1889 roku plan Bismarcka nagradzał pracowników, którzy skończyli siedemdziesiąt lat. Ten ruch był pomyślany jako kontrpropozycja wobec marksistów – i to tanim kosztem, gdyż niewielu Niemców dożywało tak sędziwego wieku. Poza tym sprawił, że Bismarck, prawicowy imperialista zwany Żelaznym Kanclerzem, znalazł się na celowniku konserwatywnych krytyków, którzy oskarżali go o zbytnią miękkość. On jednak już od lat ignorował ich zarzuty. „Możecie to nazwać socjalizmem albo czym chcecie; wszystko mi jedno” – powiedział w 1881 roku w Reichstagu podczas jednej z wczesnych debat dotyczących państwowego ubezpieczenia.

W Ameryce początku XX wieku ideę emerytury mocno propagował William Osler, uznany i niebojący się zabierać głosu lekarz, który pomagał zakładać Wydział Medyczny Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa. W 1905 roku dowodził w przemówieniu, że pracownicy osiągają szczyt możliwości w wieku czterdziestu lat, po czym stopniowo opadają z sił, aż przekraczają sześćdziesiątkę – w którym to momencie, dodał żartobliwie, równie dobrze można by ich potraktować chloroformem. To wystąpienie zasłynęło jako „mowa chloroformowa” i wywołało ogólnonarodowy skandal. Redakcja „New York Timesa” porównała poglądy Oslera do poglądów „dzikich plemion, które mają w zwyczaju walić starszych po głowie, ilekroć wejdą w drogę młodszym”[63]. Tymczasem chwilową popularność zyskał czasownik *oslerize*, który znaczył tyle co „uśmiercić ze względu na wiek” (nie było to całkiem sprawiedliwe, gdyż koncepcja przymusowej eutanazji została zaczerpnięta z utworu *The Fixed Period* Anthony’ego Trollope’a, dystopijnej opowieści będącej prawdopodobnie najmniej popularnym dziełem tego autora, które sprzedało się w zaledwie ośmiuset siedemdziesięciu siedmiu egzemplarzach)[64].

Propagator emerytur Lee Welling Squier w 1912 roku wyraził podobną opinię w zdecydowanie mniej żartobliwy sposób.

> Po przekroczeniu sześćdziesiątego roku życia niezależnym jednostkom łatwo popaść w stan zależności – traci się majątek, przyjaciele umierają lub znikają, krewnych jest coraz mniej, ambicja upada, życia pozostaje ledwie kilka krótkich lat, a śmierć jawi się ostatecznym i wyczekiwanym zakończeniem – takie wypadki nieuchronnie popychają aktywnych obywateli pełnych nadziei na przyszłość ku bezsilności i biedzie[65].

Wiele innych uprzemysłowionych państw poszło w ślady Niemiec i wprowadziło jakąś formę ubezpieczenia emerytalnego. Stany Zjednoczone, kraj zwolenników silnego indywidualizmu, zostały w tyle. Na początku XX wieku Amerykanie zbyt starzy, żeby pracować, mieli dwa wyjścia. Mogli wprowadzić się do swoich dzieci, jeśli je mieli. Jeśli nie, pozostawał im przytułek, importowana z Wielkiej Brytanii ponura instytucja, gdzie życie było tak nędzne, że mieszkańcy postawieni przed wyborem być może wybraliby „osleryzację". Gość jednego z takich przybytków, znajdującego się w Sandusky w stanie Ohio, opisał go następująco: „Budynek stary i zaniedbany, ściany w strasznym stanie, brak przepierzeń, wszędzie stada much, brak wygodnych krzeseł, w salach brud; wszystkie prace wykonują mieszkańcy; jedzenie podłe. Tak zwany szpital przygnębiający, przypomina więzienie"[66]. Równie ponury opis pojawia się w raporcie złożonym w 1920 roku radzie instytucji dobroczynnych stanu Kolorado: „Mieści się w starym kościele, pięć lat temu uznanym za nienadający się do zamieszkania. Ściany stwarzają zagrożenie, zapadają się. Słaba ochrona przed zimnem. Podłogi stare, popękane, brudne. Liche łóżka i prycze. Mieszkaniec z gruźlicą stawu biodrowego od września leży w łóżku bez kąpieli. […] W innej zaniedbanej sali ponaddziewięćdziesięcioletnia kobieta w łachmanach grzeje się, pochylona nad starym piecykiem"[67].

Przytułki były tak symboliczne i wzbudzały taki postrach, że doczekały się własnego pola w pierwszej wersji gry Monopoly. Ta umieszczona w rogu planszy instytucja była ostatnią deską ratunku dla gracza, który, jak głosiła instrukcja z 1904 roku, „nie ma pieniędzy na wydatki, nie ma skąd pożyczyć, nie może sprzedać ani obciążyć hipoteki żadnej ze swoich nieruchomości". W późniejszych wersjach projektanci gry zalali dawny przytułek asfaltem, przekształcając go w bezpłatny parking[68].

Trzeba było wielkiego kryzysu, żeby system emerytalny stał się amerykańską rzeczywistością. Ludzi było za dużo, a pracy za mało, powstała zatem potrzeba, aby wypchnąć starszych z grona kandydatów. Jednocześnie amerykańscy seniorzy nie mieli się zbyt dobrze. W 1934 roku ponad połowie brakowało środków utrzymania[69]. Poszczególne stany opracowały szczątkowe systemy świadczeń, ale udało się w ten sposób wesprzeć jedynie ułamek ubogich starszych osób. Francis Townsend, kalifornijski lekarz, a jednocześnie hodowca traw i zarządca podupadającej wytwórni suchego lodu, zaczął lobbować za rozwiązaniem, które później nazwano planem jego imienia: jeśli pracownik po sześćdziesiątce zakończy świadczenie pracy, rząd federalny nagrodzi go wypłatą w wysokości dwustu dolarów miesięcznie. Już wkrótce w całym kraju pojawiły się tysiące oddolnie organizowanych „klubów Townsenda". Częściowo w reakcji na te działania prezydent Franklin D. Roosevelt wraz ze zdominowanym przez demokratów Kongresem wprowadził w 1935 roku Social Security Act, ustawę, która w przeciwieństwie do planu Townsenda zobowiązywała przyszłych emerytów, żeby póki pracują, dorzucali się do wspólnego funduszu. Pięć lat później pierwszy czek otrzymała Ida May Fuller, sześćdziesięciopięcioletnia emerytowana asystentka w kancelarii prawnej w Vermoncie. Czek opiewał na dwadzieścia dwa dolary i pięćdziesiąt cztery centy.

Po Nowym Ładzie ekonomiści zaczęli nazywać amerykański system finansowania emerytur „stołkiem na trzech nogach". Ten stabilny trójnóg składał się z państwowego funduszu Social Security, planów pracowniczych oraz własnych inwestycji i oszczędności. W ostatnich latach dwie z trzech nóg się złamały. Oszczędności wielu Amerykanów pożarła recesja, ale nawet przed zapaścią ekonomiczną nierzadko oszczędzano coraz mniej. Jednocześnie od lat osiemdziesiątych pracodawcy zastępują finansowany przez siebie system zdefiniowanych świadczeń, który gwarantuje stałą kwotę wypłacaną dożywotnio co miesiąc, modelem 401(k), bazującym głównie na wpłatach pracownika. W tym modelu zgromadzone środki mogą się wyczerpać za życia korzystającej z nich osoby. Reklamowany jako sposób na finansowe wyzwolenie, pozwalający pracownikom samodzielnie decydować o swoich inwestycjach, plan 401(k) wpisuje się w szersze zjawisko kulturowe – odejście od społecznej współodpowiedzialności ku mniej pewnemu indywidualizmowi. Innymi słowy, plany 401(k) są dla firm o wiele tańszym rozwiązaniem niż zdefiniowane świadczenia.

„W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat byliśmy świadkami wielkiego transferu ryzyka ekonomicznego z rozbudowanych systemów ubezpieczeniowych, również tych sponsorowanych przez korporacje i rząd, na znacznie mniej wytrzymałe rachunki bankowe amerykańskich rodzin”[70] – pisze politolog z Yale Jacob S. Hacker w swojej książce *The Great Risk Shift* [Wielkie przeniesienie ryzyka]. Mówiąc wprost, każdy jest zdany na siebie.

Wszystko to sprawiło, że wypłaty z funduszu Social Security to dziś największe źródło dochodu Amerykanów po sześćdziesiątym piątym roku życia[71]. Są one jednak żałośnie niewystarczające. „Zamiast stołka na trzech nogach mamy drążek pogo”[72] – ironizował ekonomista Peter Brady z Investment Company Institute.

To znaczy, że ludziom ledwo wystarcza pieniędzy na niezbędne wydatki. Według profesor Teresy Ghilarducci, ekonomistki z nowojorskiej New School, możliwe, że prawie połowa dzisiejszych pracujących członków klasy średniej po przejściu na emeryturę będzie musiała ograniczyć dzienny budżet na jedzenie nawet do pięciu dolarów. „Nazywam to końcem ery emerytur”[73] – powiedziała Ghilarducci w wywiadzie. Wielu emerytów po prostu nie jest w stanie wyżyć, nie pracując. Jednocześnie zajęcia dostępne dla starszych ludzi są gorzej płatne i coraz bardziej męczące fizycznie. Profesor Ghilarducci martwi się, że wracamy do rzeczywistości opisywanej przez Lee Wellinga Squiera ponad sto lat temu. A każdą poważniejszą dyskusję komplikuje stygmat kulturowy. „Nigdy nie mówię o tym jak o odpoczynku” – zaznaczyła Ghilarducci, dodając, że Amerykanie tradycyjnie brzydzą się „myślą o żebraninie albo braku produktywności”.

W końcu czasem wystarcza wzmianka o emeryturze, aby wywołać stereotyp „pazernego starucha” – straszydła wymyślonego na początku XXI wieku przez krytyków Social Security, z byłym senatorem Alanem Simpsonem z Wyoming na czele[74]. „Pazerny staruch” spędził swoje najlepsze lata w dostatku, oddając się nieróbstwu i wysysając soki życiowe z młodszych pokoleń. To geriatryczny wampir, podstarzała wersja reaganowskiej „królowej na zasiłkach”. Tyle że tamta jeździła cadillakiem, tymczasem karykaturalna postać opisywana przez Simpsona woli lexusa. Głośne były także utyskiwania Simpsona na „różowe pantery”, grupę kobiet lobbujących za Social Security, która w rzeczywistości nie istnieje. Simpson postawił chochoła (czy też chochołkę), który pasował mu do wywodu. Gdy prawdziwa grupa interesów pod nazwą Older Women’s League [Liga

Starszych Kobiet] zarzuciła mu plucie rasistowsko-seksistowskim jadem, Simpson rozkręcił się jeszcze bardziej i napisał do niej wiadomość, w której stwierdził, że fundusz Social Security zmienił się w „dojną krowę z trzystoma dziesięcioma milionami strzyków”.

Sarkastyczne zakończenie owej wiadomości każe się domyślać, że senator nigdy w życiu nie postawił stopy w żadnym z nowo powstałych miasteczek robotniczych Amazona, nigdy też nie poznał żadnej starszej osoby, która musi harować całymi dniami, żeby jakoś dorobić do marnej emerytury.

Brzmi ono: „Zadzwońcie, jak weźmiecie się za uczciwą robotę!”.

4

Plan ucieczki

W obliczu problemu nie do pokonania, czyli niskiej emerytury, Linda zrobiła to, co zrobiłby każdy – poszukała rozwiązania w internecie. Trafiła na witrynę z takimi oto słowami:

> Może z poprzedniego wcielenia została ci dusza wagabundy i włóczykija, może tęsknisz za wolnością, ale sądzisz, że cię na nią nie stać.
>
> Może masz po prostu dość wyścigu szczurów i pragniesz prostszego życia.
>
> Mamy dla ciebie dobrą wiadomość: możesz spełnić to pragnienie. Pokażemy ci jak![75]

Linda odkryła stronę internetową *CheapRVLIving*, dzieło Boba Wellsa z Alaski, który wcześniej zajmował się wykładaniem towaru na półki w supermarkecie Safeway. Wyobraźcie sobie antykonsumpcjonistyczne poglądy głoszone z żarliwością apostołów ewangelii sukcesu – tak wyglądał jego przekaz. Bob krzewił ideę szczęśliwego życia przy skromnych środkach. Wszystko, co pisał, łączyła jedna zasada: najlepszy sposób na odnalezienie wolności to stanie się kimś, kogo ogół społeczeństwa uzna za osobę bezdomną.

„Kluczowe jest wyeliminowanie największego wydatku, jaki spada na większość z nas, czyli kosztów mieszkaniowych” – pisał. Namawiał swoich czytelników, żeby porzucili tradycyjne domy i mieszkania na rzecz tego, co część nomadów nazywa „nieruchomością na kółkach”: busa, samochodu lub kampera. Podkreślał, że niektórzy nomadowie potrafią przeżyć za pięćset dolarów miesięcznie albo mniej – słowa te natychmiast przemówiły do Lindy – a także rozpisał przykładowy budżet, w którym owa licha sumka wystarczała na podstawowe rzeczy, w tym jedzenie, ubezpieczenie samochodu, paliwo, rachunek za telefon i skromny fundusz rezerwowy.

Bob rozpoczął własną koczowniczą odyseję prawie dwadzieścia lat wcześniej, wówczas ze znacznie mniejszym entuzjazmem. W 1995 roku był w trakcie ciężkiego rozwodu po trzynastu latach małżeństwa z matką swoich

dwóch małych synków. Był też, jak sam to nazywał, „nałogowym dłużnikiem” z trzydziestoma tysiącami długu na kartach kredytowych. Powoli szykował się do ogłoszenia bankructwa.

Kiedy nadeszła pora wyprowadzki z ciasnej rodzinnej przyczepy mieszkalnej w Anchorage, Bob przeniósł się do Wasilli, gdzie kilka lat wcześniej kupił parę hektarów ziemi z zamiarem wybudowania domu. Na razie miał tylko zalane betonem fundamenty. Niezrażony rozbił namiot, traktując działkę jako bazę wypadową, z której dojeżdżał do pracy w oddalonym o osiemdziesiąt kilometrów Anchorage.

Po niedługim czasie zapragnął być bliżej dzieci i sklepu, w którym miał stałą posadę (jego ojciec był w przeszłości kierownikiem w Safewayu, a Bob jako szesnastolatek dostał tam pierwszą pracę przy pakowaniu zakupów). Jednak mieszkania w Anchorage były drogie, a utrzymywanie dwóch osobnych gospodarstw domowych wydawało się praktycznie niemożliwe. Z dwóch tysięcy czterystu dolarów, które Bob zarabiał miesięcznie, połowa trafiała do byłej żony.

– Dostawała tysiąc dwieście, mnie zostawało tysiąc dwieście, a za to mieszkania w Anchorage nie wynajmiesz. W większości miejsc by się dało, ale tam na pewno nie – mówił. Jednocześnie codziennie tracił czas i pieniądze na paliwo, podróżując między Anchorage a Wasillą. Powoli wpadał w desperację.

Przeprowadził więc pewien eksperyment. Aby zaoszczędzić na benzynie, zostawał w mieście od poniedziałku do piątku i spał w starym fordzie courierze, pikapie z zabudowaną paką, zaś do Wasilli wracał na weekendy. To go nieco odciążyło. W Anchorage parkował przed Safewayem; kierownictwo nie miało z tym problemu. Kiedy ktoś nie przychodził na zmianę, przydzielano ją Bobowi – w końcu był na miejscu – dzięki czemu mógł sobie dorobić. Wtedy zaczął się zastanawiać: „A może mógłbym żyć tak na stałe?”.

Bob nie wyobrażał sobie mieszkania w ciasnym pikapie, ale zaczął przemyśliwać o innych rozwiązaniach. W drodze z Wasilli do Anchorage mijał poobijaną ciężarówkę marki Chevrolet z napisem „Sprzedam”, zaparkowaną przed warsztatem elektryka. Pewnego dnia wszedł do środka i zapytał. Okazało się, że pojazd nie ma żadnych usterek mechanicznych. Po prostu jest tak paskudny i zdezelowany, że szef wstydzi się wysyłać go na zlecenia. Cena wynosiła tysiąc pięćset dolarów, czyli dokładnie tyle, ile oszczędności Boba. Zaryzykował.

Skrzynia ciężarówki miała dwa metry wysokości i rolowane do góry tylne drzwi. Podłoga mierzyła dwa i pół na trzy i pół metra. „To w zasadzie tyle, ile nieduża sypialnia” – tłumaczył sobie Bob, rozkładając karimatę i koce. Mimo to pierwszą noc przepłakał. Cokolwiek by sobie wmawiał, nagła zmiana była druzgocąca. Tym bardziej że czterdziestoletni Bob nigdy nie był przesadnie pogodnym człowiekiem ani zbytnim optymistą. Od dzieciństwa pobierał od życia trudne lekcje o nietrwałości rzeczy, a ziemia czasem dosłownie usuwała mu się spod nóg. Jego rodzice nie tworzyli szczęśliwego małżeństwa i gdy był mały, nieustannie się przeprowadzali, krążąc między arizońskimi Flagstaff i Prescott a oklahomskim Ponca City. W 1961 roku, kiedy Bob skończył sześć lat, rodzina osiadła w Anchorage. A trzy lata później skończył się świat. Przynajmniej Bob tak to odczuł. 27 marca 1964 roku o godzinie 17.36 w południowo-środkową Alaskę uderzyło drugie co do wielkości trzęsienie ziemi w ówczesnej historii. Wielkie trzęsienie alaskie, zwane też wielkopiątkowym, o magnitudzie 9,2 w skali Richtera, trwało przez straszliwe cztery i pół minuty, po których nastąpiły liczne wstrząsy wtórne[76]. Przybrzeżne miasteczka zalało tsunami, w Anchorage osuwiska burzyły całe kwartały domów. Na lotnisku Anchorage International zawaliła się osiemnastometrowa wieża kontroli lotów. Spadające z fasady czteropiętrowego domu towarowego J. C. Penney kawały betonu miażdżyły znajdujących się na dole ludzi i samochody. W szkole Boba, Denali Elementary, popękały fundamenty, a ceglany komin uszkodził dach, w związku z czym budynek przez następny rok musiał stać zamknięty[77].

Bob pamięta, jak kulili się w domu bez światła i ogrzewania. Na zewnątrz było mroźno i leżał śnieg.

– Normalnie ziemia się otwiera, a potem trzęsie jeszcze przez całą noc – opowiadał. – Słyszysz eksplodujące domy. Leżysz w łóżku, a tu nagle na ulicy jakiś dom wybucha. Bo był wyciek gazu i coś się zapaliło.

Tamtej nocy jego dom nie eksplodował. W pewnym sensie nastąpiło to siedem lat później, kiedy rodzice szesnastoletniego wówczas Boba wreszcie się rozstali. Jego siostra postanowiła zostać z matką. Bob wybrał ojca, bo było mu go żal. Po niedługim czasie okazało się, że musi dzielić dom z macochą, której nie znosił. Dorastając, walczył z uczuciem pustki. Później przez lata zapełniał ją tym, co akurat mu się trafiło: długami, jedzeniem, seksem, religią.

Bob nigdy nie był specjalnie dumny ze swojego życia. Ale kiedy w wieku czterdziestu lat przeprowadził się do ciężarówki, stracił resztkę poczucia

własnej wartości. Czuł, że sięgnął dna. Patrzył na siebie bardzo krytycznie: pracujący ojciec dzieciom, który nie potrafił utrzymać małżeństwa, teraz mieszkający w samochodzie. Powtarzał sobie, że jest bezdomny, że przegrał życie.

– Praktycznie codziennie zasypiałem z płaczem – wspominał później.

Ciężarówka, którą często nazywał vanem, stała się jego domem na kolejnych sześć lat[78]. Okazało się jednak, że to wcale nie takie straszne. Sytuacja zaczęła się zmieniać, gdy tylko się trochę zadomowił. Zbudował piętrowe łóżko ze sklejki i desek. Spał na dole, na górze trzymał rzeczy. Przytaszczył skądś wygodny rozkładany fotel. Do ścian przykręcił plastikowe półki. Przenośna lodówka i dwupalnikowa kuchenka turystyczna firmy Coleman tworzyły prowizoryczną kuchnię. Wodę brał z łazienek przydrożnych supermarketów, gdzie napełniał trzyipółlitrowy baniak. Kiedy miał wolne, zapraszał do siebie synów. Jeden spał na piętrowym łóżku, drugi na fotelu.

Po pewnym czasie Bob, wspominając dawne życie, odkrył, że już niespecjalnie za nim tęskni. Wręcz przeciwnie: na myśl o tym, czego nie ma – a konkretnie o opłatach za czynsz i media – nie posiadał się z radości. Zaoszczędzone pieniądze wydawał na kolejne ulepszenia w vanie. Ocieplił ściany i dach. Kupił piecyk katalityczny zasilany gazem ze stupięćdziesięciolitrowej butli, żeby się dogrzewać w trzydziestostopniowych mrozach, zaś by chłodzić się w lecie, zamontował wentylator. Dokupiwszy generator, akumulator i falownik, mógł bez problemu palić światło. Wkrótce miał nawet mikrofalówkę i dwudziestosiedmiocalowy telewizor kineskopowy.

Tak bardzo przywiązał się do nowego stylu życia, że kiedy w ciężarówce padł silnik, nie zastanawiał się długo. Sprzedał działkę w Wasilli, razem ze szkieletem domu, który dotąd budował za środki z kart kredytowych. Część zysku przeznaczył na naprawę silnika.

„Naprawdę nie wiem, czybym się na coś takiego odważył, gdyby mnie życie nie zmusiło” – przyznaje Bob na swojej stronie internetowej. Ale po latach cieszy się, że stało się, jak się stało.

– Po przeprowadzce do vana uświadomiłem sobie, że wszystko, co mi wmawia społeczeństwo, jest kłamstwem. Mówili, że mam się ożenić, zamieszkać w domku z białym płotem, chodzić do pracy, żeby później móc się cieszyć samą końcówką życia, choć męczyłem się przez całą resztę –

powiedział mi w wywiadzie. – W vanie po raz pierwszy poczułem, że jestem szczęśliwy.

W 2005 roku Bob założył stronę *CheapRVLiving*. Na początku stanowiła skromny zbiór porad dla ludzi z małym budżetem pragnących żyć w pojeździe. Rozwiązaniem było parkowanie na dziko: na uboczu i bez dostępu do bieżącej wody, kanalizacji i prądu, który ma się na płatnym postoju. (Parkowanie na dziko – jak wskazują puryści językowi – oznacza przebywanie na odludnym terenie. W mieście mamy do czynienia raczej z parkowaniem po kryjomu, *incognito*. Tak czy inaczej, porady Boba dotyczyły obu przypadków).

Po finansowej zapaści w 2008 roku ruch na *CheapRVLiving* wzmógł się gwałtownie. „Niemal każdego dnia dostawałem wiadomości od ludzi, którzy stracili pracę, prawie już nie mieli oszczędności i wkrótce mogli stracić dom”[79] – napisał później Bob. Jego nowi czytelnicy, wykluczeni z klasy średniej, próbowali nauczyć się przetrwania. Po wpisaniu do wyszukiwarki fraz typu „niskobudżetowe życie” czy „mieszkanie w samochodzie lub busie” trafiali na stronę Boba. W kulturze, w której winą za niepowodzenia finansowe obarcza się przede wszystkim ich ofiary, Bob zamiast pogardy dawał ludziom pocieszenie. „Swego czasu obowiązywała taka umowa społeczna, że jeśli ktoś trzyma się reguł, uczy się, potem szuka posady i ciężko pracuje, to wszystko będzie w porządku – pisał do swoich czytelników. – Czasy się zmieniły. Możesz wszystko robić jak trzeba, żyć, jak ci każe społeczeństwo, a potem i tak kończysz spłukany, samotny i bezdomny”. Uważał, że przeprowadzając się do busów i innych pojazdów, ludzie wymawiają posłuszeństwo systemowi, który ich zawiódł. Mogą zacząć nowe życie, pełne wolności i przygód.

To wszystko miało swój precedens. W połowie lat trzydziestych XX wieku, gdy Ameryka tkwiła w kleszczach wielkiego kryzysu, po raz pierwszy ruszyła masowa produkcja przyczep mieszkalnych[80]. Hobbyści i drobni rzemieślnicy konstruowali je od lat, ale nagle popularność przyczep gwałtownie poszła w górę. „Na początku […] przyczepa była nowością w turystyce […], potem ludzie odkryli, że da się w niej mieszkać na stałe”[81] – pisał dwa lata później magazyn „Fortune”.

W owych czasach miliony Amerykanów, którzy stracili wszystko, czuły to samo, co Bob wiele lat później. Ludzie wywiązywali się z umowy społecznej, a jednak system ich zawiódł. Część doznała olśnienia: ucieczką

z dławiącego uścisku kosztów mieszkaniowych może być przeprowadzka do przyczepy. Życie nomady. Wolność. Cholera, to lepsze niż Hooverville![5] „Jedziesz, dokąd chcesz, stajesz, gdzie chcesz, wymykasz się podatkom i czynszom – kto by się oparł takiej pokusie. Dotąd jedynie śmierć oferowała tyle w jednym pakiecie”[82] – pisano w „Automotive Industries” w 1936 roku.

„Nagle stajemy się krajem na kółkach – donosił pewien uznany socjolog w »New York Timesie« w 1936 roku. – Setki tysięcy rodzin spakowały dobytek do ruchomych domów, pożegnały się z przyjaciółmi i ruszyły w drogę […]. [Wkrótce] ruszą kolejne i istotny odsetek naszego społeczeństwa przeobrazi się w koczowników”. Roger Ward Babson, finansowy autorytet, który przewidział krach na rynku w 1929 roku, wywołał zamęt deklaracją, że w latach pięćdziesiątych połowa Amerykanów będzie mieszkać w przyczepach[83]. Według „Harper’s Magazine” domy na kółkach reprezentowały „nowy styl życia, który z czasem odmieni amerykańską architekturę i moralność, amerykańskie prawo, sposób działania przemysłu i system podatkowy”[84].

Przez kolejne ćwierć wieku Amerykanie kupili bądź zbudowali samodzielnie w garażach i na podwórkach od półtora do dwóch milionów przyczep mieszkalnych[85]. Moda ta ustała około roku 1960 wraz ze wzrostem popularności tak zwanych domów holenderskich – niedrogich, wykonanych z prefabrykatów, przestronniejszych niż ich wędrowne kuzynki, choć dających mniej wolności, ponieważ zaholowane na osiedle przyczep, przeważnie już tam zostawały.

Krytycy życia społecznego byli w kwestii przyczepowców podzieleni i opisywali ich albo jako kochających wolność nowatorów, albo jako heroldów rozpadu więzi. Pisarz David A. Thornburg, którego rodzice przez piętnaście lat mieszkali w przyczepie, w ich dążeniu do samostanowienia widział cichą rewolucję. W swojej poetyckiej historii zatytułowanej *Galloping Bungalows* [Galopujące bungalowy] pisał:

> W samym środku wielkiego kryzysu narodziło się nowe marzenie: marzenie o ucieczce. Ucieczce od śniegu i lodu, od wysokich podatków i czynszów, od systemu gospodarczego, w który nikt już nie wierzył. Ucieczka! Na zimę, na weekend, na resztę życia. Wystarczyła odrobina odwagi i przyczepa mieszkalna za sześćset dolarów.

Dalej wyjaśniał:

> Wielki kryzys zrobił z Amerykanów w różnym wieku i z różnych klas bezbronne dzieci […]. Byli jednak i tacy, którzy w całym tym chaosie dostrzegli szansę – szansę, by odbudować swój świat i wartości na bardziej własnych i być może mniej chwiejnych zasadach. Wśród tych budowniczych znaleźli się też pionierzy życia w przyczepach, ponad milion idealistów i obrazoburców, świadomych i rozmyślnych outsiderów. Ludzi, którzy postanowili nie czekać, aż ocali ich rząd lub wielki biznes, którzy postanowili wziąć los we własne ręce. Wyśliznęli się z mieszczańskiej pętli i stworzyli całkiem nową subkulturę – życie odrobinę swobodniejsze, odrobinę bardziej niezależne i mniej naznaczone lękiem. Odrobinę bliższe temu, o czym marzyli[86].

Nawet gdy sytuacja na giełdzie się poprawiła, Bob wciąż dostawał wiadomości od uchodźców ekonomicznych, którym wzrost gospodarczy bez nowych miejsc pracy na niewiele się zdał. Wyglądało na to, że w przeciwieństwie do migrantów z lat trzydziestych – którzy z czasem w większości powrócili do tradycyjnych czterech ścian – nomadowie nowej ery szykowali się na trwalsze zmiany.

„Pieniądze to dla nas wszystkich ważna sprawa, zwłaszcza w dzisiejszej złej sytuacji gospodarczej. – Tak zaczyna się wpis Boba o planowaniu wydatków z 2012 roku. – Niemal co tydzień dostaję wiadomość od kogoś, kto stracił pracę, a teraz eksmitują go z domu. Ci ludzie pytają mnie, między innymi, czy będzie ich stać na życie w busie. Odpowiadam na pozostałe pytania, po czym zadaję im własne: A czy stać cię na cokolwiek innego? Nie mam wątpliwości, że mieszkanie w samochodzie, busie czy kamperze to najtańszy sposób na życie”[87].

Na stronie można było już wtedy znaleźć teksty o mieszkaniu w pojazdach wszelkich rozmiarów, od subkompaktowych forda festivy i toyoty prius przez busy ze wszystkich możliwych roczników po przeniesiony do demobilu autobus Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Pojawiały się także rozmowy z ich mieszkańcami, na przykład z Charlene Swankie (znaną jako Swankie Wheels), która przeprowadziła się do busa w wieku sześćdziesięciu czterech lat, kiedy nie było jej stać na wynajem żadnego w miarę porządnego mieszkania, a do tego cierpiała na ból kolan i astmę. Nowy styl życia jej podpasował: zrzuciła trzydzieści kilo i postanowiła przepłynąć wszystkie pięćdziesiąt stanów żółtym kajakiem, który woziła na dachu busa (Swankie ukończyła wyzwanie w wieku lat siedemdziesięciu, po czym wyznaczyła sobie nowy cel: przejście tysiąctrzystukilometrowego górskiego szlaku Arizona Trail[88]). W innym

artykule nomada o ksywce Trooper Dan opisywał, jak stracił pracę w Ohio i zamieszkał w białej hondzie z czerwoną zabudową paki, którą pojechał na południe Florydy i którą nazywał swoim „pojazdem ewakuacyjnym”. Jako zapalony survivalowiec od dawna był gotowy na MKGWDW – „moment kiedy gówno wpadnie do wentylatora”. „Jestem zwykłym facetem, który padł ofiarą sytuacji gospodarczej. Generalnie czuję się jak biwakowicz i nie uważam za bezdomnego – pisał. – Sądzę, że to wszystko to dopiero zapowiedź tego, co nadejdzie, i że coraz częściej będziemy widywać ludzi mieszkających w namiotach czy samochodach (pamiętacie miasteczka Hoovera?). Bezdomność na kółkach jest dziś tak powszechna, że policja przestała już zatrzymywać tych, którzy tak żyją”[89].



Swankie Wheels i jej mapa upamiętniająca przepłynięcie kajakiem przez pięćdziesiąt stanów

Na *CheapRVLiving* można było znaleźć artykuły na wiele tematów, od wyboru i wyposażenia pojazdu po szukanie pracy sezonowej i zdrowe odżywianie się w drodze. Publikowano instrukcje, jak zainstalować na dachu panele słoneczne, które przez ostatnie dziesięć lat znacznie potaniały, dzięki

czemu technologia dostępna niegdyś tylko dla stosunkowo zamożnych dziś jest w zasięgu ręki kamperowca ze skromnym budżetem.

Aby zachować ostrożność – nie narażać się na zaczepki przechodniów lub, co gorsza, awantury z policją i mandaty – czytelnikom doradzano, aby ukrywali panele między drążkami bagażnika dachowego.

Choć większość tekstów miała charakter czysto praktyczny, Bobowi zdarzało się filozofować. Publikował motywujące cytaty z najróżniejszych źródeł, od filmu *Braveheart. Waleczne serce* i Dale'a Carnegiego po Kahlila Gibrana, Helen Keller, Henry'ego Davida Thoreau czy J. R. R. Tolkiena. Łącząc te pożyczone myśli z własnymi rozważaniami egzystencjalnymi, Bob doszedł do wniosku, że minimalistyczny, wędrowny styl życia może wykraczać daleko poza spełnianie podstawowych potrzeb i prowadzić do wyższych celów: wolności, samorealizacji i przygody.

Przeciętnym Amerykanom taka nietrwała egzystencja może się kojarzyć z powieścią *Grona gniewu*. Warto jednak zauważyć pewną istotną różnicę. W epoce Dust Bowl, czyli suszy i burz pyłowych w latach trzydziestych, dla uciekinierów z Wielkich Równin, których nazywano wówczas pogardliwie Oklakami, zachowanie godności zależało od tego, czy zdołają utrzymać nadzieję na powrót *status quo*: możliwość ponownego zamieszkania w zwykłym domu i odzyskanie przynajmniej odrobiny stabilności.

Podobnie jak liczni wędrowcy, którzy wzięli z niego przykład, Bob patrzył na sprawę inaczej. Wyobrażał sobie, że wkrótce zawirowania gospodarcze i ekologiczne staną się nową amerykańską normalnością. Dlatego też nie traktował koczowniczego życia jak czegoś doraźnego, sposobu na przeczekanie, aż sytuacja w społeczeństwie się ustabilizuje i będzie można wrócić do mainstreamu. Pragnął stworzyć wędrowne plemię, którego członkowie będą działać poza kruszejącym porządkiem społecznym, a może nawet stworzą własny równoległy świat na kółkach.

Pod koniec 2013 roku forum dyskusyjne na stronie Boba liczyło już ponad cztery i pół tysiąca zarejestrowanych członków. Niecałe trzy lata później ich liczba wzrosła do sześciu i pół tysiąca. Nomadowie wymieniali się wskazówkami na wszelkie możliwe tematy, od zmagań z tradycyjną pocztą po radzenie sobie z samotnością i napastowaniem przez policję. W takim wspierającym środowisku nawet banalne pytanie, typu: „Jak wziąć prysznic?", generowało falę przemyślnych rozwiązań. Niektórzy proponowali na przykład, by dołączyć do którejś z tanich sieci siłowni – popularna była Planet Fitness – i potraktować karnet jako ogólnokrajowy bilet wstępu do

łazienki. Inni wierzyli w skuteczność obmywania się gąbką i nie żałowali sobie nawilżanych chusteczek. Jeszcze inni woleli prysznice turystyczne, przypominające wielkie worki z kroplówką, pomalowane z jednej strony na czarno, żeby wchłaniały ciepło. Część używała zraszaczy ogrodowych. Inni wiedzieli, gdzie znaleźć pralnie, w których na zapleczu są prysznice na żetony. Niektórzy odwiedzali postoje dla ciężarówek, gdzie za tankowanie dostawało się bony prysznicowe. Kierowcy tirów często mieli je w nadmiarze i przekazywali sąsiadom z kolejki do kasy[6].

Dyskutowano coraz intensywniej, i to nie tylko na *CheapRVLiving*. Serwis Boba był zaledwie jedną z odnóg gwałtownie rosnącej sieci wirtualnych miejsc spotkań, gdzie rozpierzchnięci po kraju niskobudżetowi nomadowie mogli się od siebie uczyć i wzajemnie wspierać. Ta internetowa wspólnota zaczęła powstawać w listopadzie 2000 roku, gdy tajemnicza postać podpisująca się jako lance5g stworzyła na portalu Yahoo forum pod nazwą *Live in Your Van*, z takim oto prostym wstępem:

> Witajcie. Chciałbym nauczyć zainteresowanych techniki życia w busie, które ma na celu oszczędność, no bo co innego?
>
> Oczywiście temat kieruję przede wszystkim do nieżonatych mężczyzn, ale kobiety też mogą się uczyć…
>
> Kategorie: kąpiele, spanie, parkowanie, załatwianie potrzeb fizjologicznych, bezpieczeństwo, parkowanie *incognito*, organizacja wnętrza, zimowe noce[90].

Po tym wstępie lance5g nie napisał już nic więcej. Niczym tani odpowiednik oświeceniowego Boga Zegarmistrza stworzył świat, nakręcił go i odszedł. Jego dzieło rosło jednak bez jego udziału, zapełniając się ludźmi, którzy wkrótce stworzyli grupę przyjaciół podpisujących się nickami typu vangypsy, vwtankgirl itp. W pewnym momencie powstał problem: Yahoo zdecydował o przeniesieniu wszystkich forów na nową platformę. Grupy, których założyciele zniknęli, mogły tej zmiany nie przetrwać.

Jednym z najaktywniejszych członków forum *Live in Your Van* był wędrowiec i urodzony gawędziarz Ghost Dancer. 1 stycznia 2002 roku siedział w brązowym fordzie pikapie f150, zaparkowanym przed McDonaldem przy drodze międzystanowej numer 41 w Vincennes w stanie Indiana. Słyszał, że przeniesienie na nową platformę ma nastąpić do końca tego dnia. Martwił się: czy nowi znajomi, już i tak rozrzuceni po całym kraju, stracą swoją wirtualną świetlicę? Niepewność zżerała go niczym strach przed pluskwą milenijną. A jednak nie zrobił nic, żeby się przygotować.

Rozwiązanie, gdy już wpadło mu do głowy, wydało się oczywiste. Czemu nie stworzyć nowego miejsca spotkań, zanim zniknie stare? Ghost Dancer nie mógł jednak po prostu wejść sobie z laptopem do McDonalda. Po pierwsze nie miał laptopa, po drugie hotspoty nie były jeszcze tak wszechobecne jak kilka lat później. Skonstruował więc prowizoryczne łącze, używając aparatu telefonicznego i tych kilku urządzeń, które miał w samochodzie. Cały układ opierał się na konwerterze akustycznym marki Konexx, podłączanym do słuchawki telefonu, dzięki któremu można było odbierać i wysyłać sygnał analogowy, trzymając mikrofon przy słuchawce i głośnik przy mikrofonie. Z drugiej strony konwerter był podpięty do WebTV, skrzynki z wbudowanym modemem i prostą przeglądarką; takie gadżety zaczęły się pojawiać w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy komputery były droższe i bardziej skomplikowane w obsłudze niż dzisiaj. Aby zaoszczędzić miejsce, powiesił urządzenie na radiu CB. Następnie podłączył skrzynkę do trzynastocalowego telewizora marki Philips ustawionego na podłodze przed fotelem pasażera[91]. Po kilku godzinach majstrowania wrzucił do automatu telefonicznego trzydzieści pięć centów, zalogował się na Yahoo i założył forum pod nazwą *VanDwellers. Live in Your Van 2*[92]. Był dumny ze swojego iście mcgyverowskiego wyczynu, który stał się legendą przekazywaną z ust do ust i sprawił, że pewien popularny bloger nazwał Ghost Dancera „ojcem ruchu kamperowców"[93]. Dopiero później Ghost Dancer dowiedział się, że schrzanił sprawę. Ponieważ znajdował się w innej strefie czasowej, spóźnił się o kilka godzin. Na szczęście nie miało to znaczenia. Członkowie starego forum przewędrowali za nim na nowe. I chociaż Yahoo nie zamknął pierwszego *Live in Your Van*, to stało się ono wirtualnym miastem widmem, po którym grasowały erotyczne spamboty usiłujące wciskać „randki bez zobowiązań" i „frywolne cybersingielki" nieistniejącej publice. Tymczasem forum *Live in Your Van 2* przyciągnęło tysiące nowych członków, w tym Boba Wellsa, i stopniowo nabierało rozpędu. W ciągu czterech lat, które nastąpiły po krachu w 2008 roku, rozrosło się ponaddwukrotnie, do ośmiu tysięcy pięciuset sześćdziesięciu osób. Opis grupy brzmiał następująco:



Ghost Dancer w swoim busie

> *VanDwellers* to miejsce spotkań rozproszonego plemienia. To krąg starszych, gniazdo rodzinne dla tych, którzy zawitali do nas czy to z wyboru, czy zmuszeni okolicznościami. Miejsce, gdzie odbywają się rytuały przejścia dla nowicjuszy i gdzie łowcy oraz zbieracze informacji dzielą się łupem z resztą plemienia.

Wywołane w jej gronie dyskusje rozprzestrzeniały się po różnych platformach. W 2009 roku członek plemienia Yahoo założył na Facebooku grupę pod nazwą *VanDwellers. Live in Your Van* z podobną myślą przewodnią umieszczoną w zakładce „Informacje”.

> Chcemy dbać o innych, dzielić się, uczyć, zawierać przyjaźnie i opiekować się sobą nawzajem.

W tym samym tekście poruszono trudniejszą kwestię – tworzenia sieci wzajemnego wsparcia, której członkowie często miewają problemy finansowe:

> Większość z nas jest biedna. Kiedy coś się stanie, często zostajemy bez pieniędzy, uzależnieni od życzliwości krewnych, znajomych, a czasem nawet obcych ludzi. Choć nie chcemy, żeby w tej grupie rozpowszechniło się cyberżebractwo, to od czasu do czasu ktoś spłukany i zdesperowany może poprosić resztę o pomoc. Zachęcamy, żebyście sami rozsądzili, co jesteście w stanie i chcecie zrobić[94].

Na Reddicie wątek o nomadach został zapoczątkowany w 2010 roku i przyciągnął dwadzieścia sześć tysięcy czytelników[95]. Na YouTube dziesiątki osób prześcigały się w pokazywaniu sztuczek pozwalających przekształcić najzwyklejsze auto osobowe w świetnie wyposażoną chatę na kółkach. Niektóre portale zbierały wskazówki i informacje od wędrowców z całego kraju, żeby stworzyć z nich interaktywną mapę miejsc przyjaznych nomadom. Jedna z takich stron, FreeCampsites.net, zawiera listę pięknych zakątków, w których można parkować za darmo, od niedużych parków miejskich do rozległych lasów. Na innej, AllStays.com, można było znaleźć miejsca, gdzie pozwalano parkować nocą, od postojów dla ciężarówek po miejsca przed kasynami, outletami sportowymi i restauracjami. Do tego można było na niej kupić aplikację ułatwiającą parkowanie przed Walmartem.

Walmart od dawna cieszył się sympatią nomadów, bo pozwalał im zatrzymywać się na noc na swoich parkingach. Niektórzy uważają, że założyciel sieci, Sam Walton, zapalony myśliwy, zapoczątkował tę tradycję w ramach solidarności z innymi miłośnikami spędzania czasu na łonie natury. Niektórzy są zdania, że to po prostu zmyślny sposób na przyciągnięcie kolejnych klientów. Tak czy inaczej, nomadowie cieszą się z zaproszenia, choć frustruje to właścicieli płatnych kempingów i postojów dla przyczep, którzy nie lubią tracić klientów. Zasady Walmartu nie działają jednak wszędzie. W niektórych miastach nocne parkowanie przed sklepami jest zabronione. W innych zakaz wprowadzono, gdy okazało się, że ludzie nadużywają gościnności, rozkładając na parkingach grille i meble ogrodowe, tworząc na wpół permanentne koczowiska. W marcu 2015 roku awantura między policjantami a ośmioosobową rodziną chrześcijańskich muzyków z Idaho – mieszkających w chevrolecie suburban na parkingu przed Walmart Supercenter w Cottonwood w Arizonie – zakończyła się próbą wyszarpnięcia broni funkcjonariuszowi i śmiercią jednego z nomadów. Po tym zdarzeniu ochrona sklepu zaczęła wyrzucać nocujących[96] („To bardzo smutne, że przez paru idiotów wszyscy musimy cierpieć”[97] – napisał redaktor portalu RV Daily

Report). Część Walmartów stoi w rozkroku, usiłując poradzić sobie z rosnącą liczbą nocnych gości, często mieszkających w samochodach, których sprowadza tam niepewna sytuacja gospodarcza. Foodtrucki należące do organizacji pomocowej Mobile Loaves and Fishes regularnie odwiedzają walmartowe parkingi w okolicach Austin w Teksasie. „Klienci pewnie się trochę wściekają na widok ludzi śpiących w samochodach na parkingu, ale całe szczęście, że kierownictwo nadal na to pozwala”[98] – powiedział założyciel organizacji dziennikarzowi lokalnego radia.

Walmartów są w całym kraju tysiące, więc skąd umęczony wędrowiec ma wiedzieć, gdzie jest mile widziany? W aplikacji Walmart Overnight Parking Locator, dostępnej na portalu AllStays[99], każdy sklep w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie oznaczony jest małą literą w. Część ma kolor czerwony. Jeśli ktoś tam zaparkuje, mogą się do niego przyczepić albo, co gorsza, odholować mu auto. Większość jest żółta; kiedy się na nie kliknie, można zobaczyć opinie użytkowników, takie na przykład, jak te o Walmarcie w Pahrump w Nevadzie.

> #5101 Supercenter
>
> Lipiec 2015: Pobyt w porządku. Oprócz mnie jeszcze dwa inne kampery.
>
> Maj 2015: Jeden inny kamper. Pozwolenia udzielił kierownik działu obsługi klienta. Parkowaliśmy obok podjazdu dla zaopatrzeniowców, przy pierwszej betonowej wysepce pod drzewami. Dostawy często podjeżdżają wcześnie rano, pamiętajcie, żeby zostawić im miejsce.
>
> Wrzesień 2010: Kierownik w porządku. Najlepiej stanąć na południowym krańcu parkingu, żeby nie blokować ciężarówek z zaopatrzeniem.

To wszystko przywodzi skojarzenia z dawnym kodem trampów, szyfrem włóczykijów używanym na przełomie XIX i XX wieku do dzielenia się informacjami, jak w dzisiejszym crowdsourcingu. Rysowane na murach i drzwiach kredą lub węglem, czasem wycinane na drzewach znaki ostrzegały przed niebezpieczeństwem – nadgorliwą policją, złymi psami, zanieczyszczoną wodą – lub wskazywały, gdzie jest bezpieczne miejsce na obozowisko, miła gospodyni albo możliwość zdobycia pracy.

Wzrost popularności blogów w połowie pierwszej dekady XXI wieku zachęcał samotnych podróżników do dzielenia się swoimi przygodami z szerszą publicznością, przez co część z nich zyskała sławę w środowisku.

Wśród takich najwcześniejszych i najpłodniejszych mikrocelebrytów był George Lehrer, znany także jako Tioga George, człowiek, który pokonał raka, a w 2003 roku, po sześćdziesiątce, kiedy nie stać go już było na jednoczesne opłaty za mieszkanie i jedzenie, przeprowadził się do ośmiometrowego kampera fleetwood tioga arrow, z panelami słonecznymi i internetem satelitarnym. Na blogu *The Adventures of Tioga and George*[100] on i jego wierna maszyna, „najwspanialsza para wagabundów w historii", podróżowali przed siebie pod porywającym hasłem: „Nigdy nie płać czynszu!". George publikował żartobliwe opisy swoich podróży z Miss Tiogą (kamperem), w których towarzyszyli im aparat fotograficzny Mr. Sony Mavica, komputer Mr. Chips, zestaw solarny Mr. Sunny, lodówka Mr. Dometic, system GPS Mr. DeLorme i inni. Często kilka razy dziennie opisywał swoje przygody: spotkania z nomadami, walkę z plagą mrówek czy awanturę ze sprzedajnym gliną w swoim ulubionym Nowym Meksyku. Przedstawiał szczegółowe rozliczenia wydatków i dochodów, w tym zarobków z reklam Google (w sierpniu 2010 roku doszedł do tysiąca trzystu dolarów). Wzruszająco pisał o samobójstwie syna Davida, wspominając swoje noclegi na podłodze w jadalni jego małego domku po tym, jak na początku lat dziewięćdziesiątych recesja zniszczyła firmę, w której George sprzedawał oprogramowanie AutoCAD. Przez niecałe dziesięć lat jego blog zaliczył siedem milionów odwiedzin.

Tioga George zainspirował całe pokolenie blogujących miłośników dzikich miejscówek. Była wśród nich Tara Burns, dwudziestoparoletnia pracownica seksualna mieszkająca w chevrolecie astro z 1998 roku. Na blogu *Hobo Stripper*[101] opisywała, jak „mieszkać w busie i jeździć po kraju, rozbierając się za kasę". Kiedy nie podróżowała od klubu do klubu z psem rasy border collie imieniem Bro, siadała przy klawiaturze i doradzała, jak zarobić na tańcu erotycznym albo wymienić pompę wody chłodzącej silnik. Innym ulubieńcem czytelników był *RV Sue & Her Canine Crew*[102], czyli blog Susan Rogers, sześćdziesięcioparoletniej emerytowanej nauczycielki matematyki z Georgii, która zainspirowana przykładem Tiogi George'a, także postanowiła wyruszyć w drogę. Dzięki codziennym raportom z chevroleta express rocznik 2005, za którym ciągnęła pięciometrową przyczepę marki Casita, Sue zgromadziła wokół siebie grupę zapalonych wielbicieli, a w 2012 roku trafiła do ogólnokrajowych mediów po tym, jak dzięki jej blogowi mieszkający w pomalowanym w barwy ochronne kamperze weteran wojenny Rusty Reed odnalazł w Arizonie swojego

zaginionego owczarka Timbera. Hołdując zasadom „skromnego budżetu i bogactwa doświadczeń” oraz „minimum wydatków, maksimum radości z życia”, Sue dla wielu czytelników stała się wzorem do naśladowania. „Myślę o Sue jak o swojej kamperowej dobrej wróżce” – napisał mieszkający w przerobionym pikapie bloger o nicku ZenOnWheels. – Jej humor i pokora sprawiły, że czytając wciąż nowe historie z jej codziennego życia, powoli, miesiącami dojrzewałem do decyzji, że tak, ja też tak mogę” – dodał, a potem podziękował Sue za jej „otwartość, życzliwość i gawędziarski dryg”.

Podobnie jak Tioga George, Sue dzieliła się rozliczeniami, w których od 2013 roku zaczęły się pojawiać dochody z reklam na stronie. W pierwszym roku nierzadko zdarzało się jej zarobić ponad tysiąc dolarów miesięcznie. Denerwowało to czasem mniej popularnych blogerów, którzy bez sukcesów próbowali spieniężyć swoje wpisy. (Choć większość czytelników nie żałuje wędrownym blogerom wynagrodzenia za ich pracę, to jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że reklamy na stronach propagujących minimalizm i antykonsumpcjonizm trącą fałszem. Choćby na *CheapRVLiving* – post zatytułowany *Jak się pozbyć rzeczy* i opatrzony cytatem z Bertranda Russella: „To skupienie się na potrzebie posiadania bardziej niż cokolwiek innego przeszkadza nam w swobodnym i szlachetnym życiu”, wygląda dziwnie obok kolumny linków do Amazona reklamujących dwunastowoltowe kuchenki turystyczne bądź pokrywy przenośnych toalet).

Co było do przewidzenia, wirtualne dyskusje prowadzone przez bratnie wędrowne dusze z czasem przeniosły się do realu. Wokół ognisk w lasach i na pustyniach w różnych częściach kraju zaczęły powstawać improwizowane klany, które powieściopisarz Armistead Maupin nazywał *logical family* („rodziną logiczną” – zamiast „biologiczną”). Inni mówili o nich *vanily* zamiast *family*. Dla części wędrowców wspólne wakacje stały się bardziej atrakcyjne niż spotkania z prawdziwymi krewnymi. Typowy obrazek: świąteczny obiad na jałowej, księżycowej połaci pustyni niedaleko autostrady międzystanowej numer 10 w Kalifornii, a wokół kilkanaście pojazdów zamieszkanych przez osoby w najróżniejszym wieku, od dwudziesto- do osiemdziesięciolatków. Wspólnie zajadają siedmiokilogramowego indyka, wyfiletowanego, przekrojonego na pół i upieczonego na dwóch przenośnych grillach, podanego z purée ziemniaczanym, sosem pieczeniowym i żurawiną oraz z dwoma rodzajami placka. Obiad trwa tak długo, że nawet psy zlizujące resztki z talerzy zdążą się nasycić.

Najwięcej działo się na zachodzie kraju, ale zloty organizowano także na wschodzie, od Ohio po Alabamę, Georgię i Tennessee. Ludzie podróżowali w karawanach jak za czasów Dzikiego Zachodu, rozbijając po drodze obozy, i nazywali to rajdami. W 2011 roku Bob po raz pierwszy zorganizował spotkanie, które miało stać się później jedną z najbardziej wyczekiwanych imprez w roku. Rubber Tramp Rendezvous [Zlot Zmotoryzowanych Trampów], w skrócie RTR[7], powstał częściowo z inspiracji dziewiętnastowiecznymi mieszkańcami gór, twardymi facetami, którzy zajmowali się zastawianiem w dziczy pułapek na zwierzynę, ale raz do roku spotykali się na targach futer. Organizowany w styczniu na pustyni opodal miasteczka Quartzsite w Arizonie i trwający dwa tygodnie zlot był dla nomadów okazją, by dzielić się umiejętnościami, opowiadać historie, nawiązywać nowe przyjaźnie i wtajemniczać nowicjuszy. Zainteresowani życiem w drodze przyjeżdżali z namiotami lub w pożyczonych kamperach, żeby wchłonąć, ile się da, zanim sami wyruszą przed siebie. Impreza była darmowa, a wieści o niej rozchodziły się głównie pocztą pantoflową.

Dla nomadów zbiórka w jednym miejscu wcale nie jest taka prosta. Przez większość roku są rozrzuceni po całym kraju. Często nie stać ich na to, żeby za jednym zamachem pokonać dużą odległość. Do tego wielu z nich to zdeklarowani samotnicy. Zwłaszcza RV Sue zapracowała sobie na reputację odludka apelami do czytelników, by nie odwiedzali jej bez zapowiedzi. „Blogowanie mi odpowiada, bo mogę mieć kontakt z ciekawymi ludźmi, ale nie muszę się z nimi spotykać” – wyjaśniała. Niektórzy fani pisali, że zdarzyło im się napotkać w drodze znajomą przyczepę. Uświadomiwszy sobie, do kogo należy, natychmiast zawijali się w przeciwnym kierunku.

Część uczestników RTR celowo parkuje na skraju kempingu, inni są w stanie znieść towarzystwo wyłącznie w małych dawkach i wyjeżdżają przed czasem, zamiast pozostać przez pełne dwa tygodnie. Gdy Swankie zjawiła się na jednym ze spotkań w koszulce z napisem: „Introwertycy, łączcie się: przyjechaliśmy, jest nam źle, chcemy wracać”, przez cały dzień zbierała uśmiechy i porozumiewawcze skinienia głową.



Bob Wells z mapą parków narodowych podczas wykładu o parkowaniu na dziko wygłaszanego na Rubber Tramp Rendezvous

Bob Wells z czasem stał się mimowolnym koordynatorem tej rosnącej grupy pustelników. Co roku po zakończeniu zlotu część ruszała za nim do kolejnego postoju. (Na wielu darmowych publicznych kempingach, również na tym, na którym odbywa się RTR, wolno parkować tylko przez czternaście dni. Później należy się przemieścić co najmniej czterdzieści kilometrów dalej). Bob traktował ich życzliwie, a oni z szacunku parkowali w pewnej odległości, żeby nie odbierać mu przestrzeni. Gdy jeden z czytelników żartobliwie nazwał ich jego apostołami, Bob również w żartach odparł: „Choć z całych sił doskonalę technikę kontroli umysłów, prania mózgu i manipulacji, nadal niestety apostołów nie posiadam!”.

Bywało jednak, że porzucał wesoły ton. W poważnej dyskusji z czytelnikiem napisał: „Myślę, że masz rację – mnóstwo ludzi będzie musiało przywyknąć do znacznie prostszego życia. Ja chcę im to jak najbardziej ułatwić, a może w końcu, jak wielu z nas, także oni odnajdą w tym radość”.

Przeglądając *CheapRVLiving* i chłonąc opowieści ludzi, którzy zmienili swoje życie, Linda doznała olśnienia. „Cholera jasna! – pomyślała. – Skoro oni mogą, to ja też”. Skrajna oszczędność w ujęciu Boba wydała jej się drogą do wolności, wybawieniem, a nie ograniczeniem. Albo, jak sama to określiła, sposobem na „bogate życie przy skromnych środkach”. Poza tym zrozumiała, że nawet podróżując w pojedynkę, nigdy nie będzie naprawdę sama – ma szansę poznać wielu wędrowców, w tym sporo samotnych kobiet w jej wieku. Wszyscy razem tworzą subkulturę, ustanawiając własne zwyczaje i eksperymentując z technikami przetrwania, z których najlepsze idą w obieg, dzięki czemu pisze się poradnik przetrwania poza światem rządzonym prawami rynku. To poczucie wspólnoty było dla Lindy ważne.

– Ja jestem naprawdę towarzyska – tłumaczyła mi. – Nie wyobrażałam sobie siebie samotnej, w depresji i klepiącej biedę. Czułam, że moje życie może być ciekawe, satysfakcjonujące i twórcze.

Lindzie zamarzył się odpowiedni pojazd, zaczęła więc przeglądać portal Craigslist. Czytała dziesiątki ogłoszeń, aż znalazła mocnego kandydata, tyle że wtedy nie było jej jeszcze stać na kupno. Samochód nabył więc dla siebie jej autystyczny najstarszy wnuk, znęcony obietnicą życia za pięćset dolarów miesięcznie plus prąd niedaleko od rodziców i trójki rodzeństwa. Linda cieszyła się, że mu się udało, bo nie miał wielu innych możliwości, żeby mieszkać samemu.

– Część etatu w Burger Kingu to za mało, żeby się utrzymać – stwierdziła cierpko.

A potem nagle do Lindy uśmiechnęło się szczęście. Jej zięć Collin pracował w dziale sprzedaży firmy zajmującej się montażem mebli do przechowywania, od policyjnych szafek na broń i dowody po kartoteki w muzealnych archiwach, często na rządowe zlecenia. Przeglądając plany remontowe szpitala dla weteranów, Collin zauważył pewną lukę. W całym budynku miały być zamontowane nowe tabliczki informacyjne, ale nikt nie pomyślał, że trzeba się do tego przygotować: zerwać stare oraz zagipsować i pomalować ściany pod nimi. Zlecenie zgarnęła Audra, córka Lindy, a następnie podzieliła się nim z matką.

– Te pięćdziesiąt dolarów na godzinę to było błogosławieństwo – wspominała Linda. W dwa miesiące zarobiła dziesięć tysięcy.

W kwietniu 2013 roku, studiując ogłoszenia, natknęła się na el dorado rocznik 1994 w czarno-seledynowe paski. Ośmioipółmetrowy kamper z zaledwie czterdziestoma sześcioma tysiącami kilometrów na liczniku

powinien kosztować jakieś siedemnaście tysięcy dolarów. Tymczasem cena wynosiła cztery tysiące.

Podekscytowana Linda umówiła się na spotkanie, a jako wsparcie duchowe zabrała ze sobą przyjaciółkę. Razem obejrzały pojazd. Na zewnątrz był w sensownym stanie, nie licząc parciejących opon i dziury wielkości futbolówki w alkowie nad kabiną po stronie pasażera. Dziurę załatano szczeliwem, które przypominało zaschniętą pastę do zębów („To szczeliwo tam było niepotrzebne. Nie wiem, co facetowi wpadło do głowy. U nas to się nazywa marnowaniem materiałów" – stwierdziła Linda). Właściciel wyjaśnił, że jadąc po nierównej drodze – wyższej pośrodku i niższej po bokach, przez co kamper był przechylony – zderzył się z krzywym słupem telefonicznym.

Po otwarciu drzwi Lindę uderzyła zastała, stęchła woń. Podłoga była pokryta geowłókniną i sklejką. Na ścianach wisiała gruba folia. „Zalanie" – pomyślała Linda i poczuła, jak uchodzi z niej nadzieja. Jednak po uważniejszych oględzinach okazało się, że zapach dobiega z dziurawej kabiny prysznicowej, której naprawa nie powinna nastręczać większych trudności. Poza tym wszystko było w idealnym stanie, od przytulnej sypialenki z tyłu po kącik jadalny obok kuchni. Tapicerka, rolety w oknach i wykładzina wyglądały świetnie; Linda rozpoznała w sprzedającym osobowość typu A, perfekcjonistę, który nigdy w życiu nie wszedłby do kampera w butach. W porównaniu z innymi, o których czytała, ten pojazd przypominał hotel Ritz. Nie licząc zepsutego generatora, wszystko działało, łącznie z toaletą, co bardzo Lindę ucieszyło. Czytała wprawdzie o podróżnikach wykładających folią dwudziestolitrowe wiadra, ale uznała, że to rozwiązanie stanowczo nie jest dla niej.

Poczuła, jak wraca jej optymizm. Rozmyślania przerwał znajomy głos:

– O nie. Nie da się. Nie da się tego naprawić – powiedziała jej przyjaciółka.

Ale było już za późno. Linda podjęła decyzję.

– Tylko mi tu nie „niedasiuj"! – wypaliła. – Ja uważam, że wszystko się da.

Kupiła kamper. Naprawiła prysznic, pozbywając się smrodku stęchlizny. Łaty nad kabiną kierowcy postanowiła nie ruszać – była brzydka, ale uszczelniacz się trzymał. Kwestia opon była pilna, Linda musiała wydać na wymianę tysiąc dwieście dolarów. Poważna kwota, ale inwestowała w swoją przyszłość – i wolność – a w dodatku miała już kilka pomysłów na to, jak zarobić w drodze.

Bob pisał na blogu, że przez trzy sezony pracował dla California Land Management jako gospodarz kempingu w Sierra National Forest. Linda złożyła CV do tej samej firmy i dostała pracę niedaleko Yosemite.

– Aż nie mogę uwierzyć, że tak łatwo znaleźć robotę z kampera – powiedziała później.

Kiedyś czekała sześć miesięcy, aż zwolni się stanowisko w Home Depot w San Clemente, choć zajmowała je wcześniej w innym sklepie tej sieci. Wiedziała, że ageizm bardzo utrudnia starszym ludziom znalezienie zatrudnienia, ale firmy szukające wędrownych pracowników na sezon najwyraźniej kierowały się innymi przesłankami.

– Jeżeli masz kamper, to wystarczy wejść do internetu i znajdziesz robotę w sześć sekund – dziwiła się.

Poza tym została fanką bloga *Jimbo's Journeys*[103] autorstwa Jima Melvina, obdarzonego bujnym białym wąsem dobijającego siedemdziesiątki byłego sprzedawcy z Lowe's. Kiedy zrozumiał, że w rodzinnej Kalifornii nie zdoła utrzymać się z emerytury, zainspirowany przykładem Tiogi George'a ruszył w drogę biało-błękitnym kamperem lazy daze z 1992 roku. Podróżował od zlecenia do zlecenia, najpierw sam, później z Chiką, suczką rasy chihuahua, którą nazywał bratnią duszą, odkąd przybłąkała się do niego wygłodniała i bezdomna na jednym z postojów dla przyczep. Jim chwytał się najróżniejszych zajęć: w czterdziestostopniowych lipcowych upałach sprzątał postój Piney Ridge w Teksasie, obsługiwał kemping Ochoco Divide w środkowym Oregonie, przewracał hamburgery podczas wiosennych rozgrywek przedsezonowych Los Angeles Angels na stadionie Tempe Diablo w Arizonie, a także jako członek CamperForce pracował w magazynie Amazona w Fernley. Tę ostatnią robotę opisywał później jako najcięższą w swoim życiu. Aby przetrwać, musiał codziennie łykać dwie tabletki przeciwbólowe. Dolegliwości nie ustawały przez kilka miesięcy. Ale zarobił tam więcej niż gdzie indziej i polubił innych kamperowców. „Poznałem tam mnóstwo miłych i wesołych osób – pisał. – Czy wrócę za rok? A żebyście wiedzieli!”.

Linda postanowiła zgłosić się do Amazona. Koncern proponował pięćdziesiąt dolarów premii za rekomendację pracowniczą, wpisała więc do formularza nazwisko Jima.

– Dzięki niebiosom za blogerów – powiedziała. – Wyobrażasz sobie? Za mojej młodości ich nie było. Gdy się czegoś potrzebowało, to zaraz

człowiek myślał: „Może sąsiedzi coś wiedzą? Skąd wziąć informacje?”. Nie miałabyś pojęcia o tej społeczności, no chyba że byś kogoś w niej znała.

Linda uznała, że jeśli przetrwa dwie prace sezonowe, przy obsłudze kempingu i w magazynie, to możliwe, że potem będzie mogła zrobić sobie przerwę i trochę pożyć z zasiłku dla bezrobotnych. Do tego mogłaby pojechać na RTR i spotkać się ze swoim nowym plemieniem. Rodziną, której wciąż nie poznała.

Prawdziwi krewni zgodnie ją wsparli, kiedy ogłosiła im swój plan.

– Brzmi ekscytująco! – powiedziała Audra. Upierała się, że Linda musi mieć smartfona, żeby nie stracić z nimi kontaktu, i zaproponowała, że będą płacić rachunki w ramach wspólnego rodzinnego planu.

– Dopilnujemy, żebyś miała duży pakiet internetowy – dodał Collin.

Czy to się mogło udać? Trudno powiedzieć. Ale Linda jednego była pewna: jej życie miało się zmienić. I to jej na razie wystarczało.

CZĘŚĆ DRUGA

5

Amazon Town[104]

W czerwcu 2013 roku Linda skończyła sześćdziesiąt trzy lata i ruszyła swoim el dorado na Junction Campground, kemping położony trzy kilometry od wschodniego wejścia do Parku Narodowego Yosemite. To tam zaczęło się jej nowe życie – wśród dzikich łąk, migotliwych potoków i sosnowych lasków, na orzeźwiającym górskim powietrzu, z malowniczym widokiem na ośnieżone szczyty Sierra Nevada. Jako nowo zatrudniona przez California Land Management Linda miała pracować trzydzieści godzin w tygodniu za osiem i pół dolara na godzinę (przy takiej stawce, nawet gdyby przekonała pracodawcę, żeby dał jej czterdzieści godzin tygodniowo przez cały rok – i ani razu nie wzięła urlopu – jej roczna płaca wyniosłaby siedemnaście tysięcy sześćset osiemdziesiąt dolarów, bez żadnych dodatków).

Od Home Depot w Lake Elsinore, gdzie pracowała wcześniej jako kasjerka, dzieliło ją zaledwie pół dnia jazdy, a jednak miała wrażenie, że znalazła się w całkowitej głuszy. Nowe zajęcie było antytezą posady za kasą w żółtawym świetle olbrzymiego sklepu. W niczym nie przypominało jej poprzednich prac w restauracjach, na budowach, w kasynach, biurach i wszystkich innych miejscach, w których wymieniała swój czas na pieniądze. A co najlepsze, Linda nie musiała płacić czynszu. Na kempingu nie było podłączenia do mediów, ale kierownik pożyczył jej generator i w każdy wtorek przysyłał cysternę z wodą, żeby mogła napełnić dwustulitrowy zbiornik. Wydatki na życie sprowadzały się w zasadzie do zakupu jedzenia, oleju do generatora i gazu do kuchenki. Linda była wniebowzięta.

Praca na Junction Campground nie była specjalnie wymagająca. Podzielony na trzynaście parceli kemping przyjmował gości na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”, dzięki czemu odpadały zamieszanie z rezerwacjami i czasochłonna papierologia – a w dodatku były tylko dwie toalety do czyszczenia. W związku z tym Linda zgodziła się przez część pobytu obsługiwać jeszcze jeden nieduży kemping nad pobliskim jeziorem Tioga.

Uwielbiała społeczny aspekt swojej pracy i pogawędki z letnikami. Jednym z jej ulubionych gości był samotny sześćdziesięciodziewięcioletni miłośnik wspinaczki skałkowej, który przedstawił się jej jako pan Brown. Pan Brown przemierzał popularne szlaki, wypatrując starych wpinek, które zaczynały rdzewieć. Ponieważ wpinki służą do mocowania lin asekuracyjnych, ich korozja może doprowadzić do śmierci wspinacza[105]. Ilekroć pan Brown znajdował taki rdzewiejący kawałek metalu, wyciągał go i mocował nowy. Powiedział, że robi to od piętnastu lat.

– A ten jego plecak! – nie mogła się nadziwić Linda. – Boże, to było coś monstrualnego.

Podziwiała pana Browna za jego bezinteresowne działanie i sprawność fizyczną, ale jednocześnie się martwiła.

– Nie boi się pan, że pan spadnie i się zabije? – pytała.

– Aaa tam – odmrukiwał chrapliwie stary górski wyga. – Wiem, co robię.

Oprócz niego Linda poznała małżeństwo po siedemdziesiątce, Billy’ego i Helene Outlawów (czyli „wyjętych spod prawa”; naprawdę nosili takie nazwisko). Kiedy wspomnieli, że szukają pracy na kempingu, przedstawiła ich swoim szefom. Niedługo później Billy i Helene przejęli jej obowiązki nad jeziorem Tioga. Mniej więcej w tym samym czasie Linda przekonała się, że praca na kempingu nie jest dla każdego. Jeden z jej współpracowników, dawny pogranicznik, upierał się, żeby na codzienny obchód wychodzić z bronią.

– Uznał, że nie jest w stanie bez niej żyć – opowiadała mi później. – Ale pracownik kempingu nie może chodzić ze spluwą. W żadnym państwowym lesie to nie przejdzie. Musieli go zwolnić.

Lato w okolicach Yosemite mijało spokojnie aż do połowy sierpnia. To wtedy, jak ustalili później śledczy, samotny myśliwy polujący z łukiem mimo zakazu zbudował z szyszek i gałązek małe ognisko, żeby podgrzać sobie zupę i spalić śmieci z plecaka. Facet tropił jelenie w kanionie Clavey w Stanislaus National Forest, zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od Junction Campground[106]. W pewnej chwili wiatr dmuchnął iskrami w suchą ściółkę i tak zaczął się trzeci co do wielkości pożar w historii stanu Kalifornia. Przez następne dwa miesiące Rim Fire pochłonął teren siedemnastokrotnie większy od Manhattanu.

Na początku września powietrze na kempingu gęstniało od dymu, a dla Lindy nadszedł czas wyjazdu. Pożegnała się i skierowała na północ, do Fernley, aby zasilić szeregi CamperForce. Postoje dla przyczep wokół

magazynu tętniły życiem, w całości zajęte przez wędrownych robotników. Miejsca było tak mało, że jak mówiono nowym pracownikom na szkoleniach, firma rozważała kupno ziemi gdzieś w pobliżu, żeby stworzyć tam własny postój. Linda nie zdążyła zrobić rezerwacji, bo przez większość lata była odcięta od internetu. Trzydzieści siedem kilometrów na południowy wschód od magazynu znalazła postój dla przyczep Sage Valley, ogrodzony pas żwiru tuż przy drodze międzystanowej numer 50 w Fallon w Nevadzie, porośnięty tu i ówdzie topolami i owiewany smrodkiem z pobliskich pastwisk dla krów. Tam również wszystkie miejsca były zajęte, ale Linda uprosiła życzliwego kierownika, żeby gdzieś ją wcisnął.

Przed szczytem sezonu w 2013 roku Amazon publikował w sieci biuletyn skierowany do potencjalnych pracowników. Tytuł na pierwszej stronie czerwcowego numeru brzmiał: *CamperForce. Wartość przyjaźni*. Artykuł, równie entuzjastyczny jak broszury chwalące pracę na kempingu, przedstawiał ciężką fizyczną robotę, jakby to były letnie kolonie. „Możliwość zadzierzgnięcia przyjaźni na lata jest na wagę złota! – podniecał się autor. – Wynagrodzenie to wprawdzie ważny powód [aby podjąć pracę], jednak perspektywa znalezienia przyjaciół jest niemal tak samo istotna. Każdego roku dochodzą nas wieści o przyjaźniach i związkach, które trwają, choć kawalkada tylnych świateł opuściła już teren Amazona”[107].

Gryzło się to z tonem numeru marcowego. W artykule zatytułowanym *Jak przejdzie do historii rok 2013* polecano dietę i zestawy ćwiczeń oraz poruszano kwestię wyzwań związanych z zaawansowanym wiekiem.

> Dobre przygotowanie, zarówno fizyczne, jak i mentalne, to klucz do udanego sezonu w magazynach firmy Amazon. Wypracowanie kondycji przed przyjazdem jest niezwykle istotne. Jeżeli nie trenujesz na co dzień, poproś lekarza o dietę oraz program ćwiczeń i przestaw się na aktywny tryb życia. Chcesz to zrobić tanio? Wyjdź na spacer! Spacery to wspaniała forma aktywności. Nic nie kosztują i nie nadwerężają stawów. Przed wyjściem porozciągaj mięśnie. Według ekspertów z wiekiem zmieniają się struktury kolagenowe w naszym organizmie, przez co maleje gibkość i zakres ruchu[108].

W wydaniu kwietniowym wspomniano o trudnościach psychologicznych. Artykuł pod tytułem *Czego oczekiwać po pierwszych tygodniach programu CamperForce* zaczynał się tak:

> Pierwsze tygodnie pracy w Amazonie mogą się okazać nieco przytłaczające. Ogrom zabudowań, skróty, które brzmią jak nieznany język, ręczne skanery zachowujące się, jakby miały własną wolę – to wszystko wywołuje onieśmielenie[109].

Tymczasem o tym, jak Amazon traktuje pracowników swoich magazynów, dyskutowano w mediach od 2011 roku[110]. To wtedy śledztwo przeprowadzone przez gazetę „Allentown Morning Call" ujawniło, że w firmie panuje wyzysk i że – całkiem dosłownie – wyciska się z ludzi ostatnie poty. Gdy w lecie temperatura wewnątrz magazynu w Breinigsville w Pensylwanii dochodziła do czterdziestu stopni, kierownicy, ze strachu przed kradzieżą, nie pozwalali otwierać drzwi rampy załadunkowej. Zamiast tego wynajmowano ratowników medycznych, którzy czekali na zewnątrz w karetkach, gotowi wydobyć na noszach albo wózkach zemdlonych od upału pracowników. Ludzie opowiadali, jak zmuszano ich do spełniania wiecznie śrubowanych norm dziennych, co kolokwialnie nazywa się „zarządzaniem przez stres". Amazon na bieżąco monitoruje produktywność, analizując dane z sieci skanerów używanych przy przenoszeniu i sortowaniu produktów[111]. Laura Graham, członkini CamperForce, która pracowała jako pickerka w magazynie w Coffeyville, opowiadała mi, że po zeskanowaniu produktu na wyświetlaczu zaczynało się odliczanie. Stąd wiedziała, ile ma sekund, żeby sięgnąć po kolejną rzecz, co przypominało przejście na kolejny poziom w grze wideo. Szefostwo śledziło też tempo, w jakim wyrabiała normę godzinową. Kiedy raz niechcący skręciła w złą alejkę i straciła pięć minut, zaraz zjawił się kierownik z reprymendą. Oprócz psychiki również ciało Laury buntowało się przeciw rozkazom urządzenia dyktującego jej, jak pokonać od szesnastu do trzydziestu dwóch kilometrów dziennie po betonowej podłodze w kompleksie o powierzchni osiemdziesięciu pięciu tysięcy metrów kwadratowych – za jedenaście dolarów i dwadzieścia pięć centów na godzinę.

– Fizycznie to jest męka nie do opisania – powiedziała mi. – Miałam strasznie ostre bóle w śródstopiu… Okazało się, że to zapalenie powięzi.

Nowe wkładki w butach nie pomogły. Żeby jakoś przetrwać, Laura łykała dwa ibuprofeny w połowie nocnej zmiany, trwającej od siedemnastej do trzeciej trzydzieści, i następne dwa po pracy. W wolne dni starała się nie forsować stóp i leżała w łóżku, wstając tylko do toalety i pod prysznic.

Lindy nie zniechęcały wieści płynące z magazynów. Zresztą nieobca jej była ciężka fizyczna robota.

– Pracowałam na budowie i jako kelnerka w koktajl barze, co było jeszcze trudniejsze niż budowa – stwierdziła. – Czego miałabym się bać?

Poza tym właśnie skończyła sezon na kempingu ponad dwa tysiące siedemset metrów nad poziomem morza. Była pewna, że to nie najgorszy trening.

Pierwszy tydzień upłynął jej na szkoleniach wprowadzających i ćwiczeniach BHP. Dowiedziała się, że przydzielono ją do grupy *stowers*, czyli osób wykładających towar na półki. Aby dowiedzieć się szczegółów, poszła na przyuczenie.

Stowerzy popychają wózki pełne żółtych plastikowych skrzynek z produktami – znanych także jako toty – między regałami przypominającymi biblioteczne półki. Każdy regał podzielony jest plastikowymi przegródkami na tak zwane biny, a stowerzy bezustannie szukają binów, w których zostało wolne miejsce. Kładąc produkt na regale, stower musi zeskanować kod na binie oraz na produkcie. Proces przebiega powoli, gdyż pracownicy rozkładają identyczne przedmioty z jednej dostawy w różnych punktach obiektu. Dzięki temu wydajniejsza jest praca pickerów, którzy biegają alejkami, zbierając produkty do zamówień.

– To dziwne! – mówiła Linda, wspominając miszmasz, który trafiał do jednego binu. – Płyn hamulcowy, mleko w proszku, cień do powiek, książka, taśma klejąca… Wszystko naraz.

Po przyuczeniu ukończyła pierwszy tydzień, tak zwany okres przystosowawczy, gdy nowo zatrudnieni pracują na pół zmiany, przyzwyczajając się do chodzenia po betonie, żeby później móc to robić przez dziesięć albo więcej godzin dziennie. Poprosiła o nocną zmianę, ponieważ na nockach stawka za godzinę była o siedemdziesiąt pięć centów wyższa, czyli wynosiła dwanaście dolarów i dwadzieścia pięć centów plus dodatek za nadgodziny.

– Chciałam zarobić, ile się da – powiedziała mi. Kiedy przeszła na pełny wymiar, pracowała od osiemnastej do wpół do piątej rano z dwiema przerwami po piętnaście minut i jedną półgodzinną na szybki posiłek. – Całe dnie przesypiałam – dodała. – To ci trochę zmienia życie.

Kiedy wstawała wczesnym popołudniem, miała jakieś trzy godziny na zajęcia domowe, przygotowanie lunchu do pracy i przejście z psami wokół

Sage Valley. Później ruszała w drogę do magazynu, która zajmowała jej dwadzieścia pięć minut.

Przed rozpoczęciem zmiany Linda zakładała pomarańczową kamizelkę odblaskową i smycz z identyfikatorem, łapała świeżo naładowaną baterię do skanera i szła na tak zwany *stand up*, zbiórkę, w trakcie której pracownicy się rozciągają, a liderzy klepią formułki o normach do wyrobienia danego dnia. Następnie wchodziła na halę i skanowała kody kreskowe, rozkładając na regałach tysiące produktów.

– Masz wózek, a na nim czternaście skrzynek jakiegoś chińskiego badziewia. Przygnębiała mnie świadomość, że większość tych bzdetów i tak skończy na wysypisku. – To odbierało Lindzie wigor. – Myślisz sobie, ile pracy i środków było potrzebne, żeby taką rzecz wyprodukować. A potem ktoś ją zużyje i wyrzuci.

Praca była męcząca. Nie licząc chodzenia tam i z powrotem bezkresnymi alejkami, Linda musiała się schylać, dźwigać, kucać, wyciągać ręce do góry oraz wchodzić i schodzić po schodach. A to wszystko na terenie wielkości około trzynastu boisk futbolowych. Budynek był tak olbrzymi, że pracownicy używali nazw stanów, żeby jakoś zorientować się w jego przepastnym wnętrzu. Zachodnią część nazywali Nevadą, a wschodnią Utah.

Na początku października, po dwóch tygodniach pracy, Linda napisała na Facebooku: „Jeśli przeżyję, to będę w superformie. Ciągle sobie myślę o *Co masz do stracenia?*. Przecież skoro oni dają radę, to ja też”. Chodziło jej o program telewizyjny, w którym ludzie ścigali się, kto najwięcej schudnie. Oprócz tego powtarzała mantrę znaną jej ze spotkań Anonimowych Alkoholików: „Nie poddawaj się, zanim nie zdarzy się cud”.

Linda była trzeźwa od ponad dwudziestu lat. W przeszłości zmagała się z problemem, który w jej przypadku wydawał się niemal nieunikniony – pociąg do alkoholu jej rodzina miała w genach. A nawet gdyby tak nie było, ojciec alkoholik robił wszystko, żeby przekazać Lindzie tę cechę. Kiedy kończyła liceum, dał jej spróbować koktajlu sloe gin fizz, który przyrządzał co wieczór w blenderze, z sokiem ze świeżej cytryny i cukrem pudrem. Siedzieli we dwójkę do późna, pili i gadali. Ojciec zaczął grać na giełdzie i wtajemniczał córkę w arkana finansów – ona miała go za geniusza. Każdego poranka powtarzali ten sam scenariusz. Ojciec otwierał drzwi do jej pokoju i pytał: „Idziesz dziś do szkoły?”. „Kaca mam” – jęczała Linda. „Moje biedactwo” – wzdychał ojciec i delikatnie zamykał drzwi.

Dorosła Linda była ciężko pracującą, wysoko funkcjonującą i coraz bardziej zaawansowaną alkoholiczką. Przez moment eksperymentowała też z metamfetaminą – ciągnął ją nie tyle szybki haj, ile to, że mogła pochłaniać coraz większe ilości alkoholu, których potrzebowała, żeby się upić.

Kilkukrotnie próbowała zerwać z nałogiem, ale wciąż do niego wracała. Pewnego razu po całonocnej popijawie poczuła, że już dłużej nie da rady. Wróciła do domu o szóstej rano. Dzieci patrzyły na nią bez słowa.

– Ale widziałam to w ich twarzach. Widziałam ich zawód – opowiadała. – To okropne tak na kogoś czekać. Siedzisz, czekasz, a on nie przychodzi. Nie wolno robić takich rzeczy ludziom, których się kocha.

Po tamtym zdarzeniu Linda nabrała nowego zapału, żeby skończyć z piciem. I tym razem go nie straciła. Ilekroć między mityngami bała się, że nie da rady, dzwoniła do swojego sponsora. Co dziwne, niektóre techniki pomogły jej po latach przetrwać długie zmiany w Amazonie. Potrafiła się koncentrować na wyzwaniach stojących bezpośrednio przed nią i dzielić duże problemy na mniejsze, prostsze do rozwiązania, aż zaczynała czuć, że ze wszystkim da sobie radę.

„Pozmywałaś naczynia? Okej. To idź pozmywać, a potem do mnie zadzwoń" – mówił jej sponsor. Linda szorowała więc na błysk talerze i szklanki, a potem oddzwaniała. „Zaścieliłaś łóżko?" – brzmiało następne pytanie. Więc szła ścielić. I tak dalej, i tak dalej, aż udawało się jej przetrwać kolejny dzień.

Nie ona jedna przeżywała w magazynie trudne chwile. Pierwszego października do stanowego oddziału OSHA (Occupational Safety and Health Administration, Agencji Bezpieczeństwa i Zdrowia w Pracy) przyszła skarga na to, że pracownicy Amazona nabawiają się urazów pleców od dźwigania ciężkich pudeł. Tydzień później w Fernley zjawiła się dwójka inspektorów. Przejrzeli wykazy kontuzji i przeszli się po magazynie, oprowadzani przez menedżerów. Wizyta trwała niecałe dwie godziny. Sprawę zamknięto jeszcze tego samego dnia, a oficjalny raport głosił: „W obiekcie zdarzają się kontuzje, w tym urazy pleców, ale nic ponad to, co normalne w tego typu zakładzie pracy"[112].

Oprócz wysiłku fizycznego największym wyzwaniem była dla Lindy nuda. Starała się oszukać umysł. „Zostaję jeszcze pięć minut, potem wychodzę. Rzucam to. Dosyć!" – powtarzała sobie w kółko. W ten sposób udawało jej się dotrwać do końca zmiany, który następował mniej więcej

dwie godziny przed wschodem słońca. Wtedy razem z resztą pracowników odbijała kartę i wychodziła przez bramkę z wykrywaczem metalu, będącą częścią strategii antykradzieżowej koncernu. (Mark Thierman, adwokat z Reno, reprezentował grupę pracowników tymczasowych z magazynów w Fernley i Las Vegas. Twierdzili oni, że firma jest im winna wynagrodzenie za czas spędzony w kolejkach do bramek, który wynosił do trzydziestu minut dziennie. W 2013 roku Dziewiąty Okręgowy Sąd Apelacyjny orzekł na ich korzyść, jednak rok później Sąd Najwyższy rozstrzygnął odmiennie[113]).

Mimo nudy było coś, co cieszyło Lindę w nowej pracy.

– Najlepsza rzecz w magazynie to koleżeńska atmosfera. Znalazłam tam przyjaciół.

To właśnie w Amazonie poznała Silvianne, astrolożkę, z którą później pracowała na kempingu w górach San Bernardino. Przed przyjazdem do Fernley Silvianne napisała na blogu:

> Scena 1: Wyjazd z północnego Nowego Meksyku w kierunku północnej Nevady do sezonowej pracy w magazynie internetowego filaru Nikczemnego Imperium Konsumpcji, z wizją tymczasowej przygody w brzuchu potwora. Drastyczny, acz konieczny krok do sfinansowania pierwszych etapów podróży…

Silvianne była sąsiadką Lindy na postoju Sage Valley. Często wychodziła na spacer z kotką Laylą, ubraną w różową uprząż. Dzięki temu stała się lokalną gwiazdą. Nawet w magazynie ludzie przystawali i pytali: „To ty chodzisz z kotem na smyczy, prawda?”.

Tak jak Linda, Silvianne pracowała jako stowerka na nocnej zmianie. Sama siebie określała jako osobowość typu A i ta praca doprowadzała ją do szału. Często się zdarzało, że wszystkie biny były pełne. Nie było gdzie odłożyć produktu, nie można było dobrze wykonać pracy, przez co magazyn przypominał kafkowski zamek stworzony do torturowania perfekcjonistów. Silvianne oglądała niedawno *Orange Is the New Black* i mimowolnie zaczęła porównywać swoje życie z życiem więźniarek z serialu. Na początku płakała dwa albo trzy razy w tygodniu („Już taka jestem, że okazuję emocje – tłumaczyła. – Strasznie mi było głupio. Po prostu za bardzo się przejmuję”). Ciągle bolały ją plecy, choć wcześniej nie miała z nimi problemu – coś tam ją może zakłuło raz czy dwa, kiedy pracowała w cateringu, ale to tyle. Poza tym, tak jak wielu innych, często kopał ją prąd. Jak mi później mówiła, kiedy człowiek jeździ po magazynie z wózkiem pełnym plastikowych skrzynek, powstaje napięcie elektryczne. Kiedyś podjechała do metalowego regału

i próbowała wsadzić książkę na jedną z górnych półek. Musnęła metal dłonią i przez ramię popłynął elektryczny impuls. Odruchowo cofnęła rękę, wypuszczając książkę, która uderzyła ją w twarz. Skończyło się na spuchniętej wardze i krwawiącym dziąśle. Książka wylądowała na podłodze, tylną okładką do góry. Z fotografii uśmiechał się do Silvianne tybetański mnich.

– Takie to poczucie humoru mojej bogini – stwierdziła później.

(Problem nie był nowy. Pracownicy z Fernley już od dwóch lat składali oficjalne skargi, że gdy dotykają regałów, kopie ich prąd. Podczas inspekcji przeprowadzanej przez urzędników stanowych przedstawiciele koncernu tłumaczyli, że wiedzą o tym i że przymocowali do regałów pręty uziemiające, a wózki owinęli folią antystatyczną. Kiedy to nie pomogło, pokryli podłogi roztworem pod nazwą Staticide. Przedstawiciel firmy oznajmił, że „zmniejszyło to liczbę przypadków porażenia prądem wśród pracowników". Inspektorzy nie nakazali wprowadzenia żadnych zmian)[114].

Linda zaprzyjaźniła się z Jen Derge i Ash Haag, parą dziewczyn przed trzydziestką, które zjawiły się na postoju na początku października. Mieszkały w Manacie, granatowo-białym busie marki GMC rocznik 1995, kupionym po drodze do Nevady za cztery i pół tysiąca dolarów. Sprzedający zgodził się obniżyć cenę wywoławczą o tysiaka. Później pojazd jeszcze przez pół roku stał na jego działce, aż były właściciel zażądał, żeby go zabrały.

Jen wspominała, jak Linda przywitała je w swoim kamperze i jak biegała, wołając: „Naleśniki, naleśniki!", na znak, że ma śniadanie i chce się podzielić.

– Znasz Lindę – dodała. – To taki nasz żywy łącznik.



Jen Derge i Ash Haag pozują na tle Manata

Kiedy Ash czekała na list od bratanicy – zaadresowany do „Cioci, pani Jen i Busika" – to Linda pierwsza dowiedziała się w recepcji, że przyszedł.

– No więc wpada do łazienki i pyta: „Jesteś tam?". Ja na to: „Jestem!". A ona: „Co robisz?". Mówię jej: „Korzystam z chwili prywatności!". Ona na to: „Poczta przyszła!". Uwielbiam ją – opowiadała Ash.

Zanim zostały nomadkami, Jen i Ash wynajmowały dom w Colorado Springs, gdzie walczyły z epizodami depresji, coraz bardziej rozczarowane brakiem perspektyw.

Jen dorastała z rodzicami pracującymi w King Soopers, sklepie spożywczym firmy Kroger, czego ojciec szczerze nienawidził. „Chcemy, żeby naszym dzieciom było lepiej" – powtarzali, susząc jej głowę, że ma iść na studia. Jen lubiła niezależność. W liceum zaczęła pakować w sklepie zakupy za sześć dolarów na godzinę. Później dostała stypendium i zrobiła dwuletnie studia techniczne. Nie widziała jednak sensu w dalszej nauce.

– Wszędzie ta sama historia – mówiła. – Patrzysz na znajomych, którzy mają licencjat albo i coś więcej, a nie mogą znaleźć pracy. No więc po prostu

nie widzę powodu, żeby wracać na studia, chociaż uwielbiam się uczyć. Ale te koszty, długi… To mnie przeraża, nie chcę tak.

Jen pracowała w sklepie z rękodziełem i w antykwariatach z książkami, po czym została asystentką w szkolnej bibliotece. Ostatecznie przeszła do działu administrowania oprogramowaniem bibliotecznym w największej dzielnicy Colorado Springs. Kochała tę robotę.

– To było świetne. Uwielbiałam kontakty z bibliotekarzami i uwielbiałam pokazywać im na komputerach te wszystkie superrzeczy – opowiadała.

Szybko się jednak okazało, że jej szefową, która miała dyplom magistra, chcą wypchnąć na emeryturę, a Jen ma przejąć jej obowiązki za o wiele mniejsze pieniądze.

– Ludzi ze starszego pokolenia i z wyższym wykształceniem usuwają, a na ich miejsce wsadzają techników. To smutne dla tych, którzy mają dyplomy i ciężko na nie pracowali – powiedziała Jen. – Przejmując stanowisko szefowej, czułam się tak, jakbym ją zdradziła. Bo to była niesamowita babka.

W tym samym czasie uznała, że sama nigdy nie dorobi się pozycji, jaką miała kiedyś jej kierowniczka – której stanowisko właśnie degradowano – i to niezależnie od tego, czy wróci na studia, czy nie.

– Po co się uczyć, skoro na rynku potrzeba tylko niewykwalifikowanych ludzi?

Tymczasem rodzice Ash na jej oczach wypadli z grona klasy średniej, po tym jak ojciec, inżynier elektryk zarabiający sześciocyfrowe kwoty, w 2001 roku przez cięcia w firmie stracił pracę. Duma nie pozwalała mu na przyjęcie gorzej płatnej posady, przynajmniej dopóki rodzinne zasoby całkiem się nie wyczerpały. Skończyło się na tym, że rano prowadził szkolny autobus, wieczorem zaś pracował w Walmarcie.

– W każdym razie rodzice są po sześćdziesiątce i wiesz, mają zero emerytury, a wszystko, co w życiu zbudowali, się rozpadło. W dodatku po recesji to samo przytrafiło się wielu innym – mówiła Ash.

Choć zawsze była przykładną obywatelką, martwiła się, że nawet przestrzeganie wszystkich zasad nie zagwarantuje jej stabilizacji. Wątpiła, by system zasiłków Social Security przetrwał do czasu, kiedy jej pokolenie się zestarzeje. I choć miała kilka kont 401(k) oraz założony przez rodziców indywidualny rachunek emerytalny w Goldman Sachs, obawiała się, że zanim zacznie potrzebować zgromadzonych tam pieniędzy, stracą one całą wartość.

Poza tym walczyła z długami studenckimi. Trzydzieści tysięcy wraz z odsetkami urosło do trzydziestu siedmiu, a to wszystko za studia, których nie skończyła, mimo że sześć lat uczęszczała na zajęcia. Po liceum, wiedziona poczuciem obowiązku, poszła prosto do college'u – mimo przekonania, że w tym wieku człowiek „nie wie, czego chce, czego potrzebuje ani kim jest" – i zapisała się na wszelkie dostępne wykłady, od historii sztuki po fizykę.

W trakcie studiów i później pracowała w małej aptece, gdzie wszystkich traktowała jak rodzinę. Jednak po wymianie kierownictwa zmienił się stosunek szefów do personelu: Ash musiała patrzeć, jak wieloletni lojalni pracownicy są zmuszani do odejścia.

– W dzisiejszym społeczeństwie to nagminne – stwierdziła. – Nie chcą zatrudniać ludzi na lata, bo wtedy muszą finansować im emerytury, zwiększać pensje. A jeśli ktoś pracuje długo, to jeszcze się upomni o podwyżkę za zasługi dla firmy.

Dodała, że nowe kierownictwo „chciało zatrudniać ludzi, których łatwo się pozbyć. A żeby pozbyć się człowieka, najłatwiej pozbyć się jego stanowiska. Więc wszystko zautomatyzowali".

Tymczasem Jen przetrząsała internet w poszukiwaniu pomysłów na alternatywny styl życia. Dużo czytała o minimalizmie i modzie na minidomy. Przy okazji trafiła też na *CheapRVLiving*. Stopniowo zaczęła czuć, że oto znalazła wyjście. Do Ash przeprowadzka do samochodu i nomadyczny tryb życia z początku niezbyt przemawiały. Przypomniała sobie klasyczny skecz z *Saturday Night Live*, w którym Chris Farley gra mieszkającego w busie mówcę motywacyjnego nazwiskiem Matt Foley. Ostrzega dzieci, żeby wzięły się za siebie, jeśli nie chcą skończyć jak on.

– Najpierw pomyślałam, że pewnie będziemy jak ten gość, który powtarzał: „Mieszkam w busie nad rzeką!" – wspominała Ash. Mimo to z czasem przekonała się do tego pomysłu.

Plan był taki, żeby na zmianę pracować i podróżować, mieszkając w przejętym po matce Jen hatchbacku subaru impreza. Okazało się, że akurat ten samochód niełatwo zamienić w dom. Mimo składanych tylnych siedzeń wewnątrz nie starczało miejsca, żeby się położyć, chyba że wypełniło się przestrzeń na nogi za przednimi siedzeniami. W każdym razie Jen i Ash przygotowały pojazd najlepiej, jak umiały. Jen wycięła z czarnego filcu prostokątne osłony na okna. Aby pozbyć się części przedmiotów, opublikowały na Craigslist ogłoszenie z nagłówkiem „UWAGA, WSZYSTKO

GRATIS" i wyciągnęły rzeczy na trawnik. W ogłoszeniu była informacja, że zaczynają o dziewiątej rano. Do ósmej trzydzieści trawnik opustoszał.

– Jeśli powiesz, że coś jest za darmo, ludzie znajdą sposób, żeby to wykorzystać – powiedziała Ash. – Ktoś wziął nawet worek ze śmieciami!

Uznała, że musiał się pomylić.

Najpierw dziewczyny wyruszyły na wyprawę wzdłuż Colorado Trail, niemal osiemsetkilometrowego szlaku ciągnącego się od Denver do Durango, i podróżowały bez przerwy przez pięćdziesiąt dwa dni. Następnie skierowały się do centrum Amazona w Fernley. Początkowo zamierzały pracować, mieszkając w subaru („Nie dałybyśmy rady. Poddałybyśmy się" – stwierdziła rzeczowo Jen). Na szczęście znalazły busa. Tyle że po jego kupnie były praktycznie spłukane.

Zadomowiwszy się w Sage Valley, postanowiły, że na pierwszą pełną zmianę w magazynie pojadą na rowerach. Myślały, że będzie super, zwłaszcza że trasa jest w większości płaska, a do tego zaoszczędzą na paliwie. Niestety jedna z opon w rowerze Jen okazała się nieszczelna. Musiały przystawać co piętnaście minut, żeby ją dopompowywać. Jazda zajęła im trzy godziny, ale i tak zdążyły na czas, żeby zacząć dziesięciogodzinną zmianę. Kiedy wychodziły o piątej rano, na dworze było ciemno, a one szczękały zębami z zimna. Po drodze wpadły do Walmartu po ciepłe ciuchy, a później popedałowały zatłoczoną jezdnią w oślepiających promieniach wschodzącego słońca.

– Już zawsze byłyśmy znane jako te dziewczyny, które przyjechały do pracy na rowerach – śmiała się Jen.

Po tym przeżyciu postanowiły w tygodniu parkować bliżej magazynu, żeby zaoszczędzić na paliwie. Stawały przy Walmarcie albo na stacji benzynowej, a do Sage Valley wracały tylko wtedy, kiedy miały wolne.

Jak się okazało, doświadczenie w pieszych górskich wędrówkach pomogło im w pracy stowerek.

– Fakt, chwilę to trwa, zanim przywykniesz do ciągłego schylania się, ale po paru tygodniach uruchamiają ci się mięśnie. Patrzysz na tych wszystkich starszych ludzi i myślisz sobie: „Rany, skoro oni dają radę, to na co ja narzekam?" – powiedziała Jen.

Ash uważała pracę za „monotonną i samotniczą". Żeby jakoś uśmierzyć nudę, zabawiała się, łącząc przedmioty na półkach w pary i układając, na przykład, paczkę prezerwatyw obok paczki z testami ciążowymi. Korzystając z zakładki „lista życzeń" na stronie Amazona, katalogowała „wszystkie te

fantastyczne i zachwycające bzdety, które rozkłada się na półkach”. Były wśród nich żywe larwy barciaka większego, ponaddwukilogramowy żelkowy miś, kusza do łowiectwa podwodnego, książka *Venus with Biceps. A Pictorial History of Muscular Women* [Wenus z bicepsami. Ilustrowana historia muskularnych kobiet], korek analny z pluszową lisią kitą, pół kilo starych, wycofanych z obiegu monet, bawełniane majtki z czterema nogawkami (pod nazwą „bielizna dla dwojga”) oraz dildo z motywami z *Batmana*[8].

Pod koniec października temperatury w Fernley spadły poniżej zera. Tuż przed Halloween postoje dla przyczep przykryła warstewka śniegu. Najgorsze nadeszło w grudniu – ścisnęły mrozy. Pewnej nieszczęsnej nocy było prawie minus dwadzieścia. Żeby zasnąć, Jen i Ash zakładały wszystkie ciuchy i zakopywały się pod warstwą pledów i śpiworów, dodatkowo nakryte kołdrą i wojskowym kocem. W te noce, gdy parkowały blisko magazynu, przed położeniem się spać włączały sobie na dziesięć minut grzejnik gazowy. Trzymając nad nim stopy, patrzyły, jak pot po całym dniu chodzenia ulatuje z nich w obłoczkach pary. Choć nad ranem czuły się jak „amazombie”, cieszyły się, że pracują na nocną zmianę.

– Najzimniejszą część doby spędzałyśmy w ogrzewanym miejscu, a to naprawdę coś – mówiła Ash.

Gdy w Sage Valley uderzyła zima, sąsiad Lindy Carl mieszkał w namiocie. Pracował na dziennej zmianie. Ponieważ Linda całe noce spędzała w magazynie, namawiała go, żeby nocował u niej. Żeby zaoszczędzić gaz, podłączyła grzejnik do ogólnodostępnego gniazdka. Carl jednak odpowiadał: „Nie, nie, nie. W namiocie mam wygodnie, dobrze mi tu”. Tymczasem nawet doświadczeni kamperowcy przeżywali ciężkie chwile. Niektórzy owijali węże do wody taśmą grzejną albo zakrywali okna srebrną folią izolacyjną (kilka lat później Amazon stworzył serwis dla kandydatów do CamperForce pod nazwą Przygotuj Pojazd na Zimę, gdzie doradzano, aby zasłaniać okna plastikową folią, a wywietrzniki zakrywać termoizolatorem refleksyjnym. Strona zawierała linki do zakupu obu materiałów – gdzieżby indziej – na Amazon.com). Ale były granice. Kiedy Linda odłączała dopływ wody do kampera, w rurze od toalety odkryła zamarznięte nieczystości.

– To wyglądało jak mrożone gówno na patyku. Paskudna sprawa.

Phil i Robin DePealowie z Michigan, dawni właściciele punktu skupu złomu, walczyli na tym samym froncie. Kupili reflektor i próbowali za jego pomocą roztopić zamrożoną zawartość rury ściekowej, ale bez skutku.

Tymczasem idol Lindy, Jim Melvin, autor bloga *Jimbo's Journeys*, dzięki któremu zainteresowała się pracą w Amazonie, popędził do miasta po elektryczny ogrzewacz i nagrzewnicę dla swojej suczki Chiki.

Linda fantazjowała już o kolejnym przystanku, gdzie czekały ciepło i odpoczynek. Podobnie jak wielu sąsiadów wybierała się w okolice miasta Quartzsite w Arizonie. Publiczny teren na pustyni Sonora był mekką wędrowców i co roku zimą przyciągał dziesiątki tysięcy gości organizujących tam rozmaite imprezy, od wielokilometrowych pchlich targów przez targi minerałów i turystyczne po setki nieformalnych spędów towarzyskich. Linda nie mogła się doczekać zwłaszcza jednego z wydarzeń: styczniowego Rubber Tramp Rendezvous. Wspomniała o tym Jen i Ash, które słyszały o imprezie, ale nie miały jeszcze konkretnych planów. Postanowiły do niej dołączyć.

– Nie byłam zdecydowana, ale kiedy Linda powiedziała, że jedzie, pomyślałam: „Dobra, w takim razie musimy spróbować" – wspominała Jen. Na RTR wybierała się także Silvianne.

Tymczasem sezon zimowy nie odpuszczał. Wszyscy obowiązkowo musieli przepracować pięćdziesiąt godzin w tygodniu. W miarę jak zbliżały się święta, półki w magazynie pęczniały, co jest koszmarem każdego stowera.

– Przez ostatnie półtora miesiąca magazyn był wypełniony w stu dwudziestu procentach, więc ilekroć człowiek skanował bin, żeby coś tam włożyć, skaner robił „ii-o! ii-o! ii-o!". I trzeba było odczekać, zanim można było spróbować z następnym – tłumaczyła mi Ash. – Ludzie normalnie wariowali. Nigdzie nie było na nic miejsca i człowiek miał ochotę walić głową o ścianę.

Sfrustrowani stowerzy polowali na biny, w których jakimś cudem zostało choć trochę miejsca. Jednocześnie liderzy wciąż ich popędzali, kazali „cisnąć" i „wyrabiać normę". Amazon wyliczył później, że był to najbardziej intensywny sezon świąteczny w historii. Tylko 2 grudnia (w tak zwany cyberponiedziałek, pierwszy po Święcie Dziękczynienia) klienci zamówili około 36,8 miliona produktów – co oznacza czterysta dwadzieścia sześć zamówień na sekundę. Dzięki temu sprzedaż koncernu w 2013 roku osiągnęła rekordowy poziom 74,45 miliarda dolarów[115].

W całym tym kołowrocie organizm Lindy odmówił posłuszeństwa. Dotąd zupełnie nieźle się trzymała, mimo nadwerężonego prawego nadgarstka. Ale 15 grudnia, dwa tygodnie przed planowanym końcem pracy, zaczęło się jej kręcić w głowie. Nie wiedziała, co się dzieje. Inni mieli podobne problemy,

powstała więc teoria, że to kwestia kiepskiego powietrza. Linda postanowiła zacisnąć zęby i jeszcze przez godzinę pracowała normalnie, ale głębokie oddechy nie pomagały, więc koleżanka odprowadziła ją do AmCare. Zmierzono jej ciśnienie – miała sześćdziesiąt na czterdzieści osiem, co wystarczyło, żeby wezwać karetkę.

W szpitalu w Reno, oddalonym pół godziny jazdy na zachód, zrobiono jej tomografię komputerową i prześwietlenie, ale nie postawiono żadnej konkretnej diagnozy.

– Pielęgniarka powiedziała, że to mógł być jakiś ucisk na nerw błędny – wspominała Linda. – Przez to człowiek mdleje. Tak się dzieje od nadmiernego wysiłku.

W jej głosie pobrzmiewał sceptycyzm, bo nie wydawało się jej, żeby aż tak się forsowała. Tak czy inaczej, zalecono jej wizytę u lekarza rodzinnego.

– Jasne, poszłabym, gdybym takiego miała – śmiała się.

Jak większość wędrownych robotników, których poznałam krótko przed wprowadzeniem Obamacare[9], Linda nie była ubezpieczona. A ponieważ nie miał jej kto odwieźć do Sage Valley, musiała wydać sto siedemdziesiąt dwa dolary na taksówkę. Jeszcze przez kilka dni czuła się słabo, wzięła więc bezpłatny urlop.

Obóz CamperForce powoli się zwijał. Większość pracowników wyjechała tuż przed Bożym Narodzeniem, żeby zdążyć na święta do rodzin. Linda zgłosiła, że zostaje do 30 grudnia. Chciała zarobić, ile się da. Poza tym nie była w świątecznym nastroju. Po przeszło czterech miesiącach nocnych zmian chodziła jak błędna, a stan apatii przerywały jedynie bóle promieniujące z nadgarstka prawej ręki, w której trzymała skaner. Robota była powtarzalna i nużąca: włożyć produkt na półkę, skierować na niego skaner, wcisnąć i przytrzymać guzik, poczekać, aż czerwona wiązka lasera trafi na kod kreskowy. I powtórzyć to samo z kolejnym przedmiotem. Jaki to miało sens, poza tym, że jej płacili? Każdy zeskanowany przedmiot był jak piksel w przygnębiającym obrazku. Niektórzy członkowie CamperForce nazywali się „elfami Świętego Mikołaja”; dzięki takiemu myśleniu mogli być dumni ze swojej pracy, z tego, że rozsyłają prezenty, dają ludziom radość. Linda nie łykała tej gadki – nie czuła się jak elf, raczej jak trybik w gigantycznej maszynie. I to uczucie wprawiało ją w otępienie.

– Parzyłam na cały ten chłam i w ogóle nie miałam ochoty myśleć o Gwiazdce – zwierzyła mi się.

Wysłała więc wnukom prezenty, ale poza tym zignorowała święta. Kiedy magazyn zamknął podwoje, ona zrobiła to samo. Boże Narodzenie spędziła samotnie, odpoczywając w kamperze.

Jednak mimo znużenia czuła kiełkującą dumę. Osiągnęła swój cel, przetrwała pierwsze pół roku wędrówki i zaliczyła dwie sezonowe prace – na kempingu i w CamperForce – jednocześnie przyzwyczajając się do oszczędnego, koczowniczego życia w kamperze. Była samowystarczalna i wolna. To był jednak dopiero początek. Teraz przyszła pora, by znaleźć sobie plemię, wspólnotę, którą część osób nazywa „rodziną”. A do tego najlepiej nadawał się dwutygodniowy Rubber Tramp Rendezvous, który wkrótce miał się rozpocząć w Quartzsite.

„Spadam stąd – pomyślała. – Gaz do dechy i w drogę!”. Spragniona odpoczynku i ciepła, ruszyła do Arizony.

Podczas gdy reszta pracowników śpieszyła się, by zacząć nowy rok z dala od Fernley, jeden z nich pozostał na miejscu. Tym człowiekiem był Don Wheeler, dawniej rozbijający się samolotami po świecie kierownik działu oprogramowania, autor peanu o życiu nomady, który w tej książce występuje pod pseudonimem. Don to pierwszy poznany przeze mnie członek CamperForce, błyskotliwy gawędziarz, który przez wiele godzin raczył mnie opowieściami o życiu w drodze. Na początku zamierzał zostać w Fernley do 21 grudnia i miał to być jego ostatni raz w magazynie. Później chciał wpaść do Quartzsite – które nazywał „Burning Manem[10] dla starych pryków” – i odwiedzić znajomych w Górach Skalistych. Wydarzyło się jednak coś niespodziewanego. Przez trzy lata pisania o członkach CamperForce nie spotkałam się z czymś takim nigdy wcześniej ani później. Otóż Amazon zaproponował mu całoroczną pracę na pełen etat. „Hej, mam siedemdziesiąt lat, kto mnie zatrudni, jak nie oni?” – żartował w mejlu Don. W firmowym żargonie miał zostać „partnerem”. Natomiast członkowie CamperForce i inni tymczasowi z zazdrością, a czasem wręcz z pogardą nazywali takie osoby „niebieskimi plakietkami”, od koloru noszonych przez nie identyfikatorów.

W kolejnym mejlu Don poprosił, żebym nie zdradzała jego nazwiska. Wyjaśnił to tak:

> Aparatczykom niższego rzędu nie wolno rozmawiać z mediami pod groźbą śmierci, poćwiartowania albo czegoś jeszcze gorszego. Więc zacząłem się martwić. Kiedyś było inaczej – jako zwykły workamper mogłem sobie pozwolić na niefrasobliwą i beztroską krytykę machinacji Wielkiego Biznesu, teraz jednak stałem się jego częścią. Potrzebuję tej posady…

> Nie stać mnie na popularność. Jeśli pojawię się w ogólnokrajowych mediach, nawet we wzmiance na marginesie, dział HR rozprawi się ze mną raz-dwa i gdy spróbuję wejść do magazynu, moja karta nie zadziała. To się nazywa „wypadnięcie z łask giganta” i nie ma instancji odwoławczej, ponieważ według umowy można mnie zwolnić bez podania przyczyny.
>
> Wybacz, jeśli zabrzmi to paranoicznie, ale HR-owcy *nie są* moimi przyjaciółmi, choćby nie wiem jak się zapierali. Ich rolą jest pozbywać się zgniłych jabłek i wichrzycieli. Nie jestem ani tak odważny jak Nadieżda Tołokonnikowa, ani tak atrakcyjny[11].

W ciągu kilku miesięcy Don spłacił długi, wreszcie poszedł do dentysty, kupił nowe okulary, wpłacił pieniądze na indywidualne konto emerytalne i zaczął oszczędzać na harleya.

6

Miejsce Spotkań

> To było sielskie miejsce, to obozowisko – ruchomy rajski ogród, który przez cały rok przemieszcza się swobodnie w ślad za łagodnym klimatem, przystań, w której mieszkańcy na powrót dostrzegają swoje życie skompresowane na maleńkiej przestrzeni, cud wewnętrznego porządku w połączeniu z mobilnością[116].
>
> E.B. White

Kiedy w promieniach zachodzącego styczniowego słońca jedziesz na zachód autostradą międzystanową numer 10, na pustyni ukazuje się przedziwny widok. U podnóża gór Dome Rock błyszczą tysiące złotych plamek, jakby szczyty okalała lustrzana tafla. Z bliska rozmigotane kleksy rozpadają się i dostrzegasz chmary kamperów łapiących w przednie szyby ostatnie błyski dziennego światła. Oto miasteczko Quartzsite w stanie Arizona. Przez większość roku jest uśpione, niczym samotna baza między Los Angeles a Phoenix z dwoma postojami dla ciężarówek, gdzie temperatury są tak wysokie, że mogą powodować halucynacje. W trakcie piekielnego lata w miasteczku żyje niecałe cztery tysiące ludzi[117]. Więcej tu niesionych wiatrem biegaczy pustynnych niż turystów. Ale każdej zimy, kiedy robi się przyjemnie ciepło, setki tysięcy nomadów napływają z całych Stanów i Kanady, zmieniając miasteczko w sezonową metropolię nazywaną Miejscem Spotkań. Część przybyszów po prostu ciągnie w słoneczne strony – to kochający relaks seniorzy, szczęśliwi posiadacze wysokich emerytur lub oszczędności, które przetrwały krach finansowy – podczas gdy inni codziennie walczą, kurczowo uczepieni skraju rozpadającej się umowy społecznej. Różne stopnie zamożności odzwierciedla różnorodność pojazdów przemieszczających się główną ulicą.

Osobówki i pikapy holują domy wszelkiego rodzaju, od lśniących airstreamów, przez kontenery, po łezkowate przyczepki wielkości dwuosobowego namiotu. Zdarzają się minidomy z oknami w mansardkach i ażurowymi zdobieniami, ustawione na dwuosiowych przyczepach, albo ciągnięte pikapami łodzie, które na lądzie służą jako prowizoryczne

mieszkania. Są też dziesiątki wycofanych z użytku szkolnych autobusów. Niektóre wciąż żółte jak ołówki, inne pomalowane sprejem w pustynne pejzaże lub psychodeliczne esy-floresy. Część przypomina prawdziwe domy, w środku stoją kanapy i piecyki na drewno. Inne to sklepiki na kółkach, takie jak Bus Stop Ice Cream & Coffee Shop, bajecznie kolorowy ogórek w stylu współczesnego Kena Keseya, który zamienił dragi na espresso. Jest też warsztat kowalski z małym kowadełkiem w logo i sloganem: „Ty wyrzucasz, my naprawiamy”[118]. Widać rozklekotane pikapy z drewnianymi chatkami na pakach, eleganckie naczepy z antenami satelitarnymi i stare gruchoty, tak wyładowane, że szorują osiami po asfalcie. Część pojazdów wygląda nieskazitelnie, chromowane wykończenia błyszczą w słońcu. Inne zżera rdza, a z rur wydechowych buchają czarne kłęby spalin. Tu i ówdzie widać prośby o datki. Na pustej butli gazowej przyczepionej do dachu kombi wymalowano napis: „POMÓŻ OTWORZYĆ RODZINNY BIZNES” i adres zrzutki na Go Fund Me. Z tyłu starego kampera równe litery układają się w hasła: „SCHRONIENIE DLA BEZDOMNYCH” i „PANIE BOŻE, POBŁOGOSŁAW”, a pod spodem dopisano listę życzeń – „POTRZEBNE: PALIWO, GOTÓWKA, WIĘKSZY KAMPER”.

Warto zauważyć, że sam wygląd pojazdu nie zawsze świadczy o zamożności właściciela. W miejscach zasiedlanych przez członków CamperForce część ruchomych domów przypomina luksusowe jachty bogatych turystów. Gdy zaczynałam odwiedzać postoje, na których parkują pracownicy Amazona, dziwił mnie widok lśniących maszyn z antenami satelitarnymi. Dowiedziałam się wtedy dwóch rzeczy. Po pierwsze na niektórych postojach zatrzymują się dobrze opłacani pracownicy pól naftowych. Po drugie sporo osób nie ma pełni praw do swoich pojazdów. Podobnie jak na rynku mieszkaniowym, tu również można przesadzić z wydatkami i wpaść w spiralę długów, bo nie ma z czego spłacać rat. I niestety zupełnie jak tradycyjny dom, kamper również może pójść pod młotek.

Auta pełzną. Ale chyba nikomu się nie śpieszy. Oprócz domów na kółkach widać zakurzone quady, które kilka chwil temu śmigały po pustyni – kierowcy w chustach i goglach wyglądają jak oprószeni cukrem pudrem. Ciągniki siodłowe powoli suną na postoje i korkują pasy skrętu. Przy skrzyżowaniu na światłach czekają staruszkowie na skuterach inwalidzkich i sześćdziesięciolatkowie z pieskami w spacerowych wózkach. Krawężnik obsiedli młodzi ludzie z dredami, dźwigający wypłowiałe plecaki. Jako

plemię przybierają różne nazwy: *crusties*, brudne dzieci, *travellers* albo tęczowi, od zgromadzeń Rodziny Tęczy, na które wielu z nich jeździ. Część próbuje złapać stopa – do Yumy, Phoenix, dokądkolwiek. Inni trzymają tekturki z prośbą o pieniądze. Nie nazywają tego żebraniną. „Siedzenie z tabliczką”, „chodzenie z puszką”, „drobna zbiórka” – bo zbiera się drobne – to coś, co robisz, kiedy zabraknie ci kasy na benzynę. Starsi rzucają im niechętne spojrzenia, ale bywa też, że reagują z sympatią. Siwowłosa kasjerka w Dollar General, skanująca dwa sześciopaki piwa, śmieje się, gdy chłopak z blond dredami i w brązowej bluzie z kapturem w ramach dowcipu zamiast pieniędzy podaje jej garść kolorowych minerałów. W kolejce na pocztę wybucha ożywiona dyskusja między starszym turystą a młodym włóczęgą z bujnym wąsem. „Czy ludzie to istoty duchowe zdolne do transcendencji? Czy może banda prostaków rozpirzających planetę?” Wieczorem dzieciaki wracają do pustynnych obozowisk. Przy ogniu puszczają w obieg butelki whisky, brzdąkają na gitarach, pieką hot dogi, skręcają jointy, zabijają czas.

Późnym popołudniem, w porze kolacji, większość restauracji w miasteczku pęka w szwach. W popularnej pizzerii Silly Al’s seniorzy tańczą electric slide, a zespół gra na żywo utwór Barenaked Ladies, w którym pada zdanie: „Gdybym miał milion dolców, kupiłbym ci dom”. W inne dni odbywa się karaoke. Pomarszczona staruszka w czerwonym słomkowym kapeluszu wjeżdża na parkiet skuterem inwalidzkim i z mocnym vibrato śpiewa *Lookin’ out My Back Door* Creedence Clearwater Revival. W trakcie gitarowego solo kręci ósemki po sali, a reszta gości bije jej brawo.

W Main Street Eatery and Laundromat jest gwarno i tłoczno; ludzie przychodzą zjeść, zrobić pranie, czasem nawet się wykąpać. Prysznic na zapleczu kosztuje siedem dolarów, obok zaś wisi litania reguł: „Korzystanie max. 20 minut”, „Zakaz palenia”, „Nie farbować włosów”, „Nie wchodzić w butach do kabiny”. Policja przegania spod drzwi bandę tęczowych dzieciaków. Klient pralni wygłasza tyradę o komecie, która rychło zniszczy Wszechświat (a Obama guzik z tym zrobi). Szpakowaty starszy mężczyzna siedzi na parkingu oparty plecami o płot z siatki i rzuca odłamek skały Jack Russell terierowi, który za każdym razem posłusznie aportuje.

– Bo to pies na kamienie! – śmieje się facet, zauważywszy, że go obserwuję (zbieranie półszlachetnych minerałów na pustyni jest ulubionym hobby miejscowych).

Nie tylko właściciele restauracji kombinują, jak dorobić. Co roku do Quartzsite ciągną uliczni handlarze. Rozkładają tymczasowe kramy albo otwierają zamknięte poza sezonem sklepiki. Reklamy widać w całym mieście. „Tylko Mr. Motorhome ma NAJCZYSTSZE KAMPERY W QUARZSITE” – woła z plakatów sprzedawca o niepokojąco białym uśmiechu. „To nie miraż, to prawdziwa promocja” – chwali się konkurencyjna firma RV for Less. „NALEŚNIKI NA ŚNIADANIE GRATIS” – krzyczy banner przed siedzibą La Mesa RV, innego punktu sprzedaży kamperów. Przez sześć poranków w tygodniu seniorzy stoją tam w kolejce po ciepły posiłek w sali z telewizorami wyświetlającymi reklamy ruchomych domów, na które ich nie stać. Traktują te reklamy jak kazania w jadłodajniach dla ubogich – brzęczenie w tle, które należy zignorować. W mieście działają dziesiątki sklepów i punktów usługowych dla nomadów, od wysypisk śmieci przez sklepiki z panelami słonecznymi po mobilne serwisy szyb. Część ma śmieszne nazwy: stacja paliw Gaz w Oponkę, pomoc drogowa Hola Kolego, mobilny punkt czyszczenia zbiorników ściekowych Auto Proktolog. Nad wejściem do namiotu Schartel Pinstriping, gdzie maluje się wzory na karoserii, widać wielki krzyż, a pod nim hasło: „Nadzieja dla Ameryki. Ameryka dla Jezusa”.



Kamper z hasłami religijnymi i prośbami o wsparcie ustawiony na parkingu McDonalda w Quartzsite

Wszyscy szukają szybkiego zarobku, obiecując najniższe ceny. „U nas więcej i taniej” – kusi szyld reklamowy. „Czyścimy asortyment!” – wtóruje mu inny. W sklepach z przeterminowaną żywnością można znaleźć mocno przecenione produkty w uszkodzonych pudełkach i powgniatanych puszkach. W mdląco różowym outlecie Addicted to Deals [Uzależnieni od Promocji] leżą pakiety trzech płyt DVD po dziesięć dolarów i przeterminowane witaminy. „To miejsce jest zupełnie szalone – napisał w sieci jeden z klientów. – Jak skrzyżowanie akademika i opuszczonego dyskontu pomalowane na kolor antybiotyku dla dzieci”[119].

W Quartzsite trudno o przybytki kulturalne, które zadowoliłyby mieszkańców dużych miast, ale prawie każdy odwiedza księgarnię Reader’s Oasis na wschodnim krańcu Main Street. Właściciel, Paul Winer, siedemdziesięcioparoletni nudysta o skórze barwy polerowanego rzemienia, przechadza się alejkami ubrany tylko w dziergany mieszek na przyrodzenie. Kiedy jest zimno, zakłada sweter. Paul oszczędza na podatkach, gdyż formalnie księgarnia nie jest budynkiem. Nie ma ścian – zamiast nich z wiaty

nad betonową wylewką zwisają płachty brezentu. Obok stoi kilka kontenerów i przyczepa. Magazyn „Trailer Life” nazwał tę konstrukcję „szczytowym osiągnięciem architektonicznym Quartzsite”[120]. Zanim Paul został księgarzem, jeździł po kraju jako Sweet Pie, nagi pianista boogie-woogie znany ze śpiewanego wraz z publicznością przeboju *Fuck ’Em If They Can’t Take a Joke*. Do dziś zdarza mu się dawać spontaniczne koncerty na pianinie ustawionym obok wejścia do sklepu, nieopodal dyskretnie osłoniętego działu książek dla dorosłych. Paul ma też literaturę chrześcijańską, ale trzyma ją w głębi sklepu i klienci często potrzebują pomocy, żeby ją znaleźć.

– Idą do Biblii za moją gołą dupą – oznajmia dumnie.

Szukający przeżyć religijnych w bardziej tradycyjnej formie mogą się wybrać na drugą stronę Main Street, na zachód od Reader’s Oasis, gdzie w wielkim fioletowo-białym namiocie mieści się Duszpasterstwo Ostatniego Wezwania. Podczas nabożeństwa o dziewiętnastej wędrowny kaznodzieja brzdąka na złotym stratocasterze, głosząc nowinę o światłości Jezusa.

– Tę światłość widać na całym świecie! – wykrzykuje. – Nie tylko tu, w tym namiocie. Nie tylko w Quartzsite. Nie tylko w Arizonie. Jest wieeelka! Wielka i wspaniała![121]

Po każdym nabożeństwie wierni podchodzą do mównicy po namaszczenie. Pastor mówi językami i łapie ich za barki, a ludzie – nawet jedna kobieta o kulach – osuwają się, zemdleni, w ramiona jego pomocników.

Każdego roku w tym zimowym spektaklu biorą udział dziesiątki tysięcy nomadów. W Quartzsite mieszczą się zaledwie trzy nieduże motele, za to jest tu ponad siedemdziesiąt postojów dla przyczep o nazwach kuszących wizją odpoczynku: Arizona Sun, Desert Oasis, Holiday Palms, La Mirage, Paradise, Winter Haven, Scenic Road (dewiza tego ostatniego: „Zwolnij i ciesz się życiem”, dobrze podsumowuje panujący tu klimat). Za średnio trzydzieści dolarów za noc można wynająć miejsce parkingowe na asfalcie lub żwirze, z podłączeniem do wody, prądu i kanalizacji, z dostępem do prysznica i pralni, czasem nawet z internetem i kablówką. Na wiele postojów nie wpuszcza się „młodych”, czyli „urodzonych po erze Eisenhowera”, a przed wjazdem stoją tabliczki z napisem „55+”. Pewien dziennikarz w artykule dla gazety „The Scotsman” nazwał jedno z tych miejsc „parkingiem jurajskim”.

Większość gości nie zawraca sobie jednak głowy płatnymi postojami. Gromadzą się na terenach publicznych tuż za miastem, niczym pionierzy w czasach gorączki złota. Rozbijają obozowiska na twardej mieszance pyłu i żwiru, zwanej „pustynnym betonem”. Zamiast płacić za media, czerpią prąd z paneli słonecznych lub generatorów na gaz, a wodę przywożą ze sobą w butlach i kanistrach. Brak drobnych wygód rekompensują im wspaniałe widoki. Kamperowcy parkują obok gigantycznych kaktusów o rozłożystych pędach, wysokich i grubych niczym słupy telefoniczne. Zbierają się wzdłuż wyschniętych strumieni, szukając skrawków cienia wśród pustynnej roślinności. Za sąsiadów mają szczuroskoczki, przepióry czubate, jaszczurki, skorpiony i wędrujące stadami kojoty, których nocne szczekanie przebija się przez szum generatorów. Są też grzechotniki, ale te budzą się dopiero wiosną, gdy migotliwy skwar przepędza ludzi z pustyni. Aby poczuć się jak w domu, przybysze rozkładają wycieraczki, grille i krzesła ogrodowe, rozwijają markizy, sztuczne trawniki i maty wodoodporne, ustawiają kolorowe flagi i grodzone wybiegi dla psów. Przypomina to gigantyczny piknik, nazwany kiedyś w „National Geographic” „największym parkingiem Ameryki”. W innych źródłach porównywano tutejszych seniorów do szalonych studentów na wakacjach[122], a ich obozowisko zyskało przydomek „Palm Springs dla ubogich”[123].

Pustynia to terytorium federalne. Zarządza nią państwowa agencja Bureau of Land Management, a nomadom wolno tu parkować za darmo przez dwa tygodnie. Po ich upływie muszą się przemieścić na inny publiczny grunt, oddalony co najmniej o czterdzieści kilometrów, albo przenieść do strefy dla turystów La Posa Long Term Visitor Area o powierzchni przeszło czterech tysięcy hektarów. Pobyt tam kosztuje czterdzieści dolarów za dwa tygodnie lub sto osiemdziesiąt za okres do siedmiu miesięcy[124]. Ci, którzy go wykupią, otrzymują kolorową naklejkę przestawiającą kukawkę kalifornijską i płatek śniegu. Przylepiona do przedniej szyby, również poza sezonem pozwala im rozpoznawać się nawzajem, niczym odznaka jakiegoś tajnego stowarzyszenia.

Szacuje się, że od grudnia do lutego przez pustynię w okolicach Quartzsite przewija się ponad czterdzieści tysięcy wędrowców. Bill Alexander obserwuje ich od niepamiętnych czasów, takie przynajmniej ma wrażenie. Główny architekt terenów rekreacyjnych i szef straży parkowej Bureau of Land Management w Yumie pracuje w tych stronach od siedemnastu lat

i nawet po tak długim czasie wciąż jest pod wrażeniem tutejszych stosunków sąsiedzkich.

– Czasem facet na rowerze, z psem na smyczy, rozbija namiot obok gościa w kamperze za pięćset tysięcy, a mimo to świetnie się dogadują – opowiadał mi. – Obaj cieszą się, że mogą korzystać z terenu, który należy tak samo do faceta na rowerze, jak do bogatego kamperowca.

Podobne słowa usłyszałam od Iris Goldenberg, poznanej w Fernley członkini CamperForce. Sześćdziesięciodwuletnia Iris mieszkała w trzymetrowej sportowej przyczepie carson kalispell z suczką rasy shih tzu Madison, papużką nierozłączką imieniem Pancho i gadatliwą papugą żako, którą nazwała Kaspar, na cześć pewnego szesnastowiecznego teologa. Kiedy gawędziłyśmy w ciasnym wnętrzu przyczepy, Iris wspomniała o Quartzsite. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałam. Iris, podobnie jak Bill, była zafascynowana tamtejszym zatarciem się granic klasowych. To wyjątkowe zjawisko na tle współczesnej Ameryki, w której rośnie liczba podzielonych majątkowo dzielnic, odgradzających – i izolujących – bogatych mieszkańców od biedoty. W Quartzsite sprawy mają się inaczej.

– To takie podwórko, na którym każdy może się bawić – tłumaczyła. – Jesteś tam mile widziana niezależnie od stanu konta.

Iris wychwalała też zbawienny wpływ suchego klimatu i niedrogie zakwaterowanie. Na dodatek łatwo tam złapać dorywczą robotę – w końcu tymczasowe miasteczka potrzebują tymczasowych pracowników – i to wówczas, gdy w reszcie kraju zleceń dla workamperów jest jak na lekarstwo. Kiedyś zatrudniła się do zmywania naczyń za osiem dolarów na godzinę w restauracji Sweet Darlene’s („Pyszne jedzenie w rozsądnej cenie”), gdzie w każdy piątek o szesnastej ustawiała się kolejka chętnych na smażoną rybę, a w kuchni chybotliwe sterty brudnych talerzy piętrzyły się pod sam sufit. Innym razem pracowała w foodtrucku z chińszczyzną na wynos – Rockin’ Wok. Kiedy ją tam odwiedziłam, wybiegła do mnie z naręczem ciastek z wróżbą.



Iris Goldenberg z papugą Kasparem

Choć panuje tu duch wspólnoty, ludzie, jak to ludzie, chętnie znakują terytorium, dzieląc się na osobne podplemiona. Powszechny jest zwyczaj układania linii z kamyków, wyznaczających umowne granice. Z kamieni układa się też inicjały i przeróżne figury, które przypominają pustynne tatuaże. Mieszkańcy tworzą sektory o nazwach typu Równina Kojotów albo Wesołe Koczowisko Rogera, oznaczone prowizorycznymi szyldami: od schludnych drewnianych tabliczek, które wyglądają jak wykonane na lekcji techniki, po zabazgrane w pośpiechu papierowe talerze przyklejone taśmą do drewnianych tyczek[125].

Jeśli chodzi o podział na plemiona, odbywają się tu dziesiątki zlotów organizowanych przez grupy, które łączy jakaś wspólna cecha. Czasami kryterium jest wiek. Jedna z grup, o nazwie Boomers, składa się z przedstawicieli pokolenia powojennego, choć jest ich tutaj tylu, że tworzenie oddzielnego klubu wyłącznie dla nich wydaje się pozbawione sensu. Zloty o nazwach Xscapers czy KamperoVanie skierowane są do osób nieco młodszych, o czym świadczy chaotyczna ortografia i wykorzystanie

wielkich liter – znaki porozumiewawcze pokolenia ery cyfrowej. Inne frakcje to: Wędrowne Wędki dla miłośników rybołówstwa, Gołąbki Pokoju dla wolontariuszy pomagających ofiarom katastrof czy Tęczowe Kampery dla gejów i lesbijek (niezwiązane z żaden sposób z „tęczowymi dzieciakami”). Są też kluby dla samotnych, takie jak Sieć Wędrownych Singli czy Samotnicy na Kółkach. Ci ostatni kierują się niezwykle surowymi zasadami. „Wystarczy jedno bara-bara i wylatujesz” – opowiadał uczestnik zlotu w wywiadzie dla teksańskiej gazety „Victoria Advocate”. Kodeks Samotników rekomenduje swoim członkom „zawieranie znajomości poprzez kulturalne rozmowy” oraz upomina, że „niespokrewnionym osobom płci przeciwnej zabrania się nocowania na jednej parceli”[126]. Natomiast na południu La Pose Long Term Visitor Area istnieje Zaklęty Krąg, specjalna trzydziestohektarowa przestrzeń dla grupy nudystów, otoczona plakatami z hasłem: „UWAGA. OD TEGO MIEJSCA MOŻESZ SPOTKAĆ OSOBY OPALAJĄCE SIĘ NAGO” (bywalcy Quartzsite w internetowych dyskusjach żartobliwie nazywają tę okolicę Miastem Zmarszczek lub Krainą Zwiotczeń i Fałd)[127].

Na pustyni spotykają się też kluby miłośników konkretnych marek. W chaotycznym zatrzęsieniu najrozmaitszych środków lokomocji odznaczają się enklawy, w których dziesiątki podobnych do siebie kamperów i przyczep tworzą jednorodne zbiory. Wchodząc między nie, człowiek ma wrażenie, że znalazł się na osiedlu identycznych domków szeregowych, wyrosłym nie wiadomo skąd w samym środku pustkowia.

Londyński dziennik „Financial Times” nazwał Quartzsite jednym z najdziwaczniejszych i najbardziej zwariowanych miejsc w Ameryce[128]. Tymczasem w Stanach nie jest ono żadną aberracją. Trudno byłoby znaleźć inne miasteczko tak do bólu amerykańskie – do tego stopnia, że ociera się o karykaturę. Miejsce rodowitych mieszkańców, których zostało niewielu, zajęli przybysze polujący na pakistańskie łapacze snów i wyszywane paciorkami chińskie mokasyny. Zima nie istnieje. Wróżbiarze, duchowi poszukiwacze i amatorzy promocji zjeżdżają się, wiedzeni wspólnym przekonaniem, że najlepszy sposób na ucieczkę od problemów to napełnić bak i ruszyć w drogę. Quartzsite zawsze było schronieniem dla wędrowców, samotników, ludzi pragnących określić się na nowo. Na dodatek do perfekcji opanowało sztukę podnoszenia się z upadku.

Korzenie miasta sięgają roku 1856, kiedy to biali osadnicy zbudowali prywatny Fort Tyson, aby odeprzeć ataki plemienia Mohave[129]. Później w forcie powstał przystanek dla dyliżansów pod nazwą Tyson's Wells, na którego ruinach, obok pizzerii Silly Al's, znajduje się dziś maleńkie muzeum (pozostałe tutejsze muzea – gumy do żucia i militariów – cieszą się wyraźnie mniejszą popularnością). W 1875 roku pamiętnikarka Martha Summerhayes opisała Tyson's Wells jako miejsce „ze wszech miar melancholijne i nieprzyjemne. Czuć je nieczystością moralną i fizyczną”[130]. Wraz z końcem ery dyliżansów osada zmieniła się w miasto widmo. W 1897 roku ożyła za sprawą boomu wydobywczego. Otwarto pocztę, a miejscowość dostała nazwę Quartzsite (miało być Quartzite, od kwarcytu; „s” wkradło się przez pomyłkę i tak już zostało).

Najsłynniejszą lokalną personą był Hadżi Ali, urodzony w Syrii poganiacz wielbłądów. Pochowany w Quartzsite w 1902 roku, jest lepiej znany jako Hi Jolly (w ten właśnie niezdarny sposób Amerykanie wymawiali jego imię). W 1856 roku Ali trafił do eksperymentalnego Korpusu Wielbłądniczego Stanów Zjednoczonych, będącego próbą wykorzystania tych krnąbrnych zwierząt do transportu towarów przez południowo-zachodnie Stany. (Przez krótki czas wielbłądy nosiły nawet pocztę między Tucson a Los Angeles. Z eksperymentu zrezygnowano w 1861 roku, wraz z wybuchem wojny secesyjnej[131]). Nagrobek Alego ma formę piramidy z kwarcu i skrzemieniałego drewna ze stalowym dromaderem na czubku i mierzy około trzech metrów. Na froncie widnieje napis: „TU SPOCZYWA HI JOLLY, URODZONY GDZIEŚ W SYRII W 1828 ROKU”. I dalej: „WIERNY SOJUSZNIK RZĄDU AMERYKAŃSKIEGO PRZEZ PONAD TRZYDZIEŚCI LAT”. Chodzą plotki, że w tym samym grobie pochowane są prochy jego wielbłąda Topsy'ego.

Może z wyjątkiem nagiego księgarza, Hadżi Ali to najsławniejszy mieszkaniec Quartzsite. Na jego cześć wielbłąd został nieoficjalną maskotką miasta. Odwiedzający je mijają ogromną tablicę powitalną z metalowymi dromaderami, takimi jak ten na nagrobku Alego. Jeden z miejscowych postojów przyczep nosi nazwę Pod Wypchanym Wielbłądem. Na zachodnim krańcu Main Street stoi wielbłąd zespawany ze starych części samochodowych. Na dodatek przez miasto co roku przechodzi parada na cześć Hi Jolly'ego. W czasach dostatku był to cały festiwal, w ramach którego w różnych latach odbywały się autorodea i wyścigi na wielbłądach. Syn właściciela restauracji z punktem bukmacherskim Quartzsite Yacht Club

przebierał się w kostium wielbłąda i szalał na parkiecie, podczas gdy zespół grał na żywo *Hi Jolly*, hit folkowej kapeli New Christy Minstrels. Bohater piosenki przedstawiony jest w niej jako człowiek pracujący bez wytchnienia, a zarazem uganiający się za spódniczkami bon vivant.

Ale nawet oryginalna historia nie uchroniła Quartzsite przed zapomnieniem. Do połowy lat pięćdziesiątych jego populacja skurczyła się do zaledwie jedenastu gospodarstw domowych[132]. Następnie, jak wieść niesie, miasteczko podźwignęło się z kryzysu dzięki stertom rupieci i ładnym kamykom. W latach sześćdziesiątych zaczęto tu urządzać pchle targi, zapoczątkowane dzięki awarii samochodu na autostradzie międzystanowej numer 10. Prowadząca go kobieta, która podróżowała na zachód z czwórką dzieci, nie miała pieniędzy na mechanika, sprzedała więc zabawki swoich córeczek[133]. Wkrótce znalazła naśladowców handlujących wprost z pikapów. Z czasem powstał z tego ogromny bazar. W 1967 roku, korzystając z napływu kupujących, grupa miejskich aktywistów urządziła targi kamieni szlachetnych i minerałów, zwane Pow Wow. Impreza zyskała dużą popularność i wiele osób uważa, że to ona ocaliła Quartzsite przed wymarciem. Z biegiem lat w miasteczku organizowano kolejne pchle targi i wymiany: Greasewood Park n'Sell, The Prospector's Panorama, The Main Event, Sell-A-Rama (w Tyson Wells). Zimą zapełniają one połacie pustyni, które przez resztę roku świecą pustkami. Wygląda to tak, jak gdyby ktoś wyprzedawał dobytek obsesyjnego zbieracza. Na stolikach zalegają krowie czaszki, żeliwne patelnie i damskie torebki z kieszonkami na broń.

Na jednym z takich targowisk, Hi Ali Swap Meet przy Main Street, spotkałam siedemdziesięcioletnią Sharen Peterson. Wszyscy nazywają ją Chere (wymawiają jak „sherry"). Zamiast na stoliku, Chere rozłożyła towar na starych drewnianych drzwiach. Wśród innych drobiazgów miała tam samurajską katanę, skórę wapiti, hawajskie koszule oraz przybory kuchenne, których przestała potrzebować, gdy zamieszkała w fordzie e350. Tu i ówdzie tkwiły skrawki papieru z dowcipnymi mądrościami jak z naklejek na zderzaki: „Amunicja drożeje, strzału ostrzegawczego nie będzie" albo „Starsi państwo na wakacjach". Obok stoiska przechadzali się turyści. Ktoś kupił cztery koszule za siedemnaście dolarów.

– Świat byłby lepszy, gdyby wszyscy nosili hawajskie koszule! – zawołała Chere.

Ktoś inny zapłacił dwadzieścia pięć dolarów za zestaw brązowych i turkusowych sztućców, które kupiła kiedyś w Santa Barbara za dwie dychy.

– To jedyny nałóg, na którym możesz się odkuć – mówiła o zakupach w sklepach ze starociami.

Chere nosiła baseballową czapeczkę ze złotymi i srebrnymi przypinkami w kształcie koników morskich i innych wodnych żyjątek. Spod czapki wystawały dwa jasne mysie ogonki. Miała zmarszczki w kącikach oczu i wytrawioną słońcem skórę, być może pozostałość po latach sześćdziesiątych spędzonych w Manhattan Beach na południe od Los Angeles (do dziś ma zdjęcia, w małym i dużym formacie, na których uczesana w kucyk i z grzywką nieśmiało pozuje w bikini obok żółtej deski surfingowej). Wspominała, o ile łatwiej było wtedy przetrwać. Człowiek żył na ćwierćdolarówkach.

– Benzyna kosztowała dwadzieścia pięć centów[12], podobnie jak paczka papierosów i pół kilo mielonej wołowiny.

Chere przeniosła się do busa po sprzedaży domu w Minnesocie. Kupiła go w 1989 roku i przez dwadzieścia trzy lata mieszkała w nim, jednocześnie wynajmując pokoje. Przyłapana na braku zezwolenia, musiała zrezygnować z wynajmu, co skończyło się utratą domu.

– Tym biurokratom już kompletnie odbija – westchnęła smutno.

Początkowo myślała, że będzie żyć z pieniędzy z jego sprzedaży. Ale w wyniku zapaści na rynku dom, w 2002 roku wart trzysta tysięcy dolarów, poszedł za sto czterdzieści tysięcy. Po spłaceniu hipoteki i brokerów Chere pozostała niewielka sumka, którą jednak dobrze wykorzystała. Bus, który kupiła, przed przeróbką miał piętnaście miejsc siedzących. Czuła się w nim jak w pałacu z oknami na przestrzał, tyle że widok za szybą wciąż się zmieniał. Po odjęciu stówy na ubezpieczenie zdrowotne z Social Security zostawało jej sześćset dolarów miesięcznie.

– Na benzynę wystarczy – śmiała się. – A jeżeli nie, to zawsze mogę zostać tam, gdzie jestem.

Dobytek woziła ze sobą w trzech plastikowych workach, a ponadto wynajmowała regał w magazynie za sześćset dolarów rocznie. Za stoisko na targu płaciła trzysta dolarów miesięcznie, plus pięćdziesiąt za miejskie pozwolenie na handel. Kiedy nie siedziała w Quartzsite, sprzedawała biżuterię przy plaży w Santa Barbara. Sezonowy abonament na parkowanie kosztował tam tylko sto dolarów, ale nie działał między drugą w nocy a szóstą rano, kiedy plaże były zamknięte. Gdzie spędzała ten czas?

– W ukryciu – wyjaśniła spokojnie.

W okolicy było sporo miejsca, gdzie mogła dyskretnie zaparkować, a w przeciwieństwie do starego hipisowskiego ogórka, którym kiedyś jeździła, jej obecny dom był biały i nie zwracał niczyjej uwagi.

Kilka dni po naszym pierwszym spotkaniu umówiłam się z Chere na kolację w Quartzsite Yacht Club. Zamówiła podwójnego hamburgera, ale zjadła tylko jeden kotlet. Drugi zawinęła w serwetkę i schowała dla Skittlesa, psa koleżanki, która wyskoczyła do Phoenix i zostawiła go pod jej opieką. Sałatę, pomidora i cebulę polała na boku mieszanką keczupu i majonezu przypominającą sos tysiąca wysp. Wypiła dwa piwa bezalkoholowe, po czym przerzuciła się na wodę z lodem i cytryną. Gdy posiłek dobiegł końca, nie pozwoliła za siebie zapłacić. Ostrożnie przelała resztkę wody do styropianowego kubeczka. Zimna i orzeźwiająca była dla niej rarytasem, zwłaszcza z lodem, którego nie dawało się robić w busie.

Razem wróciłyśmy na targowisko. Kiedy spytałam, gdzie śpi, odparła, że najłatwiej jej nocować w busie zaparkowanym naprzeciwko straganu. Nikt jej tam nie przeszkadzał. Uważała, że moje życie w Nowym Jorku to szaleństwo, i cieszyła się, że nie utknęła w betonowej dżungli.

– Skoro ptaki mogą mieszkać albo w parku, albo w mieście, to czemu ze mną ma być inaczej? Nie musimy wszyscy żyć tam, gdzie nam społeczeństwo każe. Przecież o to właśnie chodzi!

Jak do wielu małych miast w Ameryce, do Quartzsite zawitały ciężkie czasy. Na tętniącej życiem Main Street widać lokale, którym się nie powiodło. Drzwi i okna jednej z restauracji zabito deskami. Fasada stacji benzynowej obłazi z wyblakłej farby, a dystrybutory wyglądają na nietknięte od dziesiątków lat.

Starzy bywalcy mówią, że kiedyś w sezonie można było przejść całą pustynię, skacząc po dachach kamperów. Ale w ostatnich latach liczba gości mocno zmalała. Tak naprawdę nikt nie wie dlaczego, ale każdy ma swoją ulubioną teorię: walki lokalnych polityków, podwyżki podatków od nieruchomości i opłat dla właścicieli straganów, różnice kursu dolara amerykańskiego i kanadyjskiego, wahania cen paliw. Niektórzy uważają, że to przez tysiące kolekcjonerów kamieni, którzy odwiedzali tutejsze targi, a teraz przenieśli się do Tucson. Inni, że zawinił ogólnokrajowy kryzys gospodarczy, przez który mniej ludzi stać na dalekie wyprawy łakomym na benzynę kamperem, nie mówiąc już o tym, że brak im wolnego czasu.

„Jako rodowity mieszkaniec Quartzsite pamiętam, jak na początku lat osiemdziesiątych w szczycie sezonu mieliśmy tu ponad milion gości. Dziś przyjeżdża może z trzysta tysięcy – napisał do mnie w mejlu Philip Cushman, prezes lokalnej izby handlowej. – Jak na ironię w czasach przed klimatyzacją ludzie parkowali na pustyni przez pół roku bez przerwy i nikt nie narzekał. Teraz, kiedy tylko temperatura przekracza trzydzieści pięć stopni, uciekają, jakby ich ktoś gonił”. Dodał, że „wśród odwiedzających miasto nastąpiła sztafeta pokoleń. Generacji wojennej wystarczały bingo, potańcówki, zbieranie kamieni i prace społeczne. Dziś zastępują ją osoby urodzone po wojnie, które pragną mieć więcej rozrywek, bo inaczej się nudzą”. Cushman nie przyjmuje do wiadomości, że najlepsze czasy Quartzsite dobiegły końca. W ostatnich latach mieszkańcy eksperymentują z nowymi imprezami, takimi jak The Gathering, święto seniorów, podczas którego sześćset trzydzieści jeden osób uformowało wielkie Q, aby ustanowić rekord Guinnessa w kategorii największa litera stworzona z ludzi[134].

Mimo tych wysiłków wielu gości Quartzsite zmaga się z problemami finansowymi i nie stać ich na szastanie pieniędzmi, które ożywiłoby lokalną gospodarkę. Aby im pomóc, w ośrodku misyjnym Isaiah 58 Project przy South Moon Mountain Avenue pastor i były harleyowiec Mike Hobby prowadzi wraz z żoną Lindą sezonową kuchnię dla potrzebujących. Po tym, jak sami doświadczyli bezdomności – za sprawą poważnej choroby nieubezpieczone małżeństwo utonęło w długach – w 2003 roku założyli ośrodek pomagający ludziom bez środków do życia. Misja się rozrosła i dziś co roku, od listopada do marca, wydaje tysiące obiadów dla seniorów i bezdomnych. W przeciwieństwie do wielu ośrodków misyjnych, żeby tu zjeść, nie trzeba wysłuchać kazania.

Mike powiedział mi, że starsi nomadowie ciągną do Quartzsite, bo to „miasteczko dla biednych emerytów” i „tania kryjówka”. „Kryjówka przed czym?” – zapytałam. Odpowiedź brzmiała: przed wstydem, ubóstwem i chłodem. Na pustyni ludzie „nie muszą się martwić, że zamarzną. Mówią dzieciom, że wszystko u nich w porządku”.

Gdy odwiedziłam misję pewnego wieczoru, ujrzałam kolejkę ludzi z plastikowymi tacami, czekających na spaghetti z potrawką z kurczaka, sałatkę, pieczywo czosnkowe i jabłecznik z kruszonką. Goście siedzieli przy długich stołach w pomieszczeniu magazynowym za budynkiem kościoła, które otwierało się na parking. Panowała radosna atmosfera. Emeryci gawędzili z trampami wskakującymi na pociągi towarowe i wagabundami na

rowerach. Nad głowami zebranych wisiał ręcznie malowany plakat. Ludzik z kresek podchodził na nim do wrót, które po jednej stronie miały czerwone płomienie, a po drugiej złoty obłok. Podpis brzmiał: „Czas minął! Co wybrałeś? Odrzucając Jezusa, wybierasz piekło”.

Przy stole poznałam Leonarda Scotta, byłego właściciela stacji benzynowej, który przedstawił się jako Scottie. Nosił włosy związane w cienki, pozlepiany w strąki siwy kucyk pod czapeczką baseballową z napisem „Jezus nasz Pan”. Mieszkał w winnebago rocznik 1995. Kiedy padł rynek, sześćdziesięciotrzyletni Scottie stracił swoje „imperium”, czyli dwa wolnostojące domy i jeden bliźniak, kupione w ramach inwestycji. Teraz dostawał pięćset dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie z Social Security, a do tego pracował w gorących źródłach w Tonopah i zamierzał dołączyć do znajomych, którzy zbierali smardze na Wybrzeżu Północno-Zachodnim – podobno sto gramów chodziło tam po trzydzieści dolarów. Marzył, by zamieszkać kiedyś na plaży na wyspie Kauai i żywić się owocami z drzew[13].

Niedaleko misji znajduje się miejski bank żywności. Spotykałam się tam kilka razy z Carol Kelley, osiemdziesięcioletnią wdową, która kieruje nim niestrudzenie zza zagraconego biurka pod ścianą obwieszoną informacjami o zdrowym żywieniu.

– Pewnego dnia umrę na tym krześle – żartowała.

Niedawno uśmiechnęło się do niej szczęście – pod postacią wywróconej ciężarówki pełnej cukru, zielonego groszku, ogórków, fasolki szparagowej i owoców mango. Carol rozprowadzała nielegalne łupy z entuzjazmem straganiarki wyprzedającej resztki warzyw przed końcem sezonu. W pewnej chwili do jej biura weszło małżeństwo z Oregonu. Mieszkali w busie. Kobieta opowiedziała mi, że mieli kiedyś kawiarnię, ale splajtowali i zaczynają od nowa. Malowała portrety psów, które mieli nadzieję sprzedać na pchlim targu.

Carol wręczyła im skrzynkę warzyw. Po ich wyjściu sprawiała wrażenie podenerwowanej.

– Wystarczająco trudno jest dbać o mieszkańców, a tu dochodzą jeszcze goście – wyjaśniła. – Tyle osób zjeżdża tu na zimę, a my musimy je karmić. To nie w porządku.

Do rozmowy włączył się wolontariusz, całkiem jakby chciał ją powstrzymać.

– Karmimy wszystkich – powiedział cicho. – Wszystkich traktujemy tak samo.

Na pustynię obok Quartzsite jeździłam trzy zimy z rzędu, z namiotem i w kamperze, żeby lepiej poznać nomadów, którzy spędzali tam długie miesiące. Z niektórymi spotykałam się kilka razy. Byli wśród nich moi rozmówcy z Nevady, Barb i Chuck Stoutowie, nauczycielka muzyki i były wicedyrektor McDonalda.

Kiedy Barb i Chuck po raz pierwszy przyjechali do Quartzsite, wciąż próbowali odzyskać siły po trzymiesięcznej pracy w CamperForce. Podobnie jak innych, męczyła ich w trójnasób. Przede wszystkim była wyczerpująca fizycznie („Po dziesięciu godzinach dźwigania, robienia obrotów, kucania i sięgania do wysokich półek bolały mnie mięśnie, o których istnieniu nie miałam pojęcia” – wspominała Barb). Do tego dochodziła kafkowska atmosfera – po czterdziestu pięciu minutach szukania pustego binu Barb musiała powtarzać sobie w duchu: „Oddychaj, oddychaj”, żeby nie popaść w obłęd. Na własny użytek nazywała magazyn Ama-zoo. Trzecią kwestią było zwykłe przetrwanie (odkąd zamarzł i pękł filtr, w aucie nie było wody. Później zepsuła się pompa. Chuck musiał poświęcić dzień pracy, żeby wszystko naprawić).

Po tym wszystkim marzyli o słońcu Arizony. Jako nowicjusze nie mieli jednak pojęcia, gdzie zaparkować. Pewna para zaprosiła ich na doroczny zlot pod nazwą Birds of a Feather Quartzsite Rally. Postanowili sprawdzić, co to takiego. W miejscu, które nazywano „gniazdem”, zastali ponad osiemdziesiąt pięć luksusowych autokarów bluebird wanderlodge ustawionych obok siebie w wielkim okręgu – niczym promienie słońca na dziecięcym rysunku. Pojazdy stały przodem do wewnątrz, według iksów wydrapanych w ziemi dokładnie co siedem i pół metra. Na białej tablicy z napisem „Witamy w Quartzsite” codziennie ogłaszano nowe wydarzenia: „Damski Marsz” (z dopiskiem: „Maszeruj, stara, maszeruj”), „Obchód Techniczny dla Panów”, kurs obsługi broni pod tytułem „Strzelanie taktyczne”[135] i „Żeberka u Raya” (z żartobliwym ostrzeżeniem: jeśli zapomnicie zapłacić za steki, na miejscu okaże się, że Ray „podarował wasz kawałek nieba bezdomnym w miasteczku”).

Stoutowie prędko się dowiedzieli, że ich national seabreeze z 1996 roku to JIM (czyli „jakaś inna marka”). Nie dopuszczono ich do kręgu

wtajemniczonych, musieli zaparkować z boku. Czasem wieczorami urządzali sobie własne ognisko.

Czuli się tam obco, na szczęście znaleźli bardziej gościnne plemię, którego członków łączyła wspólna ciężka praca. Na kawałku pustyni zwanym Scaddan Wash odbyło się nieoficjalne spotkanie członków CamperForce. Dziewięcioro pracowników Amazona i jeden emerytowany policjant, który dołączył z ciekawości, zasiadło na składanych krzesełkach, wspominając pracę w magazynie przy chrupiących skórkach wieprzowych, nachosach, młodych marchewkach i kanapkach z wegańską pastą jajeczną przyrządzoną przez Barb. Odśpiewano piosenkę *Twelve Days of Amazon*, parodię klasycznej angielskiej pastorałki *Twelve Days of Christmas*, w której bohater podarował ukochanej „wyjące klaksony", „plakietkę dla ochrony", „dwie pary rękawiczek", „trzy odblaskowe kaftany" i w końcu „dziesięć obolałych mięśni". Później odbyła się loteryjka z nagrodami w postaci amazonowych gadżetów: można było wygrać firmowe breloczki, otwieracze do butelek, smycze i pendrive'y (gdy zaproponowano mi nóż introligatorski, grzecznie odmówiłam, tłumacząc, że czeka mnie lot do domu). Ktoś rzucił plastikowe niebieskie frisbee, za którym pobiegł Sydney, pies Stoutów. Ludzie zastanawiali się na głos, jakim cudem w Amazonie odliczali dni do końca sezonu, podczas gdy tutaj kompletnie stracili poczucie czasu.

Barb i Chuck polubili Quartzsite i odtąd pielgrzymowali tam co roku. Podobnie jak Iris chwytali się dorywczych zajęć. Pracowali między innymi na targach turystycznych: zbierali śmieci, pilnowali bramy dla wystawców i obsługiwali stoisko z akcesoriami wędkarskimi, uchwytami na bidony i innymi ciekawymi gadżetami. To ostatnie zajęcie Barb lubiła najbardziej – czuła się kimś pomiędzy jarmarczną naganiaczką a prezenterką telezakupów. Częstowała gości koktajlem Bloody Mary i zwinnie demonstrowała przyrząd do wiązania pętelek na żyłce wędkarskiej. Szef zachęcał ją do popisów przed publiką. Raz, gdy do stoiska podjechała staruszka na skuterze inwalidzkim, przyczepił jej do sztucznej nogi mocowany rzepem uchwyt na kubki. Wtedy od akcji wkroczyła Barb.

– Liquid Caddy pasuje wszędzie, do wszystkiego! – oświadczyła. Wskazała na szefa. – On nie żartuje! Dałby sobie za to nogę uciąć!

Po raz ostatni widziałam Stoutów przy okazji ich trzeciej wizyty w Quartzsite. Byli już wtedy doświadczonymi nomadami. Odprawiali przy ognisku radosny rytuał oczyszczający, wrzucając w płomienie stare wnioski o upadłość.

7

Rubber Tramp Rendezvous

Miasteczko Needles w Kalifornii wzięło nazwę od ostrych granitowych szczytów sterczących niczym wyszczerbione zęby. John Steinbeck, opisując je w powieści *Grona gniewu*, uczynił to miejsce tak nieprzyjaznym, jak wskazuje tamtejszy krajobraz. Gdy rodzina Joadów zatrzymuje się w Needles na odpoczynek na koczowisku namiotowym nad rzeką Kolorado, przepędza ich stamtąd zastępca szeryfa. Nazywa ich Oklakami i z pogardą mówi: „Nie chcemy, żeby się tu osiedlali tacy jak wy". Na to matka grozi mu żelaznym rondlem. „Proszę pana […], ma pan blaszaną gwiazdę i broń. Ale tam, skąd my jesteśmy, tacy jak pan nie podnoszą głosu"[136].

Linda zatrzymała się w Needles po drodze na RTR. Jechała prosto z magazynu w Fernley, oddalonego od miasteczka o trzynaście kilometrów. Tak jak Joadowie była wykończona i chciała się przespać. Ale inaczej niż oni, zamierzała uniknąć awantur z policją. Musiała znaleźć miejsce, gdzie można stanąć na noc ośmioipółmetrowym kamperem za darmo i nie zwracając na siebie uwagi. W Needles nie było Walmartu, innym sensownym rozwiązaniem byłby jakiś całodobowy lokal z działającym parkingiem. Zjeżdżając z Historic Route 66, Linda sprawdziła godziny otwarcia supermarketu Bashas' w pasażu handlowym w centrum miasta. Zamykał się wcześnie, za to sto metrów dalej znajdowała się całodobowa siłownia. Na parkingu ruch był niewielki, ale Linda nie miała wyboru. Stanęła naprzeciwko wejścia i wczołgała się do łóżka.

Przespała całą noc, a po przebudzeniu natychmiast przypomniała sobie, że musi coś załatwić. Gdy pracowała w Amazonie, upłynął okres ważności dowodu rejestracyjnego – „ależ durnota ze mnie!" – który musiała przedłużyć, żeby jechać dalej. Na mapie w telefonie wyznaczyła trasę do lokalnego oddziału Departamentu Pojazdów Mechanicznych. GPS poprowadził ją prosto. Potem kazał zawrócić. I znów prosto. Trasa dobiegła końca, a Linda wylądowała dokładnie w tym samym punkcie. Gdy kolejna

próba skończyła się identycznie, podjechała na stację benzynową. Ekspedient wskazał jej budynek na skraju pasażu.

– Stałam tam całą noc – wspominała ze śmiechem. – Po prostu go nie zauważyłam.

Niedługo później, już z podstemplowanym dowodem, znalazła się na autostradzie międzystanowej numer 95. Od Quartzsite dzieliły ją niecałe dwie godziny jazdy.

„Przyjeżdżajcie na RTR, bierzcie udział w warsztatach, poszerzajcie wiedzę, spotykajcie wspaniałych ludzi – brzmiało zaproszenie na stronie internetowej Boba. – My, współcześni nomadowie, pod wieloma względami przypominamy dawnych ludzi gór: lubimy samotność i wędrówkę, ale potrzebujemy też czasem się spotkać i poznać innych, którzy nas rozumieją”[137].

Te słowa przemówiły do stęsknionej za towarzystwem Lindy. Gdy siedem miesięcy wcześniej ruszała w drogę, nie myślała wyłącznie o przeżyciu – marzyła o wspólnocie, o spotkaniu z ludźmi, którzy gotowi są diametralnie zmienić swoje życie, aby osiągnąć spełnienie i wolność. Jednak nocne zmiany w Amazonie okazały się wyczerpujące i bardzo samotne. Wolne dni poświęcała na regenerację i nie miała czasu spotykać się z innymi nomadami. Gdy w Nevadzie zapanowała zima, a temperatury spadły do prawie minus dwudziestu, sąsiedzi z Desert Rose, zamiast korzystać ze wspólnej przestrzeni, w większości zaszywali się w swoich pojazdach. Linda miała tego dość. Cieszyła się na łagodniejszy klimat Arizony i na dwadzieścia stopni ciepła po południu.

Oczywiście nie miała pewności, że będzie jej tam dobrze. Nigdy wcześniej nie była w Quartzsite. Nie umiała się poruszać po otaczającej miasto bezkresnej pustyni. Nie znała nawet drogi do obozowiska RTR-owców. Część nowicjuszy zdążyła już zapoznać się z trasą wirtualnie na forum Boba, ona jednak nie brała dotąd udziału w dyskusjach. Znała tylko Silvianne (Jen i Ash ruszyły ku nowej przygodzie i planowały przyjazd dopiero w połowie imprezy). Czuła się jak przed pierwszym dniem w nowej szkole. Chciała poznawać ludzi. Uczyć się nowych rzeczy. Ale co, jeśli się okaże, że tam nie pasuje? Większość RTR-owców to przecież minimaliści. Czy spojrzą przychylnie na jej wielki paliwożerny kamper?

Zamiast martwić się na zapas, poszukała odpowiedzi w internecie. „Cześć, wybieram się na swój pierwszy zlot. Czy jest jakaś mapa obozowiska i kalendarz imprez? Będę wdzięczna za każdą pomoc” – napisała na

facebookowej stronie wydarzenia. Kilka osób podrzuciło jej harmonogram. Swankie Wheels podlinkowała coś, co wyglądało jak klipartowa mapa skarbów z zaznaczoną na żółto drogą do obozowiska. U jej kresu znajdował się czerwony iks i napis: „Tu jesteśmy”.

I tak Linda wyruszyła na spotkanie swojego przyszłego plemienia. Kamper trząsł się na wybojach Dome Rock Road East – w miarę oddalania się od miasta droga nabierała coraz bardziej postapokaliptycznego charakteru. Miejscami była tak zniszczona i popękana, że kierowcy wybierali jazdę poboczem. Po prawej stronie przesuwał się Scaddan Wash, publiczny teren, na którym przez czternaście dni można parkować za darmo. Długie rzędy ustawionych na jego skraju kamperów sprawiały, że przypominał raczej wielki piknik niż dzikie pustkowie. Resztki asfaltu kończyły się przy barierce w pomarańczowo-białe pasy. Linda skręciła w prawo, w żwirową Mitchell Mine Road, która wznosiła się i opadała wśród pustynnych zarośli, biegnąc na południe, gdzie ruch powoli topniał i zaczynało się odludzie. Dwa i pół kilometra dalej, na poboczu, wyrósł żółty znak ze strzałką w prawo i napisem „Rubber Tramp Rendezvous”. (Za dnia pozwalał odnaleźć drogę do obozowiska. Jednak dotarcie tam po zmroku było dla nowicjusza trudne. Podczas pierwszej bytności w Quartzsite próbowałam dojechać tam wieczorem i szybko się zgubiłam. Zauważywszy w oddali ognisko, ucieszona podjechałam bliżej, ale trafiłam na grupę „tęczowych” i *crusties*, imprezujących przy whisky i ziole. Usiadłam i słuchałam, jak dziewczyna z gitarą śpiewa na całe gardło zadziorną piosenkę Kimyi Dawson: „Zamiast piwa na śniadanie mam taniego wina haust, zaraz mroczki przed oczami, nie odlecę tak do gwiazd”).



Drogowskaz do Rubber Tramp Rendezvous

Linda powolutku wjechała na teren kempingu. Kilkadziesiąt rozsianych wokół pojazdów przypominało osiedle małych domków współdzielących jedno bezkresne podwórze. Stały tam busy najróżniejszego autoramentu: minivany, dostawczaki i busiki pasażerskie, busy z zabudową kempingową lub rampami dla niepełnosprawnych oraz furgony. Jeden był wynajęty: po obu stronach widniało logo firmy przeprowadzkowej (Linda dowiedziała się później, że mieszka w nim początkujący nomada, który przeleciał samolotem z Chicago do Phoenix i dopiero tam odebrał auto służące mu w trakcie imprezy za dom i środek transportu). Było też kilka przyczep kempingowych, pikapów z naczepami, kamperów, SUV-ów i sedanów, a nawet jedna toyota prius. Jakiś rowerowy wagabunda zadowolił się dwoma kółkami i namiotem. Linda zauważyła też kilka bardziej egzotycznych pojazdów, w tym własnoręcznie zbudowany seledynowy wóz cygański. Skonstruowany na wzór tradycyjnych dziewiętnastowiecznych romskich wozów konnych, podczepiony do pikapa pojazd był domem sześćdziesięciopięcioletniego

byłego stoczniowca z Oregonu, który wygrał walkę z rakiem nerki, a obecnie żył za czterysta siedemdziesiąt jeden dolarów miesięcznego zasiłku.



Lou Brochetti w swoim wozie cygańskim

Pośrodku tej zwariowanej osady mieściło się duże palenisko – główny punkt spotkań. Kawałek dalej Linda znalazła miejsce parkingowe obok kępy rachitycznych drzew. Zabrała się do rozbijania obozu.

Flota mobilnych domów robiła piorunujące wrażenie. Po zakończeniu imprezy Bob opublikował zdjęcia. Pod spodem pojawił się komentarz czytelnika: „Gdybym zobaczył twoje zdjęcia bez opisu… mógłbym pomyśleć, że to raport z futurystycznego świata wojowników szos… świata, w którym nie istnieją już zasady rynku, a ludzkość przeniosła się do samochodów”[138].

Bob organizował zimowy RTR po raz czwarty. Rola guru okazała się niełatwa. Miesiącami obmyślał plany i rozpuszczał wici. Po rozpoczęciu imprezy praca stała się bardziej namacalna. Porozstawiał wzdłuż drogi tablice na solidnych słupkach, mocno powbijanych w ziemię w obawie przed

pustynnym wiatrem. Skserował kalendarz wydarzeń i harmonogram warsztatów. Rozbił namiot w kształcie tipi – z dwudziestolitrowym wiadrem, workami na śmieci, mokrymi chusteczkami i papierem toaletowym – miły gest w stronę nowicjuszy. Obok paleniska ułożył stertę drewna, rozpostarł na ziemi kawał niebieskiego brezentu i obciążył go kamieniami. Miały tam spocząć rzeczy do zabrania; kamperowcy na bieżąco pozbywają się przedmiotów, starając się poszerzyć ograniczoną przestrzeń. Na stosie codziennie lądowało coś nowego: koce, książki, duże słomkowe sombrero, części samochodowe, klapki, aparat cyfrowy, śledzie do namiotów, plastikowe kubki, numer magazynu „Backpacker" o parku Yosemite, koszulki, spodnie i duża donica z terakoty. Nowy właściciel donicy wypełnił ją podpałką, a na wierzchu ułożył metalową kratkę, na której stawiał garnek z zupą. Linda zazwyczaj szukała książek, chwytając to, co wzbudzało jej ciekawość. Pokazała mi jedno ze swoich znalezisk, *The Secret Symbols of the Dollar Bill. A Closer Look at the Hidden Magic and Meaning of the Money You Use Every Day* [Tajemnice dolara. Ukryte znaczenie pieniędzy, których używasz na co dzień] w miękkiej okładce.

Bob nie czerpał z organizacji zlotu żadnych zysków. Jego gościnność udzielała się innym i przyciągała osoby równie chętne, by dzielić się swoimi umiejętnościami, zasobami i doświadczeniem. Licencjonowana kosmetolożka za dobrowolne datki strzygła ludzi obok chevroleta astro, w którym mieszkała z mężem i dwoma psami. Pewien kamperowiec postawił bar w tropikalnym stylu, z neonem, ogrodowymi flamingami i świecącą palmą, i urządzał w nim imprezy. Swankie demonstrowała działanie piekarnika solarnego – a w zasadzie pudełka z odblaskowymi płytkami – piekąc dla wszystkich brownie, chlebek bananowy i babeczki z jagodami. Mechanicy uczyli podstaw naprawy samochodów. Stolarze zbijali ramy łóżek i półki do nowo przerobionych busów. Właściciele dużych paneli słonecznych dzielili się energią, zostawiając obok nich przedłużacze, żeby przechodnie mogli naładować swój sprzęt. Głucha kobieta przeprowadziła spontaniczne zajęcia z amerykańskiego języka migowego. Pewien facet pokazał, jak naprawiać opony. Przyniósł ze sobą starą oponę radialną, którą uczestnicy mogli dziurawić i łatać do woli, później zaś udzielał porad na temat przenośnych dwunastowoltowych sprężarek. Te umiejętności Linda ceniła sobie szczególnie i wykorzystała podczas kolejnego sezonu na kempingu, ratując strażników leśnych, którzy złapali gumę w wozie strażackim.



Kosmetolożka Kyndal Dimon jak co roku strzyże Boba

Jedna z obozowiczek, Lesa NeSmith, codziennie o wschodzie słońca rozpalała ognisko i gotowała kawę, częstując każdego, kto podchodził z kubkiem. Miała to we krwi. Dawno temu, gdy mieszkała w wieżowcu w Richmond w stanie Wirginia, w każdą niedzielę wstawała wcześnie rano, parzyła kawę w perkolatorze i otwierała drzwi do mieszkania, żeby wszyscy wiedzieli, że gorący napój już na nich czeka.

Przyrządzano wspólne posiłki: pieczone ziemniaki z dodatkami, które każdy przynosił sobie sam, składkowe chili albo zupy gotowane w ogromnych garnkach, jak za czasów wielkiego kryzysu. Przestrzeń wokół dużego ogniska rozpalanego po zachodzie słońca często pustoszała między dziewiątą a dziesiątą, gdy powieki zaczynały ciążyć, a w nocne powietrze wkradał się chłód.

Wszechobecne było poczucie godności. Prawie wszyscy, których poznałam, podzielali nastawienie Ala Christensena, sześćdziesięciodwuletniego byłego dyrektora artystycznego w firmie reklamowej, który od słowa „bezdomny” woli określenie „bezmiejscowy”[139].

Jak przystało na kogoś jego profesji, Al zręcznie dobiera słowa. Opowiadał mi, jak przez kilka lat źródła zleceń powoli wysychały, a to, co zostało, zgarniali młodsi. Kiedyś był specem od praktyk reklamowych, teraz został praktycznie bez pracy. Sam o sobie mówił, że jest samotnikiem i znosi towarzystwo tylko w ograniczonych dawkach. Pewnego razu wyszedł w samym środku wykładu o oszczędzaniu, bo musiał przez jakiś czas pobyć sam ze sobą. Kilka dni później wrócił. Lubił RTR-owców i uważał, że ukazują koczownicze życie w dobrym świetle, dzięki czemu „ludzie widzą, że to jeden z możliwych scenariuszy, który zasługuje na szacunek, a nie że ktoś »mieszka w busie nad rzeką«”.

Lindę zachwycał panujący tam duch życzliwości. Chcąc wchłonąć jak najwięcej wiedzy, chodziła na warsztaty, które odbywały się prawie codziennie od dziesiątej rano. Wielu stałych bywalców dobrze znało nauki Boba – z własnych doświadczeń, z tych samych warsztatów rok wcześniej albo z jego książki zatytułowanej *How to Live in a Car, Van or RV… And Get Out of Debt, Travel & Find True Freedom* [Jak mieszkać w aucie, wygrzebać się z długów, podróżować i zyskać prawdziwą wolność][140]. Choć była dość praktyczna, książka zawierała również ćwiczenia na granicy sztuki performatywnej. „Trenuj w swoim mieszkaniu. Na początek przeprowadź się do sypialni i spróbuj nie korzystać z innych pomieszczeń”. Następnym krokiem miało być określenie wewnętrznych wymiarów przyszłego domu na kółkach. Jeśli komuś potrzebne jest, powiedzmy, pięć i pół metra kwadratowego, może sobie spreparować taką przestrzeń. „Weź kilka dużych kartonów i wydziel w kącie sypialni powierzchnię metr osiemdziesiąt na trzy. A teraz spróbuj w niej pomieszkać” (jeśli kogoś stresuje perspektywa życia w busie, to trudno sobie wyobrazić, żeby próby na sucho w kartonie po lodówce mogły go podnieść na duchu).

Mimo to prawie wszyscy, nawet weterani zlotu, przychodzili ze składanymi krzesełkami, żeby posłuchać Boba. Jedni notowali. Inni walczyli z porannym chłodem, chowając ręce w kieszeniach sportowych bluz albo sącząc z kubków parującą kawę. Kilka osób usiłowało opanować rozbieganą sforę psów. Pupile RTR-owców, najróżniejszych typów i rozmiarów – od chihuahua przez coonhounda po łagodnego półwilka – szwendały się w pobliżu, wymieniając powitania, żebrząc o przysmaki, obwąchując popiół w palenisku, sikając na chaparral (i raz na mój dyktafon), a także od czasu do czasu wdając się w bójki.

Jeden z najbardziej żywiołowych wykładów dotyczył sztuki parkowania na dziko. Skierowany do miejskich nomadów, którzy często musieli omijać przepisy, uczył, jak wtapiać się w otoczenie i unikać znienawidzonego momentu, gdy do drzwi delikatnie stuka policjant, gdy w ścianę łomoczą pijacy albo przechodzień, mrużąc oczy, zagląda przez szybę i pyta: „Czy ktoś tutaj mieszka?". Wszyscy wiedzieli, o jakie uczucie chodzi. Swankie przeżywała je w nocnych koszmarach. „Mam taki dziwny surrealistyczny sen, w którym ktoś dobija mi się do busa – napisała kiedyś. – Zazwyczaj kiedy stoję gdzieś, gdzie nie czuję się swobodnie, albo parkuję na dziko. Wkurzające to jak cholera. Bo w rzeczywistości tam nikogo nie ma. No dobrze, czasem ktoś jest, ale jeśli to policja lub ochrona, to przeważnie coś mówią"[141].

Pierwszą radą Boba było: znaleźć bezpieczną strefę. Lata w branży spożywczej i doświadczenia z czasów, gdy sypiał w samochodzie przed swoim miejscem pracy, uczyniły go wielbicielem całodobowych supermarketów. Tłumaczył, że w miastach, gdzie zabronione jest spędzanie nocy przed Walmartem, można znaleźć schronienie na parkingach innych dużych sieci, takich jak Kmart, Sam's Club, Costco, Home Depot albo Lowe's. Warto też postawić na sklepy ze sprzętem turystycznym typu Bass Pro czy Cabela's. Z tolerancji dla kamperowców słynęła sieć Cracker Barrel. Pasaże handlowe i całodobowe jadłodajnie, takie jak Denny's, również mogły się nadać. Czasem najlepsze wyjście to stanąć między dwoma lokalami – w każdym wysnują wniosek, że jesteś klientem drugiego. I zawsze mądrze jest wjechać na miejsce na wstecznym, przodem do drogi, by w razie kłopotów móc się szybko ewakuować. Jeżeli zaś zostajesz gdzieś dłużej – zwłaszcza w dzielnicach typowo mieszkalnych – dobrze znaleźć obozowisko dzienne i nocne. W dziennym załatwiasz zwykłe potrzeby, łącznie z przyszykowaniem się do snu. Do nocnego przenosisz się po zmroku i tylko po to, żeby się przespać. Opuszczasz je z samego rana. Jeśli koniecznie musisz w nocy zapalić światło, warto użyć czerwonej czołówki, która nie świeci tak mocno jak zwykła.

Bob podkreślał również, jak ważne jest wymyślenie sobie dobrej historyjki. Jeśli parkujesz blisko szpitala, mów, że odwiedzasz pacjenta. Jeśli blisko warsztatu samochodowego – że masz awarię silnika. Jednocześnie uczulał swoją trzódkę na to, by się nie zagalopowywała.

– Jeżeli kiepski z ciebie gawędziarz, nie próbuj wymyślać piętrowych fabuł.

Kolejnym istotnym elementem był kamuflaż. Warto jeździć czystym autem, nie zawalać fotela pasażera stertami prania czy innych bambetli i unikać przyciągających uwagę ozdób, takich jak nakładki na antenę czy naklejki na szybę lub zderzak (ta ostatnia uwaga wywołała żartobliwe protesty. „A co z naklejką »Porozmawiajmy o Jezusie«? Czyż to nie znakomity straszak?”. Jeden z nomadów, który nie był religijny, jeździł z taką nalepką w ramach eksperymentu i zarazem dowcipu dla wtajemniczonych). Ludziom mieszkającym w dostawczakach Bob radził, żeby upodobnili się do robotników – położyli w widocznym miejscu odblaskową kamizelkę albo zamontowali na dachu bagażnik drabinowy. Mieszkańcom białych furgonetek – żeby poszukali lokalnych firm hydraulicznych bądź cateringowych posiadających flotę podobnych pojazdów i spróbowali się w nią wtopić. Kamuflaż polegał też na tym, żeby się zbyt mocno nie barykadować – jeśli ktoś ma cały czas zasłonięte okna, ludzie będą ciekawi, co się dzieje w środku. A także na stosowaniu sprytnych sztuczek, kiedy ktoś idzie się myć do publicznej łazienki. Można na przykład kupić myśliwską kamizelkę z mnóstwem kieszonek i pochować w nich przybory toaletowe.

Oprócz tego Bob podkreślał, że policjant to nie zawsze wróg. Niektórzy nomadowie opowiadali, jak pukali do nich zatroskani funkcjonariusze, pragnący po prostu spytać, czy wszystko w porządku. Pewna kobieta z Ohio wspominała miłego glinę, który od czasu do czasu przynosił jej kawę. Zbierając z wyprzedzeniem informacje o danym mieście albo rozmawiając z innymi nomadami, można się sporo dowiedzieć o nastawieniu tamtejszych mieszkańców. W przyjaznych miejscach warto czasem od razu podjechać na posterunek, opowiedzieć jakąś smutną historię i zapytać, gdzie można bezpiecznie spędzić noc. I jeszcze jedno: choćby człowiek nie wiem jak się tajniaczył, miejscowa policja prawdopodobnie i tak o nim wie.

– Gliniarze nie są głupi. Jeśli od pół roku jesteś gdzieś „tylko przejazdem”, zorientują się, o co chodzi.

Wszyscy byli jednak zgodni co do tego, że przeważnie policjantów najlepiej po prostu unikać. Ludzie mieli na to sprytne sposoby. Pewien nomada pochwalił się w internecie, że zainstalował na smartfonie skaner policyjnych radiostacji. Podsłuchując rozmowy lokalnych stróżów prawa, wiedział, kiedy ktoś go zgłosił za nielegalny postój, i mógł się zmyć przed przyjazdem radiowozu. Aplikacja miała też inne zastosowanie. Gdy zbliżała się grupa chuliganów, puszczał głośno przerywane szumami i trzaskami

komunikaty z radia, dzięki czemu jego auto udawało nieoznakowany radiowóz.

Nie mniejszą popularnością cieszyły się wykłady Boba na temat oszczędzania, okraszone mocną pochwałą minimalizmu i potępieniem kultury konsumpcyjnej. Bob tłumaczył słuchaczom, że nawet jako niewolnicy gospodarki rynkowej mogą poszerzyć swój margines wolności, ograniczając potrzeby i wydając mniej.

– Według norm społecznych jestem nędzarzem, ale według standardów wspólnoty nomadów żyję całkiem nieźle – mówił.

Doradzał oszczędzanie na paliwie dzięki wspólnym dojazdom do miasta, unikaniu niepotrzebnych wypadów i aplikacjom wskazującym najtańsze stacje benzynowe. Gorąco zachęcał słuchaczy, aby stworzyli sobie fundusz rezerwowy – powiedzmy dwa tysiące dolarów – nawet jeśli musieliby to robić powoli, odkładając do koperty po trzy dolary dziennie. Powiedział, że ma znajomego, który żyje za dwie i pół stówy miesięcznie.

– Ilu spośród was wystarcza pięć stów na miesiąc? – zapytał. Zgłosiło się kilka osób. – A kto nie ma długów? – Nagle podniósł się las rąk, a wraz z nim rozbrzmiały śmiechy i aplauz. Jeden z nomadów wstał i pstryknął zdjęcie.

– Czegoś takiego nie uświadczysz nigdzie indziej w Ameryce – stwierdził z podziwem.

Gdy ktoś poruszył temat zarabiania w drodze, jeden ze słuchaczy zdradził, że jest wędrownym krupierem. Kasyna w całym kraju zatrudniają tymczasowych pracowników do obsługi turniejów pokerowych, z czego łatwo da się wyciągnąć trzydzieści dolarów na godzinę plus darmowe posiłki w czasie pracy. Za pierwszym razem, pracując podczas World Series of Poker w Las Vegas, mężczyzna ten w siedem tygodni zarobił jedenaście tysięcy. W procesie rekrutacyjnym najwyraźniej nie liczył się wiek, gdyż spotkał tam krupierów po siedemdziesiątce i osiemdziesiątce. Zajęcie to miało, jego zdaniem, tylko dwa minusy. Po pierwsze należało przejść szkolenia, które czasem bywały darmowe, ale niekiedy kosztowały kilkaset dolarów. Po drugie trzeba było codziennie brać prysznic.

Po wykładzie Linda powiedziała mi, że nie wie, czy chce wracać do Amazona, za to praca krupierki brzmi fantastycznie. Przypomniały się jej czasy sprzedawania papierosów i kelnerowania w Riverside Casino.

– Zrobiłabym to bez zastanowienia. Zostałabym krupierką – oznajmiła.

Inne warsztaty dotyczyły montażu paneli słonecznych, workampingu, gotowania w prowizorycznej kuchni i parkowania na dziko. Podczas anonimowej sesji Q&A uczestnicy zapisywali trudne pytania na skrawkach papieru, które wrzucali potem do puszki. Następnie moderator odczytywał je na głos. „Co zrobić, jeśli rodzina nie akceptuje mojego stylu życia?" „Jak znaleźć partnera?" Zdarzały się i żarty: „Jak uprawiać seks w busie?".

Bob opowiadał również, jak znaleźć taniego dentystę w Los Algodones w meksykańskim stanie Kalifornia Dolna, nazywanym „miastem trzonowców", ponieważ w obrębie kilku kwartałów działa tam trzysta pięćdziesiąt gabinetów. Linda miała nadzieję, że pojedzie tam kiedyś naprawić górną protezę. Kiedy głaskała Coco, zęby wypadły jej z kieszonki koszuli, a ona niechcący na nie nadepnęła. Bob po raz pierwszy odwiedził Los Algodones po tym, jak dentysta w Nevadzie wycenił wizytę na dwa i pół tysiąca, których on nie był w stanie zapłacić. W Meksyku tę samą rzecz wykonano mu za sześćset dolarów. I choć różnice nie zawsze są aż tak ogromne, to usługi tamtejszych dentystów kosztują przeważnie o połowę mniej niż w Stanach.

Bob zaczął jeździć do Los Algodones każdego roku, na czyszczenie zębów za dwadzieścia pięć dolarów. Ponieważ w mieście aż się roi także od tanich zakładów optycznych i aptek, robił zapasy leków na nadciśnienie – recepty nie były wymagane – a dodatkowo płacił sto dolarów za badanie wzroku i nowe okulary. Udało mi się raz zabrać z nim na taką doroczną wycieczkę. Całą grupą wsiedliśmy do busa i przejechaliśmy sto trzydzieści kilometrów ze Scaddan Wash obok Quartzsite do Yumy, a potem jeszcze kawałek do malutkiej przygranicznej miejscowości Andrade. Zaparkowaliśmy obok kasyna należącego do lokalnego plemienia Quechan i przeszliśmy przez granicę, mijając szyld z wielkim napisem „BIENVENIDOS", pod którym mniejszymi literami dodano ostrzeżenie dla gości ze Stanów: „W Meksyku posiadanie broni jest nielegalne".

Bob zaprowadził nas do nowego budynku z fasadą ze szkła i marmuru. Po prawej stronie wisiał banner z portretami uśmiechniętych pacjentów – w większości białych – na tle implantu zęba. Weszliśmy przez lustrzane drzwi. Personel, ubrany w odprasowane szaroniebieskie uniformy, zaprosił nas do poczekalni o ścianach obwieszonych dyplomami. Bob zabrał mnie do czyściutkiego gabinetu, gdzie na monitorze wyświetlone były jego zdjęcia rentgenowskie. Kiedy wychodziłam, leżał na fotelu pod lampą, a dentysta zaglądał mu do szeroko otwartych ust.

Na ulicy minęłam stoisko z pamiątkami, kilka sklepów monopolowych, plakaty reklamujące przecenione o połowę aparaty słuchowe i tablicę przed apteką, która zapraszała do zakupu taniej viagry i tabletek odchudzających. W jednej z witryn dostrzegłam dwóch techników dentystycznych siedzących przy stole; jeden z nich, w maseczce, ciął małą piłką gipsowy odlew szczęki. W ogródkach restauracyjnych siwowłosi turyści zajadali tacos z krewetkami, popijali margaritę, a czasem tańczyli do muzyki na żywo. Gitarzysta cichym, rzewnym głosem śpiewał *Desperado*. Z baru za rogiem dobiegały dźwięki *Hotel California*. Jakiś czas później przeczytałam wpis na blogu nomady, któremu wyczyszczono zęby i zrobiono prześwietlenie szczęki przy dźwiękach *Take It to the Limit* i *Lyin' Eyes*[142]. W mieście najwyraźniej nie dawało się przejść jednej przecznicy, nie słysząc The Eagles.

Przeczekawszy trwające od południa do trzeciej największe natężenie ruchu, kiedy na granicy trzeba czekać w kolejce nawet godzinę, na piechotę wróciliśmy do Arizony.

Poznałam Lindę podczas jej pierwszej wizyty na RTR, tuż po wykładzie o oszczędzaniu. Zapytałam, jak jej się podoba.

– O rany. Parę dni temu po raz pierwszy od lat poczułam radość. Radość! To lepsze niż bycie szczęśliwą. – Mrużąc lekko oczy, opowiadała mi, jak wybrały się z Silvianne na wycieczkę do miasta. – Jechałyśmy sobie w tym jej małym busiku, szukając miejsca, gdzie można by wyrzucić śmieci, a ja pomyślałam: „Oto nasze nowe życie". Jest naprawdę wspaniale.

Kilka dni później Lindę wciąż niosła fala pozytywnych uczuć. Opowiedziała mi, że stronę Boba odkryła w momencie, gdy myślała wyłącznie o tym, jak utrzymać się przy życiu.

– Teraz już nie walczę o przetrwanie, ja kwitnę! A wiesz, w sumie o to właśnie chodzi. Kiedy człowiek się starzeje, chce cieszyć się życiem, a nie tylko dożyć jakoś następnego dnia.

Po kilku miesiącach biegania po magazynie wreszcie poczuła, że się rozluźnia. To, co zwykle ją wkurzało, teraz zaczęło bawić, jak wydzwaniający w kółko windykator, który usiłował się skontaktować z poprzednią właścicielką jej numeru. Kiedyś uprzejmie tłumaczyła mu, że doszło do pomyłki. Teraz rzucała: „Chwileczkę. Zawołam ją!", i nie rozłączywszy się, zostawiała telefon na dwadzieścia minut. Sama siebie doprowadzała tym do śmiechu.

Jen i Ash przyjechały w połowie stycznia. Po skończeniu pracy w Amazonie odwiedziły rodzinę w Kolorado, przewędrowały południową krawędź Wielkiego Kanionu i obejrzały earthshipy w Nowym Meksyku. Teraz odnalazły Lindę i zaparkowały Manata tuż za jej kamperem. Nie były zdziwione, kiedy przedstawiła im grupę nowych znajomych.

Jedna z nich, sześćdziesięciojednoletnia Lois Middleton, mieszkała nieopodal w trzymetrowej przyczepie aloha rocznik 1965, którą nazwała Kochanym Domkiem, w skrócie Domeczkiem. Wcześniej Lois mieszkała w Vancouver w stanie Waszyngton i podobnie jak Linda była inspektorką budowlaną. Jednak w 2010 roku, gdy pracodawca stwierdził, że musi ciąć etaty, po ponad dwudziestu latach wypchnięto ją na bezrobocie. Wszystko posypało się jak domek z kart. Lois straciła ojca. Bank przejął jej dom i samochód. Ogłosiła bankructwo. Miała nadzieję, że zamieszka z synem, ale okazało się, że on także stracił dom. Kiedy wyruszyła w drogę z Domeczkiem na holu, nie miała pojęcia, co ją czeka.

– Plan był taki, że nie było planu – powiedziała mi.

Linda jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy, ale jedna z kobiet, które tam poznała, miała się w przyszłości stać jej najlepszą przyjaciółką (później zaczęły mówić o sobie „psiapsi na wieki”. Na początku brzmiało to jak żart z młodzieżowego języka, ale z czasem została sama szczerość). LaVonne Ellis, sześćdziesięciosiedmioletnia dziennikarka, była w drodze od października. Po latach pracy w zawodzie, w tym jako korespondentka radiowa w stacji ABC, wylądowała w rozgłośni w Minneapolis. Wkrótce przyszło nowe szefostwo i pozbyło się działu informacji. LaVonne awansowała do kadry kierowniczej, ale średnio jej wychodziło zarządzanie. Zwolnili ją. Sądziła, że szybko znajdzie nową pracę, okazało się jednak, że rynek jest znacznie mniej przychylny dla osób po pięćdziesiątce.

– Wyszło na to, że byłam za stara – wspominała później.

Przeprowadziła się do siostry i szukała dalej, aż wreszcie dostała propozycję czytania trzydziestosekundowych wiadomości dla kierowców za dziesięć dolarów na godzinę. Przyjęła zlecenie i zaczęła pracować – najpierw w Los Angeles, potem w San Diego. Pieniędzy ledwo starczało, zwłaszcza że była samotną matką, a jej najmłodszy syn wciąż mieszkał w domu, ale radziła sobie nie najgorzej, dopóki nie dopadły jej migreny. Pogłębiała się u niej nadwrażliwość na chemikalia i substancje zapachowe. W domu zaczęła używać bezwonnych środków czyszczących i było lepiej, ale po kilku godzinach w biurze głowa pulsowała z bólu. W końcu rzuciła pracę i przeszła

na rentę. Łapała w sieci drobne zlecenia na akord, ale nie było z tego dużych dochodów. Skończyło się tak, że spała na polówce w salonie dwupokojowego mieszkania, które dzieliła z synem i jego żoną. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że zabiera im miejsce, ale nie miała dokąd pójść. Czuła, że długo tak nie pociągnie. Aż przeczytała książkę o życiu w drodze. To jej podsunęło nowy pomysł.

Latem 2013 roku LaVonne wypożyczyła samochód i namiot i wybrała się na mniej liczny odpowiednik RTR niedaleko Flagstaff w Arizonie. To doświadczenie zmieniło jej życie. Tak pisała o nim na swoim blogu:

> Znalazłam się wśród swoich – kolorowa banda odmieńców otoczyła mnie miłością i akceptacją. Pisząc „odmieńcy”, nie mam na myśli wyrzutków czy nieudaczników. To byli inteligentni, pełni empatii, ciężko pracujący obywatele, którym łuski spadły z oczu. Po długich latach pogoni za amerykańskim snem doszli do wniosku, że to jeden wielki szwindel[143].

Tak jej się spodobało, że kupiła busa. Znaleziony w komisie w El Cajon bordowy GMC safari rocznik 2003 miał na liczniku dwieście siedem tysięcy kilometrów i kosztował cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Nazwała go LaVanne. Z tylnych siedzeń zrobiła kanapę i łóżko, za nimi urządziła kuchnię. Zamierzała wygrzebać się z długów, spłacić busa i odłożyć sobie fundusz rezerwowy, jednocześnie utrzymując się z zasiłku i próbując pisać wspomnienia. Dwa miesiące przed poznaniem Lindy wprowadziła się do LaVanne i pojechała spotkać się z Bobem. Na początku było ciężko, noce często bywały zimne. Bob pożyczył jej ciepły śpiwór, po czym kazał go zatrzymać, powtarzając, że sam go nie lubi. A teraz LaVonne po raz pierwszy brała udział w zlocie jako stuprocentowa nomadka. Z pomocą dwóch nowych znajomych zamontowała na dachu LaVanne panel słoneczny. Zgłosiła się do prowadzenia spacerów, które codziennie o ósmej trzydzieści rano ruszały znad paleniska. Raz zaprosiła wszystkich sąsiadów na śniadanie złożone z jajecznicy i ziemniaków. Kiedy zjawiłam się z sokiem pomarańczowym i jajkami, zmierzyła mnie sceptycznym spojrzeniem. Ludzie nie byli przekonani do towarzystwa dziennikarki, wyjaśniła. Bali się, że przedstawię ich jako „bandę bezdomnych wagabundów”. Zapewniłam ją, że nie o to mi chodzi, i wycofałam się, by pogadać z innymi.

Mniej więcej w tym czasie LaVonne i pozostali czekali na wydarzenie, które pokrywało się ze zlotem i co roku przyciągało tysiące nomadów: Targi Sportowe, Wakacyjne i Kamperowe w Quartzsite. Nazwa długa, więc

wszyscy nazywali imprezę Big Tent. Zjeżdżało na nią ponad dwustu wystawców, a całość przypominała trochę olbrzymie telezakupy. Naganiacze z zestawami słuchawkowymi demonstrowali blendery Vitamix i ściągaczki do podłóg. Sprzedawcy w budkach zachwalali lekarstwa na wszelkie przypadłości, od agorafobii i artretyzmu przez bezsenność, ból pleców, ostrogi i podagrę po rwę kulszową i skurcze mięśni. Jeden z wystawców obiecywał pomoc osobom z kredytami przekraczającymi wartość ich pojazdów, reklamując się hasłem „Rozwiążemy twój problem ze spłatami”. Swoje stoiska miały Amerykańskie Stowarzyszenie Naturystów, Twin Peaks RV Insurance i Americas Mailbox, firma oferująca „przekierowywanie przesyłek i usługi meldunkowe” wędrownym pracownikom, którzy na szybko potrzebowali adresu w Dakocie Południowej. Gdzie indziej oferowano rolki czyszczące, Super Glue, identyfikatory dla zwierząt, kursy obsługi broni i poduszki do masażu.

Na targach rozstawiły się także punkty rekrutacyjne dla workamperów. Przedstawiciele Amazona zapisywali nazwiska chętnych i rozdawali bloczki samoprzylepnych karteczek z uśmiechniętym logo CamperForce. Koncesjonariusze Służby Leśnej namawiali przechodniów, żeby zatrudnili się do obsługi kempingu. Część na miejscu przeprowadzała rozmowy z kandydatami i rozdawała przydziały do konkretnych miejsc. Jeden z nich miał na stoisku uniformy dla nowych pracowników. Agencja pracy tymczasowej Express Employment Professionals szukała chętnych do zbiorów buraka cukrowego.

– Wystarczy wypełnić wniosek i jest pani zatrudniona na najbliższy sezon – powiedział mi jeden z rekrutujących. – Gotowi jesteśmy dziś podpisać umowę.

Moje spojrzenie przyciągnął podświetlony szyld z napisem „Adventureland”. Pod spodem, na trzyczęściowej rozkładanej tablicy, zobaczyłam zdjęcia siwowłosych pracowników parku rozrywki ubranych w niebieskie koszulki polo z plastikowymi identyfikatorami. Uśmiechali się z wagonika kolejki górskiej, jeździli staroświecką lokomotywą, odpoczywali przed barem z kurczakami Chicken Shack i trzymali wielkie pluszaki do wygrania w festynowych konkursach. Spomiędzy fotografii wyzierały proste grafiki: uśmiechnięte żółte buźki, piesek z wywalonym językiem, a także drukowane hasła.

Znów poczuj się dzieckiem!

Hej, workamperze, czas się rozerwać!

Wypoczynek + praca + uśmiech = zabawa!!!

Firma Adventureland z siedzibą w Altonie w stanie Iowa rozesłała swoich przedstawicieli, aby zatrudnili trzysta osób do obsługi parkowych atrakcji oraz kiosków z jedzeniem i pamiątkami za godzinową stawkę wahającą się od siedmiu dolarów i dwudziestu pięciu centów do siedmiu i pół dolara. Do parku należało pobliskie osiedle przyczep i jego władze zachęcały pracowników, żeby się tam zatrzymywali. Od czerwca do września cena za postój wynosiła sto sześćdziesiąt dolarów miesięcznie. Pracownicy, którzy zostawali na cały sezon, byli zwalniani z opłat za sierpień i wrzesień.

Kierownictwo Adventurelandu zatrudniało starszych nomadów od prawie dwudziestu lat i ceniło sobie ich pogodne usposobienie. „Część z nich dogadałaby się ze słupem telefonicznym, naprawdę potrafią wciągnąć do rozmowy – rozpływał się dyrektor działu HR Gary Pardekooper w nagranym w 2012 roku wywiadzie dla »Workamper News«. – Podoba nam się to i naszym gościom też”.

Zdołałam spotkać się tylko z jedną byłą pracownicą Adventurelandu. Rozmawiałam z nią, kiedy pracowała w magazynie w Fernley. Nie była zachwycona.

– Szefostwo było okropne, goście nieznośni, pogoda nie do wytrzymania, a jeszcze na dodatek ta Iowa i te upały! – wypaliła sześćdziesięciodwulatka, dodając, że wiele osób nie wytrzymywało złego traktowania i rzucało pracę. – Jeden facet tak się wkurzył, że wskoczył do kampera, jak stał. Miał rozłożoną markizę, a mimo to po prostu odjechał – zachichotała na wspomnienie łopoczącego na wietrze daszku.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że rok później, w połowie lipca, uda mi się zahaczyć o Adventureland przy okazji wycieczki po kraju. Popołudnie było parne, temperatura przekroczyła trzydzieści stopni, a powietrze migotało od upału. Park rozrywki majaczył niby landrynkowy miraż między zielonymi polami kukurydzy a kompleksem wyścigowym Prairie Meadows. Na kempingu dla pracowników rosły jesiony. Przy wielu kamperach powiewały amerykańskie flagi, a numery rejestracyjne pochodziły ze Środkowego Zachodu: Iowy, Nebraski, Minnesoty i Dakoty Południowej. Na tyłach stało kilka namiotów. Wśród nomadów była garść osób mieszkających tu od dawna – dawało się to poznać po wysokich chwastach

wokół opon i krzaczkach dojrzałych pomidorów rosnących w dwudziestolitrowych wiadrach.

Wyglądało na to, że personel parku składa się pół na pół z uczniów miejscowego ogólniaka i emerytów. Wszędzie były sklepiki z pamiątkami. W jednym sprzedawano koszulki z napisami „Najlepsze dopalacze: wiara, nadzieja, miłość” i „Bóg jest potężniejszy od nieszczęścia, długów, choroby i największej armii”. W innym sześćdziesięcioparoletnia ekspedientka z podnieceniem opowiedziała mi o ostatniej podwyżce, która wszystkich zaskoczyła. Teraz ona i jej koledzy zarabiali osiem pięćdziesiąt na godzinę. Spekulowali, że to kwestia presji konkurencji, ponieważ Walmart zaczął właśnie płacić dziewięć. Kobieta przyjechała do pracy na część etatu, ale firma miała za mało ludzi, więc dali jej pełny wymiar godzin (to wyjaśniało, dlaczego w środku sezonu w parku wciąż stały tablice z napisem „Rekrutacja trwa! Wakacyjna praca i mnóstwo zabawy. Pracuj razem z przyjaciółmi!”). Zmieniając temat, zapytałam o jej ulubioną parkową atrakcję.

– Największa atrakcja to jest wtedy, jak mnie ktoś podwiezie meleksem do domu – odparła.

Inna sprzedawczyni, siedemdziesięciosiedmiolatka, powiedziała mi, że rekrutowała kiedyś pracowników parku. Dumna z tego, że nie powstrzymują ich zaawansowany wiek i wynikające z niego fizyczne słabości, poinformowała mnie, że jedna z jej bliskich współpracownic ma osiemdziesiąt lat.

– Kiedyś miałam u siebie w dziale osiemdziesięciosześciolatka – dodała. – Mieliśmy pana na wózku, który potrafił używać ręcznego licznika, więc przydzielili go do parku wodnego. Mieliśmy człowieka z jedną ręką, który nadzorował wszystkie kolejki i karuzele.

Kolejkę górską obsługiwał mężczyzna w dwuogniskowych okularach w drucianych oprawkach i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Powiedział mi, że ma osiemdziesiąt jeden lat.

Ale nawet najbardziej pogodne nastawienie nie chroniło przed tragedią. Niecały rok po mojej wizycie pracownik Adventurelandu zginął podczas zmiany. Emerytowany listonosz i pastor, Steve Booher, lat sześćdziesiąt osiem, pomagał pasażerom opuszczającym atrakcję pod nazwą Rwąca Rzeka, kiedy niespodziewanie uruchomiła się taśma niosąca pontony. Stojąc jedną nogą w pontonie, który wyrwał do przodu, Booher upadł z betonowej platformy na taśmę i złamał czaszkę[144].

Rwąca Rzeka została otwarta na nowo już następnego dnia. Stanowi inspektorzy pracy przeprowadzili dochodzenie, a dwa miesiące później wysłali zawiadomienie o naruszeniu przepisów. Wezwali w nim park do podniesienia standardów bezpieczeństwa i nałożyli grzywnę w wysokości czterech i pół tysiąca dolarów.

Po otwarciu Big Tent atmosfera na Rubber Tramp Rendezvous się zmieniła. Dotąd dni upływały leniwie. Teraz zaczęły uciekać. Coraz więcej ludzi spędzało dzień w miasteczku. Kiedy wracali do obozowiska, powietrze gęstniało od pytań: „Dokąd pojedziecie?”, „Kiedy się zobaczymy?”, „Znaleźliście pracę?”. Czternastodniowy okres darmowego parkowania dobiegał końca i w tym roku nijak nie dało się obejść przepisu. Pierwszego dnia zlotu na miejscu zjawili się funkcjonariusze Bureau of Land Management, którzy rozdali zezwolenia i spisali numery rejestracyjne. Zbliżał się moment, gdy wszyscy będą musieli przenieść się co najmniej czterdzieści kilometrów dalej.

Ludzie zaczynali się rozpraszać. Kilka osób wyjechało w pojedynkę. Inni łączyli się w małe wędrowne grupki. Ulubionym celem szczęściarzy, którzy mieli paszport i pieniądze na paliwo, były plaże Kalifornii Dolnej. Delegacje nomadów odwiedzały często Slab City, osadę squattersów, niszowych artystów i migrujących w ciepłe miejsca emerytów, położoną na terenie dawnej bazy wojskowej nad jeziorem Salton Sea i znaną jako „ostatnie wolne miejsce w Ameryce” (tamtejsze obozowisko RTR-owców zyskało nazwę Przyjaciele Boba). Inni wybierali się w okolice Yumy. Sporą popularnością cieszył się tam teren nad jeziorem Fortuna Pond, który za dnia spokojny, po zapadnięciu ciemności kojarzył się z serialem *Strefa mroku*: nad polami przez całą noc z głośnym warkotem krążyły samoloty rolnicze, a ich mocne reflektory spowijały ziemię upiorną zieloną poświatą.

Po zakończeniu zlotu Bob usunął oficjalny znak przy wjeździe. Silvianne zapakowała do pudeł resztki ze sterty rzeczy do wzięcia – w tym duże słomkowe sombrero, którego nikt nie zechciał – żeby oddać je do lokalnego second handu. Linda zaparzyła kawę i wypiłyśmy razem po kubku. Pokazała mi nowy przetwornik, zamontowany z pomocą znajomego. Pozwalał ładować domowe zasilanie kampera z nadmiaru mocy z akumulatora podczas jazdy. Wkrótce rozeszła się wieść, że kolejnym przystankiem Boba będzie Ehrenberg. Ogłosił, że każdy, kto chce, może się z nim zabrać. Linda krzątała się przy zwijaniu obozu. Uściskała na do widzenia Jen i Ash. Dziewczyny

zamierzały powłóczyć się po Południowym Zachodzie w drodze do następnej fuchy na ranczo Rocking 7 w górach na wschód od doliny Salinas, nazywanej przez Ash „krajem Steinbecka”. Ranczo należało do międzynarodowej sieci ekologicznych farm pod nazwą WWOOF (World Wide Opportunities on Organic Farms), na których ochotnicy pracowali w zamian za wyżywienie, zakwaterowanie i naukę. Później Jen i Ash planowały wyprawę w głąb kraju, do następnej, już płatnej pracy na kempingu w Sequoia National Forest.

Linda ruszyła autostradą międzystanową numer 10 na zachód, w stronę rzeki Kolorado. Tuż przed granicą Kalifornii, blisko postoju dla ciężarówek Flying J, skręciła w boczną szosę i minęła znak sygnalizujący koniec drogi. Krajobraz był tu surowy i dojmująco pusty. Ziemię pokrywały drobne kamyki. Roślinność mocno się przerzedziła – w porównaniu z tym miejscem pustynia wokół Quartzsite wydawała się rajskim ogrodem. W pewnej odległości od dzikiej drogi stały wiekowe, wysmagane żywiołami kampery. Sflaczałe opony i ogólne zaniedbanie sugerowały, że pojawiły się tu lata temu i już zostały, a ich mieszkańcy zadomowili się na dobre. Teoretycznie limit wyznaczony przez Bureau of Land Management wynosił czternaście dni. Ale zarówno odwiedzający, jak i patrole najwyraźniej przymykali oko na ten przepis, oraz w ogóle na całą okolicę, prawdopodobnie dlatego, że była pozbawiona jakiegokolwiek uroku. Niewiele osób chciało tu przyjeżdżać, z czego korzystała garstka samotników. W trakcie kilkunastu wizyt ani razu nie widziałam tam policjanta ani nie słyszałam, żeby kogokolwiek stamtąd przeganiano.

Samochody stały tu dalej od siebie niż na RTR. Introwertycy regenerowali się po dwóch tygodniach intensywnej socjalizacji. Niektórzy nadal spotykali się rano na kawę. Po jednym z takich spotkań natknęłam się na Silvianne, która siedziała w kamperze z kotką Laylą i czytała książkę pod tytułem *Hamlet’s Mill. An Essay Investigating the Origins of Human Knowledge and Its Transmission Through Myth* [Młyn Hamleta. Studium źródeł ludzkiej wiedzy i jej przekazu w mitach].

– Jak myślisz, ile tu jest osób? – zapytałam.

– Tego nie wie nikt! – odparła radośnie Silvianne. – I o to właśnie chodzi. Jesteśmy w Ameryce, o której wszyscy zapomnieli.

Choć mieszkańcy byli mocno rozproszeni i stale się wymieniali, ich liczba oscylowała wokół piętnastu. Spotkałam również LaVonne. Była milsza niż na RTR, bardziej wyluzowana. Obśmiała swoje wcześniejsze obawy, że

przybyszka z zewnątrz może ocenić całą grupę jako „bandę bezdomnych wagabundów".

– Dlaczego właściwie pojęcie bezdomności wywołuje takie emocje? – zastanawiała się na głos. – Niektórzy ludzie tak by mnie określili. Ja nie. Mam dach nad głową.

Jednocześnie czuła się winna, że przypisuje się do innej kategorii i w ten sposób być może przyczynia do stygmatyzacji bezdomności.

Ona i Linda zaprzyjaźniły się na tyle, że postanowiły poszukać jakiejś wspólnej roboty. Wiosną Linda zaczynała pracę na kempingu Sherwin Creek w Mammoth Lakes. Tymczasem targi Big Tent trwały i byli na nich rekruterzy z California Land Management. Za radą Lindy LaVonne i jeszcze jedna bezrobotna nomadka, pięćdziesięciodziewięcioletnia Trish Hay mieszkająca w nissanie sentra, zamierzały się do nich zgłosić.

Tamtego popołudnia siedziałam z Lindą i patrzyłam, jak podgrzewa w czajniku wodę do zmywania. Wyjaśniła, że powinna mieć ciepłą przez cały czas, ale ktoś w Nevadzie zamiast akumulatora głębokiego rozładowania sprzedał jej rozruchowy, który nie wystarczył, żeby pompować wodę ze zbiornika pod kanapą do zlewu. Cieszyła się z przyjazdu do Ehrenbergu, ale nie chciała siedzieć tu tak długo jak LaVonne, która zamierzała trzymać się Boba i reszty ekipy z RTR. Tymczasem Bob plany miał takie jak co roku – zostać, dopóki nie przyjdą upały i nie obudzą się grzechotniki, a potem przenieść się w wyższe rejony, do Cottonwood i Flagstaff. Linda przed następną pracą musiała załatwić kilka ważnych spraw, między innymi poszukać działki na sprzedaż i zabrać rzeczy z przechowalni. Zatem wkrótce się pożegnała.

Po jej wyjeździe LaVonne opublikowała na blogu jej zdjęcie, pod którym napisała:

> Kolejna grupa nowych przyjaciół ruszyła w drogę, a ja znów jestem smutna. Wyjeżdżają jedni po drugich. Niektórych na pewno jeszcze zobaczę, ale ten smutek to nieunikniona konsekwencja nomadycznego życia. Ludzie wokół ciebie pojawiają się i znikają. Nikt nie zostaje na zawsze.
>
> Oto Linda May, nasza zastępcza matka, która karmiła nas francuskimi tostami i zawsze umiała rozśmieszyć. Nie ma osoby, która by jej nie kochała. Linda pojechała szukać ziemi, na której wybuduje swój earthship – całkowicie samowystarczalny dom. Obiecałam, że jej pomogę (to znaczy będę ubijać ziemię w oponach), tylko po to, żeby móc znowu spędzać z nią czas[145].

Po rozstaniu z przyjaciółmi Linda przejechała sześćset jedenaście kilometrów na południowy wschód, do pustynnego hrabstwa Cochise w Arizonie, gdzie przepisy budowlane były mało restrykcyjne, a działki tanie. Miała nadzieję, że znajdzie parę hektarów ziemi, na której wybuduje dom, ale po wielu godzinach poszukiwań dopadło ją rozczarowanie. Okolica była zbyt odludna. Linda wciąż miała w pamięci atmosferę Rubber Tramp Rendezvous – ciepło, poczucie wspólnoty i więzi – i nie interesowało jej życie pustelniczki. „Nikt mnie tu nie odwiedzi – myślała. – Lepiej znaleźć miejsce, gdzie można zaprosić rodzinę, bo przecież właśnie o to chodzi, żeby było dostępne i żeby sprzyjało spotkaniom". Przenocowała na parkingu niedaleko granicy z Meksykiem. Potem ruszyła dalej.

Pojechała opróżnić wynajmowane od czterech lat miejsce w przechowalni na przedmieściach Phoenix („Chyba wolałabym po prostu wrzucić tam zapałkę" – pomyślała wcześniej). Załadowała wszystko do ciężarówki i zawiozła na dwuhektarową farmę znajomego w New River w Arizonie. Odłożyła sobie kilka pamiątek: akwarelowy obrazek przedstawiający kotopodobne stworzenie, namalowany w przedszkolu przez Juliana, kartkę urodzinową od młodszej córki, Valerie, z *pin-up girl* w kaktusowym bikini, z dowcipnym podpisem: „Piękna jak zawsze!". Ale całą resztę, w tym stary adapter, dwie szklane lampki z pikowanymi abażurami, sterty garnków i patelni, trzeba było sprzedać. Linda organizowała wyprzedaże na trawniku. Po odjęciu kosztów transportu do New River zysk z pierwszego weekendu wyniósł dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. „Nigdy więcej nie skorzystam z przechowalni" – przysięgła sobie. Niedługo później napisała do mnie, przywołując poetycki jej zdaniem cytat, który znalazła w internecie: „Zmagania z przeszkodami nieuchronnie stają na drodze tych, którzy przecinają więzy dzielące ich od wolności".

Tymczasem RTR-owcy przenieśli się już z Ehrenbergu, gdzie upał robił się męczący, do położonego dziewięćset metrów wyżej nieco chłodniejszego Prescott National Forest niedaleko Cottonwood. Tam się rozproszyli. Część zaparkowała pod gołym niebem, na wzgórzu z widokiem na nakrapiany słońcem płaskowyż. Inni skryli się niżej, w laskach. Byli tam Bob, LaVonne, Silvianne i jeszcze kilkoro nowych znajomych Lindy. Wśród nich Atli Pommer, trzydziestoczteroletni były kierowca autobusów mieszkający w chevrolecie astro nazwanym Donovan na cześć piosenkarza z lat sześćdziesiątych, a także sześćdziesięciopięcioletni Sameer Ali, który za sprawą suszy i rosnących cen siana stracił fermę kóz specjalizującą się

w mięsie halal i mieszkał teraz w busie z pieskiem rasy chihuahua o imieniu Mr. Pico (jako praktykujący muzułmanin używał aplikacji na iPhone'a, która pięć razy dziennie wzywała go na modlitwę. Zawierała także kompas wskazujący Mekkę, dzięki któremu jego pojazd zawsze był zwrócony we właściwą stronę. „W dzisiejszych czasach istnieją aplikacje do wszystkiego" – dziwował się Sameer).

Kiedy Linda uporała się z wyprzedażą dobytku, był koniec marca. Wpadła do Cottonwood i trafiła akurat na wspólną kolację. Bob zdołał ugościć jedenaście osób pizzą z Little Caesars za dwadzieścia osiem dolarów. Po posiłku spalili nieco kalorii na wspólnym spacerze w różowym świetle zachodzącego słońca. Grupa była mocno sfeminizowana: siedem kobiet, trzech mężczyzn i jeden nastolatek. Bob stwierdził później, że w kulturze, która przez wieki zniechęcała kobiety do niezależności, to całkiem pozytywny widok.

Następnego dnia w obozowisku zjawił się strażnik leśny. Lekko zdezorientowany zapytał, czy to zlot jakiegoś klubu („W zasadzie tak!" – odparł Sameer) i jak długo mają zamiar zostać. Bob uciekł się do niewinnego kłamstwa: są tu dopiero cztery dni (tak naprawdę siedzieli od dobrych dwóch tygodni). Strażnik spisał numery rejestracyjne i odjechał. Tym samym zegar zaczął tykać i grupa musiała postanowić, dokąd przeniesie się w następnej kolejności. Wybrali Kaibab National Forest niedaleko Flagstaff. Teren leżał dwa tysiące metrów nad poziomem morza, przez co było tam znacznie chłodniej. Tymczasem dach kampera Lindy był w kiepskim stanie. Liczyła, że zdoła go załatać i uszczelnić jeszcze przed wyjazdem, ponieważ guma w płynie szybciej schnie w wysokich temperaturach. Jeden z członków grupy Boba, fachowiec od malowania i remontów imieniem Wayne, wspiął się na dach i nałożył uszczelniacz rolką na długiej rączce. Zdążył w samą porę.

Dotarłszy do Flagstaff, nomadowie zaparkowali w wysokim sosnowym lasku. Linda wrzuciła na Facebooka zdjęcia dla przyjaciół i rodziny. „Ja i psiaki jesteśmy zachwyceni. Ile byście zapłacili, żeby mieć taki ogród? Tutaj jest darmowy" – napisała. W podzięce zrobiła Wayne'owi domowy obiad: stek Salisbury z sosem i puree ziemniaczanym podany na porcelanowych talerzach z lat trzydziestych, z wizerunkami kolei w Kansas, które znalazła na jakiejś wyprzedaży. Uznała, że ponieważ przez siedemdziesiąt pięć lat ani razu się nie wyszczerbiły, przetrwają trzęsienie w kamperze. Oprócz tego spędziła trochę czasu z Lori Hicks, chorą na serce samotną matką, która mieszkała z trzynastoletnim synem Russellem i suczką

Kaylee w chevrolecie tahoe z 1995 roku, nazwanym Babe na cześć wołu Paula Bunyana. Panie wspólnie zwiedzały okolicę. Kiedyś Russell i Kaylee znaleźli obok kampera Lindy wielką czaszkę wapiti. Tymczasem Linda podarowała Lori *Podróże z Charleyem*, które ta pochłonęła jednym tchem. Relacja Johna Steinbecka z wyprawy kamperem w towarzystwie pudla cieszyła się popularnością wśród nomadów, a wyświechtane egzemplarze książki przechodziły z rąk do rąk[14].

Kilka dni później Linda znów musiała ruszyć w drogę. Niedługo zaczynała pracę na kempingu w Mammoth Lakes w górach Sierra Nevada. Pierwszego dnia jechała przez dziesięć godzin. Zatrzymała się na noc na parkingu stacji Texaco w Tonopah i wyszła na spacer z psami. Po powrocie Coco nagle dostała ataku. Zesztywniała z krótkim skowytem, po czym zwiotczała i przestała oddychać. Przerażona Linda przycisnęła usta do jej pyska i kilka razy dmuchnęła. Po dłuższej chwili suczka odzyskała przytomność – wciąż była sztywna, ale oddech wrócił. Linda przyłożyła jej do grzbietu paczkę mrożonych warzyw (słyszała, że przykładanie lodu może ulżyć psu, który dostał ataku) i zadzwoniła do córki. Audra, która była kiedyś na kursie aromaterapii, poleciła jej olibanum. Linda skropiła olejkiem psie łapy, Coco się rozluźniła. Po chwili zaczęła chrapać. Linda czuwała przy niej wiele godzin, obserwując delikatne falowanie klatki piersiowej. Następnego ranka suczka wyglądała normalnie, a jej roztrzęsiona pani ruszyła w drogę, aby pokonać ostatnie dwieście czterdzieści kilometrów dzielące ją od Mammoth.

W połowie kwietnia na kempingu Sherwin Creek panował spokój. Jedynymi gośćmi Lindy były jelenie oraz ciężarówka z psami zaprzęgowymi jadąca na plan zdjęciowy. Po niecałym tygodniu nastąpił atak zimy. Z kabiny kampera zwisały trzydziestocentymetrowe sople, a na dachu zebrała się gruba warstwa śniegu. Ale w środku było ciepło i sucho – zreperowany dach nie przeciekał. Coco wyglądała na zdrową. Linda stwierdziła, że ogólnie rzecz biorąc, żyje jej się dobrze. 28 kwietnia świętowała dwadzieścia cztery lata niepicia. „Kiedy to piszę, w oczach zbierają mi się łzy wdzięczności. Mój najstarszy wnuk ma dwadzieścia jeden lat i przez całe życie miał trzeźwą, kochającą babcię. Modlitwy zostały wysłuchane… Jestem szczęśliwa, radosna i wolna” – zanotowała na Facebooku.

Linda zażartowała kiedyś, że gratulowanie alkoholikowi trzeźwości to jak chwalenie kowboja z hemoroidami, że nie wsiada na konia. Mimo to jej profil zalała fala życzliwych komentarzy od rodziny i przyjaciół. „Dziękuję,

że stawiłaś czoła uzależnieniu, że niesiesz światłość i uwrażliwiasz innych na problem, który nęka naszą rodzinę od pokoleń. Bardzo Cię kocham" – napisała Audra.

Choć z forsą było krucho, nic nie psuło Lindzie dobrego humoru. Żeby zapasów starczyło na dłużej, z czerstwych tortilli przyrządzała chilaquiles, a stary chleb przerabiała na zapiekankę z francuskich tostów. Z niepsujących się produktów nie zostało jej już prawie nic. W lodówce były cztery jajka, dwa litry mleka, a także keczup, majonez, musztarda i dżem, które w żartach nazywała „jedzeniem dodawanym do jedzenia". Wkrótce jednak przyszedł czek i mogła znów zapełnić półki.

Pod koniec maja rozmawiałyśmy przez telefon.

– Jest piękny dzień! Na kempingu pełno – oznajmiła radośnie.

Zapytałam, jak idą poszukiwania działki. Ostatnia wyprawa okazała się klapą, Linda postanowiła zatem skupić się na okolicy Julian w Kalifornii, godzinę drogi na wschód od San Diego.

– To jest takie miasteczko w górach, kiedyś mieli tam kopalnię złota. Przepiękne miejsce. A gdyby się okazało, że wszyscy mamy przesrane, jak wieszczą preppersi, to jest blisko do wody. W razie całkowitej suszy można ją sobie dowozić. Tu z pogodą nigdy nic nie wiadomo.

Linda liczyła też na zastrzyk pieniędzy – do wczesnej jesieni miała pracować na kempingu, a później znów dołączyć do CamperForce. Wprawdzie nadgarstek wciąż jej dokuczał, ale zostało jeszcze kilka miesięcy. Optymistycznie patrzyła w przyszłość. Kilka tygodni wcześniej zmobilizowała znajomą, która chciała spróbować sił w magazynie, ale bała się, że nie podoła wyczerpującej robocie.

– Nie martw się – powiedziała jej Linda. – Będziemy się nawzajem wspierać.

Tymczasem oznajmiła mi, że radzi sobie fantastycznie.

– Całe moje życie to górki i dołki – wyjaśniła. – Najszczęśliwsza jestem wtedy, kiedy mam bardzo mało.

Rozmawiałyśmy o jej psach i o tym, że zamierza wyremontować kamper. Jednak już po chwili musiała się pożegnać („Chyba właśnie ktoś idzie") i wrócić do pracy.

8

Van Halen

W momencie kiedy Linda zaczynała pracę na Sherwin Creek, ja miałam za sobą sześć miesięcy rozmów z workamperami. Jednocześnie penetrowałam media – internet, gazety, radio i telewizję – w poszukiwaniu wszelkich informacji o tej subkulturze. Większość doniesień przedstawiała wędrowną pracę jako sposób na miłe spędzanie czasu albo wręcz ekscentryczne hobby, a nie metodę przetrwania w czasach, gdy Amerykanie tracą domy i z trudem wiążą koniec z końcem.

Słuchałam kiedyś audycji radia NPR *All Things Considered*, która zaczęła się od słów: „Mikołaj potrzebuje swoich elfów, aby dostarczyć prezenty na czas. Amazon potrzebuje pracowników!”. Następnie reporterka przedstawiła jednego z nich, mieszkańca postoju dla przyczep Big Chief w Coffeyville w stanie Kansas. Przez większą część trzyminutowego wejścia gawędzili o radościach związanych z podróżowaniem po kraju i poznawaniem nowych przyjaciół. W trakcie rozmowy cztery razy słychać było wybuch śmiechu[146].

W innych opowieściach pobrzmiewał nieco mniejszy entuzjazm, a mimo to podkreślano dreszcz emocji i poczucie wspólnoty towarzyszące wędrowcom, przemilczając jednocześnie trudności, które zmusiły tak wiele osób do radykalnych życiowych zmian. Właściwie nie miałam pretensji do dziennikarzy o to, co mnie samej zdarzało się przy pierwszych rozmowach. Reporter, który wpada na jedno popołudnie, żeby nagrać materiał, rzadko ma okazję z bliska przyjrzeć się prawdzie. Kiedy po raz pierwszy nawiązałam kontakt z workamperami, powitali mnie garścią radosnych banałów.
Poza tym spotykałam się z zastrzeżeniami. Pewien członek CamperForce zgodził się na spotkanie, tylko niech mi nie przyjdzie na myśl pokazywać jego i jego towarzyszy jako Amerykanów w kryzysie. „Pełno dziś na świecie bezwolnych kwękaczy, oferm i leserów, takich łatwo znaleźć. Ja do nich nie należę” – napisał dumnie.

Podobną perspektywę dostrzegłam, czytając „Workamper News”, dwumiesięcznik skierowany do nomadów. *Potrzebujesz zmiany myślenia?* –

pytał jeden z nagłówków. Artykuł zachęcał niezadowolonych ludzi z problemami w pracy, aby zwrócili się do samych siebie. „Spróbuj zmienić nastawienie i nie dać się porażce, powtarzając sobie poniższe stwierdzenia: »Nie jesteśmy tu na zawsze«. »To tylko środek do celu«. »Mogę podróżować, spędzać czas na zwiedzaniu (albo odwiedzić rodzinę), mogę spełniać marzenia«”[147].

Te motywacyjne kawałki brzmiały surrealistycznie, ale w zasadzie nie dziwiły. W końcu pozytywne myślenie to amerykański sposób na kłopoty, praktycznie nasze narodowe hobby. Pisarz i poeta James Rorty zauważył to w czasach wielkiego kryzysu, kiedy jeździł po kraju i rozmawiał z ludźmi zmuszonymi do szukania pracy w drodze. W książce *Where Life Is Better* [Tam, gdzie życie jest lepsze] z 1936 roku opisuje przygnębienie, jakie wywołała w nim niewzruszona pogoda ducha wielu jego rozmówców. „Przejechałem dwadzieścia cztery tysiące kilometrów i nic mnie tak nie mierziło ani nie przerażało, jak amerykańskie uzależnienie od bujdy”[148] – pisał.

Ja nie jestem aż tak zgorzkniała. Owszem, ludzką naturą jest robić dobrą minę do złej gry – i tak pokazywać się obcym – ale wśród nomadów zachodził jeszcze inny mechanizm. Sądzę, że ludzie potrafią zmagać się z mnóstwem problemów, nawet najbardziej przytłaczających, a zarazem pozostawać dobrej myśli. Co nie znaczy, że nie przyjmują ich do wiadomości. To raczej dowód na zdumiewającą ludzką umiejętność adaptacji, poszukiwania sensu i wspólnoty w obliczu przeciwności losu. Jak zauważa Rebecca Solnit w książce *A Paradise Built in Hell. The Extraordinary Communities That Arise in Disaster* [Raj w piekle. Niesamowite wspólnoty powstające w obliczu katastrof], ludzie nie tylko mobilizują się w czasach kryzysu, ale robią to z „zadziwiającą, przejmującą radością”[149]. Można bowiem zmagać się z trudami, które czasem odbierają wolę przetrwania, a jednocześnie odnajdywać szczęście w przeżywanych razem chwilach, takich jak wspólny wieczór przy ognisku pod przepastnym, usianym gwiazdami niebem.

Innymi słowy, nomadowie, z którymi rozmawiałam od miesięcy, nie byli ani bezsilnymi ofiarami, ani beztroskimi poszukiwaczami przygód. Prawda była o wiele bardziej zniuansowana, ale jak do niej dotrzeć? W tamtym czasie nie byłam już u nich jednodniową turystką. Przez wiele tygodni przyglądałam się im z bliska, przejechałam pięć stanów, dokumentując ich historie, i mieszkałam w namiocie pod Quartzsite, gdzie w nocy temperatura

spadała poniżej zera. Mimo to wciąż nie rozumiałam ich tak dobrze, jak bym chciała – nie zbliżyłam się na tyle, by w pełni uchwycić treść ich życia. To wymagało zanurzenia się głębiej, przebywania z nimi miesiącami, dzień w dzień, bycia stałym gościem w ich obozowiskach.

Namiot wystarczył, żeby mieszkać na pustyni, ale nie nadawał się na bezdroża, gdzie parkowała na dziko większość moich bohaterów. Namiotowiczom wolno biwakować tylko w miejscach z dostępem do toalety. To dlatego podczas Rubber Tramp Rendezvous nocowałam sześć i pół kilometra od obozowiska i codziennie musiałam dojeżdżać. Aby dołączyć do nomadów, potrzebowałam solidniejszego schronienia – takiego, w którym da się spać, gotować, pisać i urządzić sobie choćby prowizoryczną toaletę. W języku nomadów to się nazywa samowystarczalność.

Miesiącami przeglądałam ogłoszenia o sprzedaży starych busów na portalu Craigslist. Często na pierwszy rzut oka wyglądały dobrze, ale okazywały się zardzewiałe albo butwiejące, jak wiekowy roadtrek, którego właściciel oznajmił mi, że przeimprezował w nim wiele lat. Wreszcie coś przyciągnęło moją uwagę: biały GMC vandura rocznik 1995 z wesołym seledynowym paskiem biegnącym przez całą długość karoserii (jak zauważył mój przyjaciel, był to ten sam model, którym jeździł Mr. T w *Drużynie A*, więc możliwe, że uległam sentymentowi). Jak na kilkudziesięcioletni pojazd był w zupełnie dobrym stanie i miał tylko sto dwa tysiące kilometrów na liczniku. Parkowany głównie na wybrzeżu Kalifornii, nie widział surowych zim, a jego wnętrze przerobiono na część mieszkalną.

Kiedy weszłam do niego po raz pierwszy, wydał mi się większy niż z zewnątrz, jakby opierał się prawom fizyki niczym TARDIS z *Doktora Who*. Ściany obito błękitnym welurem. Z tyłu malutka część jadalna rozkładała się, tworząc łóżko. W busie były: dwunastowoltowa minilodówka, mały piecyk gazowy i przenośna toaleta chemiczna, które przydają się na dzikim kempingu. Dach otwierał się do góry. Kiedy odsunęłam skobelki i uniosłam pokrywę, mogłam się wyprostować, za to przestałam się łudzić, że pojazd nie będzie się rzucał w oczy: z zewnątrz wyglądał, jakby miał na dachu płócienny namiot w stylu safari.

Bus musiał się jakoś nazywać. Spotykałam się już z nazwami Vancjenda, Van Gogh, DonoVan i Vantucket; nomadowie kochają kalambury. Znajoma zasugerowała Beethovena, jako odwołanie do zespołu Camper Van Beethoven. Ja jednak od razu pomyślałam o piosence *Roll Over Beethoven* i uznałam, że tytułowe nawiązanie do przewracania się w grobie to niedobra

wróżba. Nazwałam pojazd Van Halen. Urodziłam się pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy zespół ten wydawał pierwsze płyty. Starałam się odpowiednio udekorować wnętrze, między innymi namalowanym na czarnym aksamicie portretem Ernesta Hemingwaya z pchlego targu w Quartzsite i wiewiórczą czaszką znalezioną przez Lindę na jednym z kempingów. Z lusterka wstecznego zwisał sznur niebieskich koralików przypominających demoniczne oczy – najbliższe alarmowi przeciwwłamaniowemu rozwiązanie, na jakie się zdecydowałam.

Kupiłam Van Halena w Kalifornii. Przy odbiorze towarzyszył mi przyjaciel, dziennikarz Dale Maharidge. Później pojechaliśmy razem na farmę jego wujka na północy hrabstwa San Diego. Z trudem usiłowałam opanować prawie sześciometrowego, ważącego dwie tony kolosa. Zachowywał się jak łódź, kołysał na boki i wciąż trzeba było wyprowadzać go na prostą (tak mocno spinałam przy tym mięśnie, że po pierwszych kilku jazdach godzinami dokuczał mi ból barków).

Na miejscu zaparkowaliśmy obok cytrusowego sadu i od razu wzięliśmy się do pracy. Najłatwiejsze było czyszczenie – zeskrobanie zaschniętego syropu klonowego z wnętrza szafki i usunięcie odrobiny rdzy okrągłą drucianą szczotką. Najtrudniejszy okazał się montaż stuwatowego panelu słonecznego. Nomadowie często instalują panele na bagażniku dachowym. Dach Van Halena się otwierał, musieliśmy więc zrobić coś, co sprawiło, że odruchowo się wzdrygnęłam: wywiercić dwie dziury w nieskalanej tylnej części dachu. Dziury były potrzebne do zamontowania aluminiowej ramy, którą można było przechylić w czasie postoju, żeby panel łapał więcej słońca. Dokręciwszy śruby, pokryłam krawędzie dziur impregnatem, modląc się, żeby dach nie przeciekał. Następnie zainstalowaliśmy w busie regulator ładowania. Podłączyliśmy przewód biegnący od panelu przez regulator do dwóch sześciowoltowych akumulatorów schowanych pod składanym stolikiem. To z nich miałam czerpać prąd na dzikich kempingach. Na koniec pod tym samym stolikiem zamontowaliśmy inwerter generujący studziesięciowoltowe napięcie potrzebne do ładowania laptopa i aparatu.

Przez chwilę miałam obawy, że te przygotowania okażą się niepotrzebne, ale zmieniłam zdanie, pomieszkując w Van Halenie przez kolejne dwa lata pracy reporterskiej, czasem nawet dwa miesiące bez przerwy. Przejechałam nim dwadzieścia cztery tysiące kilometrów, od granicy do granicy – dotarłam do Meksyku i Kanady – i od wybrzeża do wybrzeża.

Pierwszym moim odkryciem w drodze było to, że mimo dziesiątek rozmów z nomadami guzik wiem o życiu w busie. Droga do wiedzy była wyboista i nie miała końca ze względu na zmieniające się otoczenie. Jadąc przez pustynię, dwa razy się zakopałam. Koła obracały się w miękkim ile, dopóki jakiś miłosierny samarytanin w jeepie mnie nie wyciągnął. Wysoko w górach złapała mnie zamieć, woda w toalecie i zbiornikach zamieniła się w lód. Nocą na pustej drodze w Kansas padł alternator. Wyświetlacz zasnuła czerń, a Van Halen siłą rozpędu dotoczył się do postoju.

Kiedyś niedaleko Fort Worth w Teksasie zatrzymałam się na kawę, gdy nagle niebo pozieleniało i rozbrzmiały syreny alarmowe. Barista udzielił mi rady: jeśli widzisz tornado, schowaj się w piwnicy. Pokazałam mu busa – bez piwnicy – i roześmialiśmy się oboje. Kilka godzin później schowałam się w Van Halenie przed ulewą i z przerażeniem patrzyłam, jak woda przesiąka przez uszczelkę nad tylnymi drzwiami i spływa kaskadą do środka, zalewając łóżko i doprowadzając do zwarcia instalacji. Innym razem, wróciwszy z wakacji w domu, zastałam na parkingu splądrowanego busa. Szyba po stronie kierowcy była stłuczona kamieniem wielkości dużego ziemniaka, a kabina oprószona drobinami szkła. Na szczęście wewnątrz nie było nic cennego poza portretem Hemingwaya na aksamicie i butelką naprawdę dobrego sosu chili. Ani jedno, ani drugie nie zginęło.

Często traktowałam mój pojazd okrutnie: zderzając się tyłem ze skałą, wyjeżdżając z kempingu z podniesionym dachem albo nieświadomie mijając kilka przecznic z pachołkiem drogowym wciśniętym pod oś. Raz, zaparkowawszy przy Starbucksie, żeby mieć dostęp do wi-fi, usiłowałam zainstalować alarm przeciwpożarowy z czujnikiem czadu (pierwsza zasada: każdy pojazd mieszkalny musi mieć gaśnicę i czujnik). Ilekroć próbowałam zamontować go na ścianie, mechaniczny kobiecy głos krzyczał: „POŻAR! POŻAR! EWAKUACJA! EWAKUACJA!”. Zostałam zdemaskowana – obcy ludzie gapili się na mnie znad kubków latte.

Podczas jednej z dłuższych wypraw musiałam uzupełnić zapas leków. Mój doktor zadzwonił do apteki. Później opowiadał mi, że farmaceutka zażądała adresu. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, wypalił: „Ta pani mieszka w busie!”. Farmaceutka nie robiła problemów, ale ten incydent dał mi do myślenia. W Ameryce, jeśli nie masz adresu, nie jesteś prawdziwą osobą.

Jeżdżąc Van Halenem, miałam adres wszędzie. Nocowałam na postojach dla ciężarówek, pod Walmartem, kasynem Whiskey Pete’s i na opuszczonej stacji benzynowej, na pustyniach, w górskiej dziczy i na podmiejskich

ulicach. Najgorsze były przedmieścia, gdzie miewałam kłopoty z ciekawskimi sąsiadami. Kiedyś po nocy spędzonej nielegalnie na ulicy w Mission Viejo ze snu wyrwał mnie warkot elektrycznych nożyc. Zaledwie kilka metrów dalej jakiś ogrodnik przycinał żywopłot. Leżałam w śpiworze cichutko jak trusia, dopóki nie skończył. Później Linda i LaVonne śmiały się, że dostaję paranoi.



Van Halen na pustyni niedaleko Ehrenbergu

Podobne doświadczenia były jak ścieżka dźwiękowa powstawania tej książki. Gdyby nie Van Halen, nie zdołałabym zbliżyć się do nomadów na tyle, by naprawdę ich zrozumieć. Muszę jednak przyznać, że początkowo nie zdawałam sobie sprawy, jak to będzie wyglądać. Nie miałam pojęcia, w co się pakuję, choć wystarczyło mi rozsądku, żeby mieć lekkiego stracha.

Dale i ja mocowaliśmy się z panelem słonecznym kilka dni. Ostatecznie cały system zadziałał i przyszedł czas wyruszyć w drogę. Gdy Dale ściskał mnie na pożegnanie, było ciemno. Wspięłam się na fotel kierowcy i ostrożnie wyjechałam z gospodarstwa, mijając ciemne kształty drzew cytrusowych. Podjazd był stromy. Nagle prawie dwutonowy bus wydał mi się

zdumiewająco ciężki. Mocno ścisnęłam kierownicę i całą drogę w dół przejechałam z nogą na hamulcu. Tam otarłam rękawem łzy, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będę się czuła swobodnie, prowadząc Van Halena, a co dopiero w nim mieszkając.

„Teraz musisz już tylko skupić się na drodze" – powtarzałam sobie w duchu. – Masz pełen kubek kawy, smartfon z nawigacją i cel, na który cieszyłaś się od miesięcy". Lawirując powoli krętymi kanionami, ruszyłam na spotkanie z Lindą.

Tuż przed Bożym Narodzeniem 2014 roku Linda pomieszkiwała na kanapie w małym mieszkanku w San Clemente, wynajmowanym przez jej córkę, zięcia i nastoletnie wnuki. Tylne okno wychodziło na Camp Pendleton, bazę Korpusu Piechoty Morskiej. O zachodzie słońca z oddali płynął wieczorny sygnał trąbki, a nocami odbywały się czasem ćwiczenia artylerii (rodzina nie przeprowadziła się jeszcze do Mission Viejo, gdzie mieszkała, kiedy Linda kupiła Dziuplę).

Tymczasem kamper stał na ulicy i zbierał mandaty. Szopy wygryzły dziurę w przewodzie paliwowym. Linda odkryła to przy tankowaniu – opuściła wzrok i z zaskoczeniem ujrzała obok swoich stóp rosnącą kałużę. Zamierzała wrócić do pracy w Fernley, ale nadgarstek wciąż był do niczego, więc musiała zmienić plany. Znów zaczynało brakować jej pieniędzy.

Gdy przyjechałam, nie zważając na moje protesty, zaprosiła mnie i całą rodzinę do meksykańskiej restauracji. Kiedy wychodziliśmy z lokalu, uliczna skrzypaczka grała przebój Lorde *Royals*. Na chodniku leżał otwarty futerał i Linda wręczyła każdej z wnuczek po dolarze, żeby wrzuciły do środka. Po powrocie rodzina zaprosiła mnie na noc do domu, kanapa była już jednak zajęta przez Lindę. Jedna z wnuczek spała w garderobie. Tonem takim, jakbym robiła to tysiące razy, oznajmiłam, że prześpię się w busie przed blokiem. Linda zabrała dwa własne psy i chihuahuę córki, Gizmo, na ostatni wieczorny spacer. Razem przeszłyśmy się wokół parkingu. Zbliżając się do Van Halena, czułam narastający niepokój. Dotąd spędziłam w nim zaledwie jedną noc – na farmie w hrabstwie San Diego, gdzie nie było obcych ani ulicznego ruchu. Dziś po raz pierwszy parkowałam na otwartym terenie. A co, jeśli sąsiedzi zadzwonią na policję? Albo ktoś spróbuje się włamać, kiedy będę spała?

Z tych rozmyślań wyrwał mnie przeszywający ból. Gizmo zatopił zęby w moim prawym udzie. Próbowałam zbyć incydent śmiechem. Wcześniej

słyszałam, jak Audra nazywa psa „podgryzaczem kostek”, ale wzięłam to za wyraz czułości. Ugryzienie mocno piekło. Próbowałam bagatelizować sprawę, jednak wkrótce niepokój zgęstniał w panikę. Czy Gizmo ma ważne szczepienia? Nie chciałam pytać, żeby nikogo nie urazić.

Pożegnałam się, wśliznęłam do busa, zasłoniłam okna i dopiero wtedy rzuciłam się do paczki, którą dostałam od przyjaciółki z Los Angeles. Pod małą amerykańską flagą i mydłem Irish Spring leżały bandaże i na wpół zużyta tubka maści z antybiotykiem. Ściągnęłam dżinsy, spodziewając się krwawiącej rany. Jednak skóra nie była przecięta – miałam tylko paskudnego siniaka. To mnie powinno uspokoić, ale nie uspokoiło. Umyłam zęby i zwinęłam się w kłębek w śpiworze, myśląc o słowach z książki Boba Wellsa: „Dla większości ludzi nieprzyzwyczajonych do spania w busie pierwsza noc może być bardzo trudna. Strach narasta z każdym odgłosem (a odgłosów jest dużo) i możliwe, że nie zdołasz się wyspać. Obudziwszy się rano, poczujesz dezorientację i będziesz się zastanawiać, gdzie jesteś”[150].

Nie sądziłam wcześniej, że te słowa mogą dotyczyć mnie. W końcu byłam tylko reporterką z cyfrówką, dyktafonem i notesem, a nie kimś, kto dokonał radykalnej zmiany w życiu. Zamierzałam mieszkać w busie kilka miesięcy, nie kilka lat.

Przejeżdżające po parkingu samochody bombardowały mnie przednimi światłami. Za każdym razem zasłony w oknach rozbłyskiwały bielą, gasnącą w czerwień, gdy samochód się oddalał. Po wnętrzu busa przetaczały się cienie. Czyżby kierowca zwalniał? Czy ten zamierza stanąć zbyt blisko? Czy wiedzą, że tu jestem? Zamknęłam oczy, próbując się rozluźnić, ale minęło kilka godzin, zanim wreszcie przyszedł sen.

Obudziło mnie ciche stukanie w szybę. Był ranek.

– Halooo! – zawołał znajomy głos.

Linda wyszła na spacer z psami. Na górze parzyła się kawa. Półprzytomna narzuciłam ciuchy i poszłam za gospodynią do mieszkania. Pokazała mi prysznic i wręczyła różowy ręcznik.

– Proszę, świeżo wyjęty z suszarki – powiedziała. – Jest w kropki, bo kropki są wesołe.

Później ruszyłyśmy na przejażdżkę Van Halenem. Linda dała się zaprosić na burrito do swojej ulubionej knajpki z jedzeniem na wynos. Zjadłyśmy śniadanie na plaży, rozmawiając i patrząc na surferów, którzy unosili się na falach. Później Linda udzieliła mi kilku lekcji parkowania. Choć po pół roku

za kierownicą tira operowanie sześciometrowym busem było dla niej dziecinnie proste, widziała, że mam stracha. Następnie odwiedziłyśmy sklep ze starociami, żeby wyposażyć auto w sprzęt kuchenny. Gdy grzebałam w koszu ze sztućcami, wyszukała dla mnie wolnowar i perkolator, oba w znakomitej cenie. Pożegnałyśmy się jeszcze tego popołudnia.

Moim następnym przystankiem była pustynia w pobliżu Quartzsite, gdzie zamierzałam przez kilka miesięcy pomieszkać na dziko i wziąć udział w Rubber Tramp Rendezvous. Do imprezy zostało jednak kilka tygodni. Nie miałam pojęcia, gdzie zaparkuję do tego czasu.

Wtedy przez Facebooka przyszło zaproszenie na składkową kolację. Pochodziło od guru nomadów Swankie Wheels. Poznałyśmy się przelotnie rok wcześniej, poza tym czytałam o jej przygodach na stronie internetowej Boba. Ogarnęła mnie radość. Wiedziałam, że czeka mnie miękkie lądowanie. Poza tym Swankie była ekspertką od dzikich kempingów i dużo mogłam się od niej nauczyć.

„Porwij Lindę i przywieź ją ze sobą” – zażartowała. Wyjaśniłam, że to niemożliwe: Linda jest spłukana, ma zepsuty samochód i uprzejmie odmówiła wspólnej podróży. Swankie poprosiła więc, żebym zamiast niej przywiozła hot dogi.

Dotarłszy do obozowiska, zrozumiałam, że opieka nad nieopierzonymi nomadami to dla Swankie nie pierwszyzna. W tym roku wzięła już pod skrzydła jednego wychowanka, dwudziestosiedmioletniego Vincenta Mosemanna, który wkrótce opowiedział nam swoją historię.

Jeszcze dwa miesiące temu Vincent mieszkał z matką w Billings w stanie Montana. Choć marzył o samodzielnym życiu, wynajęcie mieszkania wydawało się nierealne. Miał ponad dwadzieścia pięć tysięcy długu za niedokończone studia, mimo że w college’u, aby się utrzymać, pracował w dwóch miejscach, jako technik informatyczny i barista, a gdy z pieniędzmi było krucho, potrafił przez dwa dni żywić się kanapką z Subwaya. Rodzice wzięli rozwód, kiedy był na trzecim roku. Żeby dostać przedłużenie stypendium, Vincent potrzebował podpisu ojca, ten jednak przepadł bez wieści. Rzucił więc studia. Wprowadził się z powrotem do matki i znalazł pracę w domu opieki dla dorosłych z autyzmem, gdzie pensja nie była wysoka. Uznał, że jeśli chce żyć samodzielnie, ma tylko jedno wyjście. Odkupił od matki minibusa plymoutha grand voyagera LE z 1995 roku, wybebeszył go, położył linoleum, dodał zasłony, półki i koję. Nazwał pojazd Tillie, na cześć lokomotywy z książeczki *The Little Engine That Could*

[Dzielna lokomotywka], która zawsze powtarzała: „Dam radę, dam radę”. A potem ruszył w drogę.

– Wyjechałem, żeby stanąć na własnych nogach – powiedział.

Zmierzał do Quartzsite. Tam miał się spotkać ze Swankie, którą poznał na facebookowej grupie dla nomadów. Swankie zaproponowała, żeby rozbił obóz obok niej – w żadnym razie nie u niej – w położnym na południe od miasteczka La Posa Long Term Visitor Area, gdzie i ja później do nich dołączyłam.

Po złożeniu Vincentowi tej propozycji Swankie poczuła przypływ niepokoju. Ceniła sobie samotność na tyle, że kupiła flagę z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, którą rozwijała, żeby zasygnalizować, że nie życzy sobie gości. Z kolei Vincent był ekstremalnie towarzyski. Mawiał, że cierpi na SZS, syndrom zagubionego szczenięcia.

Zjawił się w wigilię Halloween i zatrzymał dokładnie naprzeciwko obozowiska Swankie, które przypominało salon pod gołym niebem – były tam mata wodoodporna, fotele, przyczepa i markiza. Obok stał bus wyposażony w łóżko, biurko pod komputer, lodówkę i kuchenkę mikrofalową, którą uruchamiało się przez inwerter przy włączonym silniku. Na dachu Swankie trzymała kajak i panel słoneczny. Na tylnych drzwiach widniała naklejka Planet Fitness, sieci siłowni, w której wykupiła karnet, żeby móc korzystać z prysznica.

Dała Vincentowi zapasowy namiot do przechowywania zapasów, on zaś pomógł jej zamontować w przyczepie szafkę na prowiant. Pokazała mu, jak zainstalować panel słoneczny. Do przykręcenia go użył monet z wywierconymi dziurkami – były znacznie tańsze niż podkładki do śrub. Swankie pozwoliła mu też korzystać ze swojej wynajętej skrzynki pocztowej. To był ważny gest. Rodzina Swankie odmówiła przyjmowania jej przesyłek. Dla Vincenta, transpłciowego mężczyzny, adres korespondencyjny był sprawą kluczową. W ramach terapii musiał raz na dwa tygodnie robić sobie zastrzyk z testosteronu w udo. Fiolki przychodziły pocztą. W skrzynce pojawiały się też inne dobra, w tym świąteczna paczka od matki Vincenta: porcja maślanych ciasteczek domowej roboty i miniaturowy kominek z czerwonej cegły wykonany z pudełka po krakersach, z maleńką choinką na szczycie.

Swankie i Vincent tworzyli ciekawy duet. Żywiołowa siwowłosa nomadka co najmniej o głowę przewyższała swojego młodego brodatego ucznia z wytatuowaną na nadgarstku cząsteczką testosteronu i zawadiackim

uśmiechem bez prawego górnego trzonowca. Wyrwanie go kosztowało Vincenta dwieście pięćdziesiąt dolarów, tymczasem na koronę musiałby wydać tysiąc. Dla wielu napotkanych przeze mnie nomadów brak zęba był najbardziej wstydliwą oznaką ubóstwa. Na widok aparatu powstrzymywali uśmiech albo prosili, żebym nie publikowała zdjęć, na których widać szczerby (to smutne, choć nie zaskakujące, że uzębienie stało się symbolem statusu w kraju, gdzie ponad jednej trzeciej obywateli nie stać na opiekę dentystyczną niewliczaną do standardowego ubezpieczenia[151]). Tymczasem Vincent nazywał swoją przerwę „otworem na słomkę" i pokazywał ją z dumą.

– Z ludźmi, którzy mają z tym problem, i tak nie chciałbym się zadawać – tłumaczył.

Vincent i Swankie dzielili ważną cechę – oboje nie znosili snobów. Swankie wspominała pewien wieczór na pustyni, spędzony w towarzystwie właścicieli luksusowych kamperów. Zapytana, czym jeździ, odparła, że mieszka w busie. Wtedy uprzejmości się skończyły.

– Wstali i poszli sobie od własnego ogniska – wspominała, kręcąc głową.

Innym razem, przyłączywszy się do facebookowej grupy Sieć Wędrownych Singli[152], usłyszała, że nie dopiszą jej bloga do listy stron swoich członków. Powód? Otóż blog zawierał szczegółową instrukcję, jak przerobić wiadro na toaletę. Swankie opuściła grupę.

Podobnie jak Vincentowi, nie zależało jej na takich znajomych. Zresztą jej obozowisko się rozrastało. Już tamtego pierwszego wieczoru po kolacji zaparkowałam obok. To samo zrobili Kat i Mike Valentinowie, małżeństwo czterdziestosiedmiolatków żyjące w niebieskim fordzie ecoline nazwanym Katvandu z dziewięcioletnim synem Alexem i fretką imieniem Ronnie. Kilka miesięcy wcześniej, gdy jeszcze mieszkali w Waszyngtonie, Kat, kierowniczka sklepu i była wojskowa, prosto z pracy trafiła na sygnale do szpitala, gdzie zdiagnozowano u niej stwardnienie rozsiane. Starała się o zasiłek dla bezrobotnych, co miało jej zająć trzy najbliższe lata. Tymczasem Mike pracował za dziewięć czterdzieści na godzinę w przetwórni mrożonek i powoli kończyła mu się umowa. Bali się o przyszłość.

Kat już od dłuższego czasu studiowała w internecie materiały o życiu w busach i kamperach. Napisała na Facebooku: „Sama nie wiem, czy to smutne, czy krzepiące, że TAK WIELU ludzi, z którymi rozmawiam na różnych grupach kamperowców, przeprowadza się do aut na stałe z powodu trudności finansowych. Jest w tym chyba i słodycz, i gorycz. Ta nowa

wolność… Możliwość odkrywania się na nowo… Dziękuję losowi za mądre i różnorodne Plemiona, które dają mi tyle wskazówek, rad, wszystkiego, i zawsze są gotowe wysłuchać. Czyżbyśmy mieli do czynienia z ewolucją dawnej klasy średniej? Czy na naszych oczach powstaje właśnie współczesna klasa łowców i zbieraczy?”.

Na początku rodzina Valentinów obijała się po brudnych motelach przyjmujących gości na krótki pobyt. Zdarzali im się sąsiedzi żyjący z handlu narkotykami albo prostytucji. To nie były dobre miejsca dla dziecka. Kupili więc busa i ruszyli w drogę kilka miesięcy przed Vincentem. Na razie układało im się nieźle. Kat wyjaśniła mi, że Alex jest w trakcie „edukacji podróżnej”, nomadycznej odmiany edukacji domowej. Był bystrym, ciekawskim chłopcem o dojrzałym poczuciu humoru, ale zmagał się z trudnościami społecznymi właściwymi dzieciom z aspergerem i w państwowej szkole koledzy mu dokuczali. Obecnie powtarzał wszystkim, że pragnie założyć własne demokratyczne państwo. Jego stolica miała nosić nazwę Campervan City.

Jedne z najtrudniejszych chwil nadeszły, gdy temperatura w Quartzsite z dnia na dzień spadła poniżej zera. Kat i Mike zużywali benzynę na dogrzewanie busa; licznik paliwa był zepsuty i nie widzieli, w jakim tempie pustoszeje im bak. Parkowali obok Swankie i Vincenta, którzy stosowali tę samą metodę. Poszłam za ich przykładem: zostawiałam Van Halena na jałowym biegu i wczołgiwałam się do śpiwora. Po kilku godzinach snu budziłam się zziębnięta i powtarzałam wszystko od początku. Przez całą noc z dworu dochodził chór pokasłujących silników.

Po pewnym czasie kupiłam piecyk gazowy – popularne rozwiązanie wśród nomadów – ale w nocy miałam z niego niewielki pożytek, bo spanie przy włączonym piecu jest niebezpieczne. Podczas ogrzewania albo gotowania na małej przestrzeni z kiepską wentylacją może się wytworzyć śmiertelne stężenie bezzapachowego tlenku węgla. W busie ten proces zachodzi czasem w przerażająco szybkim tempie. Pewnej nocy, gdy wyłączyłam piecyk i właśnie odpływałam w sen, ciemność przeszyło głośne piszczenie. Włączył się czujnik czadu, bo nie zadbałam o dostateczną wentylację. Otworzyłam szeroko drzwi i okna i stałam na zewnątrz, drżąc z zimna w piżamie, dopóki nie uznałam, że wnętrze busa wystarczająco się przewietrzyło.

Następnego ranka Kat i Mike’owi skończyło się paliwo. Vincent zawiózł ich do miasta, gdzie napełnili bak. Wrócili z nieplanowanym łupem z banku

żywności: jabłkami, parówkami i wielką paczką wiosennej mieszanki sałat.

Dwa dni po Bożym Narodzeniu Alex skończył dziesięć lat, a Swankie wyprawiła mu przyjęcie. Mniej więcej w tym samym czasie Vincent znalazł dorywczą pracę w sklepie Dollar General, gdzie płacili dziewięć dolarów na godzinę. Jednocześnie na boku sprzedawał fartuchy i torby zakupowe wielokrotnego użytku, uszyte własnoręcznie na maszynie z napędem elektrycznym przerobionym na nożny. Podarował Alexowi jeden z fartuchów wraz z egzemplarzem *Władcy Pierścieni*. Chłopiec wpadł w zachwyt, a Vincent nagle przestał nam się wydawać takim dzieciakiem jak kiedyś.

Kat napisała później do wszystkich liścik z podziękowaniem za „prezenty od serca i mnóstwo śmiechu". Pisała: „[Dostaliśmy to wszystko] od ludzi, których kilka miesięcy temu jeszcze wcale nie znałam. Wzruszenie aż odbiera mi mowę. Tak właśnie wygląda prawdziwa rodzina…".

Słychać w tym było echo wcześniejszych słów Swankie:

– Każdy, kto jest w obozie Swankie dłużej niż dwanaście godzin, staje się członkiem rodziny.

Rzeczywiście miała w sobie coś, co sprawiało, że przybysze czuli się mile widziani. Pewnego dnia ruszyliśmy pod jej wodzą obejrzeć petroglify wyryte w pobliskiej skale. W tej wyprawie, w widoku naszej rozciągniętej karawany podążającej za autem Swankie, było coś rozweselającego. Patrząc na pył unoszący się spod kół, miałam wrażenie, że wraz z paczką przyjaciół galopuję konno po bezkresnej pustyni. Tego samego dnia, gdy jeden z członków naszej grupy utknął w rowie, Swankie wyciągnęła go za pomocą swojego busa i nylonowej taśmy.

Tuż przed rozpoczęciem Rubber Tramp Rendezvous przenieśliśmy się wszyscy na pustkowie za Scaddan Wash. To był mój drugi zlot. Uświadomiłam sobie, że dostrzegam rzeczy, na które rok wcześniej nie zwracałam uwagi – zwłaszcza coś, co nie do końca serio nazywałam „nieznośną białością busów".

Swankie żartowała wcześniej, że RTR wygląda jak „zjazd białych furgonetek". I rzeczywiście dosłownie tak było. Większość busów miała białą karoserię, lśniącą w ostrym słońcu pustyni. Pojazdy tej barwy są wszechobecne, ponieważ używają ich firmy transportowe. Przeważają na rynku wtórnym i łatwo wtapiają się w tło, przez co są wśród nomadów bardzo popularne. Mieszkanie w białym busie może jednak nastręczać trudności przez coś, co pewien RTR-owiec nazwał „współczynnikiem ohydy", kulturowy stereotyp łączący te pojazdy z pedofilami i innymi groźnymi

typami. Pewien pięćdziesięciotrzyletni budowlaniec z Salem w Oregonie opowiadał mi, że gdy stracił firmę i przeprowadził się do białego forda e150, koledzy zaczęli go przezywać Ten Zbok Van Dan i prosić o cukierki. Choć nie chcieli sprawić mu przykrości, żarty bolały.

Mieszkańcy busów – niezależnie od barwy karoserii – często spotykają się z zaczepkami nieznajomych wychodzących z założenia, że na pewno coś knują. Piszę te słowa tuż po przeczytaniu na forum internetowym historii człowieka napadniętego przez grupę obcych facetów, zupełnie bez powodu. Obudzili go o północy, trzęsąc busem i krzycząc: „Wyłaź, pierdolony zboczeńcu!" i „Skopiemy cię tak, że się nie pozbierasz!".

Ale biały kolor blach nie był jedynym, co rzuciło mi się w oczy. Inna rzecz nie dawała mi spokoju jeszcze długo po zakończeniu zlotu. Temat powrócił znacznie później, kiedy pokazywałam zdjęcia koledze fotografowi, Afroamerykaninowi, który w swoich pracach mierzy się z kwestiami rasy i kolonializmu.

– Na tych zdjęciach prawie wszyscy są biali – zauważył. Chciał wiedzieć dlaczego.

Ja też. Poznałam tysiące ludzi żyjących w drodze: wędrownych pracowników, trampów, kamperowców rozsianych od wybrzeża do wybrzeża. I choć zdarzały się wśród nich osoby o ciemnej skórze, w ramach całej subkultury stanowiły mikroskopijną mniejszość.

Czemu zatem to towarzystwo jest tak bardzo białe? Członkowie społeczności nomadów sami się nad tym zastanawiają. Z fotografii pracowników na oficjalnej facebookowej stronie Amazon CamperForce[153] spoglądają głównie białe twarze, co sprowokowało komentarz pewnego czarnoskórego kamperowca: „Jestem pewien, że Afroamerykanie też starają się o pracę u was. Mimo to na zdjęciach ich nie widzę".

Zastanawiałam się, czy ten brak różnorodności etnicznej ma coś wspólnego z faktem, że wakacje pod gołym niebem przyciągają głównie białą część społeczeństwa, czego dowiodły badania przeprowadzone przez Służbę Leśną Stanów Zjednoczonych. Być może trzeba pewnego rodzaju uprzywilejowanej pozycji, żeby niewygody na łonie natury traktować jako formę wypoczynku. Satyryczny portal Stuff White People Like podsumował to w taki sposób:

> Jeśli znajdziesz się gdzieś w środku lasu, bez prądu, bieżącej wody i samochodu, pewnie nazwiesz tę sytuację „koszmarem" albo „najgorszym, co może się

wydarzyć po katastrofie lotniczej”. Tymczasem biali mówią na to „wakacje pod chmurką”[154].

A może problemem jest rasizm? Pytałam nomadów, czy zetknęli się z nim w swojej społeczności. Większość nie zaobserwowała żadnych jaskrawych przejawów. Ale jedna z moich rozmówczyń zapamiętała, że wieloletni uczestnik RTR obraził jej czarnoskórą przyjaciółkę, nazywając ją „bambuską”. Inni włączyli się do dyskusji i potępili rasistę, jednak mleko się rozlało i kobieta opuściła zlot. Incydent zaowocował niezręczną atmosferą, zasiał ziarna niepokoju. Być może nomadowie w tymczasowej wspólnocie, którą tworzyli w świecie poza internetem, nie potrafili trzymać się kardynalnej zasady z forum Boba Wellsa: „Nie poniżaj, nie atakuj, nie uwłaczaj nikomu”.

Ash, przyjaciółka Lindy z Amazona, pisała na Facebooku: „Ogromna większość spośród nas, nomadów, jest biała. Powody mogą być różne, od oczywistych po wiadomo jakie, ale jest jeszcze to”. Pod spodem wstawiła link do artykułu opowiadającego o „doświadczeniu wędrówki, gdy jest się czarnym”. To mi dało do myślenia: w Ameryce trudno być nomadą, niezależnie od koloru skóry. Zwłaszcza parkowanie po kryjomu na przedmieściach mocno wyrzuca człowieka poza nawias. Często wymaga łamania lokalnych rozporządzeń wymierzonych w nocujących w samochodach. Unikanie kłopotów – zwarć z policją i podejrzliwymi przechodniami – bywa trudne, nawet jeśli trafiła się nam, jak w Monopoly, „karta wyjścia z więzienia” w postaci przywileju bycia białym. A w czasach, gdy nieuzbrojeni Afroamerykanie giną z rąk policjantów w trakcie kontroli drogowych, mieszkanie w aucie jest szczególnie ryzykowne dla kogoś, kto może stać się podejrzany tylko za sprawą koloru skóry.

Zaczęłam przypominać sobie momenty, kiedy coś mi się upiekło, chociaż mogłam wpaść w kłopoty. Pewnego wieczoru w Dakocie Północnej zatrzymali mnie policjanci. Dowiedziawszy się, skąd jestem, polecili mi kilka miejscowych atrakcji turystycznych i puścili dalej ze zwykłym pouczeniem. Generalnie, gdy jeździłam busem, raczej nikt nie robił mi problemów. Chciałabym móc przypisać to dobrej karmie albo łaskawości losu, fakt pozostaje jednak faktem: jestem biała. Z pewnością moja uprzywilejowana pozycja odgrywa tu swoją rolę.

Po zakończeniu Rubber Tramp Rendezvous pojechałam z naszą grupką do Ehrenbergu. Któregoś wieczoru przy kolacji u sąsiadki uświadomiłam sobie,

że postawiliśmy tacę z jedzeniem na wiadrze służącym jej jako toaleta (wprawdzie szczelnie zamkniętym). W domu taki improwizowany stolik mógłby mi przeszkadzać, tu był szczegółem, który wtapiał się w tło. W ciasnej przestrzeni każdy wykorzystywał to, co miał.

Kilka tygodni później zostawiłam Van Halena na parkingu i wróciłam samolotem do Nowego Jorku. Dziwnie się czułam w swoim brooklyńskim mieszkaniu. Kiedy żyje się w ciasnej przestrzeni busa, klaustrofobia z czasem ustępuje wrażeniu umoszczenia w przytulnej norce. Ściany są blisko, okna zasłonięte, niemal wszystko ma się w zasięgu ręki. Jest jak w matczynym łonie. Budząc się o poranku, czuję się bezpieczna, nawet jeśli w pierwszej chwili nie pamiętam, gdzie zaparkowałam.

To sprawiło, że powrót do domu okazał się większym szokiem, niż sądziłam. Przez kilka dni budziłam się całkowicie zdezorientowana. Materac wydawał się za szeroki. Ściany były za daleko, sufit za wysoko. Pusta przestrzeń wywoływała niepokój, czułam się bezbronna. Wlewający się do sypialni strumień słonecznego światła raził mnie w oczy. Pewnego ranka, jeszcze w półśnie, wzięłam okno w pokoju za przednią szybę busa.

Po tygodniu konfuzja minęła. Potem jej miejsce zajęło coś innego: tęskniłam za busem i za nomadami. Pragnęłam znów ruszyć w drogę.

9

Nie bądź burak! Pracuj dla nas!

Nocowanie na pustynnych bezdrożach było zaledwie początkiem. Wkrótce bus otworzył przede mną nowe terytoria. Przy okazji ostatniej wizyty na pustyni odwiedziłam Big Tent, targi kamperowe, podczas których rekruterzy szukali chętnych do pracy w różnych stronach kraju. To właśnie tam uśmiechnięta kobieta wręczyła mi ulotkę ze sloganem: „Nie bądź burak! Pracuj dla nas!”.

Doroczne zbiory buraka cukrowego zastanawiały mnie od dawna. Wydawały się szczególnym wyzwaniem dla leciwych organizmów i zupełnie nie pasowały do siwowłosych wędrowców tłumnie ciągnących na targi. W ulotce znalazłam wypowiedź bezimiennego robotnika, który opisywał pracę jako „wymagającą, ale nieprzesadnie ciężką”. Niewiele mogłam z tego wywnioskować. Większość informacji czerpałam od swoich rozmówców z Quartzsite i okolic.

– Był ziąb. Padał śnieg. Było mokro – opowiadała mi Gretchen Erb w swoim kamperze fleetwood bounder rocznik 1999. Podczas nocnej zmiany w przetwórni w Minnesocie stała na mrozie, odbierając dokumenty od kierowców ciężarówek i „zbierała próbki”, czyli ładowała do grubych winylowych worków po trzynaście kilo buraków i taszczyła je w miejsce, skąd je odbierano i przewożono do laboratorium na badanie zawartości cukru. Inny robotnik, sześćdziesięciodwuletni Brian Gore, opowiadał mi o zbiorach w Montanie, gdzie jeździł ładowarką z wyłamanymi drzwiami. Przez otwór leciały na niego buraki, niektóre wielkości grejpfrutów, spadające z uszkodzonego pasa transmisyjnego.



Rekruterzy podczas targów Big Tent szukają pracowników do corocznych zbiorów buraka cukrowego

– Bombardowali mnie burakami! – zawołał.

Porównał to do ostrzeliwania ziemniakami z karabinu maszynowego. A jednak nie wykluczał, że wróci, bo potrzebował pieniędzy.

– Na krótką metę da się wytrzymać – dodał. – Gorzej, gdyby człowiek pomyślał, że w dalekiej przyszłości nadal będzie przewalał buraki. Wtedy to się może rzucić na mózg.

Wzięłam więc formularz zgłoszeniowy. „Czemu nie?” – pomyślałam. Spędziłam wiele godzin, rozmawiając z nomadami o ich sezonowych pracach, ale żadnej z nich nie doświadczyłam na własnej skórze. Nie miałam złudzeń: nawet jeśli liznę tej roboty, nie zmienię się od razu w workamperkę. Ale przynajmniej doświadczenie z pierwszej ręki pomoże mi głębiej wczuć się w historie, których tyle już słyszałam.

Kilka miesięcy później mój wniosek został przyjęty przez Express Employment Professionals, agencję pracy tymczasowej zatrudniającą robotników w imieniu American Crystal Sugar. Zaczęłam studiować temat.

Stany Zjednoczone są jednym z największych światowych producentów cukru, którego pięćdziesiąt pięć procent pochodzi z buraków cukrowych (reszta z trzciny). Ponad połowa krajowych upraw buraka – około dwustu siedemdziesięciu pięciu tysięcy hektarów – jest położona w dolinie Red River, biegnącej przez zachodnią Minnesotę i wschodnią część Dakoty Północnej. Stamtąd właśnie pochodzi American Crystal Sugar, największy w kraju koncern cukrowniczy. Region ten jest anomalią w skali kraju, gdyż chlubi się brakiem bezrobocia, przez co trudno tam o ręce do pracy (jeszcze trudniej było w szczycie wydobycia ropy naftowej ze złóż w górach Bakken). Dlatego właśnie American Crystal szuka wędrownych pracowników, którzy na jesienne zbiory przybywają z daleka, wioząc ze sobą swoje domy.

Uzbrojona w tę wiedzę i dwie pary grubych roboczych rękawic, w ostatnim tygodniu września pojawiłam się w Drayton Yard, olbrzymiej przetwórni połączonej z magazynem, w Dakocie Północnej, niedaleko granicy z Kanadą. Dla producentów z doliny Red River pierwsze dwa tygodnie października to wyścig z czasem i pogodą. Używając żargonu militarnego, nazywają ten okres „kampanią”. Bitwa rozpoczyna się o północy pierwszego października. Farmerzy pędzą wyciągać buraki z ziemi, zanim zamarznie, z nadzieją, że temperatura utrzyma się na tyle nisko, by powstrzymać gnicie. Przez całą dobę kilkutonowe ładunki mkną po lokalnych szosach w stronę magazynów. Ciężarówki wypełnione są ponad brzegi. Gdzie się nie obejrzeć, rozsypane buraki zaścielają kilometry poboczy. Ledwie żywi kierowcy odpalają papierosa od papierosa, żeby tylko nie zasnąć. Wszędzie słychać warkot silników. Zdarzają się wypadki[155]. Niektórzy miejscowi winią przepisy stanowe, pozwalające niedoświadczonym pracownikom przewozić wiele ton bez zawodowego prawa jazdy, wymaganego od większości kierowców ciężarówek. W szczycie zbiorów ponad trzydzieści stacji odbiorczych American Crystal przyjmuje około pięćdziesięciu tysięcy ładunków.

Przydzielono mi dwunastogodzinne zmiany przy „pryzmowniku numer jeden”. Nasza stacja mieściła się w tak zwanej przechowalni, olbrzymiej chłodni, która przypominała hangar samolotowy z betonową podłogą i bez bocznej ściany. Wielka pryzma buraków sięgała prawie sufitu. Na szkoleniu wprowadzającym dowiedzieliśmy się, że jest ich około dwudziestu tysięcy ton i że przyjechały w pierwszych ładunkach, jeszcze przed głównym zbiorem. W tym sezonie, dodał instruktor, buraki są większe niż w zeszłym; niektóre mają rozmiar piłki do koszykówki.

Wiele stacji znajdowało się pod gołym niebem. Powiedziano nam, że mamy szczęście, bo dach chroni nas przed deszczem i śniegiem, ale coś za coś – hałas i spaliny doskwierały tu bardziej. Ciężki, słodki zapach ubłoconych buraków mieszał się z wonią pyłu i oleju napędowego.

Podjeżdżające do Drayton Yard ciężarówki były ważone przy specjalnej budce, a następnie ustawiały się w kolejce pod naszą stacją. Kierowaliśmy je pojedynczo do pryzmownika, olbrzymiej szczękającej maszyny, która przypominała małą fabryczkę na gąsienicach. Do wywrotki podłączało się wielki zbiornik, do którego wpadały buraki. Stamtąd wędrowały taśmociągiem do wirówki, gdzie otrząsano je z ziemi lądującej z powrotem w ciężarówce. Kolejnym taśmociągiem jechały w górę na długim wysięgniku przypominającym dźwig budowlany i spadały na trzypiętrową buraczaną górę. W miarę trwania zbiorów góra się rozrastała. Żeby zrobić miejsce, pryzmownik raz na jakiś czas cofał się nieco na gąsienicach. Pod koniec sterta miała długość dwóch boeingów 747 i szerokość mniej więcej równą rozpiętości ich skrzydeł. System wentylujący utrzymywał buraki w temperaturze bliskiej zeru, dopóki nie wyjechały do cukrowni.

Cały proces był ogłuszająco głośny, pełen pośpiechu i potwornie niechlujny. Do naszych zadań należały ciągłe porządki: przerzucanie widłami i łopatami rozsypanych buraków – czasem wielkości mrożonego indyka – z powrotem do maszyny (odpoczynek był niemile widziany. „Kto się może podpierać, ten może i zbierać!” – lubiła wykrzykiwać kierowniczka). Kiedy ciągłe machanie łopatą zaczynało ciążyć, odkładało się ją i przesypywało mniejsze porcje rękami. Jeśli nie ruszaliśmy się wystarczająco szybko, siedząca w uniesionej kabinie kontrolnej nadzorczyni, która przychodziła do pracy w różowych kowbojkach i pełnym makijażu, uruchamiała klakson przypominający syrenę łodzi podwodnej z II wojny światowej, po czym przez szybę wykonywała w naszą stronę serię gwałtownych gestów naśladujących ruchy łopatą. Tymczasem w górze przesuwały się taśmociągi, plując kawałkami buraków i grudkami ziemi, które pryskały na nasze żółte kamizelki ochronne i zielone kaski. Kiedy podniosłam lewą rękę, żeby zasygnalizować koleżance przyjazd ciężarówki – nawet przekrzykując huk maszynerii, prawie w ogóle się nie słyszeliśmy – burak wielkości jabłka mocno uderzył mnie w nadgarstek. Inne zadanie polegało na odgarnianiu z podłogi gęstego śliskiego błocka za pomocą łopat, które wiecznie w nim grzęzły i żeby je wyciągnąć, trzeba było napierać na trzonek całym ciężarem ciała. Oprócz tego zbieraliśmy próbki, o których opowiadała Gretchen. Nie

wspomniała tylko, że wymagało to podstawienia otwartego worka pod pionową rynnę odchodzącą od pryzmownika. Buraki kaskadą spadały do worka i trzeba było mocno spinać mięśnie, żeby go utrzymać. Trochę jakby człowiek łapał kule do kręgli w poszwę na poduszkę.

Najtrudniejsze było czyszczenie maszynerii. Kierowniczka wyłączała mechanizm, a my ładowaliśmy się do środka i oskrobywaliśmy łopatami główny podajnik. Błoto było nieustępliwe, a gdy wreszcie dawało się podważyć, odchodziło skórzastymi paskami grubości bieżnika w oponie. „Z życiem, z życiem!” – wrzeszczała kierowniczka, dodając, że mamy tylko piętnaście minut. Przestoje były kosztowne.

Po dwóch dniach szkoleń zaczęłam pierwszą dwunastogodzinną zmianę. Wracając po ciemku na kemping, przejechałam obok tablicy reklamowej z hasłem: „Nie bądź burak! Pracuj dla nas!”. Bolało mnie całe ciało, a najbardziej plecy i ramiona. Odezwały się stare kontuzje, o których zapomniałam dawno temu. To mnie zaskoczyło, bo miałam trzydzieści siedem lat i byłam w nie najgorszej formie, tymczasem na niektórych stacjach pracowali emeryci. Marzyłam o gorącym prysznicu – obiecano nam dostęp do łazienek, ale ta część kempingu nadal była w budowie. Przyrządziłam sobie kolację w busie i zasnęłam w ubraniu, z przeszywającym bólem głowy. Obudziłam się o świcie, żeby zacząć zmianę, która okazała się jeszcze bardziej intensywna. Na ciężarówce, zakopany w stercie buraków, przyjechał dwumetrowy metalowy pręt, który odłamał się od kombajnu. Pryzmownik go wciągnął. W momencie, kiedy nadzorczyni dała sygnał do awaryjnej blokady maszyny, pręt zdążył zawędrować już do połowy pierwszego taśmociągu i zbliżał się do wirówki, która wytrząsa ziemię z buraków. Gdyby tam wpadł, poważnie uszkodziłby mechanizm – i prawdopodobnie spowodował obrażenia u ludzi stojących obok. Tego samego dnia jeden z kolegów przewrócił się na śliskim betonie i musiał sporządzić raport z wypadku, ponieważ spuchło mu kolano.

Jednym z moich sąsiadów na kempingu był sześćdziesięciodziewięcioletni Dan, którego w 2006 roku problemy zdrowotne zmusiły do zrezygnowania z pracy dostawcy w Walmarcie. Opowiadał mi, że musiał prosić brygadzistę, żeby zwolnił go z nocnej zmiany, bo traci wzrok w prawym oku i może się sprawnie poruszać tylko za dnia. Mieszkał w kamperze z żoną Alice, u której w styczniu zdiagnozowano stwardnienie zanikowe boczne, przez co nie mogła pracować. Na kempingu przebywało sporo starszych ludzi, ale byli też pięćdziesięcioparolatkowie oraz pracownicy w moim wieku i młodsi.

Po swojej prawej miałam parę dwudziestoparoletnich *crusties* w matowym czarnym pikapie z rejestracją z New Jersey, którzy żywili się chińskimi zupkami i spali w kabinie samochodu. Poznałam również mężczyznę z bródką, który jeździł po kempingu na rowerze i przedstawiał się jako Mocarz. Podzielił się ze mną swoją filozofią:

– Jeśli rano pada deszcz, możesz po przebudzeniu powiedzieć, że dzień jest do dupy. Albo możesz powiedzieć, że jest piękny. Ja wolę mówić, że jest piękny.

Zestresowana, obolała i umazana ziemią, czułam się zobligowana wobec nowo poznanych kolegów, żeby wziąć się w garść i dotrwać do końca kampanii. Z drugiej strony wiedziałam, że choćbym została tam nie wiem jak długo, doświadczenie to nie zrobi ze mnie prawdziwej workamperki. W końcu i tak wrócę do domu, żeby pisać. Zdążyłam już zobaczyć, i przede wszystkim poczuć, wystarczająco dużo, aby mieć pewność, że moi rozmówcy nie przesadzali. Zatem pewnego wieczoru po skończonej zmianie oznajmiłam brygadzistce, że nie wrócę. Nawet się nie zdziwiła; odejścia często się zdarzały. Kilka dni później dowiedziałam się, że zrezygnowała większość osób pracujących przy moim pryzmowniku. Doszła mnie również wieść o kobiecie z innej stacji, która złamała nadgarstek. Z mieszaniną wstydu i ulgi pomyślałam: „Dobrze, że to nie byłam ja”.

Wyjechałam z Drayton Yard po zmroku, mijając strumień ciężarówek płynący w przeciwnym kierunku. W lusterku wstecznym neon American Crystal Sugar mżył czerwoną poświatą w kłębach pary z fabryki. Tamtej nocy szarpnęłam się na hotel w Grand Forks. Wzięłam gorący prysznic, wypaliłam jointa i zasnęłam, usiłując obejrzeć film. Jedna z tych trzech rzeczy okazała się błędem.

Mniej więcej w czasie, gdy zgłosiłam chęć pracy przy zbiorach, złożyłam też podanie do CamperForce. Praca w magazynie wymagała wcześniejszego poddania się testowi na obecność narkotyków, co zawsze uderzało mnie jako praktyka równie inwazyjna, co poniżająca. Cała sprawa wydawała się jeszcze bardziej absurdalna, kiedy człowiek wyobraził sobie leciwych kamperowców, którzy w całym kraju oddają do analiz płyny fizjologiczne lub fragmenty tkanki po to, by zdobyć niebezpieczną, niskopłatną tymczasową pracę.

Zdążyłam już poczytać w internecie o amazonowej polityce testów i znalazłam wypowiedzi pracowników, którzy wspominali o wymazie

z policzka. Przy tej metodzie większość narkotyków, w tym marihuana, jest wykrywalna tylko przez kilka dni od zażycia. Uznałam, że nic mi nie grozi, i napisałam do firmy, że mogę zgłosić się do pracy od listopada.

Wróciwszy do domu, odebrałam wiadomość od CamperForce z informacją, że 4 listopada mam się stawić w magazynie w Haslet w Teksasie, niedaleko Fort Worth. Kilka dni później, po tym jak przyjęto moje zaświadczenie o niekaralności, dostałam kolejną wiadomość, w której pisano, że mam siedemdziesiąt dwie godziny na wykonanie testu na obecność narkotyków w laboratorium przy Atlantic Avenue, blisko mojego mieszkania. „Żaden problem" – pomyślałam. Niestety mejl zawierał niemiłą niespodziankę. Miałam zrobić badanie moczu.

W moczu marihuanę daje się wykryć nawet później niż po miesiącu, ponieważ metabolity kryją się w tkance tłuszczowej. Mój test miał się odbyć półtora tygodnia po tym, jak wypaliłam jointa w Dakocie Północnej. Gdyby chodziło o wymaz z policzka, wszystko byłoby w porządku, ale badanie moczu mogło wypaść różnie. Zamówiłam na Amazonie dziesięć pasków do wykrywania THC i zrobiłam próbę. Kreska oznaczająca wynik negatywny wprawdzie się pojawiła, ale była przygnębiająco blada. Według instrukcji każda, niezależnie od odcienia, stanowiła podstawę do zaliczenia testu. Moja była jednak ledwie widoczna. Wolałam nie ryzykować.

Pozostał mi jeden niezawodny sposób – przemycenie czystego moczu. Na szczęście miałam dziewięć niezużytych pasków. Rozdałam je znajomym i rodzinie. Wkrótce znalazł się dawca. Przechowałam próbkę w miniaturowej buteleczce po szamponie. Przed wyjściem z domu schowałam buteleczkę w majtkach i założyłam obcisłe dżinsy, żeby nie wypadła. Po wszystkim technik poinformował mnie, że wyniki dostanę za czterdzieści osiem godzin.

Laboratorium się nie odezwało, za to po kilku dniach przyszła wiadomość z CamperForce: mogę pracować. Wkrótce, siedząc za kierownicą busa, zmierzałam do Haslet w Teksasie.

W środę rano zaczęło się szkolenie naszej trzydziestojednoosobowej grupy zebranej w sali lekcyjnej na terenie magazynu.

– Ta praca jest fizyczna w najściślejszym sensie – ostrzegła nas instruktorka. – Dziennie kuca się tu pewnie z tysiąc razy, nie przesadzam. Robimy stalowe pośladki! Zgadza się?

Kilku uczestników się zaśmiało. Siedzieliśmy przy długich stołach w porządku alfabetycznym, jak dzieci w szkole. Większość zebranych

przekroczyła sześćdziesiąty rok życia. Byłam jedyną osobą przed pięćdziesiątką i jedną z trzech bez siwych włosów. Powiedziano nam, że kierownictwo magazynu w Haslet zamówiło ośmiuset pracowników z CamperForce, po czym otrzymało ponad dziewięćset zgłoszeń.
Na okolicznych postojach nie było miejsca dla armii nomadów. Pomysł, by wynająć miejscowe pastwiska dla krów, szybko został odrzucony (wyobrażacie sobie takie pole, ścięte mrozem podczas jednej ze słynnych teksańskich burz lodowych, zamieszkane przez setki pracowników w starszym wieku – bez prądu, wody ani podłączenia do ścieków? Toż to koszmar każdego PR-owca!).

Koniec końców udało się zebrać ograniczoną liczbę miejsc parkingowych na kilkunastu postojach w promieniu sześćdziesięciu czterech kilometrów. Zatrudniono dwustu pięćdziesięciu jeden pracowników CamperForce, tylu, ilu dało się wcisnąć. Niektórzy, oprócz tego, że pracowali po dziesięć godzin, kolejne półtorej godziny dziennie poświęcali na dojazdy. Pewna kobieta mieszkająca w białym fordzie zwierzyła mi się, że zamierza dwa razy w tygodniu zatrzymywać się *incognito* na parkingu przed magazynem, żeby zaoszczędzić na czasie i paliwie.

Nasza instruktorka, nomadka i weteranka CamperForce, przeprosiła za to utrudnienie. Zapewniła, że firma cieszy się z naszej obecności.

– Kamperowcy są znani ze swoich zasad, frekwencji i jakości pracy – powiedziała. – Wiemy, jak to jest cały dzień ciężko harować. Na to właśnie liczy Amazon. Sprowadzili naszą doświadczoną grupę, żeby przyszła i skopała wszystkim tyłki!

Nasze grono, dodała, słynie z tak zwanego efektu CamperForce: pozytywnego nastawienia i etyki pracy rodem z czasów Eisenhowera, która udziela się młodszym, mniej doświadczonym robotnikom. Jednak następne dni pokazały, że nie mamy dużego wpływu na zblazowanych milenialsów. Podobnie jak od dwudziestolatków biły od nas zmęczenie i nuda.

Ale przynajmniej mogliśmy się szczycić szerokim wachlarzem doświadczeń. Siedzący po mojej lewej stronie sześćdziesięcioparoletni Keith był pastorem i ojcem dziesięciorga dzieci (piątka już dorosła, reszta mieszkała z nim w kamperze). Charlie, lat siedemdziesiąt siedem, opowiedział mi, że wieloletnia praca mechanika w koncernie miedziowym zniszczyła mu kolana. Ed i Patricia, małżeństwo z ponadczterdziestoletnim stażem, przeszli na emeryturę pod koniec lat dziewięćdziesiątych. On był policjantem na motorze, ona nosiła pocztę.

Wszyscy razem mieliśmy pracować w dziale kontroli jakości i stanów magazynowych. Zajęcie wydawało się niegroźne: skanowanie produktów i dopasowywanie ich do rekordów cyfrowych. Szybko się jednak nauczyliśmy, że magazyn – według słów instruktorki największy w całej sieci, zajmujący powierzchnię ponad dziewiętnastu boisk futbolowych – to istny labirynt zasadzek. Skrzynki przesuwały się po z górą trzydziestu pięciu kilometrach taśm transmisyjnych, które dudniły jak pociągi towarowe i często się zacinały. Mieliśmy spinać włosy i unikać wiązania bluz w pasie, a identyfikatory zwisały nam z szyj na łatwych do przerwania smyczach, żeby nikt się nie udusił. Wokół panował hałas, przez który raz po raz przebijało trąbienie klaksonu. Dźwięk ten, jak uświadomił mi kolega, sygnalizował ponowne uruchomienie taśmy, która się zacięła.

W Haslet pracowali też Barb i Chuck Stoutowie, których ostatnio widziałam w Quartzsite palących w ognisku papiery z banku. Chuck miał stanowisko przy jednej z taśm. W pewnej chwili z taśmy wypadł karton, który zwalił go z nóg. Chuck uderzył głową o beton. Wkrótce zebrała się nad nim ekipa ratowników z AmCare. Nie stwierdzili wstrząśnienia mózgu i odesłali Chucka do pracy na odbiorze, gdzie trzeba chodzić prawie dwadzieścia pięć kilometrów dziennie. (W przerwie między zmianami spotkałam się z obojgiem w restauracji Buffalo Wild Wings. Opowiedzieli mi, że przed moim przyjazdem do Teksasu na parkingu przed magazynem demonstrowali związkowcy. Przez jakieś dwa tygodnie kierownictwo powtarzało pracownikom, by trzymali się od nich z daleka i przede wszystkim niczego nie podpisywali. Informacje o osobach, które rozmawiały ze związkowcami, miały lądować w związkowej bazie danych i być później wykorzystywane, aby je „namierzyć” i nawiązać kontakt).

W trakcie szkolenia dowiedzieliśmy się, że nasz magazyn to jedno z dziesięciu centrów logistycznych, w których firma używa robotów. Stupięćdziesięcioośmiokilogramowe pomarańczowe maszyny przypominały wielkie odkurzacze roomba. Z boku mają nazwę producenta, firmy Kiva, ale pracownicy mówią o nich „drajwy”. Roboty śmigają wewnątrz ciemnej klatki – w końcu maszyna nie potrzebuje światła – na specjalnie wyznaczonym terenie, zwanym wybiegiem dla robotów. Za zadanie mają przewozić wypchane towarami regały do obsługiwanych przez ludzi bramek. Nikt oprócz członków działu o nazwie Amnesty nie miał prawa wejść na teren pracy robotów, nawet kiedy rzeczy zlatywały z półek. Zwykłym pracownikom wolno było wyłowić taki przedmiot za pomocą „wysięgnika

odzyskującego” (w rzeczywistości był to zwykły wałek do farby na półtorametrowym kiju, znajdujący się na każdej stacji). Gdy wyraziłam zainteresowanie obsługą tego przyrządu, usłyszałam, że muszę poczekać. Wymagało to specjalnego przeszkolenia.

Już wcześniej dużo słyszałam o robotach Kiva. Uważano je albo za mokry sen eksperta od wydajności, innowację, która wyzwoli ludzkość od bezmyślnej harówki, albo za zwiastun dystopijnej przyszłości, w której dla ludzi zabraknie pracy, zawody fizyczne znikną z rynku, a przepaść między biednymi a bogatymi stanie się nie do przeskoczenia.

Rzeczywistość była mniej kontrowersyjna, a bardziej slapstickowa, jak w uwspółcześnionej wersji filmu Charliego Chaplina *Dzisiejsze czasy*. Instruktorzy raczyli nas historiami o krnąbrnych maszynach. Drajwy oddalały się samowolnie z miejsca pracy, uciekając przez przerwę w ogrodzeniu. Próbowały odciągnąć ze stacji drabinę razem z pracownikiem. W rzadkich przypadkach dwa roboty – każdy dźwigający ponad trzysta kilogramów – zderzały się ze sobą niczym pijani kibice piłki nożnej stukający się klatami. Czasem zdarzało im się coś upuścić. Czasem jeszcze po tym przejeżdżały. W kwietniu z jednego z robotów spadła puszka mocnego gazu pieprzowego, a po chwili drugi ją zmiażdżył. Trzeba było ewakuować magazyn. Siedmiu osobom udzielono pomocy przed budynkiem. Jedną, z zaburzeniami oddychania, zawieziono do szpitala.

Oprócz robotów chuliganów mieliśmy uważać na nadmierny wysiłek. „Przygotuj się na obolałe mięśnie!” – ostrzegał plakat. Jeden z instruktorów żartował, że dzień można nazwać dobrym, jeśli „poprzedniej nocy wystarczyły ci dwie tabletki tylenolu”. Zamontowane na ścianach dystrybutory wydawały darmowe nieobrandowane środki przeciwbólowe. Jeśli ktoś chciał dostać wyrób konkretnej firmy – albo na przykład buteleczkę napoju Five-Hour Energy – mógł je kupić w pomieszczeniu socjalnym. Instruktorzy oprowadzili nas po budynku. Na ścianach wymalowano podobizny maskotki Amazona, kluskowatego pomarańczowego stwora imieniem Peccy, a także orwellowskie hasła typu „Problemy to skarb” albo „Zmienna zapotrzebowania twoim wrogiem, czas taktu kluczem do sukcesu” („czas taktu” to pojęcie z firmowego żargonu. Według definicji to „pożądany czas, w jakim dany produkt powinien opuścić linię produkcyjną”[156]. Służy do regulowania tempa pracy). Duży kalendarz informował nas, że jak dotąd w listopadzie nie było dnia bez co najmniej jednego wypadku. Przewodniczka pokazała nam „ścianę wstydu” z anonimowymi profilami

skompromitowanych pracowników. Każdy ilustrowany był klipartowym obrazkiem: czarna sylwetka głowy, a na niej duży czerwony napis „ZATRZYMANY" lub „ZWOLNIONY". Jeden z pracowników kradł iPhone'y i szmuglował je na zewnątrz w butach z metalowymi podnoskami. Innego przyłapano na tym, że zjadał produkty, zamiast odkładać je na półki (całkowita wartość zjedzonych produktów wynosiła dokładnie siedemnaście dolarów i czterdzieści pięć centów, jak skwapliwie ujawniał profil). Główną zasadą w magazynie była dyscyplina. Kazano nam chodzić po ścieżkach zaznaczonych zieloną taśmą; ilekroć ktoś ściął zakręt, dostawał upomnienie. Gdy zatrzymałam się, żeby skorzystać z toalety, w kabinie znalazłam wykres z paletą kolorów, od bladożółtego do upiornego rdzawego brązu. Obok widniała instrukcja, by odnaleźć w palecie kolor własnego moczu, oraz sugestia, by pić więcej wody.

Spędziłam w magazynie tydzień. Dysonans poznawczy był mocny. Na początku każdej zmiany dwudziestoparoletnia kierowniczka z blond kucykiem wesoło witała grupę pracowników, w większości seniorów, podczas gdy jej asystentka prowadziła ćwiczenia rozciągające. Później skanowałam kody kreskowe z rozmaitych produktów, od sztucznych członków (producent: Siódme Niebo, model: Czarujący Drągal) przez okleiny na broń firmy Smith & Wesson (w wersji wytłaczanej lub gładkiej) po karty podarunkowe sieci kin AMC po dwadzieścia pięć dolarów (sto czterdzieści sześć sztuk, a każda do zeskanowania osobno).

Pewnego razu, gdy robot z kolumną półek podjeżdżał do mojej stacji, doszedł mnie mdlący zapach, który narastał i gęstniał, w miarę jak robot się zbliżał. Z jakiegoś powodu przypomniałam sobie… czasy studiów? Kiedy regał zatrzymał się przed bramką, znalazłam na nim osiemnaście pudełek kadzideł o zapachu paczuli, czekających na zeskanowanie. Zapach kleił mi się do rąk. Powstrzymując odruch wymiotny, dokończyłam pracę i odesłałam regał przyciśnięciem guzika. Trzy następne roboty czekały już po prawej stronie niczym cierpliwe labradory. Miejsce ciężkiej woni zajęła inna, świeższa. Ale pięć minut później robot z kadzidłami wrócił. Szybko zeskanowałam wszystko jeszcze raz. Po kolejnych pięciu minutach był z powrotem. Zastanawiałam się, czy to dowód na to, że ludzie są inteligentniejsi od maszyn. A może robot kpi ze mnie, zmuszając do bezsensownego liczenia produktów – może zamierza wybrać sobie najlepsze dwa z trzech wyników? Po tym, jak odesłałam regał po raz trzeci, zmiana

dobiegła końca. Razem z resztą pracowników ruszyłam do wyjścia. Koledzy wyczuli ode mnie zapach kadzidła.



Zdejmuję z półki przewożonej przez robota produkty, żeby zeskanować kody kreskowe

– Gorączka sobotniej nocy! – zawołał pastor Keith.

Kolejna nocna zmiana okazała się moją ostatnią. Znów przez kilka godzin pracowałam z robotami. Próbowałam wprowadzić się w stan medytacji. Inna pracownica CamperForce, siwowłosa siedemdziesięcioparolatka, powiedziała mi wcześniej, że omal nie zrezygnowała z pracy, bo roboty doprowadzały ją do szału. W kółko przywoziły jej te same regały. Przypominało to mój problem z kadzidłami. Po trzech razach robot podjechał do męża mojej rozmówczyni, pracującego siedem i pół metra dalej. Później odwiedził go jeszcze sześciokrotnie. Rozmawiając o tym w trakcie przerwy, w pewnym momencie minęłyśmy wesołą sprzątaczkę, która odkurzała szafki. Moja rozmówczyni ucichła, spojrzała na tamtą.

– Jak ona zdobyła tę robotę? – zapytała z pretensją w głosie. – Wolałabym robić coś takiego. Wolałabym czyścić toalety!

Pod koniec zmiany kierowniczka poprosiła mnie o zeskanowanie przedmiotów w sekcji, do której trafiały zniszczone produkty. Tyle że według komunikatu na wyświetlaczu skanera miałam wsiąść na wózek widłowy (nie potrafię obsługiwać wózka widłowego). Kierowniczka nie

wiedziała, co robić, próbowałyśmy zresetować skaner. Wreszcie dotarłam na miejsce. Po kilku godzinach inwentaryzowania powgniatanych puszek, popękanych pudełek i zabawnego prezentu z opisem „dwustronny ręcznik do buzi i pupy” moja zmiana dobiegła końca.

Minęłam troje innych pracowników CamperForce, którzy zrezygnowali z walki z nieobliczalnym skanerem. Siedzieli nieruchomo naprzeciwko rzędu regałów, oparci plecami o ścianę. Wiedziałam, że już czas odejść, ale dotąd nie byłam zdecydowana. Nagle przepełniło mnie pragnienie buntu. Była jedna rzecz – tak nam powiedziano – prowadząca do natychmiastowego zwolnienia. A gdybym tak beztrosko, bez namysłu i na oślep rzuciła się na wybieg dla robotów? Fantazjowałam o tym kilka dni wcześniej. Jak by to było tak pędzić ciemnawymi alejkami wśród krzątających się maszyn, wykonując gwałtowne uniki, niczym w proletariackim parkourze? Jak prędko ekipa Amnesty zdołałaby mnie dogonić? I co by się wtedy stało? (Zdarzały się większe dziwa. Później doszły mnie słuchy o zwolnieniu dwojga pracowników za miłosną schadzkę na wybiegu dla robotów).

Tyle że przyszłam tu zbierać historie, a nie odgrywać słynną scenę z *Bravehearta*. I nie chciałam stracić notatek. Starannie zapisany notes tkwił w tylnej kieszeni spodni. Dodatkowo rejestrowałam swoje spostrzeżenia, *sotto voce*, dyktafonem ukrytym w długopisie, i robiłam zdjęcia aparatem w kształcie breloczka. Oba urządzenia wisiały na smyczy razem z identyfikatorem.

Podeszłam do bramki kontrolnej przy wyjściu z magazynu. Włożyłam smycz z całym ładunkiem do pojemnika, jak na lotnisku, i przesunęłam w stronę strażniczki, po czym przeszłam przez wykrywacz metali. Zatrzymałam się niepewnie, patrząc to na strażniczkę, to na pojemnik, ona jednak ledwie rzuciła na niego okiem. Spojrzała na mnie i uniosła brwi.

– Na co pani czeka?

Powiedziałam „dobranoc” i wyszłam.

CZĘŚĆ TRZECIA

10

Słowo na B

Kilka tygodni po tym, jak Linda wprowadziła się do Dziupli, LaVonne została sama w San Diego. Parkowała *incognito*. Po kilku trudnych miesiącach upadła na duchu. Jej dawny dom – bordowy GMC safari o nazwie LaVanne – zepsuł się po ostatnim Rubber Tramp Rendezvous, a ona ugrzęzła w Ehrenbergu bez pieniędzy na naprawę. Jakby tego było mało, wciąż miała do zapłacenia kilka tysięcy w ratach za bezużyteczny już bus, który wcześniej kilka razy odmówił jej posłuszeństwa. Postanowiła zostać tam, gdzie jest, i czekać na emeryturę z Social Security. Lori, kobieta, która mieszkała z synem w chevrolecie tahoe, zabierała ją ze sobą na zakupy. LaVonne znalazła też pociechę u boku nowej towarzyszki podróży – rozdokazywanego szczenięcia imieniem Scout, z miotu, który urodziła niedawno suczka Lori.

LaVonne mieszkała w zepsutym busie prawie półtora miesiąca, w miarę jak temperatury rosły, a towarzystwo się przerzedzało. W końcu dostała pieniądze i mogła odholować pojazd do mechanika, który zażądał trzech tysięcy. Nie miała tyle. Spacerując ze Scout, dostrzegła w komisie samochodowym prawie nowego dwunastoosobowego chevroleta express. Z biura wyszedł sprzedawca. Zaproponował, że pomoże jej zdobyć pożyczkę, choć miała kiepską historię kredytową. Nic dziwnego – kredyty wysokiego ryzyka przeżywały w ostatnich latach boom popularności.

LaVonne nie była przekonana do warunków pożyczki, ale co miała zrobić?

– Gdyby nie to, zostałabym bezdomna – powiedziała mi później. Nazwała pojazd LaVanne 2.

Doświadczenie to sprawiło, że otarła się o straszliwe słowo na B: bezdomność. Większość nomadów unika go jak zarazy. W końcu oni są „bezmiejscowi". Bezdomni to inni.

Ale nawet kiedy zdołała wyrwać się z Ehrenbergu i wrócić w znajome strony, do San Diego, słowo na B wciąż ją prześladowało. Na swoim blogu napisała:

– Kiedy mieszkasz w busie w mieście, ludzie myślą, że jesteś bezdomna.

– Kiedy myślą, że jesteś bezdomna, zaczynasz się tak czuć.

– Starasz się więc ukryć, będąc na widoku… Robisz wszystko, by wyglądać „normalnie”…

– I gdy ten wyraźnie bezdomny facet, którego widujesz co rano, chowającego w krzakach swój dobytek w worku na śmieci, pozdrawia cię z uśmiechem, jakby cię znał, jest to co najmniej deprymujące.

– Ponieważ dociera do ciebie, że zostałaś częścią coraz liczniejszego klubu osób mieszkających na ulicy, a ciebie i tego faceta naprawdę niedużo dzieli[157].

Kilka dni później dręczona wstydem LaVonne wyznała czytelnikom coś jeszcze. Napisała, że aby przetrwać miesiąc, wzięła chwilówki, po dwieście dwadzieścia pięć dolarów każda plus czterdzieści pięć dolarów odsetek, i że termin płatności upływa za tydzień. Była roztrzęsiona i było jej wstyd. Natychmiast odezwał się Sameer, przyjaciel z RTR podróżujący z Mr. Pikiem.

Chciałbym być teraz w pobliżu, żeby Cię uściskać, siostro. Chcę, żebyś wiedziała, że nie jesteś sama. Pamiętam, jak siedziałem z Mr. Pikiem w lesie w Dolores, w stanie Kolorado, osiem dni przed wypłatą. Wskaźnik benzyny był już prawie na samym dole, jedzenia miałem na pięć dni, a wody na dwa… Trudno pogodzić się z biedą i z tym, że uważają cię za biedną. Przedstawiano nam to życie jako coś ekscytującego i nowego, i faktycznie takie jest. Ale faktem jest też, że większość z nas żyje tak z powodu sytuacji finansowej… Posłuchaj rady swojego brata Sameera… Zostaw Kalifornię i ulice San Diego, gdzie uważają Cię za bezdomną. Pamiętaj: na pustyni albo w lesie jesteś na kempingu… Przyjedź na pustynię i żyj wśród swoich, którzy Cię kochają i którym na Tobie zależy.

Twój brat Sameer

Sameer i LaVonne nie byli naiwni. Wiedzieli, że w świetle prawa są osobami bezdomnymi. Ale kto by potrafił żyć z taką świadomością? Słowo „bezdomni” dało przerzuty poza swoje podstawowe znaczenie i stało się straszliwą groźbą. Pobrzmiewają w nim cicho inne określenia. Wyrzutki. Przegrani. Oni. Ci, którym nic nie zostało. „Pariasi naszego społeczeństwa”[158] – napisała LaVonne na swoim blogu.

– Na początku martwiłem się, co ludzie pomyślą, widząc, że mieszkam w busie – opowiadał mi w wywiadzie Sameer. – Nie chciałem, żeby mówili o mnie „bezdomny”.

Ale to słowo go prześladowało. Kiedy pojechał do siostry na ramadan, wyrzuciła go, nazywając „bezdomną łajzą”, która daje zły przykład jej

dzieciom.

– Sądziłem, że rodzina okaże mi więcej serca. – Sameer ucichł. – Ważne, jak sami siebie określamy – podjął po chwili. – Jeśli jadąc drogą, myślisz o sobie „bezdomny” albo inne złe rzeczy, to masz kłopot. Paul Bowles napisał książkę *Pod osłoną nieba*. Opisuje tam różnicę między turystą a podróżnikiem. – Po krótkim milczeniu dodał: – Ja jestem podróżnikiem.

W swojej książce Bob Wells stawia wyraźną granicę między nomadami a bezdomnymi. Nomadowie to ludzie, którzy świadomie wypisują się z zepsutego, demoralizującego systemu. Niezależnie od tego, czy sami je wybrali, przyjmują nowe życie i korzystają z niego. Z drugiej strony: „Człowiek bezdomny też może zostać nomadą, ale nie z niechęci do zasad, które panują w społeczeństwie. Nie, on ma jeden cel i jest nim powrót pod dyktando tych zasad, dzięki którym czuje się komfortowo i bezpiecznie”[159] – tłumaczy Bob.



Sameer z Mr. Pikiem w swoim busie

Kwestia wyboru własnego losu okazała się szalenie ważna. Wciąż słyszałam, że choćby możliwości były nie wiem jak wąskie, liczy się wybór.

Ghost Dancer, założyciel forum nomadów na portalu Yahoo, w rozmowie ze mną ujął to tak:

– Sytuacja gospodarcza się nie poprawia. Masz wybór: możesz być wolna albo możesz być bezdomna.

Stygmatyzacja społeczna to tylko część problemu. Na nomadów czyhają też inne niebezpieczeństwa, i to gorsze niż kije i kamienie. W ostatnich latach państwo wywiera niespotykaną dotąd presję na ludzi, którzy porzucili tradycyjne cztery ściany. Oto jak w 2016 roku pisał na ten temat „New York Times”:

> Przepisy, które w zasadzie kryminalizują bezdomność, pojawiają się wszędzie, przyjmowane z zadowoleniem w Orlando na Florydzie, Santa Cruz w Kalifornii czy Manchesterze w New Hampshire. Jak wynika z badań przeprowadzonych w stu osiemdziesięciu siedmiu miastach przez organizację National Law Center of Homelessness and Poverty do końca 2014 roku władze setki z nich zabroniły siedzenia na chodniku, co stanowi czterdziestotrzyprocentowy wzrost w porównaniu z rokiem 2011. W tym samym okresie liczba miast, w których zabroniono spania w samochodach, podskoczyła z trzydziestu siedmiu do osiemdziesięciu jeden. Obostrzenia te następują równolegle z gentryfikacją, która zmienia oblicze Nowego Jorku, San Francisco, Los Angeles, Waszyngtonu i Honolulu, przyczyniając się do wzrostu kosztów mieszkaniowych i nasilenia się zjawiska bezdomności[160].

Takie przepisy przedkładają własność ponad człowieka. Mówią nomadom: „Wolno ci zostawić tutaj swój samochód, ale sam nie masz prawa tu przebywać”. O tym, że być może jest to sygnał złowróżbnej zmiany w systemie wartości społecznych, mało kto rozmawia.

Zresztą problem nie dotyczy wyłącznie miast. Dyskryminacja ekonomiczna odbywa się także na publicznych gruntach. W arizońskim Coconino National Forest strażnicy leśni od pewnego czasu wypytują biwakowiczów w busach i kamperach o adresy zamieszkania. Każda osoba podejrzewana o brak stałego lokum – co zdradzić może chociażby naklejka z terenów kempingowych blisko Quartzsite – narażona jest na mandat i nakaz odjazdu, ponieważ wykorzystuje las „do celów mieszkalnych”[161]. Tymczasem w artykule opublikowanym w „The Statesman Journal” czytamy, że Służba Leśna pracuje nad aplikacją pozwalającą obywatelom zgłaszać podejrzenia, że w jakimś miejscu powstał dziki kemping[162].

Negatywny stosunek do zmotoryzowanych trampów nie jest niczym nowym. W drugiej połowie lat trzydziestych, gdy gwałtownie wzrosła popularność przyczep mieszkalnych, media okrzyknęły ich właścicieli rosnącym zagrożeniem dla wartości moralnych klasy średniej. Mówiono o nich: utrapienie. Darmozjady. Pijawki. Roznosiciele chorób. Ludzie bez korzeni. Włóczędzy. Lenie. Pasożyty. Bumelanci.

„Czterokołowi włóczędzy dorzucają do sektora usług publicznych najmniej w tym zżeranym przez podatki kraju”[163] – narzekała redakcja „New York Timesa” w 1937 roku.

„Kto weźmie odpowiedzialność za koczowników bez korzeni, dzikich lokatorów, niepłacących podatków i tworzących niespotykane dotąd skupiska zmotoryzowanej biedoty?”[164] – pytał w tym samym roku magazyn „Fortune”.

Ich lamenty wykpił producent przyczep, firma Caravan Trailer, nadając swojemu trzymetrowemu taniemu modelowi za czterysta dwadzieścia pięć dolarów nazwę Tax Dodger [Oszust Podatkowy][165].

Ale powstała w latach trzydziestych moda na przyczepy minęła. Większość podążających za nią ludzi wraz z ożywieniem gospodarczym na powrót się ustatkowała. Natomiast wielu współczesnych nomadów w rozmowach ze mną twierdziło, że nigdy nie wróci do dawnego życia. Nie zamierza na nowo dać się wciągnąć w główny nurt. To znaczy, że sporo z nich przez całe życie od czasu do czasu będzie musiało się ukrywać.

Tamtej wiosny do LaVonne zapukano tylko raz, gdy parkowała *incognito* w San Diego[166]. Mogło być gorzej. Oficer Nunez był miły. Chciał tylko sprawdzić, czy żyje. Czy nie ma w busie fabryki metamfetaminy. LaVonne wie, że miała szczęście. Jej pojazd na oko był nowy i czysty. Piesek przeuroczy. Ona sama jest biała. Policjant nie wypisał mandatu. Spisał natomiast jej nazwisko, numer rejestracyjny oraz markę i model samochodu. A to znaczyło, że została zdemaskowana i wkrótce będzie musiała ruszyć dalej.

11

W domu

Dwa tygodnie po moim wyjeździe z Teksasu wypadało Święto Dziękczynienia. Zadzwoniłam do Lindy, żeby spytać, co u niej, i życzyć jej wesołych świąt.

Nie miała dobrych wieści. Jej rodzinę czekała eksmisja z domu w Mission Viejo. Zięć stracił rentę, którą dostał rok temu, kiedy zawroty głowy i migreny zmusiły go do porzucenia pracy w biurze. Nie byli w stanie płacić czynszu, więc Linda podarowała im swój stary kamper, który tkwił w przechowalni (latem prawie go sprzedała, ale kupiec się rozmyślił). Cieszyła się, że ośmioipółmetrowy el dorado przyda się jej bliskim, ale i niepokoiła, czy zmieści się w nim dwójka dorosłych z trójką nastolatków i czterema psami. Audra i Collin mieli spać w sypialni, Julian nad kabiną kierowcy, Gabbi i Jordan w kąciku jadalnym, a psy gdziekolwiek.

Rodzina przygotowała się do wyprzedaży dobytku, opróżniając stuosiemdziesięciopięciometrowy dom wraz z garażem.

– To wyglądało, wiesz, jak te programy o obsesyjnych zbieraczach – powiedziała mi Linda.

Audra wręczyła każdemu z dzieci po plastikowej skrzynce. Wszystko, co chciały zatrzymać, musiało się zmieścić w środku. Linda pomogła zorganizować wielką wyprzedaż garażową. Na trawniku stały pudła z ubraniami i książkami, deski do pływania i ramy łóżek. Wzdłuż ściany na skraju trawnika w równym rzędzie wisiały sukienki. Julian, zdolny muzyk, rozstał się z większością sprzętu, w tym z ukochanym akordeonem. Jordan, aspirująca makijażystka, musiała zrezygnować z dużej części swojej obszernej garderoby („Do dziś nie jest tym zachwycona” – zauważyła cierpko Linda). W dwa weekendy rodzina wzbogaciła się o tysiąc dolarów. Kilkoro kupujących, dostrzegłszy w garażu Dziuplę, zapytało o cenę. Lindzie to pochlebiło, ale oznajmiła, że przyczepa nie jest na sprzedaż.

Chociaż robiła dobrą minę do złej gry, kryzys sprawił, że opadła z sił.

– Jestem zmęczona – stwierdziła. – Nadal im pomagam, ale trochę się wycofałam.

Tymczasem w pustym już domu miał się odbyć świąteczny obiad. W Costco i Ralph’s zabrakło indyków, rodzinie jednak wystarczyła szynka.

Ponownie rozmawiałyśmy pod koniec grudnia. Do Mission Viejo przyjechała LaVonne i pomogła rodzinie Lindy urządzić się w kamperze. Linda była już gotowa ruszać w drogę. Bliscy smucili się, że nie będzie jej na Boże Narodzenie. Audra płakała.

Linda i LaVonne wyjechały z Mission Viejo do Slab City, olbrzymiego dzikiego obozowiska nad jeziorem Salton Sea. Słyszały o nim od lat i chciały je odwiedzić. Kiedy przyjechały, było już zbyt ciemno, żeby się rozejrzeć, zaparkowały więc i poszły spać. Rano zobaczyły porozrzucane wszędzie śmieci. Ruszyły busem LaVonne szukać lepszego miejsca. W Slab City była też znajoma LaVonne z Facebooka. Kiedy ją znalazły, poinformowała je, że spały „u ćpunów”. Serce Lindy zadrżało – zostawiła tam Dziuplę i jeepa! A co, jeśli ktoś się włamał? Popędziły sprawdzić. Wszystko było w porządku, ale niepokój pozostał. Natychmiast wyjechały, by spotkać się z RTR-owcami w Ehrenbergu.

Po kilku stresujących tygodniach dobrze było zobaczyć przyjaciół. Linda i LaVonne zamierzały zostać dłużej, wynajęły więc skrzynkę pocztową (koszt rozdzieliły na pół między swoje karty kredytowe, wyjaśniła Linda, dodając, że od LaVonne nie wolno pożyczać pieniędzy, bo nigdy nie pozwoli ci ich zwrócić, choć zawsze chętnie się dzieli. „Kiedy dostanie czek, a ktoś potrzebuje akurat pięćdziesięciu dolarów, to po prostu mu je da”). Po szczerej rozmowie o społecznej stygmatyzacji ubóstwa obie wrzuciły na Facebooka cytat z *Rzeźni numer pięć* Kurta Vonneguta:

> Ameryka jest najbogatszym krajem na Ziemi, ale jej obywatele to przeważnie ludzie biedni i tych biednych Amerykanów uczy się nienawiści do samych siebie. […] Każdy inny naród ma w swoich tradycjach ludowych bohaterów, którzy byli biedni, ale niezwykle mądrzy i dzielni i dlatego bardziej godni szacunku niż możni i bogacze. W Ameryce biedacy nie mają takich opowieści. Zamiast tego szydzą z siebie i gloryfikują bogaczy[167].

Pewnej nocy LaVonne zgubiła w busie torebkę. Gubienie rzeczy w małych przestrzeniach jest zaskakująco łatwe – jej znajomi nazywali ten fenomen „czarną dziurą nomady” – LaVonne nie przejęła się więc zbytnio i poszła odwiedzić Lindę, która poczęstowała ją czekoladą. („Kocham Lindę.

To przyjaciółka, o jakiej marzyłam całe życie – nie ocenia, nie ma żadnych ukrytych zamiarów, daje tylko czystą przyjaźń, miłość i wsparcie. Do tego mnie karmi” – napisała później na blogu[168]). W pewnym momencie poczuła jednak ukłucie niepokoju i wróciła do busa. Okazało się, że jest zatrzaśnięty. Kluczyki tkwiły w stacyjce, a w środku była Scout. LaVonne i Linda próbowały podważyć drzwi, bez skutku. Zwróciły się do Boba, który jednak nie potrafił im pomóc. Zadzwoniły do AAA (American Automobile Association, organizacji pomagającej kierowcom), ale dyspozytor nie chciał wysłać nikogo na bezdroże. Ponieważ Scout miała dostęp do jedzenia i wody, postanowiły przeczekać i rozwiązać problem przy świetle dziennym. LaVonne zasnęła na małym materacyku obok Lindy, a ta nagrała w nocy chrapiącą przyjaciółkę. Rano puściła jej nagranie – „brzmi jak mruczenie kota!” – już po tym, jak strażacy wyciągnęli Scout z busa. Biedna suczka wszędzie narobiła kup i LaVonne resztę dnia spędziła w pralni.

W wigilię Bożego Narodzenia kilkadziesiąt osób zjechało się na wspólną wieczerzę. Linda poznała Swankie Wheels. Kyndal, fryzjerka RTR-owców, rozbawiła wszystkich stworzoną przez siebie artystyczną instalacją – usypanym z kamieni bałwankiem z nosem z marchewki, którego nazwała Rocky. LaVonne i kilkoro znajomych rozmawiali o wyjeździe do Los Algodones (Linda chciała zabrać się z nimi, ale musiała najpierw wyrobić paszport, a wcześniej odnowić nieważne od czerwca prawo jazdy, używając nowego adresu skrzynki pocztowej w Ehrenbergu).

W bożonarodzeniowy poranek Kyndal i jej mąż rozdali prezenty – paczki świątecznych chusteczek drukowanych w kokardki i cukierki – a Linda przyrządziła dla LaVonne uroczyste śniadanie: naleśniki dyniowe z sosem z żurawiny według przepisu Swankie.

Linda dużo mi opowiedziała podczas tamtej grudniowej rozmowy przez telefon. Kupiła czujnik czadu za trzydzieści dolarów, ale niechcący upuściła go do toalety zrobionej z wiadra. Skończyła czytać wspomnienia Cyndi Lauper. Na kempingu długoterminowym w Quartzsite jakiś kamperowiec z trudem uratował siebie i dwa koty z pożaru instalacji, który pochłonął cały jego dobytek.

Chciała wiedzieć, czy przyjadę na Rubber Tramp Rendezvous. Zlot miał się zacząć za kilka tygodni. Sama wybierała się tam po dwuletniej przerwie – w 2014 roku zaliczyła swój pierwszy raz, wtedy też się poznałyśmy. Odparłam, że w życiu nie przegapiłabym takiej okazji.

Jadąc po ciemku Mitchell Mine Road, dostrzegłam w oddali parę pulsujących czerwonych reflektorów. Linda włączyła światła awaryjne, żeby pomóc mi odnaleźć drogę do obozowiska. Była już dziesiąta, ale wyszła, by zabrać lampy i się przywitać. Zaprosiła mnie do Dziupli i nalała szklankę wody. Jeden z reflektorów nie chciał się wyłączyć.

– Włóż go do lodówki – zażartowałam. Tak też zrobiła.

Przyjechałam w środku stycznia, kiedy zlot był w połowie. Rozkręcał się powoli, za sprawą deszczu, który przeszkadzał w życiu towarzyskim i zmuszał nomadów do krycia się w autach. Ale pogoda się poprawiła. Już wkrótce uczestników było czterokrotnie więcej niż w czasie pierwszej wizyty Lindy dwa lata temu. Bob oszacował później, że przyjechało dwieście pięćdziesiąt osób. Kilkoro stałych bywalców i skrajnych samotników trzymało się z boku, bo tłum ich przytłaczał. Korzystając z większej liczby osób, ktoś zrobił zrzutkę na loterię Powerball. Kumulacja wynosiła półtora miliarda dolarów i była największa w historii[169].



LaVonne przyrządza naleśniki w busie

Część wykładów się powtarzała, ale były też nowe, w tym pogadanka o mieszkaniu w mniejszych autach, tańszej i dyskretniejszej alternatywie dla życia w busie. Jednym z prelegentów był David Swanson, lat sześćdziesiąt sześć, były zawodowy garncarz, który cierpiał na ostry artretyzm dłoni i utrzymywał się z renty. Osiemnaście miesięcy wcześniej wprowadził się do toyoty prius z 1996 roku, którą kupił za sześć tysięcy dolarów, wyremontowaną po poważnej kraksie.

– Dwie najważniejsze rzeczy to dla mnie gotowanie i spanie. Dzięki nim czuję się jak na wspaniałych wakacjach – powiedział David słuchaczom. – Zwiedzam świat! Bawię się świetnie! Póki mam wygodne łóżko i mogę sobie gotować, nie czuję się jak bezdomny, choć w zasadzie nim jestem.

Pokazał grupie solidny blat zamontowany w miejscu fotela pasażera – pięciometrowa deska była kiedyś częścią warsztatu, na którym ulepił setki garnków. Teraz gotował na niej posiłki, używając do tego płytki grzejnej połączonej z inwerterem i akumulatorem. Nocą kładł na blacie dmuchany materac i śpiwór. Na haczykach nad oknami zawiesił czarne zasłonki. Kiedy potrzebował więcej przestrzeni, otwierał tylne drzwi i rozkładał za nimi specjalnie skonstruowany namiot.

Porównał swoje auto do inteligentnego generatora na kółkach, co uważał za jego największą zaletę. Nocą silnik włączał się automatycznie, raz lub dwa razy na godzinę, ładując akumulator, który zasilał ogrzewanie i system chłodzenia.

Kiedy już się przyzwyczaił, mieszkanie w samochodzie stało się dla niego całkiem wygodnym rozwiązaniem.

– Staję rano pod Starbucksem, żeby skorzystać z wi-fi, i robię sobie kawę. Jest gotowa szybciej, niż gdybym tam wszedł i odstał swoje w kolejce – śmiał się. – Żeby rozerwać się wieczorem, siadam na fotelu kierowcy, przyczepiam tablet rzepem do osłony przeciwsłonecznej, odchylam oparcie i mam kino.

Kilka dni później RTR szykował się na nowe wydarzenie: pokaz talentów. Linda zapaliła świeczki w papierowych torbach przyciśniętych do ziemi kamykami, tworząc prowizoryczną rampę, która migotała ciepło przed sceną. Rozbrzmiała muzyka – ktoś uderzał w djembe, ktoś grał na misie tybetańskiej, a gitarzysta podśpiewywał utwór grupy Bottle Rockers: „Samochód za tysiaka jest gówno warty, już lepiej spal tę kasę albo przegraj w karty”. Były występy komediowe – od monologu o ośmiornicy, która próbowała uprawiać seks z dudami do serii jednozdaniowych grepsów, takich

jak: „Biwakowanie to sposób, żeby za duże pieniądze upodobnić się do bezdomnego”. Półnagi akrobata złożył ręce za plecami, wybił sobie barki i przeniósł ramiona nad głową do klatki piersiowej. Karateka przepołowił deskę gołymi rękami.

– Julio! Julio! – wrzeszczał jakiś pijany facet na psa, który usiłował kopulować z nogą tancerki. Publiczność rzucała mu groźne spojrzenia, a gdy to nie pomogło, ktoś kazał mu się przymknąć i ściągnął psa ze sceny.

Nastrój był radosny, ale wyczuwałam w nim mroczniejsze nuty niż ostatnim razem. Na wykładzie Bob wspomniał o Real ID, programie zaostrzającym zasady weryfikacji posiadaczy prawa jazdy. Przez wiele lat nomadowie korzystali z usług firm przekierowujących korespondencję. Teraz urzędnicy sprawdzali każdy adres w sieci. Jeśli należał do firmy, żądali prywatnego. Nowe zasady miały służyć walce z terroryzmem, ale przy okazji utrudniły życie nomadom, którzy musieli podawać lipne dane – mówić, że mieszkają z rodziną, kimś znajomym albo pożyczać sobie adres zauważonego gdzieś przypadkowo domu na sprzedaż.

– Politycy chcą was zmusić do mieszkania w domach – ostrzegał Bob. – Wiedzą o nas i wciąż skracają smycz.

Zaczęłam się zastanawiać, jaki los czeka tych wszystkich ludzi. Przede wszystkim interesowało mnie, czy Lindzie nie minął zapał do budowy earthshipu. Kilka miesięcy temu wspominała, że znów szuka ziemi w innej okolicy, nieopodal Vidal w Kalifornii, blisko rzeki Kolorado, ale na RTR mówiła mało. Gdy zapytałam, przyznała nieco apatycznie, że przy okazji czystki w Mission Viejo pozbyła się części książek o earthshipach.

Przez te lata słyszałam, jak nomadowie rozmawiają o tym, żeby zrzucić się na wspólną działkę, ale nikt chyba tych planów nie zrealizował. Kilka osób skorzystało z pomocy dzieci, które albo przyjmowały rodziców do siebie, albo wynajmowały im mieszkanie. Ale nie każdy ma potomstwo, a młodsze pokolenie też zmaga się z brakiem pieniędzy. Dorosłe dzieci nomadów często same z trudem wiązały koniec z końcem.

Słyszałam kiedyś o domu pomocy w Teksasie przyjmującym wędrowców, którzy nie są już w stanie prowadzić samochodu. Escapees CARE mieści się przy Rainbow’s End, dużym postoju dla przyczep w Livingston (na ich stronie internetowej w dziale FAQ jest pytanie: „Czy to prawda, że do CARE jedzie się umierać?”). Pensjonariusze ośrodka mieszkają we własnych kamperach, jednak wynajęcie miejsca kosztuje ponad osiemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Dodatkowe usługi opiekuńcze to kolejne dwie stówy

tygodniowo. Takie ceny są daleko poza zasięgiem większości poznanych przeze mnie osób.

Część historii, które słyszałam, brzmiała przerażająco. Ron, przyjaciel Iris, właścicielki gadającej papugi, zapił się na śmierć w busie zaparkowanym przed Walmartem sześćdziesiąt kilometrów od Quartzsite. Przez miesiąc nikt nie odkrył ciała. Wolontariuszka Isaiah 58 Project, Becky Hill, wspominała osiemdziesięciolatka, który kiedyś przez trzy miesiące chronił się w ich kościele. Mężczyzna umarł w swoim kamperze na pustyni niedaleko Ehrenbergu.

– Nie było tam nikogo, kto mógłby mu pomóc – westchnęła.

W lutym zmarła pracownica CamperForce, z którą rozmawiałam cztery lata temu. Kiedy poznałam Patti DiPino, miała pięćdziesiąt siedem lat i nocami układała towar na półkach w magazynie w Coffeyville. Zaprosiła mnie na wywiad do swojego forda montera rocznik 1993.

Patti przez piętnaście lat była księgową w firmie budowlanej w Denver, po czym w 2009 roku została zwolniona. Mniej więcej w tym samym czasie straciła dom na skutek brutalnej sprawy rozwodowej. Przeniosła się więc do kampera i zaczęła szukać nowej pracy. Przekonana, że trzydziestoletnie doświadczenie w biurze to nie byle co, przez następnych kilka lat rozesłała tysiące CV. Ale rynek pracy nie okazał się życzliwy dla bezrobotnej kobiety po pięćdziesiątce. Poszukiwania spełzły na niczym.

Nalała mi kubek czarnej kawy. Opowiadała o Sammym, ukochanym chihuahua, o wizytach w Quartzsite, o planach, żeby zgłosić się do pracy w Adventurelandzie. Zażartowała: „Księgowe nie umierają, tylko bilans wychodzi im na minus". Wspomniała, że w wolnym czasie dzierga pledy dla weteranów, którzy stracili kończyny w Afganistanie (jej córka, służąca niegdyś w marynarce, zaproponowała, że rozda je w swojej bazie wojskowej w Kalifornii).

Patti cieszyła się z dziesięciu i pół dolara na godzinę, które zarabiała w Amazonie, ale nie chciała ich wydawać na usługi koncernu.

– Mówię ludziom: „Wiesz co? Nie chodź do Walmartu, nie kupuj przez Amazona. Przejdź się ulicą i zrób zakupy w małym sklepie, niech grube ryby dostaną po kieszeni. Bogaci bogacą się coraz bardziej, a my tylko biedniejemy".

Nie chciała spędzić reszty życia w drodze. Marzyła o tym, by osiąść gdzieś na stałe, wśród ludzi.

– Chciałabym, żeby jakieś hrabstwo dało nam, na przykład, budynek szkoły, pozwoliło urządzić własny ogród, wytwarzać gaz, własne paliwo i tak dalej – mówiła. – A ja mam kuchnię, więc co tam, mogę gotować. Ludzie nie wiedzą, jacy jesteśmy zaradni. Jak mamy ogród, to wiesz co? Możemy robić weki. Nauczyliśmy się tego dawno temu.

Kiedy umarła, miała sześćdziesiąt lat. Z tego, co wiem, była w trakcie radioterapii. Na jej profilu na Facebooku ktoś opublikował wpis, który poruszył mnie niemal do łez:

> Wreszcie uwolniłaś się od długów i znalazłaś swój wieczny dom! Już nigdy nie będziesz marzła na pustyni ani w Kansas. Żadnych więcej ciasnych przestrzeni. Powiem to samo, co zawsze Ci mówiłam przez telefon: Kocham Cię, Patti. Będę za Tobą tęsknić.

Pytałam kiedyś Silvianne, tarocistkę, o jej dalekosiężne plany.

– Zamierzam do końca żyć jak teraz – odparła. – Nie obchodzi mnie, czy będzie jak w *Thelmie i Louise* i jedyne, co mi pozostanie, to zjechać z urwiska.

O to samo zapytałam Iris.

– Wystarczy, że ktoś mnie znajdzie, kiedy umrę na pustyni – stwierdziła. – Przykryjcie mnie kamieniami i pozwólcie odejść.

Bob miał bardziej praktyczny plan na końcówkę życia.

– Wykopię wielki, długi rów, kupię tani szkolny autobus i przysypię go ziemią z jednego boku i od góry, żeby okna wychodziły na południe. Taki byle jaki zepsuty autobus można kupić za pięćset dolarów. Wytrzymały jest jak cholera, może stać wiele lat. – Gdy przestanie dawać sobie radę, Bob zamierzał odejść w głąb pustyni i zakończyć życie jednym strzałem. – Mój długoterminowy plan opieki zdrowotnej to bielejące na słońcu kości – powiedział.

Ta ponura wizja wynikała z głębszych przesłanek: Bob nie wierzył w przyszłość cywilizacji. Uważał, że nadciągająca katastrofa ekologiczna i gospodarcza zniszczy społeczeństwo. Spodziewał się załamania, które sprawi, że „wielki kryzys będzie przypominał popołudnie w parku”[170].

Podczas gdy Bob myślał o losach przepełnionej planety, wielu jego czytelników martwiło się, że życie w drodze staje się zbyt popularne. Woleliby, żeby Bob i inni piewcy nomadyzmu przestali o nim mówić, w obawie, że przyniesie im to zbyt duży rozgłos i policja może zechcieć na serio się z nimi rozprawić.

Pewnego popołudnia podjechałam do budki z meksykańskim żarciem w Quartzsite, prowadzonej przez faceta, który przedstawiał się jako Gringo Zrzęda. Od ponad roku próbował sprzedać swój biznes, wciąż spuszczając z ceny, ale nie mógł znaleźć kupca. Zamówiłam burrito, a on zwierzył mi się, że chciałby napisać scenariusz o staruszkach, którzy przyjeżdżają tu umrzeć. Na widok mojej spłoszonej miny dodał, że w ciągu ostatniego roku w miasteczku popełniono pięć albo sześć samobójstw.

– Tu nic nie ma – zakończył ponuro.

Wzięłam jedzenie i odjechałam.

Po powrocie do obozowiska spotkałam się z poznanym rok wcześniej Peterem Foxem. Wtedy był początkującym nomadą w wynajętym volkswagenie westfalia. Przez dwadzieścia osiem lat pracował w firmach taksówkarskich w San Francisco: był kierowcą, również licencjonowanym, dyspozytorem i kierownikiem zespołu, zanim Uber wygryzł go z rynku.

– Nadszedł czas ekonomii współdzielenia, która miażdży wszelką rynkową drobnicę – oświadczył posępnie. – To był moment, kiedy po zapłaceniu czynszu nie starczało mi na chleb.

Próbował sprzedać licencję taksówkarza, licząc na sto czterdzieści tysięcy na czysto, z których będzie mógł pożyć. Ale w sprzedaży pośredniczyło miasto, a popyt był niski. Peter wciąż czekał w kolejce. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy wprowadził się do dwunastoosobowego białego forda e350, którego nazwał Pelikanem („bo pelikany latają nisko i powoli” – wyjaśnił). Woził ze sobą figurkę Ganeśy, który usuwa przeszkody.

Szukał dorywczej roboty, odwiedziliśmy więc razem Big Tent. Patrzyłam, jak podchodzi do rekruterki („Musiałem zrezygnować z pracy i potrzebuję pieniędzy”), po czym zostawiłam go samego. Po wspólnym szybkim obiedzie w miasteczku ruszyliśmy z powrotem do obozowiska.

– Co wieczór mniej więcej o tej porze dociera do mnie, że nie jestem na wakacjach ani na wycieczce – powiedział. – To po prostu teraz moje życie.

Kilka dni później usiedliśmy razem na brezentowej macie przed busem Petera.



Peter parzy kawę w polowej kuchni obok busa

– Bez przerwy się waham między strachem a radością – zwierzył mi się. Rozmawialiśmy o przyszłości. – Ciekawe, dokąd idą ludzie, kiedy są już za starzy na życie w busie.

Z wdzięcznością wspominał spotkaną na RTR pielęgniarkę, która nacięła mu ropień na palcu. Uważał, że dobrze by było, gdyby istniały mobilne ekipy lekarskie albo przydrożne punkty medyczne dla nomadów, zwłaszcza w parkach stanowych i innych darmowych miejscach, gdzie zbierali się ludzie. Myślał też o stworzeniu organizacji non profit wspierającej leciwych wędrowców. Może ktoś zgodziłby się coś takiego finansować? Chciał nazwać fundację Hello in There, od tytułu piosenki Johna Prine'a. Nigdy jej nie słyszałam, więc sięgnął po gitarę i nuty i zaczął grać. Jego głos przejmująco wezbrał przy refrenie, który wzywał do międzyludzkiej życzliwości i zacieśniania więzi, aby złagodzić poczucie osamotnienia.

Zapytałam, jakie ma plany na przyszłość.

– Nie umrzeć. Nie zestarzeć się. Sam nie wiem – odparł. Dodał, że gdyby sytuacja stała się rozpaczliwa, siostrzeńcy obiecali przyjąć go do siebie.

Na koniec RTR nomadowie wykonali miniaturowego busa z kartonu, z logo Amazona. Wszyscy się na nim podpisali. Wieczorem wrzucili model do ogniska. Nowy rytuał ochrzcili Burning Van i na pamiątkę odśpiewali własny tekst na melodię *Little Boxes*, satyrycznej ody do konformizmu amerykańskich przedmieść, skomponowanej w 1962 roku przez Malvinę Reynolds.

Patrz, busiki na pustyni
Chociaż liche, to trzymają się.
Patrz, busiki na pustyni
I dwóch takich samych brak.
Pierwszy biały, drugi biały,
Trzeci biały, czwarty w kwiatki, patrz.
Chociaż liche, to trzymają się
I dwóch takich samych brak.
Patrz, w busikach włóczykije,
To najmilszy w całym świecie lud.
Nie da wcisnąć się w pudełka
I dwóch takich samych brak.
Są życzliwi.
Są rodziną.
I kochają tu spotykać się.
Na pustyni, na pustyni,
Gdzie jak okiem sięgnąć pył…
I nie mamy pawilonu
Ani łaźni, ani rynku, lecz
Mamy ogień, a przy ogniu
Przyjaciela poznasz wnet.
Choć jest licho, to trzymamy się
I dwóch takich samych brak.

Ceremonia spodobała się nomadom, którzy przyrzekli uczynić z niej doroczną tradycję. Ktoś zasugerował, by następnym razem zrobić busa ze sklejki. Żeby palił się trochę dłużej.

Linda dostała wieści od rodziny. Wnuki mieszkały teraz w namiocie obok kampera. W czasie gwałtownej burzy wiatr zdmuchnął im pokrowiec przeciwdeszczowy i przemokły do suchej nitki. Woda podeszła też od podłogi. Jedna z wnuczek próbowała wcześniej czyścić ją odkurzaczem, nieświadoma, że wciąga ziarenka piasku spod spodu i w tkaninie robią się

miniaturowe dziurki. Dzieciaki załatały podłogę srebrną taśmą. „Radzą sobie, jak umieją” – stwierdziła Linda.

Sama miała nowe kłopoty. Od niedawna, gdy porusza się po ciemku, przed oczami wisi jej czarna plamka. W dodatku zepsuła się tablica rozdzielcza w jeepie, co Linda zauważyła, jadąc do miasteczka wzdłuż Scaddan Wash.

– Bez szybkościomierza mam przekichane. Cholera jasna, zawsze coś!

Razem z LaVonne szukały zatrudnienia na wiosnę. Lindzie udało się zdobyć pracę na kempingu zawiadywanym przez California Land Management. Kiedy szykowała się do wyjazdu z RTR, zadzwonił telefon. Firma zlikwidowała jej stanowisko.

Tu historia miała się skończyć – Linda zaczynała od nowa sezonowy cykl wyznaczający rytm jej wędrownego życia, otoczona ludźmi którzy stali się dla niej rodziną. Nowo zadzierzgnięte relacje umocniły się przez następne tygodnie, kiedy większą grupą przenieśli się do Ehrenbergu. Lindę dopadło tam paskudne zapalenie oskrzeli. Kiedy leżała w Dziupli, zbyt słaba, żeby gotować, sąsiedzi znosili jej prowiant: jajka na twardo, pomidory, kiełbasę. Podobne przejawy troski widziałam rok wcześniej, gdy kobieta imieniem Beth upadła przy wychodzeniu z busa (zwanego Bestią) i złamała lewą rękę. Dwie przyjaciółki rozbiły się obok i pomagały jej we wszystkim, czego nie sposób zrobić jedną ręką, od wiązania butów do zapinania stanika, dopóki nie wydobrzała na tyle, by ruszyć w dalszą drogę.

Gdy kilka miesięcy po chorobie Lindy rozmawiałam z nią przez telefon, usłyszałam zaskakujące wieści. Znalazła działkę pod budowę earthshipu.

Ogłoszenie na portalu Craigslist dotyczyło niecałych dwóch hektarów opodal Douglas w Arizonie, na zachodnim krańcu pustyni Chihuahua i czternaście kilometrów od granicy z Meksykiem. Linda szukała tam już wcześniej, po pierwszym pobycie na RTR. Wtedy uznała, że teren jest zbyt odludny. Teraz zmieniła zdanie.

– Zegar tyka – powiedziała. – Jak długo jeszcze będę zdrowa i silna? Szkoda by było nie mieć okazji pomieszkać w domu, który człowiek sam zbudował.

Zapytałam, czy nie boi się samotności.

– Mam mnóstwo przyjaciół, którzy tamtędy przejeżdżają i na pewno chętnie do mnie wpadną – odparła, mając na myśli nomadów. – Nie będę całkiem sama.

Działka leżała na terenie niezabudowanym. Każdy, kto kupił tam więcej niż półtora hektara, był zwolniony z przestrzegania lokalnego kodeksu budowlanego. Innymi słowy: było to jedno z miejsc, które Michael Reynolds nazwał „enklawami wolności”, pozbawionych biurokracji, gdzie mogła kwitnąć eksperymentalna architektura. Do tego teren leżał tysiąc dwieście osiemdziesiąt metrów nad poziomem morza, co oznaczało, że latem nie ma tam morderczych upałów. A gdyby temperatura dawała się we znaki, w pobliskich górach można było znaleźć pracę na kempingu.

„Pusta działka, nieuzbrojona, z dobrym dojazdem, bez elektryczności, studni i szamba” – tak brzmiało ogłoszenie opatrzone zdjęciami wielkiej surowej połaci ziemi bez jakichkolwiek budynków w zasięgu wzroku. Jego autor nie ukrywał pewnych niedogodności. Otaczające grunt drogi były zarośnięte jadłoszynem. Jedna biegła przez wyschnięty rów, który w razie burzy mógł zmienić się w potok grożący wylaniem.

Ostatecznie Lindę przekonała cena. Sprzedający chciał za działkę dwa i pół tysiąca, płatne w całkiem znośnych ratach: dwieście dolarów zaliczki i później po dwieście miesięcznie, bez odsetek, aż do spłaty całości. Rok wcześniej, pracując na kempingu w górach San Bernardino, Linda studiowała napisany przez twórcę start-upu poradnik *Realizacja genialnych pomysłów. Jak sprawić, by nie skończyło się na gadaniu*. Zapytałam, czemu po niego sięgnęła. Książka okazała się prezentem dla zięcia, który nie był nią zainteresowany, więc Linda sama wzięła się do lektury.

– Mam projekt, który wciąż odkładam: mój earthship – stwierdziła rzeczowo. – Co mi przeszkadza? Finanse. Ale czy to prawdziwa przeszkoda? – Umilkła i w zamyśleniu zaciągnęła się papierosem. Po chwili dodała, że zamierza ogłosić swój plan w czasie RTR. Może ludzie przyjadą pomóc. – Chcesz odwiedzić mnie na moich włościach? Wystarczy, że dziennie ubijesz ziemię w jednej oponie! – roześmiała się. – Oczywiście kiedy już przyjadą, każę im robić więcej.

Trafiła na ogłoszenie, kiedy pracowała na kempingu w Sequoia National Forest, oddalonym od działki o przeszło dwanaście godzin jazdy (California Land Management, po wycofaniu się z poprzedniej propozycji, zaproponowała jej kolejną pracę w innym miejscu). Nie mogła obejrzeć gruntu osobiście. Weszła więc na stronę taksatora hrabstwa Cochise i podała numer działki, po czym wpisała współrzędne w wyszukiwarkę serwisu MapQuest. Na obrazie z satelity ujrzała ziemię barwy wielbłądziej sierści,

upstrzoną chaparralem. Wyschnięte koryta strumyków przecinały ją niczym linie papilarne.

Po wpłaceniu zaliczki Linda napisała na Facebooku, że kupiła działkę.

„HURA!!! Nareszcie! – skomentowała Ash, koleżanka z CamperForce. – Daj znać, od kiedy potrzebujesz ekipy budowlanej!”.

„Bosko! Bosko! Bosko! Zazdroszczę! Z wielką chęcią wpadniemy kiedyś pomóc przy budowie” – wtórowała jej Wendy, nomadka mieszkająca z chłopakiem i psami w „tycim domku na kółkach”, czyli dawnym szkolnym autobusie z toaletą kompostującą i piecykiem na drewno.

Linda zamierzała odwiedzić działkę po zakończeniu pracy na kempingu i przed rozpoczęciem następnej, w Amazonie. Jej partner z kempingu i kolega z RTR, Gary, z którym bardzo się zaprzyjaźniła, chciał pojechać z nią. On również planował pracę w Amazonie. Chyba trochę się w niej podkochiwał, ale Linda nie mogła się zdecydować, czy ma ochotę na związek.

Spytałam, czy mogę zabrać się z nimi. Linda się zgodziła, zarezerwowałam więc bilet lotniczy do Phoenix. Ale tuż przed wyjazdem, w połowie lipca, nastąpiła zmiana planów. Gary doznał niewielkiego udaru i na czas zdrowienia razem z Lindą dołączyli do RTR-owców we Flagstaff. Postanowili przełożyć wyjazd. Oprócz stanu Gary’ego Lindę martwiły tamtejsze upały. Spodziewała się temperatur w okolicach trzydziestu stopni, tymczasem prognoza pogody zapowiadała prawie czterdzieści. W jeepie siadła klimatyzacja. Do tego wszystkiego nieoczekiwanie w Amazonie wyznaczono im wcześniejszą datę – już 1 sierpnia musieli się stawić w magazynie w Campbellsville, by dołączyć do kontyngentu CamperForce, który miał się rozrosnąć do pięciuset pracowników. Gary i Linda postanowili wyruszyć wcześniej, żeby nie jechać w upale.

– Straszna szkoda, że nie mogę się tam wybrać – powiedziała Linda. Po głosie poznałam, że jest wykończona.

Postanowiłam, że ja mimo to pojadę. W końcu miałam już bilet. Dwa hektary Lindy były nieogrodzone, otwarte dla każdego, kto chciał je zwiedzić. Poza tym uznałam, że ta pielgrzymka może mi pomóc w znalezieniu odpowiedzi na kilka dręczących mnie pytań. Czy przyszłość, którą Linda zbudowała sobie w głowie, może się ziścić na jałowym kawałku ziemi? A może to marzenie, którego nie sposób spełnić?

Samolot wylądował w Phoenix w lipcowy wieczór, w czasie arizońskiej pory monsunowej. Gdy wysiadaliśmy, wszystkie telefony – w tym mój –

rozbrzmiały chórem alertów. Błyskające komunikaty National Weather Service ostrzegały przed nadciągającą burzą pyłową. Takie burze znane są również jako habuby, ku rozgoryczeniu części mieszkańców Arizony, którzy od kilku lat sprzeciwiają się używaniu terminów meteorologicznych o arabskich korzeniach. „Uważam za obraźliwe to, że dziennikarze informacyjni nazywają takie burze habubami. Jak się mają czuć nasi żołnierze wracający do Arizony, słysząc bliskowschodnie słowo, choć zjawisko, które opisuje, jest bez wątpienia tutejsze?”[171] – pisał mieszkaniec miasta Gilbert w liście do dziennika „Arizona Republic”.

Przed terminalem było parno. Owionęło mnie powietrze gorące jak strumień z suszarki. Ciemniejące niebo zasnuwały drobinki iłu, które rozpraszały białe światło nad asfaltem, spowijając go mleczną poświatą.



Droga dojazdowa do działki Lindy znika w pustynnych zaroślach

Poprawiłam lusterka w wynajętej toyocie corolli (Van Halen został na wschodzie u mojej rodziny). Po chwili przyszedł esemes od Lindy. Zatrzymała się właśnie na noc w El Reno, na przedmieściu Oklahoma City, pięćset sześćdziesiąt kilometrów na wschód od poprzedniego przystanku

w Tucumari w Nowym Meksyku. Chciała umówić się ze mną na kontakt następnego dnia.

Wciąż bardzo pragnęła zobaczyć swoją działkę, ale ponieważ mogła tam być najwcześniej w styczniu, gdy kończyła się praca w Amazonie, obmyśliłyśmy inny plan. Po nocowaniu w Douglas miałam wyjechać na pustynię i dostać się jak najbliżej jej dwóch hektarów. Stamtąd miałam iść dalej pieszo, z laptopem i smartfonem, aby za pomocą nawigacji odnaleźć znaczniki w czterech kątach posesji. Jeśli zasięg byłby dobry, zamierzałam przeprowadzić transmisję na żywo wprost do telefonu Lindy. Mogłaby mnie widzieć i kierować w miejsca, którym chciała się przyjrzeć, niczym badacz pilotujący z oddali marsjański łazik, tyle że w ludzkiej, mniej technologicznie skomplikowanej wersji.

Po dogadaniu kwestii różnicy czasu – Arizona nie uznaje czasu letniego – umówiłyśmy się na następny dzień, o trzynastej dla mnie, a piętnastej dla niej. Linda była wyraźnie podekscytowana podróżą, którą miała odbyć za moim pośrednictwem.

„Kiedy będziesz w Douglas, spróbuj zobaczyć Gadsden Hotel. Mają tam marmurowe filary i witraż z czasów świetności kopalni miedzi – napisała. Po chwili dodała: – Jedziesz?”.

Zaprzeczyłam. Samochód był zaparkowany. Nie pisałam esemesów w czasie jazdy.

„Dobrze – ciągnęła. – W Douglas jest wielki Walmart, zrób sobie zapas wody”.

„Woda, krem z filtrem, kapelusz” – zameldowałam.

„Gdybyś się gdzieś zakopała… Mogę ściągnąć faceta, od którego kupiłam działkę – napisała, po czym, najwyraźniej przemyślawszy sprawę, dodała: – Nie zakop się”.

Zapewniłam, że jeśli dzikie drogi okażą się zbyt miękkie, zaparkuję na asfalcie i pójdę dalej pieszo. Chyba ją to usatysfakcjonowało.

„W porządku, kończę, do jutra. Niezła z ciebie wariatka. Nie wierzę, że to robisz!” I wreszcie: „Dobranoc”.

O dziewiątej wieczorem powietrze było przejrzyste i nieruchome. Z Phoenix skierowałam się na południowy wschód autostradą międzystanową numer 10 i dotarłam do Douglas przed północą. Następnego ranka weszłam na stronę internetową taksatora hrabstwa Cochise i uruchomiłam widok satelitarny na prostokątną działkę Lindy. Odnalazłam to samo miejsce na Google Maps, po czym oznaczyłam rogi prostokąta

wirtualnymi pinezkami. Zapamiętane na mapie pinezki zmieniły się w złote gwiazdki. Na pustyni ukazała się prostokątna konstelacja, trzynaście kilometrów na północny wschód od miejsca, w którym byłam, zaznaczonego niebieską kropką.

Napełniłam butelkę wodą i wyszłam na gorące przedpołudniowe powietrze. Na głównej ulicy miasta, G Avenue, mieścił się historyczny hotel, o którym wspomniała Linda. Otaczały go puste budynki, obłażące z farby, o wyblakłych fasadach i oknach zabitych sklejką. Na chodnikach nie widziałam żywej duszy. Trudno uwierzyć, że było to kiedyś największe miasto w Arizonie[172]. Założone w 1901 roku jako ośrodek hutniczy, w którym przetwarzano rudę z pobliskich kopalni miedzi, Douglas przez dekady tętniło życiem. Dobrobyt nie trwał jednak wiecznie. W drugiej połowie stulecia wśród Amerykanów wzrosła świadomość zagrożeń związanych z zanieczyszczeniem powietrza. W 1955 roku ustawodawcy zarządzili sfinansowanie badań, co poskutkowało uchwaloną w 1963 roku Clean Air Act (ustawą o czystym powietrzu) i jej późniejszymi rozszerzeniami[173]. Jednak lokalna huta Douglas Reduction Works, należąca do Phelps Dodge Corporation, sprytnie omijała przepisy aż do lat osiemdziesiątych. Do tego czasu stała się największym źródłem emisji dwutlenku siarki w amerykańskim przemyśle, codziennie pompującym w powietrze dziewięćset pięćdziesiąt ton substancji odpowiedzialnej za powstawanie kwaśnych deszczów[174]. Dym był tak gęsty, że miejscowy lekarz zniechęcał pacjentów do ruchu w obawie przed skutkami ciężkiego oddechu. „Kiedy jest naprawdę źle, masz wrażenie śluzu w płucach” – powiedział Associated Press właściciel kawiarni w pobliskim Bisbee, szykujący się wraz z rodziną do wyprowadzki z tych terenów.

Agencja Ochrony Środowiska nakazała Phelps Dodge zainstalować system kontroli emisji kosztujący pół miliarda dolarów. Zamiast tego korporacja zamknęła hutę. W połowie stycznia 1987 roku czterech pracowników spuściło z pieca ostatnią porcję miedzi[175]. Zniknęły chmury spalin buchające ze strzelistych kominów. Rozproszyła się ciężka mgła nad doliną. Nikt nie tęsknił za dusznym powietrzem, ale miasto poniosło inne straty: trzysta czterdzieści siedem miejsc pracy generujących zarobki w wysokości dziesięciu milionów dolarów, czyli mniej więcej jedną czwartą wpływów do lokalnej gospodarki. To rozwścieczyło mieszkańców Douglas, nawet tych, którzy wciąż mieli pracę. „Przegnać tych skurczysynów, co nam zamknęli hutę, do Rosji i Kanady – powiedział pracownik hurtowni piwa

Coors w rozmowie z »Boston Globe«. – Założę się, że to robota komunistów”[176].

Przyszłość Douglas wciąż maluje się w czarnych barwach. Jedyny szpital w mieście został zamknięty latem 2015 roku, przez co zniknęło kolejnych siedemdziesiąt miejsc pracy[177]. Obszar metropolitalny obejmujący Douglas i inną osadę hutniczą, Sierra Vista, był na czwartym miejscu wśród najszybciej kurczących się ośrodków miejskich w Ameryce[178]. W latach 2010–2015 liczba mieszkańców Douglas malała intensywniej niż populacje dwóch stolic pasa rdzy: Flint w stanie Michigan i Youngstown w Ohio.

Gdy przechadzałam się po G Avenue, rozdźwięk między złotą erą Douglas a współczesnością dawało się zauważyć wszędzie. Naprzeciwko Gadsden Hotel mieścił się stuletni Brophy Building, dawna siedziba miejskiego biznesu, której neoklasyczna uroda, ozdobne tarcze, wole oczy i ząbkowane gzymsy przydawały dziwnej powagi zabitym deskami witrynom. Przecznicę dalej na północ, na fasadzie opustoszałego dawno budynku kina Grand, wielkie litery układały się w napis „DZIŚ W PROG AMIE”. Kiedy w 1919 roku Grand został otwarty, promotorzy okrzyknęli przybytek z salą na tysiąc sześćset osób „najwspanialszym kinoteatrem od San Antonio do Los Angeles”, zachwalając liczne udogodnienia, w tym organy przygrywające na projekcjach niemych filmów, herbaciarnię i kiosk ze słodyczami. Oprócz seansów filmowych w Grandzie odbywały się występy artystów, od Ginger Rogers do Johna Philipa Sousy. Ale wzrost popularności telewizji w połowie XX wieku pociągnął za sobą upadek okazałych kin i w 1958 roku Grand zamknięto. Jakiś czas później zawalił się dach. W ruinach wykiełkowały drzewa. Na początku lat osiemdziesiątych obrońcy zabytków kupili całość za dolara, ale na remont potrzeba dziewięciu i pół miliona, więc budynek wciąż stoi uśpiony. Na początku XXI wieku opuszczone kino odgrywało nową rolę: w Halloween przekształcało się w nawiedzony dom. Aby zebrać fundusze na remont, aktywiści co roku budowali tam scenerie rodem z horroru, w tym laboratorium konserwacji zwłok stworzone przez prawdziwy dom pogrzebowy i dekoracje, wśród których licealiści wystawiali fragmenty *Smętarza dla zwierzaków*[179].

Choć Lindę intrygowała wielowątkowa przeszłość miasta, jego upadek nie stanowił dla niej tragedii. Dla osadniczki-eksperymentatorki z ograniczonym budżetem taka sytuacja oznaczała, że wiele rzeczy da się zrobić mniejszym kosztem. Tamtejsze nieruchomości zaczęły przyciągać przedsiębiorców i artystów, od Roberta Uribego, przybysza z Manhattanu, który otworzył

w Douglas kawiarnię i cztery lata później został burmistrzem, do Harroda Blanka, filmowca z Berkeley i twórcy Art Car World, czyli muzeum pomysłowo przerobionych pojazdów. Wśród eksponatów znalazły się: karawan o nazwie Carthedral, z witrażami w oknach i gotyckimi wieżyczkami, oraz Coltmobile, wehikuł, który zdobi tysiąc czterdzieści pięć plastikowych koników. Twórca tego ostatniego, alkoholik i weteran wojny w Wietnamie, podczas terapii przyklejał nań konika, ilekroć miał ochotę się napić[180].

Jednak sąsiedztwo miasteczka mogło nastręczać trudności. Czytając o swoim nowym domu, Linda natrafiła na złowieszczą informację.

– Mają tam spory problem z przemytem narkotyków, bo są tuż przy granicy z Meksykiem – powiedziała mi wkrótce po wpłaceniu zaliczki. Czytała o tym w książkach, nie wiedziała jednak, jak dawno je napisano. Może od tamtego czasu coś się zmieniło na lepsze?

Przy okazji dowiedziała się o słynnej akcji policyjnej w Douglas. W 1990 roku agenci znaleźli prawie stumetrowy tunel biegnący pod granicą. Używany przez kartel Sinaloa do szmuglowania kokainy wzmocniony betonem korytarz leżał na głębokości trzech pięter i zaczynał się w domu w Agua Prieta. Przekręcenie kurka w kranie uruchamiało mechanizm hydrauliczny, który podnosił stół do bilardu – razem z fragmentem betonowej podłogi – ujawniając biegnącą w dół drabinę. Wysoki na półtora metra tunel był klimatyzowany, wyposażony w elektryczne oświetlenie i ochronę przed zalaniem w postaci pompy ściekowej. Wózek jeździł w nim po metalowych szynach, które kończyły się w Douglas, pod magazynem o powierzchni stu osiemdziesięciu metrów kwadratowych, działającym pod przykrywką myjni samochodowej. Za pomocą mechanizmu z bloczków i lin paczki kokainy wyciągano na powierzchnię, gdzie pracownicy ładowali je do czekających ciężarówek. Agenci opowiadali z podziwem, że tunel, nazwany „kokainową aleją”, był „jak żywcem wyjęty z filmów o Bondzie”. Jeden z przywódców Sinaloa, Joaquin „El Chapo” Guzmán Loera, mówił o nim z jeszcze większą swadą, chełpiąc się, że jego podwładni „zbudowali kurewsko zajebisty tunel”[181].

Lindę ciekawiły te historie, ale nie zniechęciły do osiedlenia się w okolicy.

– Były strażnik graniczny pisał o ludziach, którzy giną tu, bo przekazali informacje policji – powiedziała rzeczowo. – Fakt, kartele mordują informatorów. No to myślę sobie: nie będę się z takimi zadawać.

Po skończonej rozmowie zaczęłam się zastanawiać, czy próbowała w ten sposób sama siebie uspokoić. Albo mnie. Albo nas obie. Tak czy siak, nie przesadzała, mówiąc, że Douglas leży przy samej granicy. Dwanaście przecznic na południe od kina Grand miasteczko – i kraj – kończy się dwoma równoległymi ogrodzeniami wzdłuż cementowego kanału, który przypomina suchą fosę (to Douglas International Ditch – tak brzmi oficjalna nazwa używana przez rządowych dostawców usług budowlanych). Pierwszy płot, po amerykańskiej stronie, zrobiony jest z grubej drucianej siatki pomalowanej farbą w dyskretnym kolorze pustynnego beżu. Drugi, po stronie meksykańskiej, wygląda jak z filmu o więzieniu. Konstrukcja z ciężkich stalowych prętów, wznosząca się na pięć i pół metra, zagłębia się w ziemię na kolejne dwa, aby udaremnić próby podkopów. Przez dziesięciocentymetrowe przerwy między czarnymi, upstrzonymi rdzą prętami przezierają wąskie przebłyski siostrzanego meksykańskiego miasta Agua Prieta, rozległej przemysłowej metropolii niemal pięć razy większej od Douglas. Wielu jej mieszkańców pracuje w *maquiladoras*, wytwórniach towarów na eksport będących własnością zagranicznych spółek. Powstaje tam wszystko – od części samochodowych po sprzęt medyczny, żaluzje okienne, elektronikę i ubrania.

Książki Lindy nie kłamały też o przemycie. Kurier narkotykowy potrafi w jedną noc zarobić tyle, ile pracownik fabryki w miesiąc. Nic zatem dziwnego, że strażnicy graniczni w Douglas nierzadko znajdują paczki marihuany ukryte pod poszyciem karoserii albo w zapasowych oponach wjeżdżających samochodów (rzadziej zdarza się metamfetamina, heroina albo kokaina). Pogranicznicy złapali niedawno szesnastoletniego Meksykanina, który próbował spuścić się ze szczytu ogrodzenia przy użyciu samochodowego pasa bezpieczeństwa. Jego misja: odebranie przerzuconych przez płot z Agua Prieta worków wypchanych czterdziestoma kilogramami zioła i zataszczenie ich do parkującego w pobliżu auta. Obiecano mu za to czterysta dolarów. Na co dzień, żeby wykarmić matkę i dziewięcioro rodzeństwa, chłopak pracował w fabryce pasków rozrządu – za czterdzieści dwa dolary tygodniowo[182].

Straż graniczna donosiła także o dziwniejszych wybrykach, choćby o domowej roboty tyrolce używanej przez przemytników do przerzucania paczek z dragami, które z dołu wyglądały jak malutkie wagoniki kolejki linowej[183]. Inny pomysłowy szmugler próbował przedostać się do Douglas z dwudziestoma pięcioma kilogramami marihuany przez kanały ściekowe.

Agenci podnieśli pokrywę i ujrzeli faceta w czarno-fioletowym kombinezonie z pianki, uzbrojonego w butlę tlenową i maskę do nurkowania. Na ich widok rzucił sprzęt i zioło i pomknął pędem z powrotem do Agua Prieta[184]. Z innych miejsc przy granicy dochodziły wieści o marihuanie przelatującej przez ogrodzenie w dronach (jedna z takich dziesięciokilogramowych paczek spadła kiedyś na wiatę garażową w miejscowości Nogales)[185].

Było już po południu, kiedy ruszyłam w drogę, kierując się na dolinę Sulphur Springs. Ten jałowy pas ziemi między pustyniami Sonora i Chihuahua ciągnie się przez sto sześćdziesiąt kilometrów od południowo-wschodniej Arizony do północnego Meksyku. Jego dolną część osłaniają pasma górskie: Dragoon i Mule od zachodu, Chiricahua, Swisshelm, Pedregosa i Perilla od wschodu.

Ziemia Lindy leżała u stóp pasma Perilla. Linda opowiadała mi, że na północ od działki, w górach Chiricahua, będących częścią Coronado National Forest, można znaleźć pracę przy obsłudze kempingów.

Jechałam przez bezkresną prerię, w większości niezamieszkaną. Nagrzany asfalt przypominał roziskrzoną kałużę; miraż znikał, kiedy się zbliżałam. Na poboczu butwiejący billboard potępiał politykę wolnego handlu. Tu i ówdzie z chaparralu wyrastały parterowe domy. Niektóre wyglądały na dawno porzucone – w miejscu okien ziały dziury, a spomiędzy wypaczonych desek przezierał szkielet dachu. Po lewej stronie minęłam białą kapliczkę przystrojoną sztucznymi kwiatami, a chwilę później w oddali dostrzegłam samotny kamper pośrodku pustkowia, jak w słynnym ujęciu z *Breaking Bad*.

Pobłądziwszy kilka razy, znalazłam wreszcie nieutwardzoną drogę wiodącą na wschód. Była trzynasta, napisałam zatem do Lindy, że mam dziesięć minut spóźnienia. Odpowiedź przyszła natychmiast: „Czekam”.

Rdzawoczerwony trakt był wąski i nierówny, ale porządnie ubity. Całe szczęście, biorąc pod uwagę letnie deszcze. Zdenerwowana i podekscytowana jechałam odrobinę za szybko. A jeśli znajdę tu coś złego? Albo Lindzie nie spodoba się to, co zobaczy? Samochód podskakiwał na wybojach, płosząc ptaki z zarośli. Przez drogę przemknął zając z czarnym ogonkiem i karykaturalnie wielkimi uszami.

Wkrótce dotarłam do skrzyżowania oznaczonego dwiema tablicami drogowymi, pierwszymi, na jakie natknęłam się od wielu kilometrów. W tej głuszy oficjalne znaki sprawiały dziwnie urzędowe wrażenie. Skręciłam

w inną dziką drogę i przejechałam jeszcze osiemset metrów. Po lewej ukazała się widmowa ścieżka zarośnięta jadłoszynem. Z jednego z krzaczków zwisał kawałek wyblakłej różowej taśmy.

Spojrzałam w mapę na smartfonie. Niebieska kropka znajdowała się tuż obok konstelacji przedstawiającej działkę Lindy. Sygnał był mocny, wcisnęłam więc udostępnianie transmisji danych, żeby połączyć się z internetem na laptopie, i uruchomiłam telekonferencję. Za pierwszym razem nie było odpowiedzi, ale gdy zadzwoniłam ponownie, Linda odebrała. Kąciki jej oczu marszczyły się w uśmiechu pod szkłami dwuogniskowych okularów w różowych oprawkach. Czekałam na znajome powitanie.

– Halooo! – wykrzyknęła. – Coś przerywa.

Obraz zacinał się, dając efekt kineografu. Ale dźwięk był wyraźny, a połączenie się nie rwało. Odwróciłam laptop ekranem do przodu i ruszyłam ścieżką na zachód.

– Widzę chmury! – zawołała Linda.

Monitor patrzył w górę i kamera rejestrowała panoramę nieba. Próbując go ustawić, uraczyłam Lindę widokiem wnętrza swoich nozdrzy. Wreszcie się udało.

– Spójrz! To droga? – dopytywała z niedowierzaniem.

Granice posesji miały być oznaczone rurkami z PCV. Pytała, czy je widzę.

– Jeszcze nie – powiedziałam.

Przed oczami miałam tylko suchą rdzawoczerwoną ścieżkę i sylwetki gór Mule na drugim krańcu doliny.

– Ładnie tam, prawda? Gary! Chodź no, siadaj i popatrz! – zawołała Linda.

– Nie mogę siedzieć – odezwał się lekko stłumiony głos.

– To się oprzyj o drzewo – poradziła.

W tle pojawił się starszy mężczyzna w plastikowych okularach. Jego twarz zawisła nad ramieniem Lindy, czoło się zmarszczyło, a oczy spojrzały w ekran. Miał przerzedzone na czubku siwe włosy i łagodną ciekawość na twarzy.

– Pochmurno dziś. Zobacz, ile trawy! – powiedział i uśmiechnął się, a Linda zachichotała. – Przyda ci się traktorek ogrodowy – dodał żartobliwie.

W oddali ukazał się biały słupek sterczący z ziemi niczym drzazga.

– Widzisz rurkę? – zapytałam.

– Nie! – odkrzyknęła Linda. Nachyliła się bardziej i zmrużyła oczy. Kiedy ruszyłam dalej, upomniała mnie, żebym była ostrożna. – Patrz, gdzie

stawiasz kroki. Uważaj na węże.

W okolicach kempingu w Sequoia Forest, gdzie pracowali z Garym, widywano grzechotniki. Linda wiedziała, że tu też można się na nie natknąć.

Wreszcie zbliżyliśmy się do celu. Półtorametrowa rurka z PCV tkwiła nasadzona na pręt zbrojeniowy obok kopczyka z kamieni.

– Widzę! – podnieciła się Linda. – Jak to wygląda na twojej mapie?

Niebieska kropka nałożyła się na gwiazdkę wyznaczającą północno-wschodni róg działki.

– Pasuje! – oznajmiłam, a Linda wydała radosny okrzyk. – Dokąd chcesz iść? Możemy zrobić, co zechcesz.

Chciała zobaczyć wyschnięte koryto strumienia przecinające północno-zachodnią część posesji. Sprzedawca wspominał, że ten rów odstraszył innych kupców, ale Linda uznała, że może się przydać do zbierania deszczówki podczas pustynnych burz.

– Wiesz, woda zawsze się przydaje – wyjaśniła mi później.

Trochę żartowałyśmy, a ja szłam dalej na zachód, trzymając laptop skierowany przed siebie, niczym radiesteta różdżkę.

– Jak zobaczysz węża, to powiedz – poprosiłam. Linda, która już wcześniej zwróciła mi uwagę na skaczący obraz, nie wyglądała na przejętą.

– Jasne, przy tych opóźnieniach i w ogóle… – Urwała.

Linda i Gary byli w drodze do Kentucky, przy autostradzie międzystanowej numer 44, kawałeczek na wschód od Joplin. Tak jak tu, temperatura wynosiła tam trzydzieści trzy stopnie, tyle że było słonecznie i parno.

– Jestem cała mokra! – oznajmiła Linda.

Przed naszą rozmową w pośpiechu szukała zadrzewionego postoju, gdzie dałoby się wytrzymać w lepkim upale typowym dla Środkowego Zachodu („w pośpiechu", czyli jechała niecałe sto na godzinę. Szybciej się nie dało, bo Dziupla za bardzo się trzęsła).

Ominęłam ruchliwe mrowisko i skierowałam na nie kamerę.

– Ooo, ładne mrówki! – zawołała Linda.

Oboje z Garym wypytywali o podłoże. Gary chciał wiedzieć, czy jest dużo kamyków.

– Niespecjalnie dużo, ale trochę jest – powiedziałam.

Linda była ciekawa, czy ziemia jest ziarnista, czy raczej drobna i pylista. Pragnęła zainstalować sobie gruntowe wymienniki ciepła, naturalny system kontroli warunków klimatycznych, który wymaga zakopania rur półtora, dwa

metry pod ziemią, gdzie temperatura spada do trzynastu stopni. Rury wykorzystuje się później do wentylacji domu i szklarni. Ich instalacja wymaga sporo kopania.

– Kruszy się dosyć łatwo – stwierdziłam, nabierając garść suchej, szorstkiej ziemi. Otworzyłam dłoń i przesypałam ją przez palce. – Widzicie, jak się sypie?

– Powinna się dobrze kopać – ocenił Gary. – To duży plus.

Linda przytaknęła.

– Wygląda na to, że będzie całkiem łatwo. To dobrze.

Szłam dalej w stronę koryta. Linda podziwiała roślinność. Dzięki letnim deszczom pustynna flora wyglądała na bogatą, niemal bujną. Wśród skórzastych liści chaparralu wisiały delikatne żółte kwiatki. Krzaki akacji porastały girlandy małych, upstrzonych pyłkiem pomponików. Niedawno skończyły kwitnąć juki. Z pióropuszy ostro zakończonych liści sterczały łodygi zwieńczone wyschniętymi groniastymi kwiatostanami. Minęliśmy tajemniczy kaktus o długich, powykręcanych niczym kolczaste macki pędach. Czerwone owoce o gałkowatym kształcie przypominały mi opuncję. Linda wiedziała, że to nie to.

– Opuncja ma płaskie liście. To jakiś inny kaktus. Ale powinien się nadawać do zjedzenia.

Dowiedziałam się później, że to pałczak, zwany też Królową Nocy, kwitnący raz do roku i tylko przez jedną noc.

Po kilku minutach błądzenia moim oczom ukazał się wyschnięty strumień.

– Tam naprawdę płynęła woda czy to tylko rów? Jaką ma głębokość?

Położyłam komputer na krawędzi i zeszłam do koryta. W niektórych miejscach jego skraj sięgał moich bioder, gdzie indziej ramion. Zagłębienie miało około metra z hakiem.

– Czy ono biegnie tak głęboko przez całą działkę? – chciała wiedzieć Linda.

Nie biegło. Odcinało tylko trójkąt ziemi po północno-zachodniej stronie, i to niewielki. Podobnie jak pozostałe rogi posesji, był on oznaczony rurką. Wydostawszy się z rowu, poszłam go poszukać. Tym razem to Linda dostrzegła go pierwsza.

– Jest, zobacz! – zawołała.

Cofnęłam się do pierwszego znacznika.

– I co myślisz? – zapytałam.

– Jest lepiej, niż sądziłam – odparła. Zachwycała się panoramą gór w oddali i jakością gleby. – Myślałam, że będą same kamienie, jak w Ehrenbergu, ale nie. – Miała na myśli żwirowe tarasy, na których obozowała po Rubber Tramp Rendezvous. Tamtejszy krajobraz był doprawdy księżycowy, niemal nic tam nie rosło. Linda cieszyła się też, że jej działka jest wymierzona i oznaczona. – W tej okolicy to naprawdę coś. Zwłaszcza za tę cenę, o matko!

Przez trzy i pół roku, odkąd ją poznałam, wielokrotnie pokazywała mi zdjęcia swojego ulubionego earthshipu. Plan modelu Nautilus skonstruowany był na wzór ciągu Fibonacciego. Wyobraziłam sobie bryłę o pochyłych ścianach z suszonej gliny naśladujących kontur pobliskich gór.

– Próbuję wyobrazić sobie twój dom – powiedziałam.

– Pięknie będzie wyglądał, nie? – odparła wesoło Linda. Po zakończeniu sezonu w Amazonie, kiedy zrobi się trochę chłodniej, zamierzała rozbić tu obozowisko. Uznała, że gdy ujrzy działkę na własne oczy, zdecyduje, gdzie się pobudować. – Posiedzę tu chwilkę i na pewno coś mi się wykluje w głowie.

Przez ostatnie pół godziny niebo zasnuwały chmury, dzięki czemu temperatura wydawała się całkiem znośna. Teraz wyszło słońce i pustynia zmieniła się w patelnię. Na ekranie laptopa wyświetlił się alert – w tym upale urządzenie nie mogło dalej działać. Obraz znieruchomiał i połączenie się urwało. Było po zwiedzaniu.

Długo myślałam o tym, ile ta działka znaczy dla Lindy. Był to jej kolejny krok ku zbudowaniu czegoś trwałego, własnego, czego nikt jej nie odbierze i co będzie mogła po sobie zostawić. Ale gdy zobaczyłam Gary’ego, obraz nabrał nowego wymiaru. Przy całej swojej charyzmie Linda zawsze robiła na mnie wrażenie samotnej wilczycy. Miała rodzinę i serdecznych przyjaciół, ale jednocześnie uparcie trzymała się swojej niezależności. Teraz zaczęłam się zastanawiać, jak wyglądałaby jej przyszłość, gdyby znalazła w niej miejsce dla kogoś nowego. Czy Gary osiedli się tu razem z nią? Czy LaVonne i inni będą ją odwiedzać w swoich ruchomych domach? I kim właściwie są sąsiedzi Lindy? Czy na tym pustkowiu będzie miała na kogo liczyć?

Dotąd nie widziałam nigdzie żywej duszy. Napiłam się wody i ruszyłam autem na poszukiwanie ludzkich siedlisk.

Najpierw zobaczyłam trzy konie. Stały za zieloną bramą, półtora kilometra na południowy zachód od działki. Zerknąwszy podejrzliwie na

nadjeżdżający samochód, pokłusowały w dal. Na bramie wisiał napis: „Wstęp wzbroniony pod groźbą kary”. W tablicy widniało dziewięć starych dziur po kulach i jedna świeższa, po strzale ze śrutówki, jeszcze niezardzewiała. Nieopodal, wdeptana w ziemię, leżała żółta łuska po naboju kaliber 20.

Lekki wietrzyk zaszeleścił w chaparralu, niosąc dźwięk pomiędzy skrzypieniem a zgrzytem. Odgłos dochodził z rozwalającej się szopy o spadzistym dachu, niecałe sto metrów dalej. Obluzowany płat blachy falistej z jękiem zakołysał się w górę i w dół. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może tu być ktoś, kto nie chce, by go znaleźć. Niespodziewane spotkanie na takim pustkowiu mogło się źle skończyć. Zbliżyłam się zatem powoli, nawołując głośno, jak zagubiona turystka. Żadnej reakcji.

Szopa była kolażem ze sklejki, siatki ogrodzeniowej i blachy. Dziurę w ścianie okrywała podarta płachta niebieskiego brezentu. W środku, na ubitej ziemi, stała pojedyncza mała ławka. Przedmioty rozrzucone na zewnątrz świadczyły o czyjejś przerwanej obecności. Kilka pluszowych misiów, garnek, pojedynczy but na wysokim obcasie, wieszaki na ubrania, puste puszki, ceramiczne kubki i kaseta zespołu Chicago. Zastanawiałam się, kim byli właściciele przedmiotów i czy odeszli w pośpiechu. (Później czytałam o śmieciach porzucanych przy granicy przez umęczonych podróżą migrantów. Ludzie dostający się do kraju pieszo często muszą pozbyć się dobytku, zanim wcisną się do zatłoczonych ciężarówek, które powiozą ich w nieznane).

Ruszyłam autem dalej i wkrótce dostrzegłam więcej dowodów ludzkiej bytności. Przejechawszy osiemset metrów na północ, zobaczyłam kilka niskich budynków gospodarczych, zagrodę dla zwierząt zbitą ze starych palet, dwie szklarnie – może ogródki? – i wiekowego sedana z uniesioną na podpórce klapą bagażnika. A to wszystko ogrodzone drutem kolczastym. Skręciwszy na wschód, znalazłam posesję, która wcześniej umknęła mojej uwadze, położoną jakiś kilometr na południowy zachód od działki Lindy. Kiedy się zbliżałam, w zagrodzie głośno zarżał osioł. Obok stała przyczepa turystyczna, biała jak wyblakłe w słońcu kości, z przyłączoną z boku przenośną toaletą. Znów zawołałam. Cisza.

Mapa satelitarna pokazywała ranczo kawałek dalej na południe. Może ktoś jest w domu? Podążając wyznaczoną trasą, minęłam kilka czarnych krów stojących pod rachitycznym jadłoszynem. Wkrótce ukazał się płot, a daleko za nim budynek. Ale droga się popsuła. Za krótkim wzniesieniem

opadła ku nisko położonemu punktowi, gdzie niebo odbijało się w kałużach. Próbowałam przejechać bokiem. Ziemia była błotnista i wkrótce przód corolli ugrzązł w niej aż po nadkola. Chciałam się cofnąć, ale opony kręciły się w miejscu, bryzgając kleksami błota na białą karoserię wynajętego auta.

Przypomniałam sobie słowa Lindy: „Nie zakop się”.

W samochodzie zasięg był słaby, wygramoliłam się więc na pobocze. Po kilku odrzuconych połączeniach pracownik AAA wyjaśnił, że nie wyjeżdżają na nieasfaltowane drogi. Zadzwoniłam do Nalley’s Pit Stop, firmy świadczącej pomoc drogową, prowadzonej przez ojca i syna. Właściciel, Lonnie, był w terenie. Czy zaczekam, aż oddzwonią? Jasne. Na południowym wschodzie kłębiły się ciężkie chmury.

Podejście na piechotę do rancza wydało mi się nagle dobrym pomysłem. Gdy się zbliżyłam, ciszę przerwała kakofonia poszczekiwań – psi alarm. Po posesji biegało kilkanaście psów, niektóre wolno, inne w zagrodach. Najmniejszy, czarno-biały szczeniak, przydreptał do mnie niczym samozwańczy ambasador. Po podwórku walały się przyrządy spawalnicze, podkaszarka i wypełniona kamieniami muszla klozetowa. Podeszłam do furtki i zawołałam. Cisza.

Kiedy wracałam do auta, zadzwonił telefon. Lonnie był blisko. Wkrótce w miejscu, gdzie widziałam krowy, zmaterializowała się laweta. Wspięłam się na pobocze i zamachałam rękami niczym rozbitek.

Okazało się, że Lonnie i jego syn Lonnie junior spostrzegli chmury i czym prędzej pośpieszyli mi na pomoc. Część rancza znajdowała się na równinie zalewowej. Kiedyś, w porze deszczów, ugrzęzła tu ciężarówka firmy UPS. Gdy kierowca zadzwonił do Lonniego, woda sięgała już ponad opony. Dopóki ziemia nie wyschła, nie dało się nic zrobić.

Lonnie junior podczepił hak pod tylny zderzak corolli. Wrzuciłam na luz i pokazałam mu uniesiony kciuk. Samochód zaczął wycofywać się z błota, tymczasem po drugiej stronie rowu przystanął bordowy pikap. Mężczyzna w znoszonej czarnej czapce z daszkiem i wranglerach wysiadł i patrzył na nas, wsparty pod boki. Pomachałam mu nieśmiało z fotela kierowcy.

– To zdradliwe miejsce – rzucił. Miał rudawą brodę i piegowatą twarz, różową jak niewysmażony stek.

Po wszystkim zapłaciłam Lonniemu i Lonniemu juniorowi (osiemdziesiąt dolarów plus dwadzieścia napiwku) i podziękowałam im wylewnie. Mężczyzna w pikapie przedstawił się jako zarządca rancza.

– Pani tu sama? – zapytał.

Poczułam się niepewnie, ale nie przychodziło mi do głowy nic sensownego poza szczerą prawdą. Wspomniałam więc o Lindzie i zapytałam, jak się tu żyje. Mężczyzna zajmował się stadem złożonym z pięćdziesięciu krów rasy brangus (krzyżówka angusów i brahmanów) i mieszkał na tym terenie od dwudziestu sześciu lat. Generalnie jest spokój, powiedział, ale czasem wpadają kurierzy narkotykowi z plecakami. Lepiej ich unikać. Dwa razy do niego strzelali. Teraz trzyma w pikapie karabin AR-15.

Odjechałam stamtąd komicznie brudnym autem, z podłogą zalaną dwuipółcentymetrową warstwą błota, które wydawało mlaskający odgłos, ilekroć przyciskałam pedały. Gdy nad miejscem, które opuściłam, ukazała się tęcza – ironia losu? – choć obrazek wydał mi się przesłodzony, przystanęłam, żeby zrobić zdjęcie.

W centrum Douglas zaparkowałam przed Gadsden Hotel i weszłam do holu. W rozległej, pełnej przepychu sali barwy bursztynu królowały włoskie kolumny, szerokie marmurowe schody i skórzane sofy (jak napisał kiedyś dziennikarz „Los Angeles Times”, człowiek czuł się tam jak w kryjówce pirata, który odebrał klasyczne wykształcenie[186]). Witraż, o którym wspominała Linda, miał trzynaście metrów długości i znajdował się na półpiętrze. Podświetlone od tyłu szkło tworzyło pustynny pejzaż skąpany w smugach kolorów: ziemnych brązach, błękicie nieba, fiolecie majaczących w oddali gór i zieleni kwitnących juk. Można by go wziąć za odwzorowanie włości Lindy wykonane z kamieni szlachetnych. W Casa Segovia, niemal pustej hotelowej restauracji, zamówiłam talerz enchiladas i micheladę, za które zapłaciłam w sumie siedem dolarów. Wciąż miałam przed oczami szklany pejzaż, niczym powidok po gwałtownym błysku. Pragnęłam ujrzeć, jak Linda wchodzi w tę landszaftową głuszę, południowozachodni eden. Ale niepokój, który odpychałam od siebie przez całe popołudnie, teraz, gdy zostałam sama, uderzył z większą mocą.

Za dwa dni Linda i Gary dotrą do Campbellsville. Spędzą tam kolejnych pięć miesięcy na dziesięciogodzinnych zmianach w magazynie Amazona. Linda podjęła się tej pracy, by zarobić na budowę domu. Była absolutnie przekonana, że tego właśnie pragnie. Jednak kiedy myślałam o odludnej działce, oszałamiającym skwarze, uzbrojonych przemytnikach, zalanych drogach i wężach, zaczęłam się zastanawiać, czy to nie szaleństwo. Przez ostatnie trzy lata, dumając nad planami Lindy, nieraz miewałam wątpliwości. Zazwyczaj powtarzałam sobie w duchu mantrę Foxa Muldera: „Chcę wierzyć”.

Przesłałam Lindzie swoje uwagi i spostrzeżenia, przyznając się jednocześnie do wątpliwości. Później dosłałam jej mapę ze zdjęciami działki i okolic. Na pierwszą wiadomość nie odpisała, ale ze zdjęć się ucieszyła. „Otwieram je i wyobrażam sobie, że tam jestem. Nienawidzę tej cholernej roboty, a dzięki temu się trzymam. Jeszcze tylko piętnaście tygodni i wolność”.

Ja tymczasem wciąż czułam wzbierający w dole brzucha niepokój. Czy organizm Lindy wytrzyma trudy budowy? Wspomniałam jej pierwszy sezon w magazynie, gdy przez zawroty głowy wylądowała na ostrym dyżurze, a od operowania skanerem zniszczyła sobie nadgarstek. Uraz goił się trzy lata. A jeśli znów coś sobie nadweręży? Od tamtego czasu koncern wymienił skanery na lżejsze – może to pomoże? Martwiłam się też, że praca wyczerpie jej siły. Choć na początku przydzielono ją do układania towarów na półkach, to szefostwo rozważało przeniesienie członków CamperForce do cięższej roboty, na picku, przy zbieraniu zamówień. Linda opowiadała, jak rok wcześniej jeden z pickerów wziął do pracy krokomierz. W jeden dzień urządzenie zarejestrowało dwadzieścia dziewięć kilometrów, w tym czterdzieści cztery przejścia po schodach.

A nawet jeśli Linda przetrwa sezon w magazynie, to czy zarobi tam wystarczająco dużo? Ostatnio jej stawka podstawowa, bez dodatków za nocne zmiany i nadgodziny, wynosiła jedenaście i pół dolara. Teraz zmalała do dziesięciu dolarów i siedemdziesięciu pięciu centów (w Fernley zarabiało się najwięcej, ale magazyn zamknięto w 2015 roku).

Na dodatek martwiłam się o stan jej ducha. Za pierwszym razem mocno zdegustowały ją oglądane z bliska olbrzymie masy kupowanego przez Amerykanów badziewia. Doświadczenie to zasiało ziarno rozczarowania, które później zaczęło kiełkować. Przy okazji przenosin z kampera do przyczepy Linda czytała o minimalizmie i zwolennikach miniaturowych domów. Dużo myślała o kulturze konsumpcyjnej i śmieciach, którymi zawalamy nasze krótkie życie. Zastanawiałam się, do czego ją te myśli doprowadzą.

Nie przestała się z nimi mierzyć. Kilka tygodni później, zaczynając pracę w Kentucky, wrzuciła na Facebooka następujący tekst, który przesłała mi jednocześnie w wiadomości prywatnej:

> Ktoś zapytał, po co chcę się osiedlać. Chcę być niezależna, porzucić wyścig szczurów, wspierać lokalne firmy, kupować amerykańskie produkty. Nie chcę kupować niepotrzebnych rzeczy, żeby zrobić wrażenie na ludziach, których nie

lubię. W tej chwili pracuję w wielkim magazynie sklepu internetowego. Pełno tu bzdetów wyprodukowanych w krajach, gdzie prawo nie zakazuje pracy dzieciom, gdzie ludzie harują 14–16 godzin dziennie bez posiłków i przerw na toaletę. Ten magazyn to gigantyczna przestrzeń wypełniona rzeczami, które zniszczą się po miesiącu. Wszystko wyląduje w śmieciach. Firma ma takich magazynów setki. Nasza gospodarka wybudowana jest na grzbietach niewolników z Chin, Indii, Meksyku i innych krajów Trzeciego Świata, z tanią siłą roboczą, na którą nie musimy patrzeć, możemy za to cieszyć się owocami jej pracy. Ten amerykański koncern jest najprawdopodobniej największym właścicielem niewolników na świecie.

Później dopisała:

Brzmi radykalnie, wiem, ale właśnie takie myśli chodzą mi po głowie, kiedy jestem w pracy. W tym magazynie nie ma nic solidnego, nic, co by miało jakąkolwiek treść. Aby kupować to gówno, ludzie stają się niewolnikami. Harują w znienawidzonej robocie, żeby spłacić długi. Tu jest naprawdę przerażające.

Dodała, że dręczy ją dylemat moralny. „Co myśleć o pieniądzach, które tu zarabiam, żeby wykonać swój plan? Wiem, że pieniądz to pieniądz. Czy w dzisiejszych czasach jest inny sposób, żeby szybko zebrać fundusze? Mało czasu mi zostało na tym świecie”.

Swoje uczucia najzwięźlej przekazała w ostatniej linijce: „Jestem jak przestępca, który robi swój ostatni napad na bank przed emeryturą”.

Ale tamtego wieczoru w Douglas jeszcze o tym wszystkim nie wiedziałam. Dłubiąc widelcem w enchiladas, zastanawiałam się, co będzie dalej. Gdy ruszyłam z powrotem, słońce chyliło się ku zachodowi. Pojechałam na północ autostradą międzystanową numer 191. Przez cały dzień zbierało się na deszcz, a teraz chmury przesunęły się na zachód i wisiały nad pasmem Mule. Tuż nad szczytami przebijał skrawek nieba. Spływające z prześwitu resztki słońca barwiły świat na kolor muszli mieszaniną różów i oranżów, by po pewnym czasie ściemnieć do głębokiej czerwieni. Po trzydziestu dwóch kilometrach skręciłam w lewo i jechałam dalej wzdłuż podnóża gór Mule. Zapadł zmrok. Nad pasmem Dragoon, na północy, migały strzępy błyskawic.

Przejechałam przez Tombstone – „miasto zbyt twarde, by umrzeć” – i zatrzymałam się na stacji Texaco w Benson. Nad dystrybutorami, w ostro podświetlonych koronach drzew, ćmy i chrząszcze kręciły pijane kółka, jak na owadziej dyskotece. Pikanie telefonu obwieściło wiadomość od Lindy.

„Wróciłaś bezpiecznie do miasta?" Potwierdziłam. Odkąd straciłyśmy łączność na pustyni, razem z Garym przejechali sto dwanaście kilometrów; zatrzymali się na noc w Springfield w Missouri. „Robimy czterysta osiemdziesiąt kilometrów dziennie. Gary jest bardzo zmęczony, a ja zdycham w upale".

„Dobrze, że jesteście już blisko!" – odpisałam, po czym zrezygnowałam z dalszych esemesów i zadzwoniłam. Rozmowa zeszła na temat działki.

– To było coś pięknego – zachwycała się Linda. – Kiedy nabrałaś ziemi do ręki, pomyślałam: cholera, jest fantastyczna. – Potem opowiedziała mi trochę o Garym. – Naprawdę mnie lubi. I miał w życiu chyba tyle samo prac, co ja! – Gary był szefem oddziału radiologii, kierował sklepem spożywczym i pracował w budowlance. – Do tego jest bardzo inteligentny i ma dobrą pamięć. I piękne pismo. I jest świetny z matematyki, ciągle coś liczy w głowie.

Zapytałam, czy pomoże jej w budowie domu.

– Nie wiem, czy chce zapuścić korzenie. Ale mówi, że mam dobry plan. Nie wymyślam głupot. To nie fantazja, tylko coś, co się może udać.

Niezależnie od tego, jak potoczy się ich znajomość, Linda zamierzała pozostać jedyną właścicielką działki. W końcu to *jej* marzenie.

Teraz najważniejsze, żeby dotrzeć do Kentucky i wytrzymać tam do Bożego Narodzenia. Myślami była już po drugiej stronie. Odjeżdżała z pieniędzmi i konkretnym planem, jak je spożytkować. Jechała do Arizony, żeby rozbić obóz na swojej działce. Przesiewała glebę przez palce i planowała przyszłość. Ten obraz pozwalał jej pokonać tysiące kilometrów. Pomagał przetrwać nocne zmiany w magazynie. Grawitacja jej własnego kawałka ziemi. Tyle lat spędziła, snując plany. Teraz wreszcie była gotowa przystąpić do działania.

– Jestem szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa – powtarzała. – Nie mogę się doczekać, aż tam dotrę i będę mogła ruszyć z robotą.

Po tych słowach się rozłączyłyśmy. Linda miała przed sobą kolejny długi dzień jazdy.

Koda

Ośmiornica w kokosie

W Ameryce jest wczesna zima. Niesione masą powietrza zamiecie szerokimi pociągnięciami pędzla malują na biało kontynent od wybrzeża do wybrzeża.

Wysoko w górach San Bernardino płatki śniegu wirują w koronach sosen i osiadają na pustych parcelach Hanna Flat. Spadają na milczącą fabrykę płyt gipsowych i porzucone domy w Empire w stanie Nevada. W Dakocie Północnej śnieżna kołderka przykrywa uśpione pola buraków cukrowych. Białe podmuchy hulają wokół magazynu w Campellsville w Kentucky i na pobliskich postojach dla przyczep, gdzie mieszkają członkowie CamperForce.

Ale w małym miasteczku na pustyni Sonora świeci słońce, a po południu temperatura przekracza dwadzieścia stopni. Jak co roku do Quartzsite ciągną dziesiątki tysięcy nomadów z całego kraju. Wieczorem spotykają się przy ogniskach, opowiadają historie z minionego roku i planują ten, który ma się zacząć.

Swankie Wheels wróciła z kempingu w Górach Skalistych, gdzie obchodziła siedemdziesiąte drugie urodziny i gdzie nadłamała trzy żebra. W zimne noce marzła w nieogrzewanym busie, więc teraz montuje sobie nad posłaniem składany namiocik. Trenuje też przed nowym wyzwaniem: zamierza przewędrować pieszo tysiąctrzystukilometrowy szlak Arizona Trail.

Silvianne Delmars rozbiła obóz w pobliżu Swankie. Za dnia jest kasjerką w sklepiku z kryształami i akcesoriami do robienia biżuterii. Podczas wspólnej kolacji z karaoke zbiera się na odwagę, by zaśpiewać swój hymn *Królowa szos* przed dwudziestoparoosobową publicznością, która odpowiada aplauzem. Poza tym szykuje się na pierwszą od siedmiu lat randkę z przystojnym kamperowcem poznanym na stacji Straży Leśnej.

LaVonne Ellis wróciła do Ehrenbergu po dwóch tygodniach w rezerwacie Standing Rock, gdzie brała udział w proteście przeciwko budowie rurociągu North Dakota Access. W pustynnej ciszy walczy z niemocą twórczą, próbując skończyć niewielki zbiór wspomnień z dzieciństwa *The Red-*

Feather Christmas Tree, który zamierza wydać na Amazonie („Linda May nigdy we mnie nie wątpiła” – pisze w podziękowaniach). Później wybiera się do Los Algodones po tanie okulary. W jej głowie rodzi się nowy plan na przyszłość: kupno ziemi opodal Taos w Nowym Meksyku i stworzenie tam bazy, w której mogłaby zaparkować stary szkolny autobus i mieszkać między podróżami.

Bob Wells szykuje się do największego jak dotąd Rubber Tramp Rendezvous. Spodziewając się setek ludzi, ustanawia nowe reguły: zakaz głośnej muzyki i puszczania psów samopas. Poza tym likwiduje grupowe posiłki, zbyt trudne do zorganizowania przy takich tłumach[187] (jeszcze nie wie, że na imprezę zjedzie ponad pięćset osób, wiele z nich zachęconych filmikami, które wrzucał na YouTube).

Wkrótce zjawią się kolejni nomadowie. Wśród nich David Swanson, były garncarz mieszkający w toyocie z odzysku. David cieszy się na kolejną odsłonę zlotu, na którym rok wcześniej prezentował widzom swój pojazd. Na razie zatrzymał się na wyspie Padre u wybrzeży Teksasu. W prywatnej wiadomości na Facebooku opisuje mi ją jako „raj dla nomadów”, w którym wolno parkować i rozbijać namioty na plaży. Potem pyta: „Będziesz na RTR 2017?”.

„Byłam na poprzednich trzech i strasznie żałuję, że w tym roku nie dam rady” – odpisuję. Tłumaczę Davidowi, że muszę skończyć książkę, która powstawała przez cały ten czas.

„Powodzenia w składaniu literek! – odpowiada wesoło. – Udanej pracy!”

Ale pytanie Davida wywołuje ukłucie w sercu. Po trzech latach dokumentowania życia nomadów czuję się nie w porządku na myśl, że mogłabym opuścić RTR. Powtarzam sobie kardynalną zasadę reportera: „Historia toczy się dalej, ale ty w pewnym momencie musisz się odsunąć”.

Co do tego ostatniego się mylę, bo historia wraca ze mną do domu. Na Brooklynie domki na kołach są wszędzie. Nie mogę przestać ich widzieć.

W bocznej uliczce bez parkometru, niedaleko mojego mieszkania na Boerum Hill, stoi srebrny ford z nadbudówką. Z lusterka wstecznego zwisa *nazar*, talizman do odpędzania złych spojrzeń. Szyby są przyciemnione, prawie czarne, dodatkowo zasłonięte roletami.

Kilka kroków od domu mojej siostry w Bed-Stuy, naprzeciwko parkingu dla ciężarówek, zatrzymał się stary kamper. Zasłonka z tyłu kabiny jest zaciągnięta. Szyby w sypialni na górze okryto izolującą folią. Posklejane taśmą worki na śmieci zasłaniają miejsce po szybie nad kołem zapasowym.

Sporo busów i kilka kamperów dokuje na skraju Prospect Parku. Zbierają się także w pobliżu niskich magazynów w Gowanus i na Crown Heights, gdzie nie ma sąsiadów, którzy mogliby się skarżyć. Ruchome domy są wszędzie, tworzą niewidzialne miasto, ukryte, choć na widoku.

Wieczorem po pierwszym śniegu odwiedzam Red Hook, jeden z ostatnich pasów przemysłowego nabrzeża Brooklynu. Ciemne uliczki zastawione są rzędami najrozmaitszych pojazdów: furgonetek budowlanych, samochodów dostawczych, foodtrucków, przyczepek towarowych. Tu miejskim obozowiczom łatwo wtopić się w tło. Nie mija wiele czasu, a zaczynam ich dostrzegać. Wiekowa przyczepa kempingowa w kształcie puszki z mielonką. Chevrolet astro z charakterystyczną kotarką, z plastikową folią i amerykańskimi flagami w tylnych oknach. Przerobiony bus wycieczkowy z przyciemnionymi szybami, czerwonymi kołpakami i piecykiem gazowym nad tylnym zderzakiem, który grzeje, kiedy silnik jest wyłączony. Sporo kamperów z zaciągniętymi roletami.

Najbardziej zjawiskowy jest krótki żółty szkolny autobus. Okna przykryto arkuszami blachy, nie widać przez nią zupełnie nic. Nad powierzchnią dachu, prawie niedostrzegalne z dołu, pobłyskują aluminiowe ramy idealnie wymierzonych paneli słonecznych. W przednim oknie wisi zasłonka. Na szkle od środka zbierają się krople wilgoci – kolejny niezawodny znak, że pojazd jest zamieszkany. Autobus stoi zwrócony w stronę East River, z widokiem na Statuę Wolności.

Dusza reporterki każe mi zapukać w okno. Ale wtedy wracają wspomnienia opowieści o parkowaniu *incognito*. O uczuciu, które cię ogarnia, gdy kryjesz się za zasłoniętymi oknami, i przyśpieszonym biciu serca na dźwięk obcych kroków.

Odchodzę.

Świadomość, jak wielu nomadów żyje na Brooklynie, otwiera mi oczy. Nie po raz pierwszy cały projekt okazuje się zaskakująco bliski mojej codzienności. W połowie prac nad reportażem dowiedziałam się, że młodszy syn Swankie, inżynier oprogramowania z Seattle, to człowiek, którego wiele lat temu poznałam na festiwalu Burning Man. Jakiś czas później LaVonne i ja uświadomiłyśmy sobie, że jej przyjaciółka z Berkeley jest żoną mojego znajomego dziennikarza. Za jednym i za drugim razem myślałam: jak to możliwe?

Może prawdopodobieństwo wcale nie jest takie małe? W końcu dla milionów Amerykanów tradycyjny styl życia klasy średniej stał się

nieosiągalny. W całym kraju kuchenne stoły zawalone są nieopłaconymi rachunkami. Światła palą się do późna w nocy. Ludzie w kółko dokonują tych samych obliczeń, resztkami sił i czasem ze łzami w oczach. Pensja minus paragony ze spożywczaka. Minus rachunki od lekarza. Minus dług z karty kredytowej. Minus opłaty za media. Minus pożyczka studencka i rata za samochód. Minus największy wydatek ze wszystkich: czynsz.

W rosnącej czeluści między „winien" a „ma" zawisa pytanie: z czego jesteś gotów zrezygnować, aby móc dalej żyć?

Większość ludzi, którzy stają przed tym dylematem, nie kończy w domu na kółkach. Tych, którzy kończą, można porównać do gatunków nazywanych przez biologów bioindykatorami – wrażliwych organizmów, zdolnych sygnalizować istotne zmiany w ekosystemie.

Podobnie jak nomadowie, miliony Amerykanów zmuszone są przemodelować swoje życie, nawet jeśli ich transformacja na pierwszy rzut oka jest mniej radykalna. Istnieje wiele sposobów, aby rozłożyć kwestię przeżycia na części pierwsze. Co zrobisz w tym miesiącu – nie dojesz? Pojedziesz na ostry dyżur zamiast do swojego lekarza? Odłożysz spłatę zadłużenia z karty z nadzieją, że bank nie przyśle upomnienia? Nie zapłacisz za prąd i gaz, licząc na to, że ci ich nie wyłączą? Pozwolisz na kumulację odsetek z pożyczki studenckiej i kredytu na samochód, bo wierzysz, że kiedyś uda ci się nadrobić zaległości?

Na gruncie tych pojedynczych upokorzeń wyrasta istotne pytanie o to, kiedy konieczność dokonywania niemożliwych wyborów zacznie dzielić ludzi – i całe społeczeństwo.

To już się dzieje. Przyczyna nieustannych zmagań z domową matematyką, które nie dają ludziom spać, nie jest żadną tajemnicą. Gdy porównać roczne dochody, jeden procent populacji zarabia dziś osiemdziesiąt razy więcej niż ci na dole drabiny. Zarobki stu siedemnastu milionów dorosłych Amerykanów nie zwiększyły się od lat siedemdziesiątych[188].

To nie jest zwykła luka płacowa, ale przepaść. A koszt rosnących nierówności ponoszą wszyscy.

„Mniej mnie interesują waga i stopień pofałdowania mózgu Einsteina niż przekonanie graniczące z pewnością, że ludzie o porównywalnych talentach żyją i umierają na polach bawełny i w fabrykach, gdzie rządzi wyzysk"[189] – pisał nieżyjący już autor Stephen Jay Gould. Pogłębiające się podziały klasowe w zasadzie uniemożliwiają awans społeczny. Tworzą *de facto* system kastowy. A to nie tylko moralne zło, ale i straszliwe marnotrawstwo.

Odbierając szanse wielkiej części społeczeństwa, pozbywamy się olbrzymich zasobów talentu i potencjału intelektualnego. Jak wskazują badania, hamuje to także wzrost ekonomiczny[190].

Najpowszechniej przyjmowaną miarą obliczania nierówności zarobkowych jest stuletni wzór zwany współczynnikiem Giniego. Używają go ekonomiści na całej kuli ziemskiej, między innymi w Banku Światowym, CIA i OECD. I wyciągają przerażające wnioski. Poziom nierówności w Stanach Zjednoczonych jest dziś najwyższy wśród wszystkich krajów rozwiniętych[191]. Można go porównać z wynikami w Rosji, Chinach, Argentynie i rozdartej wojną Demokratycznej Republice Konga[192].

Ta fatalna sytuacja prawdopodobnie będzie się pogarszać. Zastanawiam się więc, jakie dalsze wypaczenia – lub nawet mutacje – porządku społecznego będziemy obserwować w nadchodzących latach. Ile ofiar pochłonie ten system? Jak wielu ludzi znajdzie drogę ucieczki?

Kilka dni po naszym pierwszym spotkaniu Linda zauważyła na palcu mojej prawej dłoni pierścionek w kształcie ośmiornicy.

– Widziałaś kiedyś ośmiornicę w laboratorium? Wiesz, jakie one są mądre? To prawdziwi mistrzowie ucieczek!

Opisała mi film, który oglądała kiedyś w internecie.

– No więc są dwa akwaria, jedno z pokarmem, a w drugim siedzi taka wielka ośmiornica. I ta ośmiornica przeciska się przez rurkę do pierwszego akwarium. – Za tym eksperymentem poszły następne. – W kółko stawiali przed nią nowe przeszkody. Na przykład żeby się dostać do rurki, musiała otworzyć właz.

Choćby nie wiem co, ośmiornica zawsze umiała wydostać się z akwarium.

– Czasem tak samo jest z ludźmi – podsunęłam.

– Fakt, jeśli próbuje się trzymać nas w pudełkach – roześmiała się Linda.

Przypominam sobie tę rozmowę po latach, oglądając inny film, który wrzuciła na Facebooka[193]. Na filmie ośmiornica wędruje po dnie oceanu. Porusza się niezgrabnie, a z napisów pod spodem dowiadujemy się dlaczego: niesie ze sobą dwie puste połówki skorupy kokosa. I nagle – hyc do środka. Przyciąga łupiny blisko siebie i kontynuuje podróż, turlając się po dnie niczym wyposażona w macki kula do kręgli.

Ośmiornica stworzyła sobie narzędzie służące jednocześnie do transportu i ochrony, coś w rodzaju ruchomego domu z kokosa. Moment ten uchwycił

kamerą nurek w Indonezji. W komentarzu Linda nazywa ośmiornicę „najmądrzejszą i najsłodszą na świecie”.

Linda znów jest w drodze. Opuściwszy magazyn w Campbellsville, ruszyła na zachód. Gary został, żeby popracować dłużej, więc tym razem ciągnie Dziuplę sama, spędzając w podróży krótkie zimowe dni i długie, ciemne noce.

Jej pierwszym przystankiem jest Taos w Nowym Meksyku. Zamierza obejrzeć tam swój ulubiony earthship i skonsultować się z architektem w sprawie zaadaptowania modelu do własnych potrzeb. Później weźmie udział w Rubber Tramp Rendezvous. A potem pojedzie na pustynię niedaleko Douglas w stanie Arizona, aby na własne oczy ujrzeć ziemię, z którą związała swoją przyszłość.

Ale niedaleko Taos na tablicy rozdzielczej zapala się kontrolka silnika. Podobno nad okolicę nadciągają burze śnieżne. Aby uniknąć jazdy przez góry w złej pogodzie, Linda zmienia plany i rusza prosto do Douglas.

Dociera na miejsce bez przygód. Pierwszą noc spędza na parkingu koło supermarketu Safeway, choć przedświtowe temperatury spadają poniżej zera. Następnego dnia znajduje tani postój na terenie rekreacyjnym na północ od miasta. Obok niej parkuje małżeństwo z Montany mieszkające w pięciometrowym airstreamie, który pamięta lepsze czasy. Linda opowiada im o swoim domu i pokazuje segregator pełen projektów.

Dzień później rozmawiamy przez telefon. Opowiada mi, że poza nieudanym planem odwiedzin Taos podróż z Kentucky przebiegła gładko.

– Pogoda była idealna! – mówi. – Przez całą drogę widziałam trzy krople deszczu.

Jazda zajęła jej ledwie trzy dni. Linda wciąż jest na postoju, który kosztuje tylko piętnaście dolarów za noc. Dziś wzięła prysznic (wcześniej zadowalała się mokrymi chusteczkami).

– Siedzę w przyczepie i odpoczywam – dodaje, wzdychając z zadowoleniem.

No i odwiedziła swoje dwa hektary. Kawałek pustyni, który po raz pierwszy ujrzała na zdjęciach w ogłoszeniu zeszłej wiosny – a latem na ekranie smartfona – teraz zyskał trzy wymiary. Ziemia jest prawdziwa, namacalna. Linda mogła się po niej przespacerować. Przysięga nawet, że słyszała grzechotnika.

– Jest pięknie – mówi.

Nagle przyszłość wydaje się bardzo bliska.
– Mam sześćdziesiąt sześć lat – stwierdza rzeczowo Linda. – Muszę przyśpieszyć tempo. Żebym zdążyła jeszcze odpocząć i nacieszyć się życiem.
Kolejne wiadomości napływają falami. Linda opowiada mi, że kupiła przenośny generator o mocy czterech tysięcy watów, za który zapłaciła dwadzieścia sześć dolarów, czyli mniej niż połowę zwykłej ceny.
– O mamusiu, mam prąd! – woła.
Generator wyje jak odkurzacz, ale to nie szkodzi. Ma taką moc, że czterdziestopięciowatowy panel słoneczny to przy nim pikuś.
Linda znalazła w pobliżu niedrogą firmę dostarczającą wodę i napełnia tam wielkie kanistry (w earthshipach są cysterny na deszczówkę, ale mogłyby nie wystarczyć, poza tym musi coś pić w trakcie budowy). Zastanawia się też nad wynajęciem geodety – musi poznać skalę pofałdowania terenu, zanim zacznie planować ogród. Jutro zamierza odwiedzić miejscowy urząd nadzoru budowlanego, żeby dowiedzieć się, jak daleko od drogi można postawić dom, i żeby zapoznać się z pozostałymi zasadami.
– Czytałam już na ich stronie, że można wyrównać do czterdziestu arów bez urzędowej decyzji o zmianie zagospodarowania terenu – mówi. – Mnie i tak więcej nie potrzeba.
Linda zamierza rozpocząć budowę po Rubber Tramp Rendezvous. Gary zgodził się przyjechać z nią. Umówiła się też z LaVonne. Razem zaczną stawiać szklarnię, w której będzie można uprawiać ekologiczne warzywa, a w trakcie budowy schronić się przed żywiołami.
Linda widzi to oczyma duszy, jakby trzymane w segregatorze plany nagle nabrały życia. Z kawałka pustyni wyrasta dom, który wyobrażała sobie tyle lat. Powstaje dzięki pracy jej rąk i pomocy przyjaciół, którzy stali się rodziną. Kiedy będzie gotowy – a będzie – earthship da im schronienie. Dzięki odnawialnym źródłom pożywienia, wody, prądu, ogrzewania i chłodzenia stanie się żywą istotą, żyjącą w harmonii z pustynią. I przeżyje ich wszystkich.
Przyszłość zaczyna się w nowym roku, do którego zostało kilka tygodni. Linda zaplanowała już pierwsze zadanie: musi spulchnić ziemię. Znalazła operatora koparki za trzydzieści pięć dolarów na godzinę, bez dopłat za paliwo i przejazd.
– Zaczyna pracować, kiedy sadza tyłek w kabinie – mówi uszczęśliwiona. Zaklepała już datę w drugiej połowie stycznia. – Robota powinna zająć osiem

godzin – dodaje.

A oto jak przebiega:

Najpierw maszyna oczyszcza zarośniętą drogę dojazdową. Następnie wyrównuje podjazd do zaparkowania Dziupli.

Wreszcie rozpoczyna pracę na głównym terenie budowy. Koparka wyciąga ramię. Łyżka opada ku ziemi. Metalowe zęby wgryzają się w glebę raz za razem, wyrywając pustynne krzaczki. Wszystko, czego dotkną, ustępuje: sękate zarośla, uparte kaktusy, masywne kamienie. Przeszkody stojące na drodze do przyszłości.

Po odjeździe koparki Linda staje na płaskim pustym placu. Ziemia czeka – czterdzieści arów, idealne, by coś na nich powstało.

Podziękowania

Przez trzy lata, przemierzając dziesiątki tysięcy kilometrów, poznaje się mnóstwo ludzi. Ta książka powstała dzięki ich życzliwości. Jestem wdzięczna wszystkim poznanym w drodze osobom, które dzieliły się ze mną mądrością, kiepskimi dowcipami, miejscem przy ognisku i kawą. A także wszystkim, którzy udzielili mi wsparcia. Bez niego ta podróż nie byłaby możliwa.

Największe podziękowania kieruję do Lindy May. Zaufać komuś na tyle, by opowiedzieć mu swoją historię, to nie byle co, zwłaszcza jeśli ten ktoś przez trzy lata pojawia się i znika, nocuje w busie pod domem twojej córki i truchtem biega za twoim meleksem na kempingu, bezustannie notując. Mam nadzieję, że wytrwałość Lindy, jej bystry umysł i wielkie serce poruszą czytelników tak, jak poruszyły mnie.

Kilkuset nomadów poświęciło mi swój czas, czego ślady pozostały w tej książce. Jest ich zbyt wielu, by wymienić wszystkich, ale chcę szczególnie podziękować LaVonne Ellis, Silvianne Delmars, Bobowi Wellsowi, Charlene Swankie (alias Swankie Wheels), Iris Goldberg, Peterowi Foxowi, Ghost Dancerowi, Barb i Chuckowi Stoutom, Lois Middleton, Philowi i Robin DePealom, Gary’emu Fallonowi, Davidowi Roderickowi, Alowi Christensenowi, Lou Brochettiemu, Jen Derge, Ash Haag, Vincentowi Mosemannowi, Davidowi Swansonowi, Mike’owi, Kat i Alexowi Valentinom, a także oczywiście tajemniczemu Donowi Wheelerowi.

Wdzięczna jestem za entuzjastyczne wsparcie całej Columbia School of Journalism, szczególnie moim kolegom po fachu, Ruth Padawer i Davidowi Hajdu. Dzięki Rockefeller Foundation mogłam spędzić miesiąc w Bellagio Center, miejscu magicznym za sprawą ciężkiej pracy Pilar Palacii i Claudii Juech. Moim tamtejszym towarzyszom (kolektywowi Il Convivio) dziękuję za koleżeństwo, wymianę cennych uwag i spontaniczne tańce. Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję do Todda Graya, który zadawał właściwe pytania we właściwych momentach (oraz zrobił mi zdjęcie).

James Marcus z „Harper’s Magazine” jako pierwszy uwierzył w tę historię, a na dodatek jest ideałem ludzkiej przyzwoitości. Pozostali sprzymierzeńcy artykułu, który ukazał się w „Harper’s”, to Giulia Melucci, Sharon J. Riley i utalentowany fotograf Max Whittaker, który zilustrował go swoimi zdjęciami. Inne teksty, które złożyły się na tę książkę, powstały przy wsparciu Lizzy Ratner i Sarah Leonard z „The Nation”, Clary Germani z „Christian Science Monitor” i Alissy Quart z Economic Hardship Reporting Project.

Joy Harris, moja nieustraszona opiekunka i agentka, załapała pomysł od samego początku i podeszła do niego z najgłębszą empatią. Alane Mason z W. W. Norton & Company poprowadziła go pewną ręką. Pomagali mi również Adam Reed, Ashley Patrick, Kyle Radler i Laura Goldin. Michael Evans, Robert i Karen Kopfsteinowie, Jerry Hirsch, Stella Ru i Stu Levin w najdosłowniejszym sensie udzielili schronienia mnie i Van Halenowi. Ann Cusack dała mi paczkę na drogę, w której obok innych drobiazgów leżały maść z antybiotykiem, mydełko Irish Spring i mała amerykańska flaga. Lonnie i Lonnie junior z Nalley’s Pit Stop w Douglas wyciągnęli mnie z błota. Aaron, Bill i fantastyczna ekipa mechaników z Conklin Cars w Hutchinson w stanie Kansas ślęczeli w warsztacie po godzinach, by naprawić mi alternator.

Jestem wdzięczna moim bliskim: mój ojciec Ron pomagał pilotować Van Halena przez większą część trasy powrotnej na wschód. Matka Susan (wkrótce doktor Bruder) od dziecka uczyła mnie dobrego pisania. Moja nieustraszona, cudowna siostra Megyn zawsze sprawia, że chce mi się wracać do domu. Piesek Max (znany także jako Mutt-Mutt Wagglebutt) wzdychał i tulił się do mnie w długie noce zajęte pisaniem.

Jestem wdzięczna za moją małą społeczność, w której skład wchodzą: Douglas Wolk, Rebecca Fitting, Chris Taylor, Jess Taylor Wolfe, Caroline Miller, Josh i Lowen Hunterowie, Sarah Fan, Chris Hackett, Sarah McMillan, Dorothy Trojanowski, Eleanor Lovinsky, Marlene Kryza, Julia Solis, John Law, Christos Pathiakis, Robert Kutruff, Rob Schmitt, Stacey Cowley, David Dyte, B’Anna Federico, Nate Smith, Raya Dukhan, Michael Evenson, Ellen Taylor, Clark McCasland, Martha Prakelt, Baris Ulku, Shel Kimen, Iva Roze, James Mastrangelo, Niambi Person Jackson, Amelia Klein, Anthony Tranguch i David Carr – za wszystkimi okropnie tęsknię. Dziękuję także moim plemionom: Madagascar Institute, Flaming Lotus Girls, Illumination Village, 29 Hour Music People oraz Dark Passage.

Moja współspiskowczyni Julia Moburg (znana jako Julia Surferka) pomagała mi łapać równowagę. Jest lepsza niż marmozety i w ogóle na nią nie zasługuję.

Książkę tę dedykuję mojemu najlepszemu przyjacielowi Dale'owi Maharidge'owi. Od czternastu lat jesteś tym, który odbiera telefon niezależnie od pory.

Właśnie tak wygląda współczesna rodzina.

Przypisy końcowe

Część materiałów zawartych w tej książce ukazała się po raz pierwszy w moim artykule *The End of Retirement. When You Can't Afford to Stop Working* w „Harper's Magazine" z sierpnia 2014 roku.

Wiek cytowanych osób odpowiada chronologii ich historii, a nie dacie publikacji. Wszystkie wymienione są z prawdziwego imienia i nazwiska, z wyjątkiem Dona Wheelera oraz osób, które poznałam w trakcie pracy przy zbiorach buraka cukrowego i w CamperForce.

1 Dziupla

Duża część materiału w tym rozdziale pochodzi z maja 2015 roku, kiedy to towarzyszyłam Lindzie May na kempingu Hanna Flat w San Bernardino National Forest.

1 Zob. *Geology of the San Bernardino Mountains*, 26.05.2006, web.archive.org, bit.ly/3gTOCl6, dostęp: 14.07.2020.

2 Zob. Paul W. Bierman-Lytle, *Case Study. San Bernardino and Urban Communities Interface. Historical, Contemporary and Future* [w:] *Climate Change Impacts on High-Altitude Ecosystems*, ed. Münir Öztürk i in., Cham: Springer, 2015, s. 292–293.

3 http://www.fiberglassrv.com/forums/downloads//ec_tmp/CompactIIBrochure.pdf [strona niedostępna].

4 Zaobserwowane podczas wizyty na dorocznych targach Quartzsite Sports, Vacation & RV Show w Quartzsite w stanie Arizona w latach 2014–2016.

5 Zob. Diane Yentel i in., *Out of Reach 2016. No Refuge for Low Income Renters*, Washington: The National Low Income Housing Coalition, 2016, nlihc.org, bit.ly/2ZmgPLq, dostęp: 13.07.2020.

6 Zob. *The State of the Nation's Housing 2016*, ed. Marcia Fernald, Cambridge: Joint Center for Housing Studies of Harvard University, 2016, s. 31, jchs.harvard.edu, bit.ly/2C5sHsr, dostęp: 13.07.2020.

7 Dan Weikel, *Driving a Deadly Dinosaur*, „The Los Angeles Times”, 11.08.2001, s. A1 (jeśli nie zaznaczono inaczej, cytowany tekst tłumaczyła Martyna Tomczak).

8 Zob. John McKinney, *Grout Bay Trail Leads to History*, „The Los Angeles Times”, 25.07.1999, s. 8.

9 Z listy wypadków podczas pożarów kalifornijskich lasów na stronie CalFire, 21.09.2007.

10 *The Adventures of a Cosmic Change Agent*, silviannewanders.wordpress.com, bit.ly/2OiH1QG, dostęp: 13.07.2020.

11 Tekst *Królowa szos* autorstwa Silvianne K. Delmars, wykorzystany za jej pozwoleniem.

12 Randy Vining, *A Full Set of Stuff* [w:] *Forty Years a Nomad. Poems From the Road*, Kindle ed., self-published, 2015.

13 Zob. Anne LaBastille, *Woodswoman. Living Alone in the Adirondack Wilderness*, New York, NY: Penguin Books, 1991.

14 Zob. Scott Belsky, *Realizacja genialnych pomysłów. Jak sprawić, by nie skończyło się na gadaniu*, tłum. Katarzyna Schmidt, Gliwice: Helion, 2011.

15 Jane Mundy, *California Labor Law Also Applies to Seniors*, 16.07.2014, lawyersandsettlements.com, bit.ly/2Zl8t6S, dostęp: 13.07.2020. Skontaktowałam się z Gregiem Villalobosem przez Facebooka. Potwierdził swoją tożsamość, w wiadomości prywatnej dodał: „Problem jest powszechny, ale większość zatrudnionych na kempingach posłusznie wykonuje dodatkową pracę bez wynagrodzenia. Pracowałem na dwóch kempingach, w obu miejscach wyglądało to tak samo. Zarządzały nimi dwie różne firmy. Zrezygnowałem z tego zajęcia. Goście byli wspaniali, gorzej z szefostwem”.

16 Zob. yelp.com, bit.ly/32d1sab, dostęp: 13.07.2020.

17 Mejl z 26.12.2016 od prezesa California Land Management Erica Marta. Zawierał również następujący komentarz: „Niewpisywanie przepracowanych godzin do ewidencji, niezależnie od powodu, to naruszenie regulaminu firmy, a dokonujący go pracownicy podlegają postępowaniu dyscyplinarnemu, włącznie z zerwaniem umowy. […] Przez 36 lat istnienia firmy badaliśmy wiele skarg od pracowników. Fakty często okazują się inne od tych, które przedstawiają autorzy skarg. Gdy jednak znajdujemy dowody na niewłaściwe praktyki kierownictwa, podejmujemy działania naprawcze. W szczycie sezonu zatrudniamy ponad 450 osób, których wysoki odsetek wraca do nas w kolejnych latach. To z pewnością

nie miałoby miejsca, gdyby nasz regulamin pozwalał na działania sugerowane w Pani piśmie”.

2 Koniec

18 Zob. Frank Aleksandrowicz, *Nevada by Day. The Other Attractions Around Las Vegas*, „The Elyria Chronicle Telegram”, 17.06.1990, s. E11.

19 Zob. *Dennis Weaver’s Earthship*, reż. Phil Scarpaci, Robert Weaver Enterprises, 1990.

20 *Actor Builds Treasure with Other People’s Trash*, „Colorado Springs Gazette Telegraph”, 28.11.1989, s. B8.

21 Zob. Patricia Leigh Brown, *Father Earth*, „The New York Times”, 10.01.1993, s. A1.

22 Zob. *Gubb’s Eartship*, web.archive.org, bit.ly/2OppwhH, dostęp: 14.07.2020.

23 Zob. Sara Bernard, *Earthship!*, „Seattle Weekly”, 12.08.2015, s. 9.

24 Martha Mendoza, *‘Earthships’ Meld Future with Past*, „The Los Angeles Times”, 18.05.1997, s. 1.

25 Zob. *Garbage Warrior*, reż. Oliver Hodge, Open Eye Media, 2007.

26 *A Brief History of Earthships*, web.archive.org, bit.ly/2Wj4S7h, dostęp: 14.07.2020.

27 http://earthship.com/Designs/earthship-village-ecologies [strona niedostępna].

28 Zob. Jasmine Tucker, Caitlin Lowell, *National Snapshot. Poverty Among Women & Families, 2015*, Washington: National Women’s Law Center, 2016, nwlc.org, bit.ly/308hOhB, dostęp: 13.07.2020.

29 Zob. Joan Entmacher, Katherine Gallagher Robbins, *Fact Sheet. Women & Social Security*, Washington: National Women’s Law Center, 2015, nwlc.org, bit.ly/3ejJ6Xi, dostęp: 13.07.2020.

30 Zob. Ariane Hegewisch, Asha DuMonthier, *The Gender Wage Gap. 2015*, „Institute for Women’s Policy Research” 2016, vol. 7, no. 4.

31 Zob. Jiaquan Xu i in., *Mortality in the United States, 2015*, Hyattsville: Centers for Disease Control and Prevention National Center for Health Statistics, 2016, cdc.gov, bit.ly/303X3Uj, dostęp: 13.07.2020.

3 Przetrwać w Ameryce

Większość zawartych tu informacji o miasteczku Empire w stanie Nevada ukazała się w moim artykule *The Last Company Town* w „The Christian Science Monitor”, 13.06.2011, s. 33.

32 Zob. *Wzgórza mają oczy* (wersja klasyczna), reż. Wes Craven, Vanguard, 1977. *Wzgórza mają oczy* (remake), reż. Alexandre Aja, Fox Searchlight Pictures, 2006.

33 Jenny Kane, *Gypsum Mine, Town of Empire Sold*, „The Reno Gazette-Journal”, 4.06.2016, s. A5.

34 Zob. taż, *Empire Mining Co. Will Only Restore Part of Ghost Town*, „The Reno Gazette-Journal”, 24.08.2016, s. A4.

35 Zob. google.com/maps, bit.ly/3bT8fIQ, dostęp: 13.07.2020.

36 Zob. film promocyjny *Amazon CamperForce Program*, AmazonFulfillment 19.07.2013, youtu.be, bit.ly/2CvnwSC [film niedostępny].

37 *Grapes of Workamping*, 7.08.2013, lovable-liberal.blogspot.com, bit.ly/3gRBn4o, dostęp: 13.07.2020.

38 jeffolie, *Work from RVs, American Refugees, Okies, Workamper*, 7.07.2011, unlawflcombatnt.proboards.com, bit.ly/3ejgqOc, dostęp: 13.07.2020.

39 earlystart.blogs.cnn.com, cnn.it/2C9m8VH, dostęp: 13.07.2020.

40 http://unionperspectives.blogspot.com/2012/02/workampers-are-new-iwwwobblies.html [strona niedostępna].

41 Zob. workamper.com, bit.ly/32jYXmx, dostęp: 13.07.2020; work-for-rvers-and-campers.com, bit.ly/3077PsU, dostęp: 13.07.2020.

42 Zob. „Workamper News”, lipiec/sierpień 2013, s. 33.

43 „Workamper News”, listopad/grudzień 2015, s. 36.

44 Zob. „Workamper News”, wrzesień/październik 2013, s. 20.

45 Zob. tamże, s. 17.

46 Zob. dps.sd.gov, bit.ly/3fs9fVb, dostęp: 13.07.2020.

47 Kristyn Martin, *Working into Their 70s. The New Normal for Boomers*, 17.10.2014, america.aljazeera.com, bit.ly/3fkYnsd, dostęp: 13.07.2020.

48 Zob. Melissa Preddy, *Work Camping. Seasonal Jobs on the Road*, „AARP Bulletin”, grudzień 2014.

49 Zob. Eric Spitznagel, *What the Kids Are Doing These Days*, „The New York Times Magazine", 6.11.2011, s. 9.

50 Zob. formularz zgłoszeniowy Amazon CamperForce, 2015; „Amazon CamperForce Newsletter", maj 2012, s. 5.

51 „Amazon CamperForce Newsletter", lipiec 2012, s. 2–5.

52 „Amazon CamperForce Newsletter", kwiecień 2012, s. 3.

53 „Amazon CamperForce Newsletter", marzec 2013, s. 3.

54 Zob. *CamperForce Recruiting Handout*, scribd.com, bit.ly/3eoU4uO, dostęp: 13.07.2020.

55 Zob. „Amazon CamperForce Newsletter", lipiec 2013, s. 1.

56 W późniejszej dyskusji na Facebooku niezadowoleni pracownicy nazwali wewnętrzny ośrodek zdrowia Amazona *shamcare* („biedaopieka").

57 Zob. *Workamper News Jobinar with Amazon CamperForce*, youtube.com, bit.ly/2ZsiAa7 [film prywatny].

58 NachoClaws, *Water Spiders Don't Make It Rain*, 8.01.2015, talesfromtherampage.com, bit.ly/3epvB8z, dostęp: 13.07.2020.

59 Zob. *Workamper News Jobinar with Express Sugar Beet Harvest*, youtube.com, bit.ly/2WhBIWh [film prywatny].

60 Zob. *Labor Force Statistics from the Current Population Survey. Unemployment Level 65 years and over*, bls.gov, bit.ly/2DHFv8T, dostęp: 14.07.2020.

61 Zob. *Reclaiming the Future. Challenging Retirement Income Perceptions*, Allianz Life Insurance Company of North America, 2010.

62 Zob. Kathi S. Brown, *Retirement Attitudes Segmentation Survey 2013*, Washington: AARP Research, 2013.

63 *Old Men at Forty*, „The New York Times", 24.02.1905.

64 Zob. David Lodge, *Rereading Anthony Trollope*, „The Guardian", 15.12.2012, s. 16.

65 Lee Welling Squier, *Old Age Dependency in the United States. A Complete Survey of the Pension Movement*, New York, NY: The Macmillan Company, 1912, s. 28, 29.

66 Harry C. Evans, *The American Poorfarm and Its Inmates*, Des Moines: The Loyal Order of the Moose, 1926, s. 13.

67 Tamże, s. 29.

68 Zob. Nancy Altman, *Social Security at 80. Lessons Learned*, „The Huffington Post", 18.08.2015.

69 Zob. *Historical Background and Development of Social Security. Pre Social-Security Period*, ssa.gov, bit.ly/3fl8qgV, dostęp: 13.07.2020.

70 Jacob S. Hacker, *The Great Risk Shift. The Assault on American Jobs, Families, Health Care, and Retirement and How You Can Fight Back*, Oxford: Oxford University Press, 2006, s. 5–6.

71 Zob. *Fact Sheet. Social Security*, ssa.gov, bit.ly/3gPVQ9C, dostęp: 13.07.2020.

72 Emily Brandon, *The Retirement Pogo Stick*, „U.S. News & World Report", 5.12.2009, money.usnews.com, bit.ly/32fw4rn, dostęp: 14.07.2020.

73 Teresa Ghilarducci, *Our Ridiculous Approach to Retirement*, „The New York Times", 22.07.2012, s. SR5.

74 Zob. Jeanne Sahadi, *Co-chair of Obama Debt Panel under Fire for Remarks*, 25.08.2010, money.cnn.com, cnn.it/2ZrJWx7, dostęp: 13.07.2020.

4 Plan ucieczki

Informacje dotyczące życia Boba Wellsa pochodzą z wywiadów, które z nim przeprowadziłam, jak również z jego warsztatów i wykładów podczas trzech edycji Rubber Tramp Rendezvous oraz strony CheapRVLiving.com (dostęp do wcześniejszych wersji witryny uzyskałam poprzez archiwum cyfrowe Wayback Machine, archive.org.web).

75 *Cheap RV Living. Living and Traveling Full or Part-Time in a Van, Car, or RV*, web.archive.org, bit.ly/3enU3qP, dostęp: 13.07.2020.

76 Zob. *The Great M9.2 Alaska Earthquake and Tsunami of March 27, 1964*, earthquake.usgs.gov, on.doi.gov/3ftgKuY, dostęp: 13.07.2020.

77 Zob. *The Great Alaska Earthquake of 1964. Engineering*, „National Research Council", 1973, s. 310, 416–418, 823; Wallace R. Hansen i in., *The Alaska Earthquake. March 27, 1964. Field Investigations and Reconstruction Effort*, Washington: U. S. Geological Survey, 1966, s. 83.

78 Zob. Bob [Wells], *What's Your Vision for Your Life?*, 22.07.2012, web.archive.org, bit.ly/2WbC3tu, dostęp: 13.07.2020.

79 *Thriving in a Bad Economy*, web.archive.org, bit.ly/3kd5YLt, dostęp: 12.09.2020.

80 Zob. David A. Thornburg, *Galloping Bungalows. The Rise and Demise of the American House Trailer*, Hamden: Archon Books, 1991.

81 *Two Hundred Thousand Trailers*, „Fortune", marzec 1937, s. 220.

82 Philip H. Smith, *House Trailers – Where Do They Go From Here?*, „Automotive Industries", 14.11.1936, s. 680.

83 Clyde R. Miller, *Trailer Life Seen as Good for Nation, Aiding Instead of Displacing Homes*, „The New York Times", 20.12.1936, s. N2.

84 Konrad Bercovici, *Gypsy in a Trailer [Part I]*, „Harper's Magazine", maj 1937, s. 621.

85 Zob. David A. Thornburg, *Galloping Bungalows*, dz. cyt., s. 181.

86 Tamże, s. 60, 61.

87 Bob [Wells], *Where Does My Money Go?*, 31.07.2012, cheaprvliving.com, bit.ly/2Zmh4Gi, dostęp: 13.07.2020.

88 Zob. *An Inspiring Vandweller. Charlene's Story*, cheaprvliving.com, bit.ly/3fwtK3i, dostęp: 13.07.2020.

89 Trooper Dan, *Survivalist Truck Dweller*, cheaprvliving.com, bit.ly/2WjOgMS, dostęp: 14.07.2020.

90 Zob. *Live in Your Van*, yahoo.com, yhoo.it/3j0XBD5, dostęp: 13.07.2020.

91 Zob. *Live in Your Van 2*, yahoo.com, yhoo.it/2OnnVsI, dostęp: 13.07.2020.

92 Zob. Live in Your Van 2, yahoo.com, yhoo.it/38POgt5, dostęp: 13.07.2020.

93 *Ghost Dancer Arrived at the RTR Today*, 13.01.2012, swankiewheels.blogspot.com, bit.ly/2Wh5H0p, dostęp: 13.07.2020.

94 Zob. *VanDwellers Facebook: Live in your van*, facebook.com, bit.ly/3ekJi8I, dostęp: 13.07.2020.

95 Zob. *VanDwelling – For Those Living Life in Alternative Locations, or Wishing To*, reddit.com, bit.ly/3gUgp4R, dostęp: 13.07.2020.

96 Zob. Jim Walsh, *Family in Walmart Melee Performed*, „The Arizona Republic", 25.03.2015, s. A8; Jon Hutchinson, *Camping Ban Now Enforced at Cottonwood Walmart Store. The Verde Independent*, 27.03.2015, verdenews.com, bit.ly/3fqSjyd, dostęp: 13.07.2020.

97 Greg Gerber, *Opinion. Will Walmart 'Camping' Become Thing of the Past?*, 24.03.2015, web.archive.org, bit.ly/3j0jgLB, dostęp: 14.07.2020.

98 Jimmy Maas, *Meet Austin's 'Real People of Walmart'*, 26.05.2016, kut.org, bit.ly/3epjxEl, dostęp: 13.07.2020.

99 Zob. *Overnight Parking Walmart*, allstays.com, bit.ly/30cZQuu, dostęp: 13.07.2020.

100 Zob. The Adventures of Tioga and George, blog.vagabonders-supreme.net, bit.ly/3iZaWvr, dostęp: 14.07.2020.

101 Zob. Hobo Stripper, rvsueandcrew.com, bit.ly/38SFydl, dostęp: 13.07.2020.

102 Zob. *RVSue & Her Canine Crew*. Starsze wpisy: rvsueandcrew.com, bit.ly/38SFydl, dostęp: 13.07.2020; nowsze wpisy: rvsueandcrew.net, bit.ly/38Rp1Xj, dostęp: 13.07.2020.

103 Zob. *Jimbo's Journeys*, jimbosjourneys.com, bit.ly/2Onc9Pm, dostęp: 13.07.2020.

5 Amazon Town

104 Z tego, co zdołałam się dowiedzieć, nazwa Amazon Town, określająca efemeryczne osady CamperForce, po raz pierwszy pojawiła się w tytule artykułu Stu Woo *Welcome to Amazon Town*, „The Wall Street Journal", 20.12.2011, s. B1.

105 Zob. Shelby Carpenter, *What Happens When Climbing Bolts Go Bad?*, 4.11.2015, outsideonline.com, bit.ly/3gPkxTI, dostęp: 13.07.2020.

106 Zob. Scott Smith, *Man Charged with Starting Massive California Blaze*, 8.08.2014, apnews.com, bit.ly/2CaSlfg, dostęp: 13.07.2020.

107 *The Value of Friendship*, „Amazon CamperForce Newsletter", czerwiec 2013, s. 1.

108 *Getting Ready to Make History in 2013!*, „Amazon CamperForce Newsletter", marzec 2013, s. 1.

109 *What to Expect Your First Few Weeks in the Amazon CamperForce Program*, „Amazon CamperForce Newsletter", kwiecień 2013, s. 1.

110 Część materiału dotyczącego śledztwa w magazynach Amazona pochodzi z mojego felietonu *With 6,000 Jobs, What is Amazon Really Delivering?*, 17.06.2015, blogs.reuters.com, reut.rs/309NseD, dostęp: 13.07.2020.

111 Część materiału dotyczącego systemu śledzenia pracowników pochodzi z mojego artykułu *We're Watching You Work*, „The Nation", 15.06.2015, s. 28.

112 Raport *Nevada Occupational Safety and Health Administration Inspection Report Number 317326056*, 7.10.2013. Ten i inne raporty dostarczone przez OSHA (oddział w Nevadzie) otrzymałam na prośbę o dostęp do informacji publicznej w ramach Nevada Open Records Act.

113 Zob. Richard Wolf, *Justices Say Security Screening After Work Isn't Paid Time*, *USA Today*, 9.12.2014, eu.usa.today, bit.ly/3elCvLT, dostęp: 13.07.2020.

114 Zob. raporty: *Nevada Occupational Safety and Health Administration Inspection Report Number 315282491*, 24.03.2011 i *316230739*, 7.02.2012.

115 Zob. *Record-Setting Holiday Season for Amazon Prime*, „BusinessWire", 26.12.2013.

6 Miejsce Spotkań

116 E. B. White, *One Man's Meat*, „Harper's Magazine", maj 1941, s. 665.

117 Dokładnie 3792 – według worldpopulationreview.com, bit.ly/2Ro13uP, dostęp: 12.09.2020.

118 Zob. fulltime.hitchitch.com, bit.ly/3frtdzl, dostęp: 13.07.2020; joetheblacksmith.com, bit.ly/2OltnfN, dostęp: 13.07.2020.

119 Zob. yelp.com, bit.ly/32tFm2A, dostęp: 12.09.2020.

120 Bill Graves, *Inside the Desert Bazaar – Quartzsite*, „Trailer Life", listopad 1999, s. 118.

121 Cytaty pochodzą z nagrania, które wykonałam podczas nabożeństwa Duszpasterstwa Ostatniego Wezwania 14.01.2014.

122 Zob. *Like Spring Break for Seniors*, 21.01.2009, obsirius.blogspot.com, bit.ly/307GKWh, dostęp: 13.07.2020.

123 Mark Shaffer, *Snowbirds Walk on the Wild Side*, „The Arizona Republic", 22.02.2004, s. 1.

124 Zob. Dennis Godfrey, *Where Friends Are Like Family*, „My Public Lands. The Bureau of Land Management Magazine", wiosna 2015, s. 26.

125 Zob. littleadventures-jg.blogspot.com, bit.ly/2OnTVgv, dostęp: 14.07.2020; *Quartzsite, Arizona Part III*, 30.10.2007–24.03.2008, misadventureranch.com, bit.ly/3083KVm, dostęp: 13.07.2020.

126 Henry Wolff Jr., *Loners, But Not Alone!*, „The Victoria Advocate", 17.04.1988, s. 2; zob. lonersonwheels.com, bit.ly/32hyOEG, dostęp: 13.07.2020.

127 Komentarze z grupy facebookowej Quartzsite Chatter, 8.12.2016.

128 Nicholas Woodsworth, *Flight of the Polyester-Clad Snowbirds*, „The Financial Times”, 8.03.1997, s. 19.

129 Na temat Fortu Tyson, Quartzsite i Hadżiego Alego zob.: *The WPA Guide to Arizona. The Grand Canyon State*, San Antonio: Trinity University Press, 2013, s. 361.

130 Martha Summerhayes, *Vanished Arizona. Recollections of the Army Life of a New England Woman*, Philadelphia: J. B. Lippincott, 1908, s. 138–139.

131 Zob. Kenneth Weisbrode, *The Short Life of the Camel Corps*, 27.12.2012, opinionator.blogs.nytimes.com, nyti.ms/3esQwrj, dostęp: 13.07.2020.

132 Zob. Peter T. Kilborn, *Where Scorpions Roam and Snowbirds Flock*, „The New York Times”, 10.02.2003, s. A1.

133 Zob. Kate Linthicum, *Keeping It Quirky*, „The Los Angeles Times”, 16.04.2011, s. 1.

134 Zob. *Grand Gathering – 2014*, qiaarizona.org, bit.ly/305Np3n, dostęp: 13.07.2020.

135 Zob. *Wanderlodge Owners Group Forum*, wanderlodgeownersgroup.com, bit.ly/3h1jBMj, dostęp: 14.07.2020.

7 Rubber Tramp Rendezvous

136 John Steinbeck, *Grona gniewu*, tłum. Alfred Liebfeld, Wrocław: Wydawnictwo Dolnośląskie, 1993, s. 380, 381.

137 *Rubber Tramp Rendezvous. January 7–21, 2014*, web.archive.org, bit.ly/305PeNQ, dostęp: 13.07.2020.

138 Bob [Wells], *Report on Winter RTR, January, 2014*, 15.01.2014, cheaprvliving.com, bit.ly/2On2gRu, dostęp: 13.07.2020.

139 Zob. [Al Christensen], *Someone Asked My Story. Fool*, 9.01.2014, rollingsteeltent.blogspot.com, bit.ly/307PHPn, dostęp: 13.07.2020.

140 Zob. Bob Wells, *How to Live in a Car, Van or RV… And Get Out of Debt, Travel & Find True Freedom*, CreateSpace Independent Publishing Platform, 2014, s. 43.

141 Wpis Charlene Swankie, Facebook, 13.08.2015.

142 Zob. tosimplifyold.blogspot.com, bit.ly/3kdEs0o.

143 LaVonne Ellis, *Looking Back*, 29.06.2016, completeflake.com, bit.ly/2OnNtWQ, dostęp: 13.07.2020.

144 Zob. raport Iowa Occupational Safety and Health Administration Citation and Notification of Penalty, 16.08.2016, numer 1154435; Kevin Hardy, *Worker Who Dies Was Just Six Days on His Job*, „The Des Moines Register", 14.06.2016, s. A4.

145 LaVonne Ellis, *The Down Side of Vandwelling Is Saying Goodbye*, 14.02.2014, web.archive.org, bit.ly/3gVrS4f, dostęp: 14.07.2020.

8 Van Halen

146 Zob. Lynn Neary, *Amazon's Seasonal 'Workampers' Fill Holiday Orders, All Things Considered*, National Public Radio, 2.12.2011.

147 Jaimie Hall Bruzenak, *Great Expectations – Do You Need an Attitude Adjustment?*, „Workamper News", wrzesień/październik 2013, s. 7.

148 James Rorty, *Where Life Is Better. An Unsentimental American Journey*, New York, NY: Reynal & Hitchcock, 1936, s. 13.

149 Zob. Rebecca Solnit, *A Paradise Built in Hell. The Extraordinary Communities That Arise in Disaster*, New York, NY: Viking, 2009.

150 Bob Wells, *How to Live in a Car, Van or RV… And Get Out of Debt, Travel & Find True Freedom*, CreateSpace Independent Publishing Platform, 2014, s. 88.

151 Zob. *Who has dental benefits today*, nadp.org, bit.ly/2AWmRZZ, dostęp: 13.07.2020. Spragnionym dalszej lektury polecam wspaniały esej Sarah Smarsh o biedzie, stygmatyzacji i zepsutych zębach: *Poor Teeth*, 23.10.2014, aeon.co, bit.ly/2WfxwX3, dostęp: 13.07.2020.

152 Zob. *Wandering Individuals Network. An RV Singles Travel Club*, rvsingles.org, bit.ly/3j3UzOu, dostęp: 13.07.2020.

153 https://www.facebook.com/amazoncamperforce [strona niedostępna].

154 Christian Lander, *#128 Camping, Stuff White People Like*, 14.08.2009, stuffwhitepeoplelike.com, bit.ly/38UQkQv, dostęp: 13.07.2020.

9 Nie bądź burak! Pracuj dla nas!

155 Zob. Sarah Volpenhein, *Amid Sugar Beet Truck Accidents, Some Question Minnesota, North Dakota Regulations for Ag Drivers*, 7.10.2015, grandforksherald.com, bit.ly/3j1bpgQ, dostęp: 13.07.2020.

156 Colin Ducharme, Todd Ruddick, Mark Graban, *Takt Time Module 8.1*, ocw.mit.edu, bit.ly/3fubDuu, dostęp: 14.07.2020.

10 Słowo na B

157 LaVonne Ellis, *What Vandwelling is Really Like (Well, for Me, Anyway)*, 22.05.2015, completeflake.com, bit.ly/2Cb8jWK, dostęp: 13.07.2020.

158 Taż, *Second Chances*, 24.05.2015, completeflake.com, bit.ly/3esghYT, dostęp: 13.07.2020.

159 Bob Wells, *How to Live in a Car, Van or RV… And Get Out of Debt, Travel & Find True Freedom*, CreateSpace Independent Publishing Platform, 2014, s. 6, 7.

160 Adam Nagourney, *Aloha and Welcome to Paradise. Unless You're Homeless*, 3.06.2016, nytimes.com, nyti.ms/3fxgmfi, dostęp: 13.07.2020.

161 Cyndy Cole, *Some Folks Camping Out for Life*, „The Arizona Daily Sun", 9.08.2011.

162 Zob. Zach Urness, *Trashing the Forest. Long-Term Camping Causes Environmental Problems*, „The Statesman Journal", 19.04.2016, s. D3.

163 *Trailer Lessons*, „The New York Times", 4.05.1937, s. 24.

164 *Two Hundred Thousand Trailers*, „Fortune", marzec 1937, s. 106.

165 Zob. *Slants*, „Automotive Industries", 31.10.1936, s. 564.

166 LaVonne Ellis, *The Dreaded Knock*, 20.04.2015, completeflake.com, bit.ly/2Wl2QUp, dostęp: 14.07.2020.

11 W domu

167 Kurt Vonnegut, *Rzeźnia numer pięć czyli krucjata dziecięca, czyli obowiązkowy taniec ze śmiercią*, tłum. Lech Jęczmyk, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1990, s. 110.

168 LaVonne Ellis, *Why I Spent the Day at the Laundromat – OR – Shit Happens*, 23.12.2015, completeflake.com, bit.ly/304c1ti, dostęp: 14.07.2020.

169 Zob. Charles Riley, Sara Sidner, Tina Burnside, *We Have Powerball Winners!*, 14.01.2016, money.cnn.com, cnn.it/2AV7sce, dostęp: 14.07.2020.

170 Bob [Wells], *Poverty Prepping: My Food Pantry*, 26.03.2014, cheaprvliving.com, bit.ly/2Oopdny, dostęp: 14.07.2020.

171 Marc Lacey, *Haboobs Stir Critics in Arizona*, „The New York Times", 22.07.2011, s. A11; Don Yonts, *Don't Call Our Dust Storm Haboobs*, „The Arizona Republic", 16.07.2011, s. B4.

172 Zob. Thomas Palmer, *A Town in Search of a Future*, „The Boston Globe", 8.02.1987, s. 73.

173 Zob. *Evolution of the Clean Air Act*, epa.gov, bit.ly/38QCI8U, dostęp: 14.07.2020.

174 Zob. Iver Peterson, *Acid Rain Starting to Affect Environment and Politics in West*, „The New York Times", 30.03.1985, s. 6; Scott McCartney, *Country Town's Air Goes up in Smoke of Copper Smelters*, „The Los Angeles Times", 27.07.1986, s. 2.

175 Zob. *Last Copper Is Poured at a Polluting Smelter*, „The New York Times", 15.01.1987, s. A14.

176 Thomas Palmer, *A Town in Search of a Future*, „The Boston Globe", 8.02.1987, s. 73.

177 Zob. Anthony Brino, *Cochise Regional Hospital in Arizona to Close after Medicare Stops Reimbursements over Safety*, 29.07.2015, healthcarefinancenews.com, bit.ly/3iYTWp3, dostęp: 14.07.2020.

178 Zob. Thomas C. Frohlich, *Going, Going, Gone. America's Fastest-Shrinking Cities, USA Today*, 8.04.2016, eu.usatoday.com, bit.ly/307JB1x, dostęp: 14.07.2020.

179 Zob. Bonnie Henry, *Keeping Their Dream Alive*, „The Arizona Daily Star", 19.06.2008, s. E1; Cindy Hayostek, *Haunted Theatre a Success*, „The Douglas Dispatch", 5.11.2002; National Register of Historic Places Nomination Form, Entered July 30, 1976, focus.nps.gov, bit.ly/3hpzhJ3, dostęp: 12.09.2020.

180 Zob. Perla Trevizo, Luis F. Carrasco, *Artists Try to Help Paint New Future for Douglas*, „The Arizona Daily Star", 19.12.2015, s. A1.

181 Zob. *Agents Find Drug Tunnel to U.S.*, „The New York Times", 19.05.1990, s. 7; Monte Reel, *Underworld*, „The New Yorker", 3.08.2015, s. 22; Adam Higginbotham, *The Narco Tunnels of Nogales*, „Bloomberg Businessweek", 6–12.08.2012, s. 56.

182 Zob. Nigel Duara, *Teen Drug Mules Are in for a Shock in Arizona. County Charges Them as Adults Instead of Freeing Them*, „The Los Angeles Times”, 3.05.2016, s. A1.

183 Zob. Perla Trevizo, *Beyond the Wall. Shifting Challenges on Rugged Arizona Line*, „The Arizona Daily Star”, 10.07.2016, s. F9.

184 Zob. Devlin Houser, *Man in Sewer System Drops 55 Lbs. of Weed*, „The Arizona Daily Star”, 27.02.2010, s. A9; Brenna Goth, *Creative Pot Smugglers Try ‘a Little Bit of Everything’*, „The Arizona Daily Star”, 28.09.2011, s. A1.

185 Zob. Elahe Izadi, *What a Marijuana Bundle Dropped from the Sky Can Do to a Doghouse*, „The Washington Post”, 28.09.2015.

186 Zob. Lawrence W. Cheek, *Heritage Hotels. Time Stands Still at Four Historic Arizona Hotels Rife with Amusing Quirks and Characters of the Old West*, „The Los Angeles Times”, 5.01.1992, s. L1.

Koda

187 Zob. Bob [Wells], *Rubber Tramp Rendezvous Schedule 2017*, 8.12.2016, cheaprvliving.com, bit.ly/3j3PPZ9, dostęp: 14.07.2020.

188 Zob. Patricia Cohen, *A Bigger Economic Pie, but a Smaller Slice for Half of the U.S.*, „The New York Times”, 6.12.2016.

189 Stephen Jay Gould, *Wide Hats and Narrow Minds*, „New Scientist”, 8.03.1979, s. 777.

190 Zob. Sean McElwee, *Three Ways Inequality Is Making Life Worse for Everyone*, 3.04.2015, salon.com, bit.ly/32eAD5l, dostęp: 14.07.2020.

191 Zob. *Income Inequality Update*, listopad 2016, oecd.org, bit.ly/2ZpKjbh, dostęp: 14.07.2020.

192 Zob. *GINI Index (World Bank Estimate) – Country Ranking*, indexmundi.com, bit.ly/2C10OBY, dostęp: 14.07.2020.

193 Zob. LADbible, *Octopus Uses Coconut for Protection*, 10.11.2016, facebook.com, bit.ly/305f4Br, dostęp: 14.07.2020.

Przypisy

[1] Gdy po raz pierwszy natknęłam się na ten temat, nie miałam jeszcze pojęcia, że wyjdzie z tego większy projekt: trzy lata pracy reporterskiej i setki wywiadów (jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od autorki).

[2] Za kilka tygodni kończyła sześćdziesiąt pięć lat, co oznaczało, że ta już i tak skromna kwota zmaleje po odjęciu składek na ubezpieczenie zdrowotne Medicare do czterystu dwudziestu czterech dolarów.

[3] Część z nich w 2010 roku znalazła się na pierwszych stronach ogólnokrajowych gazet, kiedy Departament Pracy Stanów Zjednoczonych stwierdził, że ich pracodawca, Gate Guard Services LP z Corpus Christi, zamiast jako pracowników sklasyfikował ich jako niezależnych podwykonawców i w związku z tym powinien im wypłacić 6,2 miliona dolarów zaległych wynagrodzeń. Rozstrzygnięcie to oddalił później sędzia federalny.

[4] Nie wszyscy stosują podobnie ckliwe zachęty. Nagłówek w jednym z wydań z 2014 roku, które zawierało rozmowy z workamperami, brzmiał: *Najważniejsza sprawa dla pracowników Amazon.com*: *pieniądze* (*Bottom Line at* Amazon.com: *Money*, „Workamper News”, lipiec/sierpień 2014, s. 31–34).

[5] Hoovervilles – prowizoryczne slumsy budowane w czasach wielkiego kryzysu przez ludzi, którzy stracili domy (przyp. tłum.).

[6] Po raz pierwszy kąpałam się za darmo na postoju zimą 2014/2015. To był postój sieci Pilot w Quartzsite w stanie Arizona. Wyszłam z busa z mydłem, szamponem i klapkami w plastikowej torbie i podeszłam do kasy, gdzie powiedziano mi, że mam zapłacić dwanaście dolarów. Na widok mojej miny kierowca stojący z prawej strony przesunął po ladzie swoją kartę lojalnościową. „Ale wie pan, że jeśli teraz skorzysta pan z karty, będzie zablokowana przez najbliższą dobę?” – upewniła się kasjerka. Kierowca podniósł łokcie i powąchał się najpierw pod jedną, potem pod drugą pachą. „E tam, tydzień już wytrzymałem” – odparł.

[7] Kiedy w 2013 roku po raz pierwszy brałam udział w tym spotkaniu, na pustyni zebrało się około sześćdziesięciu pojazdów mieszkalnych. Cztery lata później było ich już około pięciuset.

[8] Amerykański apetyt na gadżety erotyczne – na który wskazuje mnogość i różnorodność sztucznych członków czy korków analnych przechodzących przez magazyny Amazona – to przedmiot fascynacji pracowników. I choć większość „zabawek dla dorosłych” jest owijana w czarną folię, czasem coś się prześliźnie. Pewna stowerka z CamperForce wspominała z rozbawieniem, jak w jej ręce trafiła skrzynka pełna sztucznych członków na przyssawkach. Przyczepiała je od frontu binów. „Człowiek skręcał za róg i wszędzie dookoła widział te fiutki – śmiała się. – Chodziliśmy i wołaliśmy do ludzi: Idź popatrzeć na C23!”. W normalnej sytuacji bałaby się gniewu kierownictwa, ale wyjaśniła mi: „To były moje ostatnie dwa tygodnie, więc co niby mieliby mi zrobić?”.

[9] Obamacare – podpisana w 2010 roku przez prezydenta Obamę ustawa reformująca system opieki zdrowotnej w Stanach Zjednoczonych. Miała na celu zwiększenie liczby osób objętych ubezpieczeniem zdrowotnym (przyp. tłum.).

[10] Burning Man – festiwal odbywający się co roku na pustyni Black Rock w Nevadzie, oparty na ideach samowystarczalności, autoekspresji i wspólnoty, podczas którego organizowane są rozmaite wydarzenia artystyczne (przyp. tłum.).

[11] Krótko przed tym, jak Don napisał te słowa, Tołokonnikowa, członkini rosyjskiej dysydenckiej grupy punkowej Pussy Riot, została zwolniona z syberyjskiego więzienia.

[12] Za galon, czyli 3,8 litra (przyp. tłum.).

[13] Nie on jeden snuł takie plany. Institute for Human Services, organizacja zarządzająca największą siecią ośrodków dla bezdomnych na Hawajach, otrzymuje rocznie od stu do stu pięćdziesięciu telefonów i mejli „od ludzi, którzy planują przyjazd na Hawaje i życie bez miejsca zamieszkania” – powiedział jej przedstawiciel reporterowi lokalnej telewizji. Liczba osób bezdomnych wzrosła w ostatnich latach o ponad jedną trzecią i *per capita* jest obecnie najwyższa w kraju. Dlatego gubernator ogłosił stan nadzwyczajny, a burmistrz Honolulu wezwał do „wojny z bezdomnością”. Tymczasem branża turystyczna finansuje osobom bezdomnym bilety powrotne na kontynent.

[14] Pewien facet przy ognisku na Rubber Tramp Rendezvous na wieść, że nie czytałam *Podróży z Charleyem*, tak się przeraził, że następnego dnia stanął pod moim kamperem z wydaniem w miękkiej oprawie. Inne pozycje z literackiego kanonu subkultury nomadów to *Blue Highways* Williama Least Heat-Moona, *Desert Solitaire* Edwarda Abbeya, *Wszystko za życie* Jona Krakauera, *Walden, czyli życie w lesie* Henry’ego Davida Thoreau i *Dzika droga* Cheryl Strayed.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel. +48 22 621 10 48

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2020
Wydanie I